

# Plan Maxwellla

Hyde Christopher



calibre 0.9.27



# PLAN MAXWELLA

**(Przełożyli: Barbara Jankowiak i Paweł Witecki)**

Od autora:

*Informacje dotyczące systemu kolei północnoamerykańskich, międzynarodowych organizacji terrorystycznych oraz przesyłek pieniężnych Ministerstwa Skarbu Stanów Zjednoczonych są zgodne ze stanem faktycznym. Jednak w interesie bezpieczeństwa publicznego część danych technicznych została nieznacznie zmieniona - dlatego ci, którzy zamierzają pójść w ślady Harry'ego Maxwella, będą musieli przeprowadzić własny wywiad.*

Christopher Hyde

# PROLOG

## Specjalne Służby Powietrzne (SAS)

### Wydział Kontrwywiadu

#### Whitehall, Londyn

Szefowie dziewięciu sekcji, wszyscy po cywilnemu, zasiedli w ciemnej sali projekcyjnej wsłuchani w słowa wyższego oficera kontrwywiadu, który komentował

wyświetlane na ekranie slajdy.

- Te zdjęcia zrobiono w zeszłym tygodniu w Algierze. Kawiarnia znajduje się przy ulicy Didouche Mourad i stanowi doskonale znaną melinę terrorystów. W mieszkaniu naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, utrzymujemy wspólny zespół obserwacyjny z naszym francuskim odpowiednikiem, Gigene. Następny proszę.

Widok kawiarni na ekranie ustąpił miejsca zbliżeniu szczupłej twarzy młodego człowieka z rzadkimi blond włosami.

- Dieter Haas, Holender, dwadzieścia osiem lat. Podejrzany o udział w co najmniej siedmiu porwaniach. Jeden z organizatorów przejęcia ambasady irańskiej w maju 1980 roku.

Dalej.

Zdjęcie przedstawiało nachmurzoną twarz długowłosej Azjatki.

- Sheila Teng. Członkini japońskiej Czerwonej Armii. Zidentyfikowana w Lod, ponownie zidentyfikowana podczas napadu na bank w Mediolanie. Wiadomo, że była z kobietą nazwiskiem Fusake Shinegobu, o której Arabowie mówią "Samira". Ma trzydzieści dwa lata. Następny.

Szczupła semicka twarz, ciemna cera, wyraźny cień zarostu.

- Mohamed Kawi, dwadzieścia dziewięć lat, Libijczyk. Zidentyfikowany przez włoską Sekcję R w związku z porwaniem Doziera. Instruktor w obozie treningowym Ras Hilal, dawnych instalacjach dla potrzeb niemieckich U-bootów. Specjalista od wysadzania w powietrze. Dalej.

Para trzymająca się pod rękę. Krótko obcięta szatynka z dość otyłym mężczyzną o szerokich barach.

- Lisa Ruffio i Raoul Attendera. Widywani zawsze we dwoje, z pewnością para kochanków. Ruffio wywodzi się z Czerwonych Brygad. Sekcja R wykryła jej udział w porwaniu Aldo Moro. Attendera od lat związany jest z sandinistami. Przez ostatnie trzy lata oboje przebywali w Jordani, ale nie podejmowali tam żadnych działań. On ma trzydzieści jeden lat, ona trzydzieści. Następny.

Niski mężczyzna z orlim nosem i głęboko osadzonymi oczami; papieros przyklejony do niemalże

kobięcych warg.

- Amal Akbar. Często łączy się go z Mohamedem Kawi. Są bliskimi przyjaciółmi i możliwe, że utrzymują też kontakty seksualne. Oczywiście Libijczyk, przeszkolony w głównym libijskim obozie w Torca. W Mantanzas pod Hawaną odbył trzymiesięczne szkolenie w stosowaniu materiałów wybuchowych, do tego kurs partyzantki miejskiej w Guanabo. Ma trzydzieści lat. Z jego kartoteki wynika, że jest nie zrównoważony psychicznie.

Prawdopodobnie sadysta. Nieciekawa postać. Dalej!

Na ekranie ukazała się bardzo piękna kobieta z czarnymi włosami do ramion, wydatnymi policzkami i figurą modelki. Spódnica i bluzka, które miała na sobie, wyglądały kosztownie i z amerykańska.

- Na koniec prawdziwa gwiazda. To Annalise Shenker. Niemka, trzydzieści cztery lata. Z grupy Baader-Meinhof właściwie tylko ona się uchwyciła. Pupilka samej Ulrike Meinhof. Brała udział w co najmniej czterech uprowadzeniach i trzech porwaniach samolotów; jest uważana za organizatorkę napadu na siedzibę OPEC w Wiedniu w 1975

roku. Zidentyfikowano ją również podczas terrorystycznego "szczytu" w Benghazi w roku 1979. Wielokrotnie podejrzewano, że łączy ją romans z Carlosem "Szakalem", lecz nie ma na to żadnych konkretnych dowodów. Przez ostatni rok czy coś koło tego pracowała jako instruktorka w obozie szkoleniowym w Karlowych Warach pod Pragą. Ze wszystkich osób namierzonych w zeszłym tygodniu ona jest bez wątpienia najważniejsza i najbardziej niebezpieczna. Proszę światło.

W sali zamigotały włączone jarzeniówki, piękna twarz na ekranie poblądła i znikła.

Oficer kontrwywiadu stanął na podium, spojrzał uważnie na dziewięciu siedzących przed nim mężczyzn.

- Z tego co wiemy, cała ta grupa szykuje jakąś większą operację. W tej chwili nie ma podstaw, by sądzić, że jej celem będzie Zjednoczone Królestwo, uważamy jednak, iż szefowie sekcji powinni orientować się w temacie. Są pytania?

Wysoki posiwiały mężczyzna z falą szpakowatych włosów i pobrużdżoną ogorzałą twarzą podniósł się z miejsca w ostatnim rzędzie.

- Pan major Simpson? - upewnił się oficer kontrwywiadu.

- Tak. Mówił pan, że nie ma dowodów, by cel ataku stanowiła Wielka Brytania. Czy istnieją jakieś przypuszczenia, który kraj będzie celem akcji?

- Sądzymy, że Stany Zjednoczone - odparł oficer kontrwywiadu. - Ustaliliśmy, że w ciągu najbliższego miesiąca cała grupa, z wyjątkiem panny Shenker, wybiera się różnymi drogami do Nowego Jorku. Panna Shenker zaś uda się do Montrealu.

- Nie życzyłbym nikomu takiej bandy na własnym terenie - zauważył jeden z szefów sekcji, kapitan Laird.

- Kontrwywiad w zupełności zgadza się z pańską oceną, kapitanie. Grzecznościowo wysłaliśmy odbitki tych zdjęć zarówno służbie bezpieczeństwa kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, Wydziałowi Inwigilacji, jak i Grupie "Delta" w Stanach. Przekazaliśmy też z naszej kartoteki kopie danych na temat każdego osobnika, opatrzone komentarzem kładącym nacisk na potencjalne zagrożenie, jakie stwarza.

- Dobrze, że to nie na nas trafiło - stwierdził Laird.

Oficer kontrwywiadu uśmiechnął się blado. - Owszem - przyznał. - A teraz, panowie, w sali obok podano herbatę.

**Część pierwsza**

## **PRZYGOTOWANIA DO PODRÓŻY**

*Nigdy nie pragnąłem zostać legendarną postacią;*

*chciałem tylko mieć kupę szmalu, nic poza tym.*

Harry Maxwell

w wywiadzie dla "Playboya"

## **ROZDZIAŁ 1**

Kiedy Harry Maxwell miał osiemnaście lat i był w trakcie zdobywania dyplomu w niezbyt cenionej dziedzinie, podobnie jak wszyscy inni zabawiał się zgadywaniem: dokąd zajdę za dziesięć lat? Nieraz widział siebie w roli antropologa na którejś z wysp południowych, idącego w ślady Margaret Mead, albo w roli biologa prowadzącego badania mórz wspólnie z Jacques'em Cousteau. Jednak w najlepszej ze swoich fantazji umieszczał

siebie na kampusie niewielkiego uniwersytetu w Nowej Anglii. Brodaty, ze skroniami przyprószonymi szlachetną siwizną, był zarówno intelektualnym, jak i erotycznym idolem tłumu świeżo upieczonych studentek o długich nogach i niedużych piersiach.

W wieku dwudziestu ośmiu lat, kiedy wszystkie jego marzenia, ideały i dyplom dawno poszły w niepamięć, podobnie jak festiwal w Woodstock, Harry zarabiał przy przerzucaniu towaru wysokiego ryzyka na trasach Maroko-Nowy Jork i Bogota-Miami, gdzie policji bał się tak samo jak swoich pracodawców. Już nie myślał o tym, co będzie za dziesięć lat czy nawet za pięć. Jeśli w ogóle myślał o przyszłości, widział jedynie świat cieni i na wpół

ukrytych znaczeń, a najlepsze, co mogło go w tej przyszłości spotkać, to zdrowy sen, nie przerywany chorobą zawodową w postaci napadów strachu.

Jednak rzeczywistość, w jakiej przyszło mu żyć w wieku trzydziestu pięciu lat, przerosła wszelkie szalone fantazje i rozsądne prognozy. Syn radcy prawnego korporacji z Seattle, Harry Maxwell (iloraz inteligencji 145), którego chłopięcą urodę odmienił czas i przeżycia, pracował na pełnym

etacie jako czyściciel pociągów na stacji przetokowej w waszyngtońskim terminalu kolejowym. Przenośną dmuchawą usuwał papiery i niedopałki z wagonów kompanii Amtrak, jeżdżących na liniach Korytarza Północno-Wschodniego. Z

pensją w wysokości 176 dolarów i 50 centów tygodniowo znajdował się na samym dole drabiny awansu o tysiącu szczebli, mając widoki na emeryturę w wysokości połowy poborów po dwudziestu latach pracy, jeśliby się w tej robocie tak długo utrzymał. Pracował już prawie od roku i jedynym awansem, jaki go spotkał, było zaszczytne przeniesienie z trzeciej zmiany, nocnej, na pierwszą: od ósmej rano do szesnastej. Zgodnie z tym, co Mosley, jego brygadzysta, lubił mawiać do swoich chłopaków: Ciesz się, że masz robotę, zasrańcu.

Co prawda, to prawda - przytakiwał w duchu Harry. Fakt: po siedmiu latach przerzucania koki cieszył się, że w ogóle żyje. Jego ostatnia trasa zakończyła się nad kanałem odpływowym w Miami, gdzie podstawiono mu pod nos obrzyna, a dwóch facetów ze spluwami dopilnowało, by jego partner, Daniel Pendergast, wydał im zdobyty w pocie czoła proszek do ostatniej uncji. Dzięki tej przewalce Harry stracił nie tylko zawartość portfela, lecz również chęć do dalszego nadstawiania karku. Jego przyjaciel, Daniel, z powrotem został

artystą, Harry zaś rozpoczął pracę na kolei, póki się nie trafi coś lepszego. Jakoś się nie trafiało.

Idąc wzdłuż czternastego z kolei wagonu przesuwiał w tę i z powrotem szeroki wlot rury. Schylał się, żeby pogmerać pod siedzeniami, i od czasu do czasu unosił rurę, przelatując górne półki bagażowe na wypadek, gdyby ktoś ukrył tam jakąś pigułę. Najgorzej gdy ludzie pakują śmieci do torby, a potem wciskają między siedzenie i ściankę; zwykle zdarzało się to co najmniej dwa razy w każdym wagonie. Musiał wtedy wyłączyć dmuchawę, wygrzebać śmieci i dopiero dalej odkurzać. W żadnym wypadku nie wolno mu było zignorować

“ukrytych ładunków”, bo Mosley sprawdzał każdy wagon przed wypuszczeniem na boczny tor, na którym kompletowano składy. Każdy skład - czyli w żargonie kolejarskim zestaw wagonów danego pociągu - musiał być, zdaniem Mosleya, wypucowany do połysku. Ten otyły mężczyzna od trzydziestu pięciu lat ustalał składy pociągów na waszyngtońskich dworcach przetokowych i chlubił się, że u niego wszystko lśni czystością. Jedna piguła wystarczała, by cię przeniósł na trzecią zmianę, od północy do ósmej; dwie piguły załatwiały ci “wybieranie miodu”, czyli opróżnianie kontenerów szamba, po trzech zaś nie dość, że wylatywałeś z roboty, to jeszcze Mosley przeklinał cię po wsze czasy.

Na końcu wagonu przy pochyłej ścianie w pobliżu przejścia między wagonami piętrzyła się sterta śmieci.

Upłynął rok, a Harry wciąż nie mógł się nadziwić, jak to możliwe, żeby osiemdziesiąt osób w wagonie Amtraku - a w sypialnym jeszcze mniej - zdążyło tyle naśmiecić w tak krótkim czasie. Wagony z dłuższych tras były najgorsze, zwłaszcza “Montrealczyk” -

kursujący codziennie wspólny skład kanadyjskiego VIA Rail i Amtraku. Z tysiąckilometrowej trasy zjeżdżało tyle śmiecia, że za każdym razem napełniały się dwie albo trzy ciężarówki. Ze składem “702” to samo. Z kolei “Kapitol” codziennie jeździł z Waszyngtonu do Chicago i z powrotem, a na



trasie tysiąca dwustu kilometrów można zgromadzić tak makabryczną ilość odpadków, że Harry i inni mieli zajęcie przynajmniej na pół dnia. Na szczęście "Kapitol"

zjeżdżał dopiero po południu i zanim go porozczepiali i przetoczyli gdzie trzeba, zaczynała się nocna zmiana i Harry mógł nie zawracać sobie nim głowy - przynajmniej do czasu przeoczenia piguły pod fotelem.

Pomimo brudu, smrodu i śmieci w jego pracy zdarzały się interesujące chwile. Dzień w dzień Harry przemierzał czterdzieści do pięćdziesięciu wagonów, które zjeżdżały na waszyngtoński dworzec przetokowy ze wszystkich stron świata. Mógł sobie wyszukać gazety i tygodniki z Detroit, Chicago, Bostonu, Nowego Jorku, Filadelfii, Nowego Orleanu, Tampy, Jacksonville i Miami. Prócz czasopism trafiały się listy miłosne, drobna biżuteria, pieniądze, książki, nieraz nawet zostawiona na półce albo pod siedzeniem walizka, którą przeoczył

bagażowy na dworcu. Wszystkie wartościowe przedmioty powinien zwrócić do biura rzeczy znalezionych, lecz nawet Mosley i inni nadzorcy przeważnie patrzyli przez palce, jeśli ktoś to czy owo podwędził. Raporty o rzeczach pozostawionych w pociągu zabierały czas i przysparzały jedynie papierkowej roboty. W biurze rzeczy znalezionych interes szedł kiepsko.

W świetlicy od dwóch lat stał kolorowy telewizor, o który nikt nawet nie zapytał, nie mówiąc już o dochodzeniu własności.

Wreszcie wszystkie śmieci znalazły się w korytarzyku, Harry odpiął więc dmuchawę, wyjął z torby przy pasku duży plastikowy worek na odpadki i zaczął ładować. Napełniał kolejne worki i ciskał je przez otwarte drzwi na peron, celując w skrzynię wywrotki swego elektrycznego wózka.

Dopiero kiedy zawiązał ostatni worek, zauważył, jak wygląda przejście do następnego wagonu. Wszystkie wagony, które od rana przeszedł, były typu Pullman Standard z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, z przeszklonymi drzwiami, pozwalającymi zajrzeć do sąsiedniego wnętrza. Natomiast drzwi przed nim w ogóle nie miały szyby. Zabezpieczały je trzy rzędy łańcuchów przełożonych przez grube pierścienie we framudze. Tam, gdzie powinna znajdować się rączka, przyspawano prostokątną metalową płytkę. Pośrodku niej widniał masywny okrągły zamek typu Chubb.

Zaciekawiony tak solidnym zabezpieczeniem, Harry Maxwell rzucił ostatni worek na wywrotkę i zbiegł po trzech schodkach na rozświetlony słońcem peron. Sięgnął do kieszeni na piersiach kombinezonu roboczego, wydobył zmiętoszoną paczkę Lucky Strike'ów i zapalił

jednego, używając kuchennej zapałki z tych kilku, które trzymał za celofanem opakowania.

Mrużąc oczy w jaskrawym blasku słońca, obejrzał sobie wagon z dziwnym wejściem.

Najpierw myślał, że służy do przewozu bagażu, lecz prawie natychmiast odrzucił tę myśl. W żadnym z wagonów bagażowych, które dotąd widywał, nie było tylu okien, przy tym zamiast pary podwójnych szerokich drzwi ten wagon miał trzy nieduże wejścia - dwa przy końcach, jedno pośrodku. Harry pospiesznie omiół wzrokiem peron. Ujrzał rzędy pustych wagonów - i ani śladu



żywego ducha. Nie dostrzegł nigdzie Mosleya i jego seledynowego wózka golfowego, w którym szef zwykł objeżdżać teren. Zaciągnął się papierosem i odrzucił

niedopałek. Ruszył do najbliższych drzwi, oparł stopę na dolnym stopniu trzech schodków przyspawanych do ściany wagonu, złapał zaokrąglony uchwyt i szarpnął. Drzwi na rolkach przesunęły się. Harry chwycił metalowe poręcze po obu stronach ciemnego otworu wejścia i wskoczył do wagonu.

W środku było mroczno i ponuro, tylko przez okienka wpadały smugi słonecznego blasku, rozświetlając tańczące leniwie złociste drobinki kurzu. Harry uśmiechnął się krzywo.

W dzieciństwie odczuwał strach na widok każdej migotliwej smuzki i kiedy jakąś napotkał -

omijał z daleka. Żywił przekonanie, iż maleńkie pyłki lecą do światła niczym ćmy. W piątym roku życia doznał szoku, gdy odkrył, że kurz fruwa wszędzie.

Niezwykły wagon podzielony był wyraźnie na trzy części. Przednią odgradzono od reszty klatką o grubych prętach sięgających do sufitu, zajmującą ponad połowę szerokości wnętrza. Umebrowanie stanowiły dwa solidnie wypchane fotele, niewielki stolik i barowa lodówka z pojedynczą płytką elektrycznej kuchenki na blacie. Harry natychmiast rozpoznał

metalową konstrukcję ram, haków i podpórek. Na ścianie koło lodówki znajdował się stojak na cztery sztuki broni, teraz pusty. Rozmiary podpórek wskazywały, że przeznaczono je na pistolety automatyczne albo karabiny. W tylnej części wagonu, od strony drzwi, którym przyglądał się przed chwilą stojąc w korytarzu pełnym śmieci, urządzono swoiste centrum łączności. Przy prostym metalowym stole mieszczącym skomplikowany zestaw sprzętu radiowego stał fotel obrotowy. Harry podszedł do przeciwległej ściany wagonu, żeby z bliska przyrzeć się nadajnikom na stole, jego kroki zadudniły głucho po posadzce. Spędził kiedyś dwa lata za kierownicą ciężarówki w dużej firmie przewozowej z Oregonu i wiedział, że ma przed sobą sprzęt, o jakim zwykli radiowcy mogą sobie jedynie pomarzyć. Automatyczne wybieranie na wszystkich kanałach, urządzenie do ustawiania pojedynczych pasm, duży nadajnik podstawowy firmy General Motors oraz para przenośnych nadajników wyglądających bardzo profesjonalnie.

Harry pochylił się nad fotelem i włączył główny nadajnik. Natychmiast dioda emisyjna rozświetliła tablicę, na której mógł odczytać cyfry: 164.25. Nadajnik był dostrojony do wielkiej częstotliwości VHF. Takie zakresy obejmuje wyłącznie licencja "A". Czyli częstotliwość tak samo profesjonalna jak sprzęt. Harry dostrzegł cienki przewód wypełzający z nadajnika. Przewód biegł po tylnej ścianie wagonu, przez sufit, aż do okratowanego okrągłego wywietrznika. Antena.

- Maxwell! - to jedno jedyne słowo zabrzmiało jak strzał z pistoletu. Wołał, rzecz jasna, Mosley - facet o wzroście metr pięćdziesiąt, za to z wielkim głosem.

- Psiamać - szepnął Harry, niemile zaskoczony. Czym prędzej wyłączył radio i trzema długimi susami skoczył ku otwartym drzwiom wagonu.

Mosley czekał na peronie, rozparty na siedzeniu swego wózka golfowego. Na jego idealnie kulistej

głowie tkwił jaskrawopomarańczowy kask ochronny, zsunięty na oczy.

Zdaniem Harry'ego Bertrand Orville Mosley był postacią żywcem wziętą z rysunków satyrycznych.

- Do diabła, Harry! Co ty tam, kurczę, robisz?!

- Rozejrzałem się troszkę - odparł Harry. - Myślałem, że może tu też trzeba posprzątać.

- Gówno prawda - uciał Mosley, obserwując go podejrzliwie. - Wsadziłeś swój pieprzony inteligencki nos gdzie nie trzeba.

Harry był u Mosleya jedynym pracownikiem z dyplomem uniwersyteckim, dlatego wymyślanie mu od inteligentów było ulubionym sposobem dokuczania podwładnemu.

Harry odwrócił się plecami i zszedł po schodkach, po czym zasunął jedną ręką drzwi.

Zeskoczył na peron i ponownie zwrócił się w stronę swego szefa. Cała twarz małego, pękatego człowieczka lśniła od potu, a jego opięty kombinezon sprawiał, że Mosley przypominał chodzący serdelek. Harry omal nie parsknął śmiechem. Wiedział jednak, że nawet lekki uśmiezek może kosztować go utratę pracy, dlatego przygryzł wargę zachowując kamienną twarz.

- Powinieneś za to nieźle oberwać po dupie, Maxwell. Czy ty rozumiesz, że mogliby cię zamknąć?

- Za to, że zajrzałem do zakichanego wagonu bagażowego? - zdziwił się Harry.

Doskonale wiedział, że ten wagon nie jest zwykłą bagażówką, ale zgrywanie głupka przed Mosleyem już parę razy wybawiło go z opresji.

- Jezu kochany! - westchnął brygadzysta. - Widać, jak mało te gówniarze dzisiaj wiedzą o kolei. - Wydał pomruk rezygnacji i w teatralnym geście pokiwał głową. - To nie jest wagon bagażowy. Widzisz jakieś symbole Amtraku po bokach? Albo oznaczenia jakiejś innej kompanii kolejowej?

Harry wiedział, czego się od niego oczekuje. Spojrzał przez ramię na wagon, potem znów na Mosleya.

- Niby nic tam nie ma - powiedział.

- Dlatego, że to nie jest wagon Amtraku. Ani Pennsy, ani B&O, ani Rock Island Line, do cholery. To jest RPO, synu, autentyczny Wagon Poczty Kolejowej zbudowany na początku lat pięćdziesiątych. Klasyka. Wlazłeś na teren rządowy, Maxwell.

- Myślałem, że dawno już przestali wozić pocztę pociągiem - rzekł Harry.

- Owszem - przyznał Mosley. - Wycofali ten wagon w sześćdziesiątym drugim. Poczta już go nie używa. Jeździ nim Departament Skarbu. Co niedziela ten wagon otwiera skład

“Nocnej Sowy”, czyli pociągu, którym jeżdżą wszyscy dyplomaci, żeby zdążyć do ONZ-u na

poniedziałek rano. Jak tylko zaczynamy szykować ten skład wczesnym popołudniem, aż się tu roi od gliniarzy i tajniaków. Gdyby oni wiedzieli, żeś się tam władował, dopiero daliby ci popalić, synu.

Harry zmarszczył czoło.

- Ja rozumiem, że tajne służby ochraniają tych z ONZ-u, ale co do tego ma Departament Skarbu?

Mosley z poczuciem wyższości poprawił się na siedzeniu wózka i nadał pierś w opiętym kombinezonie.

- Chodzi o forszę, Maxwell - wyjaśnił. - Cholernie dużą forszę. Raz w tygodniu wysyłają z mennicy transport nowych pieniędzy dla banków Rezerwy Federalnej w Nowym Jorku i Bostonie. To najważniejszy pociąg na moim rozkładzie, Maxwell. Ale ty i tak nie kapujesz, jaka to odpowiedzialność.

- No... chyba nie - przyznał Harry.

- To nie wsadźaj więcej nosa, gdzie nie potrzeba - nakazał Mosley, po czym uruchomił cichy silnik wózka golfowego i złapał drążek w tłuste łapska. - Będiesz się tu jeszcze kręcił, to zobaczysz: zajmą się tobą chłopaki z pieprzonego FBI, już nie ja. Kapujesz, Maxwell?

- Tak, panie kierowniku - przytaknął Harry. Uniósł dłoń w geście, który Mosley z pewnością odbierze jako wyraz szacunku. Pękaty brygadzysta w odpowiedzi kiwnął głową od niechcenia i ruszył swoim pojazdem. Dla większego efektu obrzucił Harry'ego groźnym spojrzeniem, następnie wykonał skręt i pomknął swoim wózkiem wzdłuż peronu. Na pierwszej krzyżówce odbił w lewo i zniknął z pola widzenia. Harry odczekał, aż facet zejdzie mu z oczu, odwrócił się i dłuższą chwilę w zamyśleniu patrzył na RPO. Przeżył wtedy coś wyjątkowego; niczego podobnego dotąd nie doświadczył - przynajmniej tak później twierdził.

W jego wyobraźni dwa słowa poczęły przybierać realny kształt trójwymiarowych liter, jak na psychodelicznym plakacie z lat sześćdziesiątych:

DLACZEGO NIE?

Starych agentów FBI śmierć się nie ima; oni kończą na parkowych ławkach, rozpamiętując, gdzie podziła się ich stracona młodość. Walter Linberg był potwierdzeniem tej reguły. Skończył obierać pomarańczę, rozdzielił ją na cząstki i zabrał się do zjadania jednej za drugą. Mrużąc oczy w słońcu, gapił się na forteczny budynek imienia J. Edgara Hoovera. Pomyślał, że chyba ma w sobie coś z masochisty: mógł przecież wybrać ławkę na deptaku po drugiej stronie Muzeum Historii Naturalnej albo którąś z widokiem na pomnik Waszyngtona - a jednak przez całą wiosnę i lato codziennie dreptał z drugim śniadaniem w brązowej torebce do ławki ustawionej strategicznie pod cienistym klonem w niedużym parku pomiędzy ulicą Siódmą i Dziewiątą, przy Pennsylvania Avenue. Miał stąd pierwszorzędny widok na nowy budynek FBI. Ta codzienna obserwacja nieodmiennie przywoływała stare wspomnienia.

Walter Linberg skończył pięćdziesiątkę i uświadomił sobie, że pół życia spędził

pracując dla FBI. Głębokie zmarszczki na twarzy, w której nieliczni dostrzegali podobieństwo do filmowego gwiazdora, dobitniej świadczyły o jego przeżyciach niż złote odznaki wpięte w klapę taniego garnituru ze sklepu J. C. Penneya.

Historia współpracy Waltera Linberga z FBI była wręcz klasyczna. Jego ojciec dostał

posadę w Biurze, które wtedy miało nazwę: Generalny Oddział Wywiadowczy przy Departamencie Sprawiedliwości, i służył tam aż do śmierci. Zmarł po zakończeniu drugiej wojny światowej. Walter idealizował postać ojca i nawet jako absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Georgetown nie pragnął innej kariery niż służba w FBI. Biuro za czasów McCarthy'ego przeżywało rozkwit i przyjęło go tam z otwartymi ramionami. Po ukończeniu szkolenia w Akademii w Quantico Walter rozpoczął mozolną wędrówkę po biurokratycznej dżungli FBI. Odbił służbę w ponad dwudziestu biurach terenowych, poczynawszy od sławnej brygady z Los Angeles do zwalczania napadów na banki, a skończywszy w Wydziale Kradzieży Biżuterii w Miami. Zdobył niemałe doświadczenie podczas licznych porwań samolotów pod koniec lat sześćdziesiątych i przeniesiono go z powrotem do Waszyngtonu jako specjalnego agenta brygady antyterrorystycznej w Sekcji Bezpieczeństwa Wewnętrznego FBI. Przez całe lata siedemdziesiąte proponowano mu stanowisko zastępcy dyrektora wydziału, lecz nie miał ochoty zejść z pierwszej linii frontu.

Wreszcie, w roku 1982, rutynowe badanie wykazało, że Walter cierpi na nadciśnienie tętnicze i musi opuścić pierwszą linię. W owym czasie realizowano program oszczędnościowy i z powodu redukcji stanowisk zabrakło dla niego etatu. Dali mu do wyboru: wcześniejsze odejście z niższą emeryturą albo posada analityka w nowo utworzonym Amerykańskim Instytucie Studiów nad Terroryzmem, USIST. Walter nie założył rodziny -

emerytura wystarczyłaby mu więc w zupełności, lecz odczuwał strach na samą myśl o braku zajęcia. Dlatego zatrudnił się w USIST.

Teraz żałował. Cała ta instytucja o efektownej nazwie mieściła się w zniszczonym budynku przy ulicy Czwartej, naprzeciwko Sądu dla Młodocianych, pracowali w niej starzejący się prawnicy albo agenci, tak jak on wyrzuceni na zieloną trawkę. USIST był tylko jednym z wielu skrótów na liście odbiorców okólników z rozdzielnika.

USIST stworzono prawdopodobnie po to, by prowadzić badania nad międzynarodową siatką terrorystyczną, ze specjalnym uwzględnieniem akcji skierowanych bezpośrednio przeciw Stanom Zjednoczonym bądź ich obywatelom przebywającym poza granicami. W

rzeczywistości jednak w Instytucie nie zajmowano się właściwie niczym i odkąd Walter Linberg zaczął tam pracować, dowiedział się jednej istotnej rzeczy: nikogo w całym rządzie nie interesuje ewentualny atak terrorystyczny na Stany Zjednoczone. Ośrodek Badań Strategii i Spraw Międzynarodowych przy Uniwersytecie Georgetown tworzy wprawdzie sążniste referaty, rządowy Komitet do Spraw Zwalczania Terroryzmu odbywa swoje zebrania, lecz w całych Stanach nie istnieje żadna organizacja zdolna przeciwdziałać terroryzmowi. Do walki z nim powołano Czarne Berety z Fort Lewis w Waszyngtonie oraz superelitarną grupę

“Delta” - jednak żaden z tych zespołów nie miał doświadczenia. Grupa “Delta” tylko jeden jedyny

raz miała okazję sprawdzić się w akcji, przy próbie uwolnienia zakładników w Iranie -

zakończonych zresztą sromotną porażką.

Z niewiadomych powodów w rządzie Stanów Zjednoczonych nie brano pod uwagę, że jakiś terrorysta mógłby pogwałcić prawo na suwerennym terytorium kraju. Walter miał na to własne określenie: syndrom znaku STOP. Władze miejskie nie postawią znaku STOP na niebezpiecznym skrzyżowaniu, dopóki nie wydarzy się tam śmiertelny wypadek. Na podobnej zasadzie rząd federalny nie zamierzał inwestować milionów dolarów w walkę z terroryzmem, dopóki atak terrorystyczny był sprawą przyszłości. W opinii Waltera Linberga tego rodzaju krótkowzroczność stanowiła dowód niebezpiecznej głupoty.

Rano na jego biurko trafiła teczka z opracowaniem przygotowanym parę tygodni wcześniej w Wielkiej Brytanii, zawierającym dyskretną sugestię, iż banda szczególnie niebezpiecznych terrorystów wybiera się w podróż do Stanów Zjednoczonych. Teczka zwiększyła objętość podczas wędrówki przez biurka urzędników rozmaitych instytucji, w tym wymiaru sprawiedliwości i kontrwywiadu, gdyż każdy "ekspert" dodawał parę słów od siebie, by wykazać, jak bardzo jest zorientowany. Na przykład w Biurze Imigracyjnym zajmującym się obywatelami innych państw twierdzono wykrętnie, że żaden z osobników umieszczonych na liście nie przekroczył granic Stanów Zjednoczonych. Tymczasem filia agencji informacyjnej INS z San Francisco odnotowała, iż osoby na zdjęciach zrobionych podczas niedawnego napadu na bank w Oakland są zadziwiająco podobne do dwójki terrorystów, którzy rzekomo znajdują się w drodze do USA. CIA w ogóle umyła ręce twierdząc, że Brytyjczycy są przeczuleni na punkcie terroryzmu, a całe ich opracowanie jest bez sensu, ponieważ zgodnie z informacjami własnymi wywiadu Annalise Shenker poniosła śmierć podczas tajnej operacji przeprowadzonej przez CIA dwa lata temu w Berlinie.

Innymi słowy - myślał Walter, przeżuując ostatnią cząstkę pomarańczy - nikt nie ma pojęcia, co jest grane. Wypluł pestki w zwinięta dłoń i wstał. Wrzucił skórki razem z pestkami do papierowej torebki i ruszył w stronę swego biura. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie traci czas, lecz powziął zamiar przesłania wszelkich informacji mających związek z przesłaną teczką. Ćwierć wieku pracy w FBI coś mu dało: po pierwsze -

nadciśnienie, po drugie - niezawodny węch. Ta sprawa śmierdziała z daleka.

Harry Maxwell siedział rozwalony w miękkim fotelu z piwem w jednej ręce i papierosem w drugiej, czekając, aż jego przyjaciel, Daniel Pendergast, przetrawi propozycję, którą przed chwilą otrzymał. Pendergast, ubrany jedynie w luźne spodenki gimnastyczne błękitnego koloru, stał naprzeciw ogromnego płótna, nad którym właśnie pracował, wykańczając pędzlem jakiś detal gigantycznego kobiecego aktu.

Fotel, w którym siedział Harry, stał w pobliżu wejścia do dużego pomieszczenia na strychu fabryki cygar, gdzie Daniel miał swoją pracownię i jednocześnie prywatne lokum.

Harry spoglądał z góry na dość obskurną fasadę hotelu Bellevue po przeciwnej stronie ulicy.

O tak późnej porze Waszyngton był całkiem wymarły i opustoszałą ulicę przemierzały jedynie

taksówki bądź spóźnieni klienci baru Bellevue.

Zbliżała się północ, lecz powietrze za oknem wciąż było nagrzane i duszne. Otwarte na całą szerokość okna przeszklonej ściany strychu nie wywoływały najmniejszego ruchu powietrza i Harry pocił się obficie, choć ubrany był jedynie w szorty i podkoszulek.

- Jeśli nagle zostaniesz sławnym malarzem, to weź załóż sobie klimatyzację - poradził

Harry zwracając się do odwróconego plecami Pendergasta, który stał dziesięć metrów dalej na poplamionej tytoniem podłodze.

- Gdybym nagle zdobył sławę, nie musiałbym zostawać tu ani minuty dłużej - odparł

Pendergast nie odwracając się. Wytarł swój pędzel w szmatkę, następnie zanurzył go w świeżej płamie różu na podręcznej palecie.

- Też prawda - przyznał Harry szczerząc zęby. Wlał w siebie łyk piwa, które zdążyło już stracić orzeźwiający chłód. - Właśnie o to mi chodzi. Mógłbyś się teraz znajdować w swojej willi w dobrej dzielnicy, a jakaś ślicznotka z Muzeum Hirshorna podgryzałaby cię w uszko.

- W Muzeum Hirshorna nie ma żadnych ślicznotek - mruknął ponuro Pendergast. -

Tam są wyłącznie faceci w szarych garniturach, którzy interesują się jedynie malarzami po osiemdziesiątce. Takimi, co ledwo chodzą i nie mogą utrzymać pędzla.

- Nie musiałbyś dorabiać jako taksówkarz - ciągnął Harry. - A zamiast Budweisera mógłbyś pijać Burton&Bitter.

- Kiedy ja lubię Budweisera - oświadczył Pendergast. - Zresztą w więzieniu nie podają piwa ani szkockiej.

- Wcale byś nie poszedł za kratki - zapewnił go Harry. - Daliby ci najwyżej wyrok w zawieszeniu. A nawet jeśli by nas wsadzili, to na krótko. Poza tym mówię ci, napiszą o nas książkę i jeszcze zapłacą za prawa do nakręcenia filmu. Tak czy owak nic na tym nie tracimy.

Daniel Pendergast obrócił się z uniesionym pędzlem i patrzył na Harry'ego w milczeniu. Ostre światło lamp zawieszonych wysoko pod sufitem pozostawiało w cieniu dolną część jego pociągłej twarzy, uwydatniając długi nos i głęboko osadzone szare oczy.

Szczupły, niewysoki artysta przypominał wyrośniętego, poczciwego szczura na dwóch nogach, w błękitnej biodrowej przepasce. - Ty to mówisz całkiem poważnie, prawda? -

powiedział obserwując przyjaciela spod ściągniętych brwi.

- Absolutnie - odparł Harry. Ostatni raz zaciągnął się papierosem, następnie wrzucił

go do butelki.

Daniel skrzywił się z niesmakiem. - Jak możesz... Cóż za obrzydliwy nawyk.

- To skocz po popielniczkę - odciął się Harry.

Pendergast zbliżył się do staroświeckiej lodówki pod ścianą, z prawej strony sztalug, znalazł puszkę Pepsi i otworzył ją. Przeszedł w drugi koniec strychu, pod okno, i opadł na sponiewierany taboret z niskim oparciem - jeden z nielicznych elementów umeblowania.

Prócz fotela, w którym siedział Harry, w pracowni znajdowało się jeszcze legowisko z gąbki przykrytej grubym płótnem, ledwie widoczne w mrocznej głębi strychu.

- To historyjka z komiksu - stwierdził Daniel i pociągnął łyk Pepsi. - Nikt już nie robi napadów na pociągi.

- Nieprawda - odrzekł Harry potrząsając głową. - A Ronnie Biggs z kumplami w sześćdziesiątym trzecim?

- To było w Anglii - zauważył Daniel. - I wszystkich wyłapano.

- Bo oni głupio pograli - stwierdził Harry. - Nie to, co my.

- Tylko idiota może wymyślić coś takiego.

- A zasuwać w takiej robocie jak moja to nie idiotyzm? A ty nie postępujesz idiotycznie waląc głową w mur skostniałej kultury, jak to sam z upodobaniem powtarzasz?

Daniel, przyjacielu, zrozum: idiotami to my dawno jesteśmy. I teraz rysuje się jedyna życiowa szansa, żeby zmądrzeć.

- Nie rozumiem cię, stary - oświadczył Daniel. - Walisz monolog jak kiepski aktor. Na Boga! Coś cię gryzie? Masz jakiś problem?

- Ten sam co ty, Daniel. Starzejemy się. Jeszcze trochę, a stuknie nam czterdziestka, wyobrażasz sobie? Czterdzieści lat! Jezu! Chodziliśmy razem do szkoły, zdawałoby się wczoraj. Pamiętasz, jak nocą włóczyliśmy się po parku Rock Creek czekając, aż coś się wydarzy?

- Jasne - przytaknął Daniel z uśmiechem. - I nigdy się nic nie zdarzyło.

- Lubiliśmy gadać o tym, co będziemy robić po skończeniu szkoły. Ty miałeś zostać następnym Picassem, a ja kombinacją Jacka Kerouaca z Sartre'em. Wtedy to aż nas nosiło.

Mieliśmy niezłe wyskoki, co, Daniel? Obłapiało się te same kobity, czasem we dwóch, albo przypomnij sobie nasze trasy: w sumie przerzuciliśmy ładne parę ton towaru. A jak spijaliśmy, to do upadłego, balowaliśmy na trzech kontynentach - i na co nam w końcu przyszło?

- Mieliśmy ciekawe życie. Ja tam niczego nie żałuję - powiedział Daniel wzruszając ramionami.



- *Je ne regrette rien* - mruknął Harry. - Jak w piosence Aznavoura, słowo daję.

- A co w tym złego? - spytał Daniel.

- To "nie żałuję" Aznavoura jest objawem naszej choroby. Łagodna dojrzałość.

Akceptacja porażki. Pamiętasz, jak ożeniłem się z Carol? Dostałem wtedy pracę w księgarni i zacząłem palić fajkę. Przez te półtora roku, kiedy byliśmy małżeństwem, w ogóle nie chciałeś ze mną gadać. Mówiłeś, że całkiem wymiękam. I miałeś rację.

- Myślisz, że napad na pociąg przywróci ci straconą młodość? - roześmiał się Daniel.

- Nie straconą młodość, tylko stracone jaja. Kiedyś pisałem nawet niezłe kawałki. Ty namalowałaś parę dobrych płócien i gówno z tego wyszło. Nie mamy znajomości gdzie trzeba, nigdy ich nie mieliśmy, i za dwadzieścia lat będziemy tym samym, co teraz. Ty będziesz starym taksjarzem, a ja - powiedzmy - odźwiernym. Jedyny sposób, żeby się jakoś urządzać, zanim całkiem skapcaniejemy, to zdobyć forszę albo rozgłos, a może jedno i drugie.

- To szaleństwo - rzekł Daniel.

- Wcale nie. Masz kupę przykładów. Weź Clifforda Irvinga. Latami pisał te swoje wypociny, których nikt nie czytał, aż w końcu wyciął numer Howardowi Hughesowi.

Wszystko schrzanił, od samego początku, ale wyszedł z tego nieprzyzwoicie bogaty.

- Za to John Hinckley skończył w szpitalu dla wariatów.

- My nie będziemy strzelać do prezydenta - zauważył Harry. - Na tym rzecz polega.

Kiedy Ronnie Biggs obrobił wagon pocztowy Glasgow Mail, cały naród trzymał jego stronę.

Albo jak ten cały D.B. Cooper załatwił linię lotniczą i potem skoczył na spadochronie w lasy Oregonu, został bohaterem ludowym. Ja wymyśliłem to samo. Kto potępi facetów, którzy przekręcili Rezerwę Federalną? To zbrodnia bez ofiar.

- Zastanawiam się, ile ten pociąg przewozi.

- Około trzydziestu pięciu milionów dolarów - odpowiedział natychmiast Harry.

Daniel Pendergast od dwudziestu lat był jego najlepszym przyjacielem i Harry widział, jak ta wiadomość przyprawia go o zawrót głowy.

- Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Zapytałem. Wymagało to zabrania się z wycieczką do mennicy. Spytałem, ile nowych pieniędzy zużywa Boston i Nowy Jork w ciągu tygodnia.

- I powiedzieli ci?
- Jasne - odrzekł Harry. - Dlaczego nie? To najwidoczniej częste pytanie.
- Trzydzieści pięć milionów dolarów?
- Trójka, piątka i potem sześć zer - potwierdził Harry.
- Kurza dupa - szepnął Daniel i w zamyśleniu pociągnął łyk Pepsi.
- Trafnie to ująłeś - przyznał Harry z krzywym uśmiechem. - A ryzyko znacznie mniejsze, niż kiedyśmy przerzucali kokę z Bogoty.
- Zastanawiam się - rzekł Daniel.
- Słuchaj, zrobimy tak - powiedział Harry z naciskiem, pochylając się w fotelu. - Opracujemy plan. Weźmiemy pod uwagę wszystkie warianty i przerobimy je razem krok po kroku. Jeśli w którymś momencie ryzyko okaże się zbyt wielkie, zapomnimy o całej sprawie.
- Żadnej przemocy - upewnił się Daniel. Harry przytaknął.
- Absolutnie. Wszystko musi być cacy. Po wczorajszej wycieczce do mennicy wpadłem jeszcze do Biblioteki Kongresu, żeby trochę poczytać. Tego się nawet nie kwalifikuje jako napad na bank. O ile wiem, takie przestępstwo określa się mianem “kradzieży przesyłki międzystanowej”. Maksymalny wyrok - pięć lat.
- Pomyślałeś o wszystkim - stwierdził Daniel.
- Staram się, jak mogę.
- Zdaje się, że jednak tego pożałuję - westchnął Daniel.

## **ROZDZIAŁ 2**

Zainteresowanie Waltera Linberga brytyjskim raportem o terrorystach zaskoczyło jego przełożonych w USIST, lecz w geście biurokratycznej wielkoduszności, w połączeniu z chroniczną potrzebą wydatkowania nadwyżki dolarów z budżetu - byle tylko nie występować o zmniejszenie funduszy - zezwolono mu na robienie użytku z własnej głowy, przydzielono sekretarkę, fotokopiarkę, specjalną linię telefoniczną, a nawet skromne środki na pokrycie kosztów podróży. Na papierze ów projekt nosił nazwę “pilotażowego programu dochodzeniowego” i prawdopodobnie zadanie Waltera miało polegać na sporządzeniu zestawu typów procedury, jaką zespoły śledcze z różnych instytucji porządku publicznego mogłyby zastosować w razie poważnego zagrożenia terroryzmem. W rzeczywistości Walter mógł robić, co mu się żywnie podoba, byleby tylko wydawał pieniądze, zbierał rachunki i nie przysparzał kłopotów.

Walter Linberg miał nosa i znał się na ludziach, a po upływie ćwierćwiecza, które spędził wyczarowując twarze i charaktery ze stosów akt sądowych, kartotek policyjnych i zestawów zdjęć, jego nos potrafił niemalże przepowiadać przyszłość. Przełożeni Waltera zrzędzili często, że “działanie na czuja” to amatorszczyzna, lecz średnia jego trafień była tak wysoka, że przeważnie nie wypowiadali głośno swoich uwag.

Po przeczytaniu brytyjskiego opracowania Linberg już czuł pismo nosem, a kiedy jeszcze skorzystał z kartoteki USIST, by uzupełnić wiadomości, zdobył pewność, że przecucie go nie myli. Śmierdząca sprawa.

Spośród zidentyfikowanych przez służby specjalne terrorystów dwoje wyraźnie stanowiło drugi rzut. Attendera, były sandinista, amator szukający silnych wrażeń. Sam fakt nawiązania długotrwałego romansu z tą Włoszką Ruffio świadczy, że Attendera to w gruncie rzeczy mięczak. Terroryzm jest walką, a w walce nie ma miejsca na miłość czy flirt. Ruffio prawdopodobnie też trzyma z terrorystami, bo jej imponują.

Pozostali jednak z całą pewnością byli ulepieni z innej gliny. Z kartoteki Sheili Teng wynikało, że jest czymś w rodzaju współczesnego żołnierza kamikaze. Na uniwersytecie pisała pracę semestralną wychwalając pewną publikację z czasów drugiej wojny światowej, zatytułowaną *Sen-Jin-Kun*, czyli *Etyka walki*. Jeden z pochodzących stamtąd cytatów: “Nie lękajcie się umierać za sprawę wiecznej sprawiedliwości” - stanowił jej osobiste credo. Brała udział w co najmniej dwudziestu operacjach terrorystycznych, dokonała dziewięciu egzekucji

“wrogów ludu”, ma na swym koncie okaleczenie dwóch członków własnej grupy, podejrzanych o utrzymywanie stosunków homoseksualnych. Wojowniczką Buszido z krwi i kości. Jeżeli nawet kiedyś miała coś takiego jak serce czy dusza, to dawno przekuła je w najtwardszą stal. Teng nie ma jednak talentu przywódcy; posługiwano się nią niczym śmiertelnościami narzędziem.

Dwóch Libijczyków, Mohameda Kawi i Amala Akbara, nie da się określić ani mianem przywódców, ani narzędzi w cudzych rękach. Akbara najtrafniej porównać można z wściekłym psem. Przesycony dziwną i całkiem irracjonalną mieszanką marksizmu z Koranem, jest zdolny do wszystkiego. Owładnięty psychozą, seksualnie zboczony sadysta, dokonał po raz pierwszy krwawego czynu rozpruwając brzuch człowiekowi, który cudzołożył

z jego siostrą, a następnie zażądał, by siostra za karę poddała się starodawnemu rytuałowi usunięcia lechtaczki. Rada mułłów z jego wioski wyraziła zgodę i Akbar osobiście przeprowadził potworny zabieg, wypalając siostrze narządy płciowe rozpalonym do białości żelazem używanym przy znakowaniu bydła. Miał wówczas czternaście lat. Późniejsze poczynania Akbara w oddziałach pachołków Kadafiego nie wskazują na żadną zmianę kierunku rozwoju jego osobowości.

Starszy od niego Kawi jest nieco bardziej wyrafinowany. Wczesną młodość spędził w obozie OWP. Uczył się tam podstaw terroryzmu i jeszcze przed trzydziestką brał udział w tuzinie operacji, które Adolfa Eichmanna przyprawiłyby o gęsią skórę. Zatwardziały terrorysta, zawodowiec bez żadnych widocznych słabostek czy skłonności neurotycznych.

Niewątpliwie stanowi przypadek wyjątkowo niebezpieczny.

I wreszcie Annalise Shenker, najgroźniejsza z nich wszystkich - wcale nie dlatego, że dopuściła się potworniej szych czynów niż inni, lecz z powodu swej inteligencji i pozornej normalności. Średniego wzrostu, czarnowłosa i czarnooka, ma twarz anioła zemsty, ciało stworzone do pozowania artystom, a przy tym precyzyjny umysł stratega - Erwin Rommel byłby pełen uznania dla niej. Spośród sześćdziesięciu poważnych operacji terrorystycznych w Europie w latach 1975-1983 czterdzieści przeprowadzono z udziałem Shenker, która zwykle występowała w roli planisty, a często również w roli żołnierza na pierwszej linii - po to, by pokazać, że potrafi znakomicie wywiązać się z wszystkich zadań, jakie przydziela innym.

Psychiatra umiałby pewnie znaleźć jakiś powód jej postępowania, lecz przyczyny właściwie nie mają znaczenia: Annalise Shenker jest przede wszystkim przerażająco skuteczna. Tym, którzy nad nią pracowali, udało się stworzyć kobietę zdolną do popełnienia wszelkich morderczych czynów bez angażowania w to religii, polityki czy jakichkolwiek innych racji.

Odkładając na bok jej *dossier*, Walter Linberg odczuł lekki dreszcz. Ona jest wcieleniem śmierci, szarańczą szukającą ofiary. Jeśli jej wybór padnie na Amerykę, biada Ameryce.

Główną troską Linberga było ustalenie, czy grupa terrorystyczna istotnie wybrała za cel Stany Zjednoczone. Powinien więc koniecznie wykryć, czy którykolwiek z jej członków dostał się już na teren kraju. Wykorzystując informacje przesłane przez Specjalne Siły Powietrzne SAS, Linberg rozpoczął tropienie śladów bandy od chwili jej wyjazdu z Algierii.

Na ścianie w swoim biurze przypiął duży wykres i zabrał się do wypełniania białych plam.

Korzystając z wewnętrznych linii lotniczych różnych krajów, cała grupa rozproszyła się po Europie, obserwowana przez zespoły inwigilacyjne SAS, Gigena, niemieckiej Gruppe 9 i Specjalnej Jednostki Pomocniczej holenderskich komandosów.

Terroryści unikali lądowania w krajach, w których mogła poszukiwać ich policja.

Holender Dieter Haas udał się do Marsylii i stamtąd do Lyonu, gdzie na nazwisko Marbeau wynajął samochód, którym pojechał do Paryża. Libijczycy Mohamed Kawi i Amal Akbar polecieli do Kairu, następnie do Aten, skąd zawrócili do Rzymu, by wreszcie wylądować we Frankfurcie. Lisa Ruffio i Raoul Attendera, również podróżujący razem, dostali się do Amsterdamu. Annalise Shenker po krótkiej wizycie w Paryżu udała się pociągiem do Genewy. Pod koniec miesiąca wydawało się, że wszyscy zakotwiczyli na dłużej, zmniejszono więc intensywność obserwacji. I właśnie wtedy, w pierwszym tygodniu maja, cała grupa jakby zapadła się pod ziemię. Natychmiast wśród służb celno-paszportowych rozprowadzono biuletyn z pełnym zestawem zdjęć oraz nazwisk figurujących w paszportach używanych dotąd przez terrorystów, lecz prędko okazało się, że cała grupa zdołała się wymknąć. Na jedyny trop natrafiono dzięki informatorowi policji szwajcarskiej, który doniósł, że kobieta odpowiadająca rysopisowi Annalise Shenker badała rynek w sprawie kilku paszportów.

Informator podał nazwisko fałszerza dokumentów, z którym Shenker nawiązała kontakt, i policja zgarnęła go na przesłuchanie. Po dwudziestu czterech godzinach raczej agresywnego śledztwa fałszerz zeznał, że Shenker kupiła sześć paszportów - w tym pięć amerykańskich, jeden kanadyjski. Dostarczyła fotografie i fałszerz spreprował paszporty wpisując wszystkie dane prócz nazwisk.

Paszport ze zdjęciem Annalise Shenker był kanadyjski. Shenker odebrała gotowe dokumenty we wtorek, a w piątek terrorystów już nie było. W tym momencie ślad się urywał i nie podjęto żadnych dalszych kroków, by ustalić miejsce pobytu terrorystycznej bandy.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że Walter Linberg podjął się niewykonalnego zadania, lecz był agent FBI, systematycznie rozpracowując sprawę, powoli docierał do sedna.

Przede wszystkim nasuwał się całkiem logiczny wniosek, że nagłe zniknięcie terrorystów wskazuje na opuszczenie przez nich dotychczasowych miejsc pobytu drogą lotniczą. Przemawiał za tym fakt, iż cztery miasta, z których terroryści zniknęli, to wielkie metropolie leżące na głównych szlakach turystyczno-komunikacyjnych. Zakładając, że Shenker wysłała swym kompanom paszporty pocztą w dniu ich otrzymania, można było przypuszczać, że dotarły do adresatów dwa dni później - we czwartek. Ponieważ fałszywe dokumenty mają krótki żywot, wszystko wskazywało, iż terroryści wykorzystali je czym prędzej, w obawie przed wykryciem. Czyli z pięciu paszportów amerykańskich skorzystano prawdopodobnie w piątek, Shenker zaś użyła swego kanadyjskiego we wtorek lub w środę.

Znaczyło to również, że cała grupa prawdopodobnie zarezerwowała sobie bilety na przelot docelowy, zamiast ryzykować dekonspirację podczas przesiadki. Jeśli przyjmie się założenie, że ostatecznym celem podróży terrorystów jest Ameryka Północna, można wysnuć wniosek, iż Shenker poleciała prawdopodobnie do Montrealu lub Toronto, podczas gdy pozostali niemal na pewno wybrali Nowy Jork.

Po dokonaniu powyższych ustaleń reszta była tylko kwestią wytrwałości. Walter wypożyczył z biura podróży rozkład lotów i zabrał się do sporządzania listy bezpośrednich przylotów do Nowego Jorku z Paryża, Amsterdamu i Frankfurtu oraz z Genewy do Montrealu i Toronto. Po paru godzinach miał już listę ponad dwudziestu samolotów różnych linii -

wszystkie typu Boeing 747, z wyjątkiem jednego DC-8 lecącego z Amsterdamu. Ogólną liczbę pasażerów można było szacować z grubsza na około osiem tysięcy osób.

Walter brnął dalej. Po kilku biurokratycznych przepychankach zdołał wydobyć listy pasażerów poszczególnych samolotów i przystąpił do skreślania nazwisk osób podróżujących na innych paszportach niż amerykańskie bądź kanadyjskie. Trzy dni później miał już listę nazwisk pasażerów w liczbie czterech tysięcy z kawałkiem. Dał listę chłopakom w Biurze, żeby ją rzucili na komputer i porównali z danymi z Wydziału Imigracji i Naturalizacji na temat Amerykanów, podczas gdy w Kanadzie to samo robiła Królewska Policja Konna, korzystając z bazy danych Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Miał jednak nadzieję, że niczym plewy od ziarna uda się oddzielić od reszty wszystkie nazwiska nie figurujące w formularzach paszportowych.

W dziesięć dni po rozpoczęciu swego dochodzenia Walter Linberg zdobył to, o co mu chodziło: nazwiska z fałszywych paszportów osób, które przyleciały do Nowego Jorku i Montrealu. W ten sposób zweryfikował pierwotne przypuszczenie wyrażone w brytyjskim opracowaniu.

Pierwsi przylecieli Mohamed Kawi i Amal Akbar, jako dwaj naturalizowani Amerykanie z Libanu o nazwiskach John i George Haddad, na pokładzie samolotu Lufthansy DC-10, który wylądował o

godzinie dwunastej trzydzieści na lotnisku Kennedy'ego. W dwie godziny później Attendera i Ruffio, jako pan Vittorio Romano z małżonką, przybyli samolotem linii Trans-American z Amsterdamu, a dwadzieścia minut po nich, o czternastej pięćdziesiąt, na pokładzie PanAmerican 115 przyleciał Dieter Haas alias Peter Paul Maartens.

Zgodnie z przypuszczeniami Waltera Shenker opuściła Genewę trzy dni wcześniej, wylądowała na lotnisku Mirabel pod Montrealem używając nazwiska Jeanette Lanctot i jako miejsce zamieszkania podała adres w podmiejskiej osadzie Laval.

Wszystko to postawiło Waltera w kłopotliwej sytuacji. Nie stosując niczego prócz podstawowych technik śledztwa, zdrowego rozsądku i wyobraźni, dowiódł, że grupa czołowych terrorystów świata przebywa w Ameryce Północnej. Rzeczą najbardziej oczywistą byłoby wysłanie w tej sprawie raportu. Jednak to, co oczywiste, nie zawsze jest rozsądne.

Jakiegokolwiek formalne powiadomienie byłoby kłopotliwe dla FBI, CIA i władz imigracyjnych, gdyż wszystkie te instytucje zapoznały się ze sprawą i ją zignorowały. Jeśli Walter chciałby publicznie ogłosić zdobyte informacje, to dla osiągnięcia wymiernego efektu potrzebował znacznie mocniejszych dowodów.

Poszukiwania materiału dowodowego zaprowadziły go do St. Augustine na Florydzie, dokładnie w trzy tygodnie od momentu zapoznania się z brytyjskim opracowaniem i w osiem dni po rozmowie Harry'ego Maxwella z długoletnim przyjacielem Danielem Pendergastem.

Jak na kogoś, komu w trakcie studiów ustawicznie zarzucano, że się mało przykłada, Harry zabrał się do opracowywania planu z niesłychaną pasją. Jeszcze zanim wspomniał

Danielowi o swoim pomysle, zaczął czytać wszystko na temat kolei, co tylko wpadło mu w ręce, począwszy od *Światowego Atlasu Kolejnictwa* O.S. Nocka, do *Napadów na pociągi* Piersa Paula Reada. Kiedy Daniel dał się zwerbować, Harry wziął tydzień chorobowego i obaj na serio przystąpili do pracy.

W ciągu paru dni strych nad fabryką cygar przemienił się w sztab kwatery głównej, zarzucony rozkładami tras "Nocnej Sowy", mapami topograficznymi miejsc, w których pociąg można by zatrzymać, i płachtami starannie wyrysowanych schematów poszczególnych wagonów, w tym RPO. Plany zostały skopiowane z książki pod tytułem *Ilustrowana skarbnica pasażerskich wagonów kolejowych Budd*, którą Harry nabył w sklepie dla hobbystów. W piątek wieczorem, w barze szybkiej obsługi, pochyleni nad frytkami z hamburgerem, niedoszli przestępcy ostatecznie przyjęli do wiadomości nieuniknioną konkluzję.

- To się nie uda - oświadczył Daniel, uważnie badając środek swego hamburgera przed pierwszym kęsem. - Po prostu zostaje zbyt wiele problemów do rozwiązania.

- Musi być jakiś sposób - zauważył Harry, nadziewając frytkę na widelec.

- Wcale nie - tłumaczył Daniel. - Nie sądzisz, że Rezerwa Federalna, FBI i służby ochrony Amtraku podejrzewały, że pewnego dnia ktoś może zaplanować tego rodzaju napad?

Oni się zabezpieczyli ze wszystkich stron.

- Może coś przeoczyliśmy?

- Dzisiaj przerobiliśmy wszystko jeszcze raz - przypomniał Daniel kręcąc głową. -

Linia łącząca Waszyngton z Filadelfią jest obstawiona zbyt gęsto. Według rozkładu pociąg zatrzymuje się pięć razy na odcinku pierwszych dwustu kilometrów. Po prostu nie ma czasu na cokolwiek. Gdybyśmy coś wykręcili z semaforem jak tamci w Anglii, na następnej stacji zorientują się, że coś nie gra, w ciągu najwyżej kwadransa. Nie mówiąc już o radiu, które sam widziałeś w tym wagonie. Strażnicy nadadzą SOS po upływie trzydziestu sekund. Gdyby nawet udało nam się zwać z łupem, dopadliby nas, zanim byśmy zdążyli na dobre odskoczyć.

To samobójstwo.

- W takim razie może na dalszej trasie? Ustaliliśmy, że dobre byłoby miejsce między Trenton i Nowym Brunswikiem, pamiętasz?

- Pewnie - odrzekł Daniel. - Czterdzieści kilometrów pustkowiec i Autostrada nr 1 kilometr od torów. Ale tutaj też liczy się czas. Chłopaki nam nie otworzą, gdy zapukamy, i nie wydadzą forsy, a mówiłeś przecież, że mają tam stojak na broń. Prawdopodobnie również ostre naboje. Harry, zrozum, nasza strategia kupy się nie trzyma. Z instrukcji o porządku pociągów, którą ściągnąłeś z roboty, wynika, że zawiadowcy w Trenton natychmiast dowiedzą się, iż z jakichś przyczyn pociąg stanął. Gdybyśmy nawet wymyślili, jak powstrzymać strażników z RPO od wezwania pomocy, czas nam cyka od momentu, kiedy stanie pociąg.

Rabunek angielskiego wagonu pocztowego trwał osiemnaście minut od chwili zatrzymania pociągu do ucieczki samochodem, i to przy udziale dwunastu chłopów, ni mniej, ni więcej. Powiedzmy, że jakiś cud zapewni nam tyle czasu - tu Daniel uniósł dłoń i zaczął

odliczać zginając palce: - Minuta pierwsza: w Trenton już wiedzą, że pociąg stoi. Minuta druga: zawiadamiają o tym Centralny Ośrodek Kontroli Ruchu w Nowym Jorku i jednocześnie sami próbują nawiązać łączność z pociągiem. Minuta trzecia: mimo ponawianych prób nie mogą złapać łączności, a Centrali w Nowym Jorku nie udaje się wywołać strażników z RPO przez radio. Albo się udaje i strażnicy meldują o napadzie na pociąg. Minuta czwarta - alarm dla wszystkich policjantów od Nowego Jorku po Filadelfię, a ponieważ chodzi o przestępstwo federalne, wzywają także FBI. W minucie piątej organizuje się blokadę dróg i wysyła helikoptery. Wszyscy naokoło wiedzą, co chcieliśmy zmalować, a my dalej mocujemy się z zasuwą na drzwiach wagonu. Beznadzieja.

- Nie bądź takim pesymistą - skrzywił się Maxwell.

- Jestem realistą, Harry. Zrozum, chłopcze, my nie nadajemy się do takich numerów.

Tu trzeba zawodowca.

- Najlepsi przestępcy to amatorzy - odparł Harry. - Uczyli nas tego na psychologii w drugim semestrze. Według statystyki kryminalista-amator ma wyższą inteligencję i rzadziej popełnia dwa



razy takie samo przestępstwo.

- Oto korzyści ze studiowania na uniwersytecie. Dzięki Bogu, ja chodziłem do akademii sztuk pięknych.

Harry odsunął swój talerz i zapalił papierosa. W jadalni siedziały jeszcze ze dwie czy trzy osoby, z wyglądu tak samo przegrane jak i on. Wydmuchując dym powiedział:

- W takim razie poddajemy się. Napad stulecia bierze w łeb wśród zatłuszczonych talerzy o dziesiątej wieczór.

- Tak sądzę - Daniel wzruszył ramionami. - Chodzi o czas. Harry opadł na skajowe oparcie fotela i zamknął oczy; znad jego głowy wprost do jarzeniówki pod sufitem unosiła się smużka dymu. Nie zmieniał pozycji przez minutę, wreszcie uniósł głowę. Ponad laminowanym blatem posłał spojrzenie przyjacielowi.

- Nie - oświadczył.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że nie - odparł Harry. - Nijak nie uwierzę, że to niemożliwe. Po prostu zabieramy się do tego od złej strony. Przyjęliśmy klasyczny scenariusz: "Ręce do góry i dawać forszę", w dodatku jeszcze z piękną klauzulą o nieużywaniu przemocy. Raczej trudno krzyknąć "ręce do góry" bez wyraźnej groźby.

- Do czego zmierzasz? - spytał Daniel. Musimy sprawę na świeżo przemyśleć - mówił

powoli Harry. - Musimy podejść do tego logicznie.

- W twoich ustach to brzmi jak zapowiedź jeszcze jednej z tych zagadek filozoficznych, którymi mnie kiedyś zabawiałeś. Jeśli John pali Lucky, Edith Kenty, a Bob Marlboro, co w takim razie pali Dick?

- Coś w tym stylu - przyznał Harry.

- Żadne rozrywki umysłowe nie wskażą ci metody wyjęcia trzydziestu pięciu milionów dolarów z pędzącego pociągu - zauważył Daniel.

- Bingo. Trafiłeś. Pociąg jest w ruchu. Żeby obrabować wagon, trzeba go zatrzymać.

A zatrzymanie pociągu to klęska.

- Ślicznie. I czego to dowodzi?

- Niczego, z wyjątkiem faktu, że nie możemy obrobić stojącego pociągu. Ergo - trzeba obrobić go podczas jazdy.

- Odbiło ci, Harry.

- Nie, posłuchaj. To rozwiązuje masę spraw. Na przykład, kwestia czasu. Jeśli zatrzymamy pociąg, mamy do dyspozycji limit czasu, w jakim mogą dopaść nas gliniarze, w stosunku do czasu, jaki zużyjemy na wydobycie forsy, tak czy nie?

- Tak.

- Ale jeśli pociąg będzie dalej jechał, limitem będzie czas przejazdu z Waszyngtonu do Nowego Jorku. Z pięciu minut robi się coś koło czterech godzin.

- Dalej nie kapuję - wyznał Daniel. Harry był rozpromieniony.

- To wszystko zmienia - mówił tak szybko, że aż łykał słowa. - Zamiast dokonywać czynów niemożliwych w ciągu pięciu minut, mamy teraz pełne cztery godziny.

- Trzy godziny i czterdzieści osiem minut, jeśli chodzi o dokładność. W dalszym ciągu nie rozumiem, co to zmienia. Dla mnie to kupa intelektualnych bredni, i tyle.

- Pieprzę cię, Pendergast - oświadczył Harry, dalej się uśmiechając. - Posłuchaj.

Chodzi o to, by wymyślić sposób obrobienia pociągu, który cały czas robi trasę z Waszyngtonu do Nowego Jorku. Dopóki pociąg normalnie kursuje, nikt się nie przyczepi.

Mam rację?

- Tak, pewnie. Zostaje jeszcze radio, które oglądałeś.

- Dobra, to drugi etap. Musimy opracować sposób na strażników, żeby nie użyli radia.

- A co z udaną ucieczką? - spytał Daniel. - Co osiągniesz obrabowując pociąg, którym sam jedziesz?

- To jest trzeci etap. Musimy prysnąć z pociągu przed wjazdem do Nowego Jorku, i to prysnąć z forszą.

- W dalszym ciągu twierdzę, że ocipiałeś.

- Nie. Nic z tych rzeczy. Zamiast jednej kwestii nie do rozgryzienia, mamy teraz trzy rozwiązywalne problemy.

- Jezu - mruknął Daniel. - No dobra - westchnął po chwili. - Jaki następny krok planujesz?

- Musimy przejechać się w niedzielę "Nocną Sową". Sucha zaprawa.

Miasto St. Augustine leży mniej więcej pośrodku drogi z Jacksonville do Daytony Beach. Ta najstarsza osada w Stanach Zjednoczonych do połowy lat sześćdziesiątych była tylko przybrzeżną miejsciną. Dopiero po turystycznych sukcesach Daytony i zakusach Disneya na pobliskie Orlando, leżące raptem sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, miasto zaczęło zbijać majątek dzięki jedynej swojej atrakcji: wiekowości. Dzielnicy staromiejskiej, od Avenida Menendez z widokiem na zatokę

Matanzas, do ulicy Cordova - nędznego zaułka slumsów - nadano zaszczytny status zabytku historycznego, wysprzątano, odbudowano, utykając gdzie się da restauracje, sklepy z pamiątkami i minimuzea. Zobowiązano nawet dramatopisarza nazwiskiem Paul Green, laureata Nagrody Pulitzera, do przygotowania widowiska o tematyce historycznej, osnutego wokół dziejów miasta. Niegdyś znane jako ośrodek połowu krewetek i największy na świecie dostawca trawlerów-krewetkowców, St.

Augustine szczęśliwie przeobraziło się w centrum turystyczne, goszczące rocznie średnio sześćset siedemdziesiąt dwa tysiące przyjezdnych.

Chociaż sezon jeszcze się nie rozpoczął, Walter Linberg mógłby napotkać pewne trudności z wynajęciem pokoju w mieście, gdyby nie pomoc agenta z Jacksonville. Swanson, agent terenowy, dawny przyjaciel Waltera z czasów jego pracy w Miami, zadzwonił

odpowiadając na poufny sondaż rozesłany przez Linberga, dotyczący niedawnych kradzieży broni. Z osobistych doświadczeń oraz lektur zaliczonych w USIST Linberg wiedział, że kwestia uzbrojenia stanowi klucz do psychologii terrorysty, odkąd Chevalier skonstruował

pierwszą bombę zegarową przy próbie zamachu na Napoleona. Pozbawiony broni terrorysta nie jest w stanie wzbudzić pożądanego strachu w swych ofiarach.

Grupa Shenker przyleciała do Stanów czysta jak łza, tego Linberg był pewien.

Procedura celna i kontrola bezpieczeństwa lotnisk pozostawiała wprawdzie wiele do życzenia, jednak prawdopodobieństwo, by terroryści ryzykowali przewożenie broni do USA i Kanady, było nader nikłe. To z kolei oznaczało, że priorytetowym zadaniem grupy jest zdobycie uzbrojenia, i to uzbrojenia specjalnego: broni tego rodzaju nie sprzedaje się w sklepach sportowych. Stan Floryda, gdzie praktycznie nie istnieją przepisy ograniczające prawo posiadania broni, znajdował się u Linberga na czele "gorącej listy" miejsc, do których grupa z Algieru mogłaby trafić. Dlatego słuchając Swansona Linberg przeczuwał, że to właściwy trop. Utwierdzał się w przekonaniu, że terroryści złożyli wizytę w St. Augustine.

Swanson przyjechał po Linberga jednym z tych czterodrzwiowych zielonych Chevroletów, które nieodmiennie spotyka się w każdym terenowym biurze FBI. Zabrał

Waltera z zajazdu Spanish Quarter Inn zaraz po śniadaniu i aleją San Marco pojechali od razu na miejsce przestępstwa. Minęli masywny mur Castillo de San Marco, po czym skręcili w prawo na Avenida Menendez. Spoglądając przez lewe ramię, Linberg podziwiał błękit zatoki Matanzas i ciemniejsze wody Atlantyku, bezpiecznie odgradzone cypłem Vilano Beach i wyspą Anastasia.

- Ładnie tu - zauważył Walter.

- Może być, zwłaszcza jeśli ktoś lubi mieszkać w podręczniku historii - odrzekł

Swanson.

Dwaj mężczyźni byli właściwie rówieśnikami, lecz Swanson nie trzymał się tak dobrze jak Linberg.

Włosy mu się przerzedziły, za to brzuch uwydatnił, a wokół oczu i na policzkach wykwitły malinowe żyłki. Od chlania gorzały, pomyślał Linberg.

- Nawet lepiej, jeśli to prawda, co mówią na temat faceta nazwiskiem Ungar -  
powiedział głośno.

Swanson prychnął z odrazą. Przejechali właśnie skrzyżowanie przy Moście Lwów i pruli dalej na południe.

- Ależ mnie to wkurzyło - mruczał gniewnie agent terenowego biura. - Ten pieprzony łajdak całe lata kombinował nam pod bokiem. Dopiero zaczęliśmy sprawdzać jego zapiski, ale wygląda na to, że zajmował się tym już w latach pięćdziesiątych. Zaopatrywał stąd wszystkich, od Castro po Che Guevarę.

- Miał zezwolenie na handel? - spytał Linberg. Kątem oka zauważył, że przejeżdżają obok czegoś, co nosi nazwę Muzeum Figur Woskowych Pottera.

Swanson pokręcił głową.

- Nie, On się zarejestrował jako rusznikarz. Rozpytywaliśmy o niego i wygląda na to, że przyjmował od Towarzystwa Historycznego robotę na zamówienie, a utrzymywał się dzięki zleceniom Stanowego Arsenалу: naprawy, te rzeczy. Mieszkał zresztą parę ulic dalej.

- W takim razie gdzie zaopatrywał się w broń? - wypytywał były agent.

- Wszędzie - zżymał się Swanson. - Znaleźliśmy listę począwszy od karabinków A&E produkcji argentyńskiej do automatycznych czterdziestekpiątek Cao Dai z Wietnamu.

- Jak on je przemycał? - zastanawiał się Linberg.

- Jego były szwagier ma flotę trawlerów do połowu krewetek. Z tego co wiemy, dokonywał przeładunku z łodzi za linią wód terytorialnych i przewoził towar do St. Augustine w skrytkach pod podwójnym dnem. Ungar leży w kostnicy, ale przynajmniej przyskrzyniliśmy szwagra.

- Mówiłeś, że macie odciski palców - upewnił się Linberg.

- Mamy, od cholery. Wszystkie daliśmy na komputer, i co z tego? Ci, którzy stuknęli Ungara, nie są notowani nawet za niewłaściwe parkowanie.

Linberg pokiwał głową. Komputer Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej miał

dane na temat pół miliona przestępców, a Sekcja Identyfikacji w Waszyngtonie dysponowała kartoteką daktyloskopijną obejmującą ponad sto sześćdziesiąt pięć milionów kart.

- Sądysz, że mógłbyś zidentyfikować te odciski? - spytał Swanson. Linberg wzruszył

ramionami i niezobowiązująco dodał:

- Być może.

W istocie był tak zapobiegliwy, że zdobył cały komplet według listy przysłanej z SAS i miał go w walizce w hotelu.

- Nie martw się, Bill - pocieszał. - Jeśli tylko będę mógł, na pewno ci pomogę.

- Myślisz, że to jakaś grupa terrorystyczna? - spytał Swanson. - W tym teraz siedzisz, prawda?

- Tak, rozpracowuję jedną sprawę, Bill. I mówię ci, że jak tylko na coś natrafię, ty dowiesz się pierwszy.

- Przydałoby mi się teraz jakieś osiągnięcie - zwierzył się Swanson skręcając w wąską uliczkę wysadzaną drzewami. - Jestem terenowym agentem w Jacksonville już od pięciu lat.

Jeśli mam pójść wyżej, to teraz jest ostatnia chwila.

Linberg popatrzył na Swansona z ukosa. W takim stanie facet ma marne widoki na stołek zastępcy dyrektora wydziału. Prędzej przeniosą go do Knoxville albo Oklahoma City.

Swanson zaparkował i obaj mężczyźni wysiedli. Po drugiej stronie ulicy stał

dwupiętrowy ceglany budynek pamiętający lepsze czasy. Z tego co Linberg zauważył, wynikało, że znajdują się w dzielnicy drobnych zakładów przemysłowych.

- To tutaj? - spytał Linberg wskazując budynek ruchem głowy.

- Tutaj - odrzekł Swanson. - Ładnie zrobione, nie ma co. Nigdy byś się nie domyślił.

Chyba że jesteś sprytny.

- Czego? Że to magazyn broni?

- Lepiej - odrzekł Swanson z grymasem uśmiechu. - Dobrze się przyjrzyj tej budowli.

Linberg się przyjrzał. Dwa piętra, cegła, od frontu dwuskrzydłowa brama i żwirowa aleja prowadząca na tyły. Okna od ulicy zasmolone, jakby od półwiecza nikt ich nie mył.

Wymalowany na bocznej ścianie, nad oknami drugiego piętra napis głosił: FLORIDA CO.

WYTWÓRNIA DRUTU, białymi literami na zielonym tle. Budynek wyglądał tak samo, jak tysiące mu podobnych.

- Nie widzisz? - spytał Swanson.

- Budynek jak budynek - odparł Linberg, lecz powoli wzbierała w nim irytacja. Nie interesowała go komedia, którą odstawiał Swanson.

- No to chodź - powiedział agent terenowy.

Przeszli przez ulicę i kluczem wydobytym z kieszeni spodni Swanson otworzył bramę od frontu. Linberg znalazł się w zakurzonej pomieszczeniu recepcji. Stały tam porzucone biurowe meble i nawet szczątki rośliny doniczkowej na jednym z parapetów. Strome schody pod tylną ścianą prowadziły na piętro.

- Ungar miał swój warsztat od podwórza - wyjaśnił Swanson, wskazując ściankę działową. - Normalnie nie korzystał z frontowego wejścia. Chodź za mną.

Swanson wszedł po schodach na pierwsze piętro, a Linberg tuż za nim. Hala na piętrze nie była przedzielona; półmrok rozpraszało mdłe światło wpadające przez długie rzędy okien, prawie nieprzejrzystych od brudu. Środek pomieszczenia zajmowały różne maszyny, a w kątach piętrzyły się zardzewiałe zwoje drutu.

- Już się domyślasz? - zapytał Swanson, sapiąc po krótkiej wspinaczce schodami.

Linberg rozejrzał się uważniej. Nie dostrzegł niczego niezwykłego, tyle że sufit wydawał się niższy niż na parterze.

- Nie - odparł. - Do rzeczy, Bili. Naprawdę nie mam nastroju, żeby grać w ciuciubabkę.

- W porządku - rzekł Swanson, Zawrócił w stronę schodów. Linberg nie był pewien, czy na starość traci kondycję, czy coś mu się wydaje, w każdym razie na drugie piętro wchodziło się jakby dłużej. Podobnie jak na pierwszym, podłoga zastawiona była maszynami, w których wciąż tkwiły nie do końca nawinięte szpule drutu. I znów były agent zauważył, że ściany na drugim piętrze są niższe niż na parterze.

Swansen bez słowa poprowadził Linberga w głąb pomieszczenia. Zatrzymał się przy wiertarce, pstryknął wyłącznikiem w ścianie, by zapalić światło, i nachylił się. Na podłodze, w wyżłobieniu deski, znajdowało się ledwie widoczne kółko, w sam raz na jeden palec.

Swanson szarpnął za nie i otworzył niewielką klapę podłogową. W dół prowadziła drabina.

Wspierając się o krawędzie otworu, Swanson zszedł po drabinie, a Linberg za nim.

- Boże kochany! - wyszeptał Linberg. - To nie do wiary. Wzdłuż pomieszczenia, w świetle słabych żarówek, ciągnęły się niezliczone szeregi starannie poustawianej broni palnej.

Linberg zauważył tam wszystko, od moździerzy począwszy, na karabinach maszynowych kaliber pięćdziesiąt skończywszy. W pomieszczeniu znajdowały się również stosy pudeł z amunicją i sterty czegoś, co wyglądało na kamizelki kuloodporne.

- Prawdopodobnie nigdy byśmy nie odkryli tego miejsca, gdyby nie fakt, że zwłoki Ungara wystawały

z otwartego włazu - powiedział Swanson. - Ktoś zgłosił telefonicznie, że usłyszał strzały, i trupa znalazła miejscowa policja. Nie do wiary, prawda?

- Niebywałe - przyznał Linberg, wlepiając wzrok w szeregi oręza.

- To stara chińska sztuczka - wyjaśnił Swanson. - Słyszałem o tym już dawno, jeszcze kiedy z Laurą wybraliśmy się do San Francisco. Dawniej podatki płaciło się od wielkości powierzchni zakładu, wobec tego chińscy właściciele fabryk budowali swoje przybytki wyzysku tak, by całe piętro pozostawało niewidoczne od ulicy. Chińczyk płacił podatek od powierzchni trzech kondygnacji zamiast czterech, a tymczasem w ukryciu tłum starych kobiet i dzieci zasuwiał przy obróbce detali.

- Sprytne - stwierdził Linberg. - Wiesz mniej więcej, czego brakuje w tej hurtowni?

- I to z niemałą dokładnością - odparł Swanson. - Zdaje się, że Ungar prowadził

staranne zapiski. Jak dotąd, ustaliliśmy brak kilkunastu automatycznych pistoletów dziewięciomilimetrowych różnej marki, co najmniej jednego Kałasznikowa PK kaliber pięćdziesiąt,

dwóch

skrzyń

granatów

ręcznych

MDF,

pudła

izraelskich

min

przeciwpiechotnych nr 12 i sześciu pistoletów maszynowych Ingram MAC-11. Łącznie z amunicją. Tam z tyłu składowany jest plastik i wygląda na to, że ktoś w nim grzebał, ale nie da się określić, ile ubyło.

- To wystarczy, żeby rozpocząć wojnę - stwierdził Linberg. - Nie zabraliby tego bez ciężarówki.

- Mieli ciężarówkę. Granatowy furgon Dodge z trójką ludzi. Dwóch mężczyzn i kobieta. Nowojorskie tablice rejestracyjne. Samochód pewnie dawno porzucili.

Prawdopodobnie skradziony.

- Dobrze - oświadczył Linberg, spoglądając jeszcze raz dookoła. - Dasz mi te odciski palców, listę brakujących pozycji i wszelkie informacje, jakie wyciągniesz od świadków.



- Naprawdę myślisz, że złapałeś trop, Walt?

- Może - odrzekł Linberg.

- Jezu! Tobym dopiero dał popis, jakby mi się udało ich zamknąć - westchnął agent terenowy.

- Nie martw się - skłamał Linberg. - Będiesz pierwszym, który się dowie, jeśli tylko uda mi się coś wykryć. Obiecuję.

- W takim razie co teraz?

- O ile się nie mylę, dopiero teraz rozpęta się piekło.

### **ROZDZIAŁ 3**

Dla patrzącego z boku dworzec Union Station w Waszyngtonie jest przykładem klasycznej stacji kolejowej wielkiego miasta, z potężną granitową kolumnadą, rozłożystymi schodami i masywnym portalem. Rozciągające się na północ od Kapitolu majestatyczne zabudowania dworca to przeniesiona w rzeczywistość wizja budowniczego z przełomu wieków, inspirowana architekturą Imperium Romanum.

Niestety, pod koniec lat sześćdziesiątych zamierający ruch kolejowy zrobił swoje i dworzec stał się przytułkiem bezpańskich psów - czyli domem osobników, dla których schronieniem jest publiczny szalet, a monety zostawione w automatach telefonicznych źródłem utrzymania. Wraz z powołaniem Krajowej Korporacji Kolei Pasażerskich Amtrak w roku 1971 zaistniała potrzeba stworzenia Narodowego Centrum Turystyki i cały dworzec gruntownie zmodernizowano i odnowiono. Centrum Turystyczne, jako jedno z głównych przedsięwzięć miasta Waszyngton na okazję dwóchsetlecia, pochłonęło jednak lwią część funduszy i powszechnej uwagi, natomiast sam dworzec pasażerski został dosłownie na szarym końcu, usunięty na tyły ogromnego budynku, ściśnięty na powierzchni kilkuset metrów kwadratowych i wyposażony w automaty z Colą i papierosami oraz rzędy plastikowych siedzeń w poczekalni. W ogólnym rozrachunku, potężny zastrzyk gotówki nie zmienił wcale charakteru starego dworca: o dziesiątej wieczorem, oświetlony jarzeniówkami niski przedsiónek, pełniący funkcję końcowej stacji kolei, w dalszym ciągu wypełniali głównie pijacy i osobnicy opróżniający telefony.

- Obrobią nas jak nic, zanim w ogóle uda nam się wsiąść do tego pociągu - mruczał

Daniel Pendergast ściskając kolanami ciężką walizę.

- Uspokój się - rzekł Harry. - Zostało tylko pięć minut.

- Jezus Maria, ręce mi się pocą.

- Dlaczego? Jeszcześmy nic nie zmalowali. Przestań, bo zaczniemy wyglądać na przestępców.

- To wszystko przez moje metodystyczne wychowanie. Gdzieś tam wysoko patrzy na nas Pan Bóg i mówi: tym dwóm palantom nie ujdzie na sucho.

- Zdaje się, że nie podchodzisz poważnie do tego, co robimy - zganił go Harry. - Ja tam się nie opieprzam, chcę, żeby to nam wyszło.

- Jak tu być poważnym - westchnął Daniel. - Każdy, kto obiektywnie przyjrzałby się temu, co robimy, mógłby nas zaskarżyć lub zaarrestować pod zarzutem spisku. Jeśli to ma być napad stulecia, w takim razie zrozum, Harry, że twój wspólnik ma cykora. Zleję się zaraz w portki ze zdenerwowania.

- Nie chcę o tym słyszeć - krótko uciał Harry.

Z megafonów dobiegł niezrozumiały, trzeszczący głos. Do Harry'ego dotarły jedynie słowa: "Nowy Jork" i "Boston".

- To ten - powiedział. Wstał podnosząc z ziemi swoją torbę i skierował się ku wąskiemu tunelowi podziemnego przejścia prowadzącego na peron. Daniel podążył za nim, ledwo unosząc ciężką walizkę w prawej ręce.

Wyszli na peron i skręcili w prawo, zgodnie ze wskazówkami obsługi pociągu.

"Nocna Sowa" czekała w gotowości: lśniące cielsko srebrzystego potwora wpasowane w beton peronów. Światło rzadko rozmieszczonych na suficie lamp lśniło na wypolerowanym aluminiowym korpusie elektryczno-spalinowej lokomotywy F-40. Prócz "Montrealczyka",

"Nocna Sowa" jest jedynym pociągiem Amtraku na linii Waszyngton-Boston o napędzie innym niż elektryczny. Oba składy nadal używają wagonów sypialnych Budd i Pullman Standard starszego typu, wyposażonych w hamulce parowe, co uniemożliwia korzystanie z sieci trakcyjnej o napięciu jedenastu tysięcy wolt.

Przechodząc obok lokomotywy, Harry przystanął i odwrócił się, jak gdyby czekał, aż Daniel się z nim zrówna; w rzeczywistości zaś starał się zanotować w pamięci jak najwięcej szczegółów dotyczących tego, co działo się wokół wagonu RPO szepionego bezpośrednio z F-40.

Wagon Poczty Kolejowej był szczelnie pozamykany, wszystkie szyby w oknach i drzwiach zasłonięte roletami. Na peronie stali czterej mężczyźni, obserwując, jak wąski strumień pasażerów przepływa wzdłuż pociągu. Dwaj, ubrani w mundury Policji Skarbowej, mieli policyjne karabinki TP-8 z niklowaną lufą i rękojeścią jak od pistoletu. Pozostali dwaj mężczyźni, wysocy, ubrani w garnitury, trzymali skórzane nesesery. Harry pamiętał przebieg nieudanego zamachu na prezydenta Reagana, który do znużenia pokazywali w telewizji, dlatego nie miał wątpliwości, że niewinnie wyglądające teczki skrywają pistolety maszynowe Uzi lub coś równie śmiernego.

Daniel zrównał się z Harrym i ruszyli dalej razem. Szli wzdłuż peronu, mijając RPO i następnie wagon bagażowy.

- Ty skurczysynu - wyszeptał Daniel, kiedy oddalili się na tyle, by nikt nie mógł

podsluchać ich rozmowy. - W coś ty mnie wpakował, człowieku! Widziałeś tych facetów?

- Zamknij się i chodź - warknął Harry. - Jak się tu zaczniesz rzucać, zaarrestują nas, zanim zdążymy

zrobić cokolwiek.

Poszli dalej w milczeniu. Harry sprawdzał kolejność wagonów w składzie pociągu. Za bagażówką znajdowały się dwa opływowe wagony Amfleet z miejscami siedzącymi, wagon restauracyjny i wreszcie ten, którym mieli jechać: sypialny Budd z nierdzewnej stali. Skład zamykał panoramiczny wagon Budd z miejscami sypialnymi. Napisy nad oknami "Linie Kolejowe Pensylwania" zostały zamalowane i obydwie stare wagony miały teraz takie same oznakowania, jak wszystkie pozostałe: czerwono-biało-niebieski pas linii Amtrak. Na schodkach wagonu sypialnego stał czarny konduktor o wyglądzie zmęczonego człowieka.

- Dokąd? - spytał, przyglądając się ogromnej walizie Daniela.

- Do Nowego Jorku. Przedział D - odpowiedział Harry.

- W porządku - rzekł Murzyn i spojrzał jeszcze raz na walizę. - Mam to panom zanieść?

- Nie, dziękujemy - odparł Harry. - Damy radę.

Ruszyli za konduktorem, który poprowadził ich przez wąski korytarz w głąb wagonu sypialnego. Otworzył właściwy przedział. Opuszczono już leżanki, przy górnej podpięto klamrami pod sufitem siatkę grubych płóciennych pasów. Roleta była podniesiona, za oknem odsłaniał się widok pustego peronu, a pod posadzką z cienką warstwą wykładziny dywanowej szczykała maszyna i cicho syczała para w przewodach.

- Można bilety? - upomniał się konduktor.

Stojący w drzwiach Harry sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej sportowej kurtki i wydobył bilety w okładce, a tymczasem za jego plecami, w przedziale, Daniel z westchnieniem ulgi odstawił walizę.

Czarny konduktor otworzył okładkę, przejrzał bilety, następnie z kwaśną miną podniósł wzrok na Harry'ego.

- A niby co to jest? - spytał.

Harry przełknął ślinę, czując, że serce podchodzi mu do gardła. Przez jedną straszliwą sekundę zastanawiał się, czy aby dał konduktorowi właściwe bilety. Drugi taki sam zestaw miał przygotowany na drogę powrotną. Pociąg, do którego wsiedli, wjedzie na dworzec Penn Station w Nowym Jorku o godzinie drugiej osiemnaście w nocy, a bilety powrotne były na pociąg jadący z Bostonu, który o trzeciej trzydzieści trzy wyruszy z Nowego Jorku do stolicy.

Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali, to konduktor paplający kolegom, że jacyś faceci jechali jednym pociągiem do Nowego Jorku, a z powrotem drugim, który odchodzi godzinę później.

- Znaczy co? - spytał Harry, starając się zachować spokój.

- Tu napisane: państwo Smith. Nie wyglądacie mi panowie na małżeństwo, czy to Smith, czy inaczej.

Harry zacisnął na moment powieki i próbował nie okazać, jak mu ulżyło.

Kombinował, żeby wyszło jak najtaniej, a największa zniżka przysługuje małżeństwu. Nigdy by mu do głowy nie przyszło, że facet zbierający od podróżnych bilety je przeczyta.

- Coś się nie podoba? - Harry umyślnie silił się na groźny ton. Konduktor uniósł jedną brew i wykrzywił usta. Oderwał odcinek kontrolny i zwrócił bilety Harry'emu.

- Ja tam nic nie mówię - mruknął. - Wjeżdżamy do Nowego Jorku gdzieś koło drugiej piętnaście - oświadczył. - Mam obudzić?

- Nie trzeba - odburknął Harry. Konduktor posłał mu ostatnie spojrzenie.

- Pewno, że nie trzeba.

Odwrócił się i odszedł kręcąc głową, a Harry zamknął drzwi przedziału. Opadł ciężko na dolną leżankę i sięgnął do kieszeni kurtki po paczkę papierosów. Daniel usiadł obok i tępo spoglądał w okno.

- Najpierw wplątujesz mnie w napad na pociąg, a teraz na dodatek ten konduktor bierze nas za parę pedałów. Jezu kochany!

- Przestań pieprzyć i wyciągaj sprzęt. Chcę to mieć od początku. Daniel kiwnął głową i dźwignął walizę z podłogi na niższą leżankę.

Harry wyminął się z przyjacielem w ciasnocie przedziału i po drabince wszedł na górne miejsce do spania. Z kieszeni kurtki wyciągnął śrubokręt, sięgnął pod sufit i zaczął

majstrować przy umieszczonej tam kratce wywietrznika w kształcie półksiężyca.

Poniżej Daniel zaciągnął roletę i pstryknął zamkami walizki. W jej wnętrzu, otulone styropianem, znajdowały się: Radio Shack Pro 2002 - programowany odbiornik o zakresie pięćdziesięciu kanałów, dwunastowoltowy akumulator od pojazdu śniegowego, sfatygowany magnetofon kasetowy Sony, piętnastometrowy zwój przewodu antenowego do odbioru fal krótkich, przewody łączące, kable do akumulatora, gniazdka łącznikowe oraz zestaw narzędzi. Daniel wyjął odbiornik i magnetofon, następnie umieścił je ostrożnie na przymocowanej zawiasami przykrywie umywalki, w małej wnęce ściany przedziału. Czym prędzej zabrał się do roboty, podłączając do odbiornika magnetofon oraz przewody akumulatora. Wystające z izolacji miedziane końcówki przewodu antenowego przytwierdził do wtyczki uniwersalnej, którą podłączył z tyłu odbiornika, zwój anteny zaś wręczył Harry'emu.

Ten z kolei wyjął taśmę mierniczą oraz rolkę przylepca, od drugiego końca anteny odmierzył dwumetrowy odcinek, zaznaczył przylepce i począł wsuwać przewód w głąb odsłoniętego kanału wywietrznika. Według schematu wagonu sypialnego dwa metry drutu powinny swobodnie dosięgnąć kratki wylotu wywietrznika na dachu pociągu, nawet z niewielkim zapasem. Dokładnie w momencie, kiedy dotarł do zaznaczonego miejsca na przewodzie, dał się odczuć lekki wstrząs, któremu towarzyszył twardy metaliczny chrzęst podwozia wagonu, gdyż pociąg akurat ruszył. Jeszcze jednym

kawałkiem przylepca Harry umocował przewód u sufitu i zeskoczył z drabinki.

- Włączaj, prędko.

Daniel włączył zasilanie, wyzerował elektroniczny ekranik zegara i wcisnął guzik programowania odbiornika. Wystukał częstotliwość 162.25, wprowadził do programu i włączył magnetofon. W przedziale rozległ się przeraźliwy gwizd, Daniel rzucił się więc do potencjometru. Ściszył odpowiednio dźwięk i ustawił blokadę szumów.

- Jak teraz tu przyjdzie ten konduktor, to umarł w butach - wyszeptał ochryple.

- Nie przyjdzie - odrzekł Harry. - Zrób trochę głośniejszy, bo niczego nie usłyszymy.

Harry otworzył swój znacznie mniejszy bagaż, wyjął notes i pisak, po czym usiadł na dolnej leżance. Pochylił się do przodu; z wyrazem napięcia na twarzy czekał, aż głośnik odezwie się wśród stukotu i zgrzytów kołyszącego się po torach pociągu.

Całą minutę w eterze trwała cisza.

- Jesteś pewien, że to działa? - nerwowo spytał Harry.

- Działa - odparł Daniel. Nagle rozległ się głos:

- Federalna Lotna Jeden, tu "Nocna Sowa", słyszycie nas? Nastąpiła krótka przerwa, a potem odpowiedź, nieco gorzej słyszalna:

- "Nocna Sowa", tu Federalna Lotna Jeden. Odbiór dobry.

- Dziękuję, FL Jeden. Hasło: Zdolny Zdolny Król. Właśnie opuściliśmy stację.

- Dziękuję, "Nocna Sowa". Przekazujemy do Baltimore. FL Jeden zakończył.

Na falach eteru ponownie zapanowała cisza.

- Co to wszystko, u diabła, znaczy? - spytał Daniel.

- Myślę, że chodzi o jakąś lotną brygadę, która prowadzi pociąg na muszce - odrzekł

Harry. Postukał w zamyśleniu pisakiem w przednie zęby. - Tak, wszystko pasuje. Autostrada Numer Jeden do Baltimore biegnie równoległe do torów w odległości mniej więcej kilometra, aż do Nowego Jorku mogą później jechać Dziewięćdziesiątą Piątą i znów Jedyneką.

- Wysłali pewnie brygadę antyterrorystyczną w ciężarówce albo coś w tym stylu - orzekł Daniel.

- Nieistotne - skwitował Harry. - W każdym razie trzymają się blisko. Miałem rację, że zatrzymując

pociąg, nie mamy żadnych szans.

- No dobra, a co z resztą? To hasło: Zdolny Zdolny Król?
- Sposób identyfikacji, jak sądzę. Lotna brygada wie, że ma kontakt z właściwym rozmówcą.
- Trochę w tym paranoi, nie uważasz? Harry wyszczerzył zęby.
- To pewnie na nasz widok.

O dwudziestej drugiej pięćdziesiąt jeden radio znowu ożyło:

- FL Jeden, tu "Nocna Sowa". Jak odbiór?
- "Nocna Sowa", tu FL Jeden. Odbiór głośny i wyraźny.
- Dziękuję, FL Jeden. Hasło: Zdolny Zdolny Król. Mamy trzydzieści cztery do Baltimore.
- W porządku, "Nocna Sowa". Potwierdzam ubezpieczenie na znaku. Kolejna transmisja w bazie Baltimore. Koniec.
- Co to znaczy: ubezpieczenie na znaku? - spytał Daniel. Harry podniósł wzrok znad notesu.
- Jestem prawie pewny, że chodzi o znak dla maszynistów przy wjeździe na stację.

Peron jest oznaczony w miejscu, od którego należy wrzucić hamowanie. Oni pewnie rozstawiają ludzi z ochrony tam, gdzie zatrzymuje się RPO, tak jak w Waszyngtonie.

- Automaty i karabiny - mruknął Daniel. Harry zignorował jego uwagę.
- Przejdę się na przód pociągu - powiedział wstając. - Może uda mi się coś dojrzeć przez okno. Chciałbym też sprawdzić parę rzeczy. Ty pilnuj radia. I uważaj, żeby nie skończyła się kasetka.

Harry zrobił w drzwiach szparę, wyjrzał, następnie wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Począł, aż usłyszy szcęk zamykanej przez Daniela zasuwki, potem ruszył

naprzód, trochę niepewnie, gdyż pociąg kołysał się i zarzucał niespodziewanie, momentami wytrącając go z równowagi. Dotarł do końca wagonu, odsunął ciężkie drzwi i wszedł do przedsionka. Stał z boku, w cieniu, i chwilę odczekał. Jeżeli nawet w wagonie restauracyjnym ktoś coś zauważył, nie podszedł, żeby sprawę wyjaśnić. Harry zapalił

papierosa. Spokojnie stał, kołysząc się w takt pociągu, i dokonywał oględzin przegubu, jaki łączył wagon sypialny z restauracyjnym.

Jeszcze podczas tamtej dyskusji z Danielem, w jadłodajni, zaświtała mu pewna myśl.

Cokolwiek by mówić, pomysł był jeszcze bardziej niezwykły niż pierwotny plan zorganizowania

napadu na pociąg, dlatego Harry nie zdradzał się na razie przed przyjacielem.

Znał go na tyle, by wiedzieć, że Daniel jest tak samo rozczarowany jak on sam, gdyż w ciągu ostatnich lat również mu się nie wiodło. Daniel nigdy nie dorównywał mu pod względem zamiłowania do ryzyka. Trzeba go długo wabić i nakłaniać, aż w końcu jest za późno na wycofanie się - lecz kiedy już Daniel dotrze do tego punktu, staje się wymarzonym współnikiem.

Harry'ego oczywiście irytowały te podchody. Miało to jednak także dobre strony.

Przede wszystkim Harry, zamiast pędzić na oślep, był zmuszony zatrzymać się i ponownie przemyśleć sprawę; jeśli zaś w jego rozumowaniu istniały jakieś luki, Daniel natychmiast dostrzegał je swym chłodnym okiem. Na przykład pomysł, żeby zająć się przemytem kokainy, wyszedł od Harry'ego, lecz to właśnie Daniel wymyślił sfigowanie wypadku samochodowego w Bogocie, by następnie dać się przewieźć z powrotem do Stanów w gipsie wypełnionym narkotykami. Stewardesa PanAmu usłużnie popychała jego wózek inwalidzki przez komorę celną, a dalej czekał już umówiony kierowca karetki, żeby go zabrać "do szpitala na oddział rehabilitacji".

To jednak było dawno; obaj się postarzel i Harry świetnie zdawał sobie sprawę, że zaawansowany wiek pozbawia człowieka nie tylko młodzieńczych erekcji, na które kiedyś mógł niezawodnie liczyć. Z czasem zamiera wyobraźnia, inicjatywa, nowatorstwo. Czy Daniel wie o tym, czy nie, przechwycenie przesyłki skarbowej z "Nocnej Sowy" jest ich ostatnią szansą dokonania czegoś wielkiego. Ostatnią szansą zdobycia sławy, i to sławy być może odrobinę trwalszej niż popularność Andy'ego Warhola, która przeminęła po kwadransie.

Harry rzucił niedopałek na podłogę i roztarł go butem, zły na siebie, że traci czas na rozmyślania. Z kieszeni kurtki wydobyl małe szewskie szydło i piłkę jubilerską.

Przegub łączący kolejowe wagony pasażerskie rozciąga się i kurczy jak harmonia, tworząc elastyczne połączenie, dzięki któremu pociąg może brać zakręty, a pasażerowie -

bezpiecznie przechodzić z wagonu do wagonu. Ta przypominająca miech kowalski konstrukcja składa się z gumowanego płótna rozpiętego na szkielecie metalowych żeber i umocowań, by nie opadało. Oglądając wagonowy przegub, Harry skrzywił się. Jeżeli z dziury, którą robi w przegubie, nie zdąży się wydostać w momencie ostrego hamowania pociągu, stalowe żebra w gumowej powłoce zewrą się gwałtownie, przecinając go na pół

niczym nożyce. Nagle ogarnęła go radość, że tym razem to tylko sucha zaprawa.

Opadł na kolana i począł wbijać szydło w gumowaną tkaninę przegubu, aż udało mu się uzyskać sporej wielkości pęknięcie; wtedy wsunął tam cieniutkie ostrze piłki. Szybкими ruchami pruć w górę, starając się trzymać blisko wystającego ozebrowania z metalu. Zajęło mu to niecałe trzydzieści sekund. Powstała szpara półmetrowej długości. Nie potrzeba więcej.

Kiedy przyjdzie działać na serio, nie będzie miało żadnego znaczenia, że ktoś mógłby mu przeszkodzić, pozostanie przecież mnóstwo czasu.

Położył się na brzuchu i obiema rękami powiększył otwór. Wyrzwał, mrużąc oczy w podmuchu powietrza, które wdzierало się przez otwór.

Po upływie kilku sekund zerwał się na nogi z radosnym uśmiechem. Otrzeptał z kurzu koszulę i rękawy kurtki, po czym zapalił kolejnego papierosa. To może się udać. Wciąż uśmiechnięty, oddalił się o krok, lustrując rozdarcie tkaniny przegubu. Kiedy patrzyło się z góry, dziura była ledwie widoczna. Jeśli nawet ktoś by ją zauważył, pomyślałby zapewne, że rozdarcie powstało przypadkiem. Harry wyszedł z cienia i odsunął drzwi do wagonu restauracyjnego.

W tylnej części wagonu siedziały tylko trzy osoby: para starszych ludzi, którzy w milczeniu jedli odgrzewane mikrofalowo kawałki pizzy, obserwując przez okno światła podmiejskiego Westport na obrzeżach Baltimore, oraz wyraźnie zmęczony człowiek interesu, który pieszczotliwie ścisnął puszkę piwa. Kelner za półokrągłym kontuarem pośrodku wagonu czytał gazetę, pociągając czasem łyk kawy z papierowego kubka.

Harry przemierzył wagon, po drodze skinął głową kelnerowi. Przód wagonu był całkiem pusty. Dotarłszy do wyjścia, Harry wcisnął guzik i automatyczne drzwi otworzyły mu drogę. Przeszedł do korytarza wagonu z miejscami siedzącymi.

Przygaszono już światła i we wnętrzu panował mrok, rozprasznany jedynie przez jasne smugi lampek zapalonych nad kilkoma fotelami. Harry przechodził powoli, chwytając się oparcia dla utrzymania równowagi i po drodze szacując z grubsza liczbę podróżnych. Według jego oceny wagon z miejscami na osiemdziesiąt osób był w połowie pusty. Większość pasażerów przypominała faceta z wagonu restauracyjnego: biznesmeni w drodze do Nowego Jorku lub Bostonu.

W następnym wagonie siedziało jeszcze mniej osób i tylko jeden podróżny miał zapaloną lampkę. Reszta najwyraźniej drzemała. Dla zachowania pozorów Harry przystanął pod zamkniętymi drzwiami toalety. Przez ułamek sekundy się wahał, potem wcisnął guzik koło drzwi. Rozsunęły się, wpuszczając go do przedsiionka korytarza. Harry zboczył pod ścianę, by pod osłoną mroku odczekać minutę, lecz i tym razem nikt nie zwrócił na niego uwagi. Odfajkował w pamięci jeszcze jeden punkt. Uniósł rękę, by spojrzeć na świecące cyfry zegarka: 11:08. Za dwie do trzech minut wjadą na dworzec Penn Station w Baltimore. Znów wcisnął guzik przy drzwiach i znalazł się z powrotem w mrocznym wnętrzu wagonu. Nikt nawet nie podniósł głowy. Kiedy zamiast jednej osoby wejda tam dwie - łatwiej będzie je dostrzec, lecz znajdzie się sposób na odwrócenie uwagi. Zadowolony Harry wśliznął się na puste podwójne siedzenie i zapalił papierosa. Podparł dłonią podbródek, łokcie zaś oparł na obramowaniu okna, starając się wyglądać zwyczajnie, jak znudzony pasażer.

Dziewięćdziesiąt sekund później "Nocna Sowa" gładko wjechała pod arkady dworca w Baltimore.

Postój pociągu trwał niecałe pięć minut, lecz Harry nie potrzebował więcej, by utwierdzić się w swoich podejrzeniach, że ludzie z ochrony czekają na RPO. Na peronie stali czterej mężczyźni w garniturach, każdy trzymał w ręku neseser i każdy patrzył w inną stronę.



Tak bardzo przypominali tajniaków, że mogliby równie dobrze nosić jakieś oznakowania.

Wszyscy czterej stali daleko od pociągu, więc Harry mógł się im przyglądać bez wyciągania szyi. Miał nadzieję, że nie nawiążą wizualnego kontaktu ze strażnikami RPO. Bo wówczas plan Harry'ego nadawałby się na śmietnik. Harry obserwował, jak jeden z mężczyzn wyjmuje z kieszeni marynarki radiotelefon, przez który wypowiada parę słów. Kontakt radiowy. Bez weryfikacji wzrokowej. Dziesięć sekund później pociąg ruszył. Harry z ulgą wstał i udał się z powrotem do wagonu sypialnego.

Zapukał cicho w drzwi przedziału D i czekał.

- Kto tam?

- Królowa Saby. Otwieraj.

Szczęknęła zasuwka i Harry odsunął drzwi. Szybko wśliznął się do przedziału i zaryglował wejście. Daniel siedział na brzegu dolnej leżanki, z uchem przy głośniku i notesem na kolanach.

- Dowiedziałeś się czegoś ciekawego? - spytał.

- Tak jak myślałem. Ustawili na peronie ochroniarzy.

Daniel przytaknął.

- Wiem. Słyszałem ich rozmowę. Federalna Lotna Dwa, jeśli cię to interesuje.

- Jakieś specjalne hasło?

- Nie - Daniel pokręcił głową przecząco. - Ten sam Zdolny Zdolny Król.

- To dobrze - oświadczył Harry z uśmiechem zadowolenia. Zrzucił z nóg buty i rozciągnął się na dolnej leżance, kładąc nogi za plecami Daniela.

- Wszystko się dość ładnie komponuje.

- Co się niby komponuje? - spytał Daniel.

- Jak to co? Nasz plan.

- Nie wiedziałem, że mamy jakiś plan - stwierdził Daniel podejrzliwie.

- Właściwie to nie mamy... w każdym razie nie całkiem - przyznał Harry. - Ale już coś się wykluwa.

- Nie wstydź się - ironizował Daniel. - Pochwal się przede mną.

- Jeszcze nie teraz - oświadczył Harry. - Dopatrzysz się natychmiast mnóstwa dziur i zniszczysz mi zdolność koncentracji. Jedno ci powiem, potrzebujemy jeszcze co najmniej dwóch współników.

Pamiętasz Benovoya?

- Ten pajac, który kierował karetką przy okazji Dużej Przerzutki? Jasne, że go pamiętam. A bo co?

- Będziemy go znów potrzebowali, razem z jego karetką. I jeszcze kogoś. Znasz może gościa, który szybko chwyta, o co chodzi, przy tym klepie biedę i jest na tyle zdesperowany, że da się wciągnąć w ten szwindel?

- Adrian Tucker - powiedział Daniel bez zastanowienia.

- Jaki Adrian Tucker?

- Aktor. W ogóle nie ma talentu, ale cały czas chodzi na próbne przesłuchania. Od lat pracuje jako kelner u Sardiego. Upiera się, że w ten sposób przebywa w orbicie wielkich gwiazd.

- Jesteś pewien, że on nerwowo wytrzyma? Wygląda mi na mięczaka.

- Spokojnie - odrzekł Daniel. - On się nadaje. Coś jeszcze?

- Owszem - przyznał Harry, podkładając sobie splecione dłonie pod głowę i ziewając kolejny już raz. - Potrzebujemy trumny.

- Słucham?

- Trumny - powtórzył Harry.

- Boże - jęknął cicho Daniel.

Walter Linberg wraz ze swym długoletnim współpracownikiem, którym był inspektor George Reikoff, klęczeli w kurzu przy oknie na trzecim piętrze magazynu hurtowni i obserwowali zamkniętą bramę składu towarów mieszczącego się po przeciwnej stronie alei, w niskim budynku bez okien. Reikoff, chudy prawie pięćdziesięcioletni mężczyzna, odłożył

lornetkę i podrapał się po okazałym orlim nosie. Dwaj mężczyźni rozpoczęli obserwację o świcie, prawie trzy godziny temu. Magazyn i sąsiednie budynki znajdowały się w starej dzielnicy handlowej na tyłach Water Street w Waszyngtonie, na wschód od Navy Yard.

Linberg zdołał zauważyć, że co najmniej połowa budynków w tej dzielnicy stała opuszczona.

- Niech mnie diabli, jeśli ich tam nie ma - rzekł Reikoff. - Wtedy leżymy obaj.

- Co znaczy "obaj"? - obruszył się Linberg z przebiegłym uśmieszkiem, odwracając na chwilę wzrok od budynku za oknem. - To ty wezwałeś brygadę szturmową, nie ja.

- Na podstawie informacji, których ty dostarczyłeś, Walt.

- Jako zaniepokojony obywatel, nie policjant - zastrzegł z uśmiechem Linberg.

Pociągnął łyk dawno wystygłej kawy z termosu i wzruszył ramionami.

- Co mi tu będziesz wciskał - mruknął Reikoff, przykładając do oczu lornetkę. - Byłeś w FBI. Kiedy się okaże, że dorwaliśmy kota w worku, bekiesz tak samo jak ja.

- Nic się nie bój - odparł Linberg. - Robisz, co do ciebie należy. To podpada pod ustawę o broni palnej. Oni zwinęli tyle materiałów wybuchowych i broni małego kalibru, że swobodnie mogliby zdobyć średniej wielkości miasto.

- Ty tak twierdzisz.

Linberg wzruszył ramionami, lecz powstrzymał się od odpowiedzi. Zdawał sobie sprawę, że stąpa po cienkiej linii i jeśli sprawy przybiorą niepożądany obrót, będzie potrzebował przyjaciół jak nigdy. Wypił jeszcze jeden łyk z plastikowego kubka, starając się nie zwracać uwagi na paskudny smak czarnej gorzkiej cieczy. Miał dotychczas wprost niewiarygodne szczęście. Odciski palców, które Swanson zdjął w zamelinowanym arsenale w St. Augustine, pasowały do wzorów przesłanych ze Zjednoczonego Królestwa. Znalazł więc dowody, że Haas, Sheila Teng i Mohamed Kawi - nie wykluczając innych - zamieszani są w rabunek i morderstwo Malcolma Ungara. Świadczyło to dobitnie, że terroryści przekroczyli granice Stanów Zjednoczonych Ameryki i Linberg miał nieodpartą chęć zawiadomienia o tym przełożonych już na tym etapie. Jednak nie zrobił tego. Nieomylny węch kazał mu podjąć pościg i chociaż Walter wiedział, że głupio pogrywa, postanowił przeciągnąć trochę swe prywatne śledztwo.

Miał niezłe znajomości w sztabie FBI, lecz zamiast z nich skorzystać, ryzykując przedwczesny rozgłos, wolał zwrócić się do George'a Reikoffa, specjalnego agenta miasta stołecznego Waszyngton. Linberg pragnął jedynie za pośrednictwem Reikoffa dotrzeć do informacji z komputera Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej. Wiadomość, którą przekazał Agent Specjalny, zupełnie zbiła go z tropu. Okazało się, że furgonetka na nowojorskich numerach jest poszukiwana przez waszyngtońską policję. Porzucony i obrobiony samochód znaleziono na zamkniętej drodze koło torów Conrail, pod mostem Johna Philipa Sousy. Linberg przypomniał Reikoffowi wszystkie wspólne trafienia i wreszcie przekonał inspektora FBI, że warto przeczesać teren i wykorzystując fotografie terrorystów poszukać świadków. Dzięki tym wysiłkom dwie osoby rozpoznały Dietera Haasa, który kręcił

się po okolicy. Raz widziano go, jak kupował coś w sklepie spożywczym na rogu, koło Szkoły Zawodowej imienia Chamberlaina, i raz jak wchodził do obserwowanego teraz budynku. Linberg i Reikoff zajęli pozycje trzy godziny temu, lecz nie pokazał się ani Haas, ani inni terroryści.

Reikoffowi udało się dotrzeć do właściciela budynku i uzyskać od niego w miarę dokładny opis wnętrza. Z tego, co mówił właściciel, wynikało, że najpierw mieścił się tam warsztat lakierniczy, specjalizujący się w malowaniu samochodów dostawczych. Dwa lata temu warsztat przeniesiono i od tamtej pory budynek stał

pusty; tylko czasem wynajmowano go okresowo na magazyn. Przed trzema tygodniami właściciel wynajął

budynek człowiekowi, który twierdził, że musi przechować towar pozostały po likwidacji sklepu,

zanim przeniesie go do nowych pomieszczeń. Jak zeznał właściciel, nowy najemca, mówiący z lekkim akcentem niemieckim, gotówką opłacił czynsz za miesiąc z góry, plus depozyt na wypadek szkód. Kiedy pokazano zdjęcie Dietera Haasa, właściciel domu rozpoznał na nim człowieka wynajmującego magazyn.

Budynek nie miał okien, tylko troje drzwi: podwójną bramę od alei wjazdowej i dwa boczne wyjścia pożarowe. Na dachu znajdowały się trzy kominy przewodów wentylacyjnych.

Reikoff rozstawił swoich ludzi przy bocznych drzwiach, naprzeciw głównego wejścia umieścił ciężarówkę z sześciuosobowym oddziałem szturmowym, a na dachu dwóch ludzi wyposażonych w pojemniki gazu łzawiącego. Policja waszyngtońska ze swoją własną brygadą szturmową osłaniała tyły i otoczyła kordonem obszar między M Street, Water Street, Yirginia Avenue i podjazd na most Anacostia. Ogółem w akcji brało udział pięćdziesięciu ludzi.

- Jak długo jeszcze czekamy? - spytał Linberg.

Reikoff odłożył lornetkę i sprawdził czas. Linberg też spojrział na zegarek. Była ósma trzydzieści.

- Już nie czekamy - zdecydował Reikoff. Podniósł radiotelefon z podłogi. - Tu inspektor do wszystkich. Atakować.

Z nie zmienionym wyrazem twarzy Reikoff ostrożnie odłożył radiotelefon i podniósł

lornetkę. Linberg sięgnął po swoją.

Wszystko odbyło się z wyćwiczoną precyzją. Na rozkaz Reikoffa dwaj ludzie na dachu wyrwali zatyczki z ciemnozielonych pojemników gazu łzawiącego, wcisnęli zawory i wrzucili pojemniki do przewodów wentylacji. Po wykonaniu głównego zadania obaj zjechali po linach na tyły budynku. Tymczasem w aleję wjazdową wpadł z rykiem silnika spory pojazd, który z początku służył za ciężarówkę dostawczą do rozwożenia gazet, a teraz woził

waszyngtoński oddział szturmowy FBI. Przed podwójną drewnianą bramą budynku wykonał

kontrolowany poślizg. Niestety, nikt wcześniej nie sprawdził, czy brama jest na tyle wysoka, by furgon mógł swobodnie przejechać, i dlatego zamiast wtargnąć z trzaskiem rozniesionych drzwi do wnętrza, ciężarówka z ogłuszającym łoskotem zaklinowała się w wejściu na dobre, a dwa metry jej blaszanego dachu odwinęło się niczym wieczko puszek sardynek. Ze swego punktu obserwacyjnego Linberg widział, jak przez wyważoną bramę zaczynają ulatywać smugi gazu.

- Psiakrew - zaklął Reikoff, patrząc z góry na zniszczoną ciężarówkę.

Nie zrażeni tym funkcjonariusze z oddziału szturmowego poczęli wysypywać się przez tylne drzwi furgonu. Maski gazowe na twarzach i kuloodporne kamizelki sprawiały, że wyglądali jak niezgrabne zielone owady. Pierwsza czwórka szturmująca budynek wyposażona była w pistolety automatyczne, pozostali dwaj mieli standardowe erkaemy Colt Commando 5 mm z długimi magazynkami na sześćdziesiąt pocisków.

Reikoff zastosował prostą strategię. Dwa wyjścia pożarowe usytuowane są po bokach budynku. Wobec tego trzech komandosów szturmujących drzwi z lewej otworzy wewnątrz ogień w prawą stronę, trójka przy drzwiach z prawej będzie strzelać w lewo, grupa przy głównym wejściu omiecie ogniem przeciwległą ścianę. W ten sposób jego ludzie nie ostrzelają się nawzajem, podczas gdy wszystko, co znajduje się w budynku, a nie wisi pod sufitem, powinno zostać rozniesione.

Ledwie komandosi wpadli do środka, rozległ się gwałtowny, ogłuszający łoskot broni maszynowej. Potem nastąpiła cisza. Cała operacja od początku do końca zajęła mniej niż sześćdziesiąt sekund.

- Myślę, że trzeba zejść i zobaczyć, jak poszło - odezwał się Reikoff. W dalszym ciągu jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, lecz Linberg wiedział, że jego stary kolega jest zadowolony z przebiegu akcji, pomimo żenującego wypadku z ciężarówką.

Dwaj mężczyźni zeszli na parter, potem w chłodne powietrze wczesnego poranka.

Kierowca furgonu wycofywał swój pojazd i wywinięty metal zniszczonego dachu ostro zgrzytał w betonowym obramowaniu wejścia. Reikoff i Linberg stanęli z boku pozwalając mu wykręcić, następnie zbliżyli się do otworu we frontowej ścianie. Mroczne wnętrze wypełniały tumany pyłu zmieszanego z gazem łzawiącym, przesłaniając widoczność. Zjawił się oficer z oddziału szturmowego; maska przeciwgazowa dyndała mu na szyi. Nosił baseballową czapkę z daszkiem, ozdobioną znacznikiem FBI.

- Nieźle wyglądała wasza akcja, Norton - pochwalił Reikoff. Komandos wzruszył ramionami i zaczął odpinać kamizelkę ochronną.

- Wszystko według instrukcji - odparł.

- Nikt nie jest ranny?

- Nikt z naszych - odpowiedział Norton. - Musimy poczekać, aż dym opadnie, wtedy zobaczymy, co zostało z tych w środku. Ciemno tam. Nic nie widać.

Norton zarzucił na ramię kamizelkę, kiwnął głową Reikoffowi i ruszył wzdłuż podjazdu w stronę zaparkowanego furgonu. Reikoff z Linbergiem odczekali jeszcze minutę.

Kiedy pył opadł nieco, weszli do środka, zgrzytając podszwami po kawałkach gruzu odłupanego podczas gwałtownego manewru ciężarówki.

- Psiakrew - po raz drugi zaklął Reikoff, dokonując oględzin. W ciągu zaledwie trzydziestu sekund oddział szturmowy wystrzelił w budynku sześćset czterdzieści pięciomilimetrowych pocisków rozpryskowych, do tego trzydzieści dwa ładunki grubego śrutu. Efekt był niebywały. Ściany, które jeszcze przed paroma minutami miały gładką powierzchnię, teraz porane i zryte przedstawiały żaloszny widok. Podłogę pokryła warstwa odłamków betonu. Mały oszklony kantor wydzielony ścianką ze sklejk w kącie magazynu zmienił się w rozniesione po podłodze drzazgi i szklane okruchy. Zniszczono również sprzężarkę, dwa stu pięćdziesięciolitrowe kotły i kilka wózków ręcznych. Prócz komandosów przeszukujących gruz w środku nie było nikogo. Nie dość, że nie

znaleziono tam zwłok terrorystów, to w dodatku nic nie wskazywało, że kiedykolwiek przebywali w budynku.

- Psiakrew - zaklął Reikoff po raz trzeci.

## ROZDZIAŁ 4

Grupa czterech współników, którą Daniel Pendergast ochrzcił mianem Gangu Nocnej Sowy, spotkała się po raz pierwszy we wtorek, dwudziestego trzeciego czerwca, zaledwie trzy dni przed planowanym skokiem na pociąg Amtraku numer 66. W ciągu jedenastu dni, które upłynęły od próbnej przejażdżki "Nocną Sową", Harry z Danielem wciągnęli do spółki Martina Benovoya - niskiego grubasa o bladej cerze, niezależnego kierowcę karetki, oraz Adriana Tuckera - aktora, którego Daniel poznał u Sardiego. Benovoy z miejsca zapalał

entuzjazmem, gdyż za jedną czwartą łupu, czyli coś koło siedmiu milionów dolarów, miał

jedynie załatwić parę rzeczy i trochę pojeździć za kółkiem. Po cichu Benovoy uważał cały pomysł za wariactwo, lecz po siedmiu latach pirackiego przechwytywania wezwań pogotowia i drobnego handlu narkotykami - gotów był na wszystko. Wcześniejsza współpraca z Maxwelllem i Pendergastem była tak owocna, że zrównoważyła minimalne ryzyko, jakie przyjął.

Tucker natomiast podchodził do sprawy z rezerwą, przynajmniej na początku. Był

znacznie inteligentniejszy od Benovoya i wyobraźnia podsuwała mu wizje rozmaitych okropności, które mogą się wydarzyć, jeśli plan zawiedzie. Jednak podobnie jak Harry i Daniel, doszedł w życiu do takiego momentu, gdy wreszcie zdał sobie sprawę, że powodzenie i sława bezpowrotnie go ominęły. Muskularny, z wąsami, przypominał faceta z reklamy Marlboro, lecz jego uroda wyblakła z biegiem lat, a "tymczasowa" praca kelnera stawała się jego życiową profesją. Przyszłość jawiła mu się w jeszcze czarniejszych barwach po niedawnym rozstaniu z przyjacielem, który odszedł od niego, chociaż mieszkali razem przez cztery i pół roku. Po namyśle samobójczy charakter przedsięwzięcia zaczął go pociągać. W

dodatku będzie mógł zagrać najlepszą rolę od lat.

Ze względów bezpieczeństwa Harry i Daniel przeprowadzili rozmowy wstępne z każdym osobno, następnie rozdzielili poszczególne zadania. Do czwartku przygotowano już wszystko, co trzeba, i na strychu u Daniela miało się odbyć ostatnie spotkanie koordynujące. W ciągu tygodni, jakie minęły od chwili, kiedy Harry napomknął Danielowi o swoim pomysle, strych przestał mieć cokolwiek wspólnego ze sztuką współczesną.

Wcześniejszy śmietnik walających się wykresów i planów ustąpił miejsca rozgardiaszowi sprzętów o nieznanym przeznaczeniu, począwszy od pojemników ze sprężonym powietrzem, aż po dziwną kombinację drążków i trójnogów, rozstawionych krzywo i niezgrabnie. W

centrum tego bałaganu znajdowała się ogromna szara trumna z włókna szklanego, owinięta w przezroczystą folię poplamioną farbami przez artystę malarza. Benovoy był dumny ze swojej

zdobyczy, którą kupił za bezcen od pewnego domu pogrzebowego, gdzie stała na wystawie, a teraz miał ją zastąpić nowy model. Harry z Danielem nie ukrywali zadowolenia z zakupu po obniżonej cenie, gdyż koszty planowanej eskapady okazały się znacznie wyższe od pierwotnych kalkulacji i skromna suma ich oszczędności topniała w zawrotnym tempie.

Czterej mężczyźni usiedli przy stole, na którym Daniel zwykł naciągać blejtramy.

Wszyscy raczyli się piwem i rozkoszowali chłodem zacienionego poddasza. Ostatnie promienie słonecznego dnia wpadały ukosem przez wysokie okna strychu, przydając wszystkiemu matowożłoty barw.

- Zdaje się, że nie przypominamy Brudnej Dwunastki - zauważył Tucker, patrząc z uśmiechem na współników przy stole.

- Już raczej Feralną Czwórkę - stwierdził Daniel. - Za każdym razem, kiedy się głębiej zastanowię, co my właściwie robimy, mam wątpliwości, czy powinienem się w to pakować.

To naprawdę zwariowany pomysł.

- Jasne, że tak - odezwał się Harry ze swego końca stołu. - Wszystkie wielkie wydarzenia w historii miały znamiona szaleństwa.

- Może odpuśćmy sobie wykład historyczny - wtrącił Benovoy. Wiercił się niespokojnie na twardym siedzeniu krzesła z prostym oparciem. - Przejdźmy do konkretów, zgoda?

- W porządku - rzekł Harry. - Jeszcze raz przelecimy cały plan.

- Chyba po raz setny - mruknął Daniel, trąc palcem swój wydatny nos.

Harry puścił uwagę przyjaciela mimo uszu i mówił dalej:

- Wszystko dokładnie sprawdziłem i zdaje się, że jesteśmy gotowi. - Rzucił okiem na kartkę maszynopisu przed sobą. - Chciałbym, żebyśmy jeszcze raz przerobili cały rozkład; niech każdy powie, co do niego należy, i zobaczymy, czy wszystko się zgadza. Martin, ty zaczynasz.

Benovoy upił trochę piwa i zaczął mówić; w rozległym pomieszczeniu jego piskliwy głos pobrzmiwał słabym echem: - O dziewiątej wieczorem wyjeżdżam karetką z garażu.

Sprawdzałem przed godziną; farba już prawie wyschła. Kiedy jeszcze machnę sprejem napis, będzie karawan, że mucha nie siada. Dobra. Sprawdzam, czy pod fotelem mam to drugie oznakowanie, i walę prosto tutaj. Myślę, że w niedzielny wieczór to zajmie nie więcej niż kwadrans, wobec czego mamy dziewiątą piętnaście, zgadza się?

- Dopuszczamy tu pewne odchylenia, ale niech będzie - odrzekł Harry. - Co dalej?

- Podjeżdżam tu od podwórza i wchodzę na górę, żeby pomóc zapakować Harry'ego do trumny. Sprawdzamy, czy działa sprężynowe otwieranie wieka, które zamontowaliśmy, i podajemy

Harry'emu drażki i trójnogi.

- Pojemnik i maski ładuję, zanim wejdę sam - przerwał Harry.

- Zgadza się - ciągnął Benovoy. - W każdym razie kiedy zapakujemy Harry'ego i sprzęt, ja z Danielem i Adrianem znosimy trumnę do karawanu. Zgodnie z pomiarami na próbach, wnoszenie pudła do windy i potem do samochodu zajmie nam koło dwunastu minut.

To znaczy mamy którą? Dwadzieścia siedem po dziewiątej, może parę minut mniej lub więcej. Ruszam stąd na stację i podjeżdżam od tyłu drogą dostawczą, Przekazuję trumnę tym, co ładują towar, około dziewiątej czterdzieści pięć.

- Masz wszystkie podkładki? - spytał Daniel.

- Nic się nie bój - odparł Benovoy. - Odebrałem dziś rano i wszystko poszło dokładnie tak, jak mówił Harry. Prosimi, żebym przywiózł nieboszczyka jak najpóźniej, wtedy wiadomo, że go ustawią blisko drzwi. Dla ładunków specjalnych, czyli takich jak nasz, oni robią tylko jeden postój: w Princeton Junction, dlatego muszą migiem wynieść to z pociągu. Facet z Amtraku mówił, zdaje się, że postój jest zaledwie trzyminutowy.

Harry kiwnął głową. Trumna stanowiła kluczowy element planu. Wyładowanie bagażu z któregośkolwiek pociągu Korytarza Północno-Wschodniego linii Amtrak na stacji innej niż przewidziane rozkładem duże węzły kolejowe wymaga specjalnego zezwolenia, które wystawia się zwykle tylko dla przewozu zwłok.

- Wobec tego - ciągnął Benovoy - jak tylko oddam pudło we właściwe ręce, pryskam z miasta i jadę do Princeton Junction. Kiedy się upewnię, że nikt nie filuje, robię postój i przyklejam inne oznaczenia. Najpierw jeżdżę dla firmy "Ogrody Pamięci" z Arlington, a później dla Salonu Pogrzebowego Woodglen.

Harry znowu przytaknął. Obie firmy istniały naprawdę i po napadzie miało to pomóc w zatarciu śladów. Harry uznał, że władze stracą co najmniej parę godzin na sprawdzanie obu zakładów pogrzebowych, zanim okaże się, że żaden z nich nie organizował przewozu zwłok do Princeton Junction.

Benovoy mówił dalej:

- Powiniennem dotrzeć do Princeton Junction koło pierwszej w nocy, co daje mi jakieś dwadzieścia minut. A nawet gdybym się spóźnił, to nie ma znaczenia, bo trumna będzie po prostu stała na peronie, dopóki jej nie zabiorę.

- Lepiej się nie spóźniaj - upomniał go Daniel.

- No dobrze - powiedział Harry. - Tyle, jeśli chodzi o ciebie. Teraz Daniel.

- Wsiadam do pociągu tuż za Adrianem. Przyjdę wcześniej, żeby wsiąść zaraz na początku. Zajmuję miejsce jak najbliżej drzwi w wagonie za bagażówką. O dwudziestej drugiej trzydzieści "Nocna



Sowa” odjeżdża z dworca Union Station. Siedzę i obgryzam paznokcie aż do za piętnaście pierwsza albo przez kwadrans po odjeździe z Filadelfii, jeżeli pociąg będzie miał opóźnienie. Za piętnaście pierwsza wstaję, idę do łazienki i minutę później wychodzę. Kiedy upewnię się, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, wchodzę do przedsiionka.

Jeśli wszystko do tej pory poszło zgodnie z planem, Harry powinien już otworzyć drzwi bagażówki od środka. Pomagam Harry'emu założyć szelki od butli z gazem, żeby ją miał na plecach, i on idzie do przejścia pomiędzy bagażówką i RPO. Kiedy on tnie pręty przegubu, ja ustawiam zjeżdżalnię. Dzisiaj testowaliśmy ją z Harrym i działa wyśmienicie.

W zeszłą niedzielę, w pożyczonym od Harry'ego ubraniu pracownika Amtraku oraz ze skrzynką narzędziową w ręku, Daniel Pendergast dostał się w pobliże “Nocnej Sowy” tuż przed załadunkiem pieniędzy. Z odległości trzydziestu metrów widział, jak umundurowani strażnicy z Departamentu Skarbu przenoszą walutę do wagonu pocztowego. Pieniądze znajdowały się w niedużych pudełkach z plastiku, wielkości sporej książki. Zdołał jedynie z grubsza oszacować ich liczbę, lecz jego zdaniem do pociągu załadowano około stu takich pudełek.

Na podstawie tej informacji Harry wymyślił sposób na szybkie przeniesienie pieniędzy z RPO do wagonu bagażowego, następnie do trumny. Skonstruował prosty system przenośnikowy. Dwie teleskopowe rurki, po rozłożeniu osiągające długość czterech metrów, miały usztywniać rozpięty na nich rękaw, który Daniel uszył z nylonowego żagla. Kiedy z obu końców rękaw był należycie umocowany, tworzył płytką, śliską rynnę. Rozpięty rękaw mocowało się do dwóch statywów fotograficznych o różnej wysokości. Wówczas paczki papieru maszynowego, które wykorzystał jako atrapy pudełek z banknotami, umieszczone w wyższych partiach nylonowej rynny, leciutko popchnięte zjeżdżały do samego końca. Harry i Daniel ćwiczyli przez prawie całe popołudnie, mierząc czas stoperem. Po czterech godzinach treningu Daniel umiał rozłożyć całą konstrukcję w dwie minuty i złożyć w półtorej. Dwaj przyjaciele uznali, że jeśli się uwiną, dadzą radę całkowicie wypełnić trumnę pieniędzmi -

czyli załadować dziewięćdziesiąt sześć pudełek - w ciągu mniej więcej kwadransa. Paczka papieru maszynowego waży koło dwóch kilogramów, paczki banknotów mają podobny ciężar, wobec tego załadowana nimi trumna ważyć będzie niecałe sto osiemdziesiąt kilo, czyli zaledwie o jakieś pięć kilo więcej niż wówczas, kiedy znajdzie się w niej Harry ze sprzętem.

Daniel przedstawiał dalszy ciąg planu:

- Kiedy skończymy ustawiać zjeżdżalnię, będzie za dziesięć pierwsza. W ciągu pięciu minut Harry powinien się wyrobić z gazowaniem RPO, a ja w tym czasie odbijam zamek. W

czasie kilku minut możemy rozpocząć załadunek, jeśli maski, które nam dostarczył Martin, są szczelne.

- Owszem, są szczelne - wtrącił kierowca karetki. - Zresztą gaz szybko opada i się rozprasza. Przed włożeniem posmarujcie brzegi masek wazeliną, to nic wam nie będzie.

- Mam nadzieję - odrzekł Daniel. - W każdym razie, kiedy skończymy ładować forszę, zwijamy cały

sprzęt, narzędzia i wkładamy do trumny. Po zamknięciu wieka czekamy. O

pierwszej dwadzieścia trzy, czyli na cztery minuty przed Trenton, wracamy do wagonu, podczas gdy Adrian odwraca od nas uwagę swym występem. Pociąg zatrzyma się w Princeton Junction o pierwszej dwadzieścia sześć, ale my jedziemy dalej, do Metro Park, pierwsza czterdzieści osiem. Mamy w ten sposób około pół godziny do chwili, kiedy w Nowym Jorku sprawa się wreszcie rypnie, czyli kupę czasu.

Daniel z uśmiechem zwrócił się do przyjaciela:

- Kolej na ciebie, Harry.

- Dobra. Za dwadzieścia pierwsza wychodzę z trumny, wyładowuję gaz i części zjeżdżalni. Natychmiast otwieram drzwi, żeby wpuścić Daniela. Później przypinam pojemnik i wchodzę ze szczypcami do przegubu. Przecinam pręty ożebrowania, robię dziurę i wyłażę na spinacz. Wagon RPO ma z tyłu poręczę, dlatego raczej bez trudu dostanę się na dach.

Kiedy się już tam znajdę, odcinam antenę szczypcami do drutu, potem do najbliższego z dwóch tylnych wywietrzników wpuszczam rurę wylotową i wciskam zawór gazu. Martin mówi, że pojemnik opróżnia się w minutę i trzeba odczekać chwilę, zanim gaz zadziała.

- To mnie najbardziej niepokoi - stwierdził Adrian Tucker marszcząc brwi. - Wszystko zależy od skuteczności gazu. Jeżeli dwaj strażnicy pozostaną przytomni, mogą was zabić, jak tylko otworzycie drzwi.

- Spytaj Martina - Harry wzruszył ramionami. - To on się zna na medycynie.

Benovoy, który swoje wykształcenie medyczne zdobył jeżdżąc karetką i podczas trzyletniej służby jako sanitariusz w bazie NATO w Niemczech, kiwnął głową.

- Powinien zadziałać. Podtlenek azotu nie jest może najlepszym środkiem usypiającym na świecie, za to ma działanie obezwładniające. Pojemnik zawiera dwa metry sześciennie gazu pod ciśnieniem dwudziestu atmosfer. Taka ilość powinna dobrze wypełnić całe wnętrze, wentylatory niewiele pomogą, a kiedy ci dwaj poczują zapach, nie będą już w stanie kiwnąć palcem. To jest bezpieczne w użyciu. Zresztą tylko to mogłem zdobyć w ilościach praktycznie nieograniczonych. Nie ma obawy, gaz plus środek nasenny Noctec załatwią im spanko na cztery do sześciu godzin.

- Zadowolony? - spytał Harry.

- Chyba tak - odrzekł Tucker, jednak wciąż miał na twarzy wyraz niepokoju.

- Dobrze, na czym to stanęliśmy? Za pięć pierwsza. Schodzę z dachu RPO, wyrzucam pojemnik i wracam przez dziurę w przegubie. Do tego czasu Daniel ustawił już zjeżdżalnię.

Nakładamy maski i Daniel za pomocą młotka i przecinaka otwiera przejście. Biorę od Daniela strzykawkę ze środkiem nasennym i robię zastrzyk strażnikom, podczas gdy Daniel tnie szczypcami pręty klatki na pieniądze. Wracam do bagażówki i Daniel posyła mi ślizgiem pudełka. Później

wszystko tak, jak on mówi. Z powrotem w wagonie dwadzieścia trzy po pierwszej, wysiadka z pociągu na stacji Metro Park w stanie New Jersey o pierwszej czterdzieści osiem.

Harry oparł się wygodnie, zapalił papierosa i spojrzał na Adriana Tuckera, którego uważał za najsłabsze ogniwo łańcucha.

- Moje główne zadanie to obsługa radia - zaczął aktor. - Piętnaście po dziesiątej wsiadam do wagonu sypialnego i przechodzę do przedziału C. Ustawiam odbiornik i nasz nadajnik, wsuwam przewód anteny do wywietrznika, tak jak Harry pokazywał. Robię nasłuch sygnałów z RPO w Baltimore, Aberdeen, Wilmington i Filadelfii, żeby poznać właściwe hasło na tę noc. Pilnuję też, by łączność nawiązywana była w regularnych odstępach.

Punktualnie o pierwszej nadaję sam, kryjąc Harry'ego i Daniela. Następną transmisję mam dwadzieścia po pierwszej według rozkładu, poinformuję wtedy Lotną, że kolejny sygnał

nadam w Princeton Junction. Jak tylko skończę, wychodzę z przedziału i idę do pierwszego wagonu z fotelami. Tam w połowie drogi potykam się i odstawiam wspaniałą scenę upadku.

W trakcie mojego występu Harry z Danielem wślizgują się do środka i zajmują miejsca.

Kuśtykam z powrotem do przedziału i o pierwszej dwadzieścia sześć nadaję podczas postoju w Princeton Junction. Regularnie nawiązuję kontakt radiowy, do samego Nowego Jorku.

Kiedy pociąg stanie, natychmiast wyskakuję, wszystko zostawiam w przedziale, łapię pierwszą taryfę i zmywam się, byle dalej od stacji. Dobrze mówię?

- Świetnie - odparł Harry i ostrożnie spytał: - Jesteś pewien, że dasz radę? - Myślę, że tak - odpowiedział mu aktor, z namysłem marszcząc brwi. - Ale mam jedną sprawę, jeśli można - dodał.

- Strzelaj - zachęcił go Harry.

- Wiesz, nie chcę cię urazić, ale przyszło mi do głowy, że ty stanowisz dla nas największy problem.

- Jak to? - zdumiał się Harry.

- Pracujesz dla Amtraku. Tam policja zacznie węszyć na samym początku. Będą odławiać wszystkich, którzy mogli mieć dostęp do wagonu pocztowego. Jeśli zostaniesz w tej robocie, na pewno będą cię przesłuchiwać, a jak ją rzucisz, to też natychmiast zwrócą na ciebie uwagę. Może minąć trochę czasu, ale prędzej czy później się domyśla i wtedy wszyscy leżymy.

Harry przytaknął.

- Masz rację, ale rozwiązałem już ten problem. Można powiedzieć, że mam doskonałe alibi.

- Jakie? - spytał aktor. - Z alibi czy bez, i tak wezmą cię w obroty.

- Nie mogą mnie przesłuchać, skoro umarłem.

- Słucham?

- Trumna podsunęła mi ten pomysł. Kiedy się nad tym zastanowić, moja śmierć to naprawdę jedyne wyjście. Automatycznie wyklucza mnie z kręgu podejrzanych. Obecny tu pan Benovoy zadbał o wszystko jak należy. Według karty z rejestracji Szpitala Ogólnego, jutro we wczesnych godzinach rannych zostanę przyjęty na ostry dyżur jako ciężki przypadek przedawkowania narkotyków, zejście podczas przewozu. Kropka. Mój szef, Mosley, uwierzy w to bez zastanowienia. W karcie będzie się znajdował akt zgonu, wypełniony i podpisany w dobrej wierze przez lekarza. Martin mówi, że na erce pracuje jeden lekarz, co w kółko chodzi zaćpany i po dwudziestu minutach nie odróżni, którego pacjenta ratował. W karcie będzie też wpis, że miałem ze sobą legitymację dawcy stwierdzającą, że dwa lata temu sprzedałem własne zwłoki dla celów medycznych Szpitalowi Uniwersytetu Georgetown. Martin załatwił

nawet zaświadczenie o przewozie ciała do kostnicy szpitala uniwersyteckiego. Gdyby FBI wykazało diabelną podejrzliwość, samo przebicie się przez biurokratyczne bzdety zajmie im parę tygodni.

- Wystarczy, że włożysz poplamiony krwią fartuch sanitariusza i już wtapiasz się w tło

- wyjaśnił Benovoy. - Możesz łązić po całym szpitalu i pies z kulawą nogą nie zwróci na ciebie uwagi.

- Coś pięknego! - wykrzyknął Tucker. - Naprawdę pomyślałeś o wszystkim.

- Przynajmniej mam taką nadzieję, kurczę - wtrącił Daniel.

Harry wzruszył ramionami.

- Sądzę, że to niezły plan - powiedział. - Jesteśmy amatorami, to będzie nasz jedyny skok, dlatego uważam, że mamy duże szansę się wywinąć.

Urwał i powiódł spojrzeniem wokół stołu.

- Z drugiej strony, niczego nie gwarantuję. Jeden fałszywy ruch może wszystko spieprzyć, tak jak odciski palców Ronniego Biggsa w tej chałupie, po skoku na szkocki wagon pocztowy. Cała rzecz opiera się na ryzyku. Dużym ryzyku.

- Coś ty, Harry - obruszył się Benovoy. - Co tu może pójść nie tak?

- Kto wie? - odrzekł Harry. - Może nic, a może właśnie wszystko.

W poniedziałek po południu zespół śledczy z FBI zakończył przeszukiwanie okolic Water Street, gdzie rzekomo mieściła się terrorystyczna melina. W środę George Reikoff podesłał mimochodem kopię raportu dowodowego Walterowi Linbergowi, wraz z krótką notą informującą byłego agenta, że na polecenie Reikoffa Linberg będzie odtąd *persona non grata* w waszyngtońskim biurze FBI. W piątek przed południem Linberg dostał do wglądu kopię notatki służbowej, przekazanej przez Sekcję Budżetu i Rachunkowości na ręce Thomasa Asha, dyrektora USIST, który był bezpośrednim zwierzchnikiem Waltera. Notatka zawierała szczegółowe wyliczenie kosztów operacji

przeprowadzonej przez oddziały szturmowe FBI i policji waszyngtońskiej oraz sprawozdanie robocze, w którym Reikoff opisał przyczyny zorganizowania operacji i udział w niej Linberga. W notatce stwierdzono bez ogródek, że skoro zasadzkę zorganizowano na podstawie ewidentnie błędnych informacji Linberga, USIST powinien przynajmniej w części pokryć koszt operacji. W konkluzji zostało zawarte życzenie, by pracownicy USIST nie mieszały się więcej do spraw FBI. W pół godziny po tym, jak dokument wylądował na biurku Waltera Linberga, przyszło wezwanie na rozmowę z dyrektorem Ashem - jeszcze tego samego dnia po południu.

Po kilkakrotnym przeczytaniu notatki początkowy gniew Linberga ustąpił miejsca gorzkiej rezygnacji. Ponieważ w rzeczywistości zasadzkę zorganizowano na podstawie konkretnych informacji zdobytych podczas śledztwa w St. Augustine, było rzeczą oczywistą, że Reikoff i Biuro waszyngtońskie robią z Waltera kozła ofiarnego. Wyraźnie obciążono go odpowiedzialnością za straty w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów i Linberg nie miał

złudzeń, jakie kroki podejmie w tej sytuacji Ash. Potrzebny był chłopiec do bicia i nadarzył

się Linberg. Podyktował więc sekretarce tekst swego wymówienia i poprosił, by po przepisaniu na maszynie zaniósła pismo osobiście do gabinetu dyrektora. Sekretarka zabrała się do roboty, a on przeglądał wstępny raport zespołu śledczego, rozpaczliwie szukając jakiejś wskazówki co do kolejnych poczynań terrorystów. Tak czy owak, choćby ze względu na urażoną dumę zawodową, postanowił prowadzić śledztwo, dopóki zdoła. Był przekonany, że grupa terrorystyczna stwarza nie lada zagrożenie. Zatrudnił się w Biurze jako młody zapaleniec, lecz lata pracy w aparacie sprawiedliwości nauczyły go, że popełnianie błędów, a potem ich tuszowanie, niweczy postęp śledztwa w połowie spraw prowadzonych przez agentów. Nie miał zamiaru dawać za wygraną i w tym przypadku, choćby nawet przyszło mu zwrócić się do prasy, a tym samym popełnić jeden z grzechów głównych: skompromitować FBI.

Sam raport śledczy był doskonałym przykładem na to, jak rozbudowana biurokracja potrafi zdławić dochodzenie. Raport sporządzało dwanaście osób z sześciu różnych sekcji FBI, począwszy od daktyloskopii, a na archiwum skończywszy. Każdy wydział ma swoje własne metody i procedurę postępowania; cały różnorodny materiał przesiewany jest ostatecznie w Sekcji Ujednolicania Raportów o Przystępstwach, podległej Wydziałowi Systemów Komputerowych. W rezultacie raport stanowił beładną mieszankę informacji, z których niewiele wynikało.

Na przykład pracownicy daktyloskopii przekazali zebrane odciski chłopcom z pionu technicznego, a ci z kolei przesłali je do analizy porównawczej. Stamtąd nadeszła odpowiedź, że w kartotece nie figuruje żaden z tych odcisków, a przecież Linberg zaopatrzył zarówno Swansona, jak i Reikoffa w komplety odcisków palców grupy terrorystów. Czasem Linberg dziwił się, że w ogóle jakieś przestępstwa bywają wykrywane.

Po godzinie ślęczenia nad raportem wyłowił tylko dwie informacje, które mogłyby naprowadzić na jakiś ślad. Po pierwsze, sprężarka i jeszcze kilka stojących w budynku urządzeń prawdopodobnie parę dni wcześniej posłużyły do przemalowania samochodu.

Druga informacja związana była z kwitkiem kasowym, na którym widniała czterokrotnie powtórzona cena jakiegoś artykułu i jego numer inwentaryzacyjny. Kwitek przesłano do Sekcji Analizy

Dokumentów, gdzie zajmują się nim specjaliści od pieczętek, wydruków kasowych i urządzeń mechanicznych. Możliwe, że uda im się ustalić, skąd pochodzi wydruk.

Linberg zszedł na parter, gdzie skopiował raport zespołu śledczego oraz brytyjskie opracowanie, po czym wrócił na górę. Wybiła dwunasta i jego sekretarka poszła na obiad, lecz przedtem zostawiła mu na środku biurka kopertę. W środku znajdowało się jego wymówienie. U dołu kartki Ash nabazgrał: "Wyrażam zgodę" i podpisał się.

Z uśmiechem, nie wiedząc czemu nagle uradowany, Walter Linberg spakował swój neseser, ostatni raz się rozejrzył, wreszcie opuścił pokój, cicho zamykając za sobą drzwi.

Harry Maxwell leżał na podłodze w pracowni Daniela Pendergasta i gapił się w sufit.

Na piersiach ustawił sobie ostrożnie butelkę piwa. Obok w prowizorycznej popielnicze z aluminiowej folii, która kiedyś stanowiła opakowanie jakiejś mrożonej potrawy, dopalał się jego papieros. Daniel usadowił się na parapecie okna i patrzył w ciemność, wsłuchany w monotonne bębnienie deszczu. Spojrzał na zegarek i odchrząknął.

- Została dokładnie doba - powiedział. - Jest wpół do jedenastej.

- To fajnie - mruknął Harry z podłogi, nie odrywając oczu od sufitu, gdzie próbował

zliczyć pogrążone w mroku staromodne kwadraciki blaszanej kratki. Porozrzucane po całej podłodze śmieci z ostatnich paru tygodni zostały starannie uprzątnięte, a przybory malarskie Daniela wróciły na swoje miejsce. Jedynym przedmiotem, który nie pasował do reszty, była trumna oparta na kozłach, stojąca w samym środku pomieszczenia i zawierająca cały sprzęt potrzebny do wykonania skoku na pocztowy wagon "Nocnej Sowy". Harry z Danielem zostali sami w pracowni. Martin Benovoy wziął wcześniej parę prochów i pojechał do domu się wyspać, Adrian zaś udał się na M Street w Georgetown, żeby zapewnić sobie miłe towarzystwo w ostatnią noc. Zarówno Harry, jak i Daniel zaniepokoiili się planami aktora, lecz Adrian zapewnił ich, że to samo robi przed każdym występem, gdyż w ten sposób odpręża się nerwowo.

- Jak się czujesz? - spytał Daniel, którego drobna sylwetka rysowała się na tle okna.

- Świetnie.

- Denerwujesz się?

- Jasne - odrzekł Harry. Podparł się łokciem i sięgnął po papierosa. Zaciągnął się głęboko i powolnym ruchem odłożył go, wydmuchując w mrok kółka dymu. Potrząsnął

głową i roześmiał się cicho.

- Co cię tak śmieszy? - spytał Daniel.

- Nic takiego. Ale czuję się zupełnie jak przed ślubem z Carol. Napalony, ale jednocześnie przygnębiony i w strachu.

- Cudownie - rzekł Daniel. - Jesteś pewien, że nie chcesz się wycofać? Wiesz, jeszcze jest czas. W końcu niczego nie musimy.
- Oczywiście, że musimy - odparł Harry. - Pamiętaj, że ja nie żyję. Benovoy zdążył już namieszać w mojej karcie. W tej chwili właśnie studenci patologii z Uniwersytetu Georgetown kroją mnie dla dobra nauki.
- A ja? Przecież nie umarłem - zauważył Daniel.
- Chcesz wypaść z gry? - spytał Harry obserwując przyjaciela.
- Nie. Tylko coś ściska mnie w dołku, nic więcej.
- Boisz się?
- To raczej poczucie winy - wyznał Daniel. - Widzisz, porywamy się na dużą rzecz.
- A przemyt koki?
- To co innego. Wtedy to był...
- Szpan - wtrącił Harry. - Szmugłowanie koki było w porządku, bo fajnie jest ćpać, śmierć glinom, a my jesteśmy wielcy przemytnicy. Rewolucja zwycięży i tym podobne pierdoły.
- Może i tak - przyznał Daniel.
- Żadne może - uciął Harry, gniotąc w, folii niedopałek papierosa. - Przemyt to przygoda. A o kradzieży masz w Biblii czarno na białym: Nie kradnij. Uspokój się, to tylko skutki wychowania. Przejdzie ci.
- Ty tego nie czujesz? - spytał Daniel.
- Oczywiście, że czuję - zapewnił go Harry. - Może nawet gorzej niż ty - westchnął i dźwignął się do pozycji siedzącej. - Słuchaj, Daniel, ja naprawdę do końca nie wiem, dlaczego to robię. Może mam już dość życia w kraju i w świecie, gdzie nie istnieje coś takiego jak wolność wyboru, przynajmniej dla mnie. A może zawsze miałem przestępcze skłonności. Albo dlatego, że jak się temu przyjrzeć, to wszyscy jesteśmy przegrani, a teraz mamy szansę wygrać. Nie wiem. Wiem za to, że przez ostatnie trzy czy cztery lata powoli zdychaliśmy. Nie fizycznie, tylko duchowo. Starzeję się i wymiękam, a to napędza mi większego stracha niż jakikolwiek wyrok odsiadki. Jeżeli mam się poddać, to chociaż z fajerwerkiem. Chcę, żeby ludzie o mnie usłyszeli. Rozumiesz?
- Pewnie, że rozumiem - cicho odrzekł Daniel.
- Chcesz to odpuścić? - zapytał Harry.
- Nie - powiedział Daniel. - Spróbuję zachować dystans. Stary dureń ze mnie.

- Dobrze - rzekł Harry. Podniósł flaszkę piwa wznosząc toast: - Nasze zdrowie!

- Za Gang Nocnej Sowy! - zawołał Daniel i uniósł szklanę.

- I za napad stulecia! - dodał Harry Maxwell. - Niech jak najdłużej pozostanie zagadką!

**Część druga**



# **KORYTARZ**

*Nie to, że się bałem. Ja byłem przerażony. Ale przerazić może nawet czytanie gazety, więc kto by się przejmował.*

Harry Maxwell

w wywiadzie dla "Playboya"

## **ROZDZIAŁ 5**

**Niedziela, 26 czerwca**

# Godz. 22.30 czasu wschodniego

**Odległość: 0 mil/0 km**

Frank Sagadore, szef Wydziału Operacji Specjalnych w ramach służb ochrony linii Amtrak, przysiadł na taborecie u boku operatora Głównej Tablicy Rozdzielczej w siedzibie Centrum Kontroli Ruchu, mieszczącego się na dworcu Penn Station w Nowym Jorku. Powoli pił kawę i delektował się chwilą względnego spokoju przed nocną pracą. Centrum Kontroli było jedynym miejscem na całym dworcu, gdzie człowiek czuł, że panuje nad sytuacją.

Przyćmione światła, ogromna półkolista konsola i mrugające lampki ściennego schematu połączeń kolejowych dawały wysokiemu ciemnowłosemu szefowi ochrony poczucie, że choćby cały świat zwariował, tutaj zawsze panuje ład, zwłaszcza jeśli przy Tablicy siedzi Mac Donovan. Otyły i niski operator przebierał palcami po klawiaturze niczym koncertujący pianista, czasem tylko spoglądał na podświetlony schemat ścienny, żeby upewnić się, że otrzymał prawidłowy wynik.

Sagadore nie mógł wyjść z podziwu, że jeden człowiek przy konsoli jest w stanie kontrolować ruch w obrębie całego Korytarza Północno-Wschodniego, od Waszyngtonu do Bostonu, choć tak naprawdę Donovan odpowiadał jedynie za odcinek od Newark do Port Chester. Od czasu nieporadnych prób w latach dwudziestych system kontroli ruchu nieustannie udoskonalano i obecnie osiągnął on taki stopień sprawności, że niektóre pociągi można było prowadzić bez maszynisty, bez obsługi, przy udziale tylko jednego człowieka: operatora Głównej Tablicy Rozdzielczej. Automatycznie przestawia się zwrotnice, zmienia sygnały i dzięki specjalnym przekaźnikom w kabinie lokomotywy można regulować prędkość pociągu, zatrzymać go, a nawet wrzucić bieg wsteczny. Bezpowrotnie minęły czasy zwrotnicznych i zawiadowców z nieodłączną latarnią w dłoni. Wystarczy, że Donovan lub inny operator rzuci okiem na ścienny schemat - i już wiadomo, co się dzieje w Korytarzu Północno-Wschodnim i w którym miejscu znajduje się każdy z pociągów na obu torach linii Korytarza.

Sagadore przełknął jeszcze jeden łyk kawy i spojrzął z ukosa na podświetlony schemat. Wyglądało na to, że Donovan prowadzi coś koło tuzina pociągów.

- Zdaje się, że wszystko idzie jak trzeba - zwrócił się do odwróconego plecami operatora.

- Żadnych niespodzianek - mruknął w odpowiedzi Donovan nie odwracając się.

Sagadore już dawno przyzwyczał się do prowadzenia rozmowy z łysiejącą z tyłu głową Donovana; system jest co prawda automatyczny, lecz operator prawie nie odrywa oczu od tablicy rozdzielczej i schematu. W pewnym sensie operator Głównej Tablicy Rozdzielczej to kolejowy odpowiednik kontrolera ruchu powietrznego i nie sposób przecenić jego roli. Bez Donovana i trójki innych pracowników, którzy w skupieniu obsługują komputer, teleks i telefony, cały system przestałby funkcjonować.

- Ile masz w ruchu? - spytał Sagadore.

- Dziewięć - odparł Donovan. - Godziny szczytu. Zaraz parę odpadnie. Na razie

“Metroliner”, “Bankier”, “Kupiec”, “Clocker” i “Montrealczyk” jadą na północ; “Mount Vernon”, “Kupiec Bostoński”, “Connecticut Valley” i “Bay State” - na południe. Minie parę godzin i na tablicy nie zostanie prawie nikt prócz ciebie.

Donovan miał tu na myśli “Nocną Sowę” - pociąg, który barczystego szefa ochrony pozbawiał niedzielnego wypoczynku już od trzech lat, czyli od momentu objęcia stanowiska szefa Operacji Specjalnych. Prócz nadzorowania przesyłki Rezerwy Federalnej i stadka dyplomatów w wagonie sypialnym na końcu pociągu, Sagadore musiał pełnić funkcję łącznika między różnymi formacjami policji federalnej, stanowej i miejskiej, o tajnych służbach nie wspominając. Przez całe trzy lata nie wydarzył się ani jeden incydent, ale chyba właśnie dlatego gliniarzy ogarniała coraz większa paranoja. Jeden z tajniaków pilnujących wagonu z dyplomatami zwierzył się kiedyś Frankowi Sagadore, że jego praca przypomina czuwanie pod wulkanem. Z góry wiadomo, że coś musi się zdarzyć, a im dłużej człowiek tkwi w tej robocie, tym większe prawdopodobieństwo, że coś mu się przytrafi.

Sagadore spojrział na zegarek. Ciągle jeszcze miał czas, by skoczyć do Paddy'ego na porcję zupy rybnej, zanim zamkną lokal, przy tym była to ostatnia szansa na opuszczenie dworca: wkrótce Frank nie będzie mógł nigdzie się ruszyć aż do chwili wjazdu “Nocnej Sowy” do Bostonu za dziesięć ósma rano. Perspektywa spędzenia całej nocy na służbie wydawała mu się niedorzecznością, bo przecież nawet gdyby coś się stało z pociągiem, niewiele mógłby poradzić, mimo że według przepisów odpowiada za “Nocną Sowę” od chwili odjazdu aż do końca trasy na Dworcu Południowym w Bostonie.

Frank wstał, wrzucił kubek po kawie do kosza przy krześle Donovana i na razie pożegnał się z operatorem. Kilka minut później przecinał rozległą płaszczyznę górnej hali podziemnego dworca, kierując się w stronę ruchomych schodów, które miały go przenieść na poziom ulicy.

Do roku 1966 dworzec Penn Station był zwykłą naziemną stacją końcową; jednych kłuł w oczy brudem i szpetotą, inni uważali go za zabytek historyczny. Zatriumfował w końcu pęd do zmian oraz dostępność funduszy i potężny masyw dworca został wyburzony, na jego miejscu zaś stanął lśniący monolit nowego Madison Square Garden. Dworzec zepchnięto do podziemi. W roku 1976 Amtrak wszedł w posiadanie podziemnego obiektu i wyłożył prawie milion dolarów na renowację, czyli generalne czyszczenie, naprawy instalacji w tunelach i odszykowanie górnej i dolnej hali dworca, gdzie otwarto butiki, restauracje, kawiarenki, a na dole bar Amtraku dla podróżnych.

Nowy dworzec, zupełnie pozbawiony romantycznego charakteru, był czynny całą dobę i w ciągu tego czasu sprawnie obsługiwał siedemset pięćdziesiąt pociągów, w tym cztery linie metra podległe Zarządowi Transportu Miejskiego. Jak twierdzili starzy wyjadacze zatrudnieni w brygadach naprawczych, jedyne co zostało ze starego dworca, to plaga szczurów w przewodach ogrzewczych. Zdaniem weteranów szczury osiągały wielkość małych psów i gdy tylko człowiek się zagapił, potrafiły odgryźć mu palec. Sagadore wierzył

tym opowieściom, gdyż zaraz po objęciu funkcji Szefa Operacji Specjalnych przejrzał plany fundamentów budowli i zdumiał go widok pogmatwanego labiryntu opuszczonych tuneli i kanałów, które kryły się za nowoczesną fasadą.

Jadąc w górę ruchomymi schodami, szef ochrony odwrócił się, by ogarnąć spojrzeniem halę dworca. Rozległe nisko sklepienie wewnątrz było prawie puste. Wśród wychodzących z metra zauważył kilka znajomych postaci. Pojawił się Benny - wychudzony czarny kieszonkowiec, jak zwykle w płaszczu przeciwdeszczowym, potem Księżniczka Hattie

- przedstawicielka nurków śmietnikowych, którzy dworzec Penn Central uważają za swój dom i jednocześnie łowisko. Pokazała się też mała grupka Portorykańczyków ubranych w wyblakłe dżinsowe spodnie i kurtki. Sagadore uśmiechnął się mimo woli: nie miał cienia wątpliwości, że chłopcy chowają po kieszeniach pojemniki farb w aerozolu i za parę minut zaczną ozdabiać ściany wagonów metra, które wjadą na stację w podziemiach. Wcale nie pobrażał wyskokom twórców graffiti, jednak w porównaniu z masą przestępstw popełnianych w okolicy owo wykroczenie wydawało się całkiem niewinne. Gdyby sen z powiek spędzali mu jedynie przestępcy z puszką farby w ręku, nie musiałby codziennie przeżuwać dwóch porcji preparatu Tums na zahamowanie choroby wrzodowej.

W każdy ranek czy popołudnie Sagadore musiał stawić czoło tuzinowi problemów.

Oprócz zadań w rodzaju pilnowania "Nocnej Sowy" miał na głowie sprzedaż biletów, odbieranie gotówki z kas, hordy kieszonkowców grasujące na piętrowym parkingu Penn Plaża, napady i zuchwałe kradzieże, wybijanie szyb w sklepach i restauracjach górnej hali dworca, do tego dochodził problem takiej liczby włóczęgów, narkomanów, zbrojców i psychopatów, że w głowie się nie mieści. Frank myślał sobie czasem, że dwa lata spędzone w Sajgonie, gdzie pracował jako śledczy w biurze Inspektora Generalnego, to był urlop wypoczynkowy.

Dotarł do szczytu schodów, minął oszklone drzwi i wyszedł na plac. Za jego plecami wznosiły się ogromne budowle Madison Square Garden z wieżą biurowca i tysiące okien lśniły złotym blaskiem ostatnich promieni słońca. Przeniknął go chłód wieczornego powiewu, kiedy skręcał w ulicę Trzydziestą Czwartą modląc się po cichu, by nadchodząca noc upłynęła bez większych wydarzeń.

Mark Cavendish wyglądał przez okno, chociaż w szybie nie dało się dostrzec niczego prócz odbicia jego twarzy i niezbyt wyraźnych świateł północnej Filadelfii. Lubił podróżować samotnie, a przednie fotele pierwszego wagonu "Nocnej Sowy" zazwyczaj pozostawały puste. Tym razem jednak ktoś usiadł obok, chociaż z tyłu było mnóstwo wolnych miejsc.

Mark miał zamiar się przesiąść, jednak stosowana od ponad dziesięciu lat żelazna zasada niezwracania na siebie uwagi kazała mu zostać na miejscu. Zresztą podróżny z sąsiedniego fotela nie usiłował nawiązać z nim rozmowy. Ściągnąwszy ramiona Mark uniósł rękę i z kieszeni kurtki wyłuskał paczkę papierosów. Lekko postukał pudełkiem w obramowanie okna i napiąwszy mięśnie ramienia uniósł paczkę do ust, cały czas ze świadomością, że facet siedzący obok śledzi każdy jego ruch. Znów sięgnął do kurtki chowając papierosy. Zacisnął

stalowe kleszcze na zapalnicze Zippo, wyjął ją z kieszeni i potarł wieczkiem o spodnie, aż odskoczyło z cichym kłaśnięciem. Znów potarł zapalniczkę, tym razem po to, by kamień dał

iskrę, wreszcie przytknął płomień do papierosa. Zgasił zapalniczkę i odwracając kolejność czynności schował ją z powrotem do kieszeni. Przesunął lewą rękę po kolanie, żeby odwrócić dłoń, następnie

stalowymi szczypcami prawej ręki włożył papierosa pomiędzy dwa palce protezy w kształcie dłoni. Nareszcie, po serii skomplikowanych czynności, które normalny człowiek wykonuje bez zastanowienia, mógł zaciągnąć się papierosem. Teatr Okropności Marka Cavendisha - pomyślał z goryczą. Przedstawienie zafundowane przez rosyjski pocisk samosterujący SA-2 oraz poczciwy personel oddziału obustronnych amputacji w waszyngtońskim Szpitalu Weteranów.

W takich chwilach jak teraz, kiedy nic nie pochłaniało jego myśli ani nie rozpraszało uwagi, uświadamiał sobie, jak głęboko tkwi w nim gniew i zjadłość. Minęło dwanaście lat, a on wciąż zgrzytał zębami ze złości. Psycholodzy w Szpitalu Weteranów wytłumaczyli mu, że te reakcje są skutkiem półtorarocznej niewoli i z czasem ustaną, lecz już dziesięć lat temu Mark stwierdził, że to nieprawda. Obóz jeniecki był skutkiem, nie przyczyną. Gniew i rozgoryczenie zrodziły się ze świadomości, że jego poświęcenie na nic się nie zdało - nie dlatego, że Stany Zjednoczone w końcu przegrały wojnę, ale raczej z powodu niedorzeczności tej wojny. Drogo spłacił dług, którego nie zaciągał, i co gorsza nikt nie pokwitował mu wpłaty. Kiedyś wydawało mu się, że najgorszą rzeczą, jaka mogła mu się w życiu zdarzyć, jest utrata obu rąk do łokci, ale teraz już wiedział, że była to w sumie najmniejsza strata. Zabrano mu młodość, marzenia, perspektywy, których już nigdy nie odzyska. Wstąpił do marynarki jako osiemnastolatek i zanim nadeszły jego dwudzieste pierwsze urodziny, skończyło się życie. Sypiał wyłącznie z prostytutkami w Sajgonie, poza jednym wyjątkiem - dziewictwo stracił z dziewczyną z rodzinnego miasta - a po zwolnieniu z obozu jenieckiego nie miał już nawet ochoty płacić za seks, nie mówiąc o wiązaniu się z kimś na stałe. Poza tym jedyne zajęcie, do którego miał kwalifikacje - pilotowanie samolotów morskiego zwiadu - stało się dla niego nieosiągalne. Jak na ironię, jedyna praca, do której nadawał się po wyjściu ze szpitala, polegała na udzielaniu porad innym inwalidom wojennym i odtąd Mark tym właśnie się zajmował. Choć od formalnego zakończenia wojny minęło ponad dziesięć lat, on codziennie tkwił w niej pamięcią, podobnie jak inni fizycznie i psychicznie okaleczeni ludzie, którym starał się pomóc.

Cavendish ostatni raz zaciągnął się papierosem, potem chwycił niedopałek w stalowe kleszcze i wrzucił do popielniczki wbudowanej w poręcz, jednocześnie zauważając, że jego sąsiad już się wyniósł. Mark oparł się wygodnie w fotelu i zamknął oczy, pozwalając, by rytmiczne kołysanie pociągu łagodziło wewnętrzne napięcie. Teraz przynajmniej, w samotności, może trochę odpocznie.

- Która godzina? - spytał Harry Maxwell. Jego twarz, podświetlona od dołu latarką leżącą na podłodze wagonu bagażowego, robiła niesamowite wrażenie. - Za dwadzieścia pierwsza - odrzekł Daniel Pendergast, przekrzykując stukot kół pędzącego pociągu.

- Jesteś za wcześnie - stwierdził Harry, zajęty wyciąganiem reszty sprzętu z trumny.

Odchrząknął, sięgnął po zbiornik z podtlenkiem azotu na prowizorycznych szelkach i zaczął je zapinać.

- Obok mnie siedział facet, który napędził mi stracha - wyjaśnił Daniel, zabierając się do składania zjeżdżalni. - Zamiast jednej ręki miał metalowy hak, a drugą to chyba z plastiku.

Nie mogłem tego znieść. Wiesz, ja i bez tego się boję.

- Poza tym wszystko według rozkładu?

- Dwie minuty różnicy, zdaje się - odrzekł Daniel.

- Nie ma sprawy - mruknął Harry. Zapiął ostatnią sprzączkę. - Gotów, jasnie panie - powiedział odwracając się plecami, by Daniel mógł zobaczyć.

- Fantastycznie - stwierdził przyjaciel. - Wszystko masz? Harry pochylił się i sprawdził narzędzia przytroczone do pasa.

- Przecinak, nóż, szczypcy do prętów, imadło. Tak, wszystko. Daniel zerknął na zegarek.

- W porządku. Jest za piętnaście pierwsza. Masz jakieś piętnaście minut, potem przejeżdżamy przez Bristol. Wtedy musisz już być w środku. Brakuje nam tylko, żeby jakiś agent na stacji zauważył, że ktoś podróżuje na dachu.

Harry przytaknął ruchem głowy i ruszył w stronę przednich drzwi wagonu bagażowego. Odwrócił się, pomachał Danielowi i odsunął drzwi. Wszedł do przedsionka i przystanął, wpatrzony w odległe o jeden metr wejście do RPO. Wziął głęboki wdech, potem powoli wypuścił powietrze. Po drugiej stronie tych drzwi czeka nagła śmierć albo wielkie bogactwo. Kiedy stał, chwiejąc się na metalowym podeście między wagonami, niemal przytłoczył go ciężar ich przestępstwa. Spojrzał przez ramię na gładką płaszczyznę drzwi bagażówki. Gdy dostanie się na dach i uśpi gazem strażników, nie będzie odwrotu.

- To szaleństwo - wyszeptał, lecz jego słowa zagłuszył klekot i szum rozlegający się w przejściu między wagonami. Wreszcie zacisnął zęby i otrząsnął się z poczucia nieuchronnej klęski, które z łatwością mogło przerodzić się w panikę. Pochylił się, wyjmując z pochwy nóż z okazałym ostrzem.

Wbił nóż w grubą gumowaną tkaninę i zaczął ciąć w górę; ząbkowane ostrze bez trudu pruło przegub. W niespełną minutę zrobił dwumetrowe rozcięcie. Schował nóż, wyjął

szczypcy i rozpoczął przecinanie metalowych żeber u dołu nowo powstałego otworu. Metal był twardszy, niż Harry się spodziewał, i robota trwała do za dziesięć pierwsza, czyli trochę za długo. Wyjrzał przez dziurę mrużąc oczy; gwałtowny podmuch wiatru suszył mu strużki potu na czole i skroniach. Wparłszy się we framugę drzwi bagażówki, uniósł nogę w ciężkim sznurowanym bucie i oparł o ostatni z pionowych prętów. Podciągnął się i z całej siły pchnął

prostując kolana, rozparty pomiędzy drzwiami i prętem ożebrowania. Metal wygiął się, poszerzając przejście.

Wyciągnął z kieszeni kurtki plastikowe gogle używane przez sportowców i nałożył je, by chronić oczy przed wiatrem. Dał krok do przodu i wychylił się; w uszach grzmiał mu huk kół łomoczących po torach.

Najbardziej niebezpieczny miał być pierwszy ruch. Harry musiał złapać równowagę na przegubie, potem wyciągnął się, żeby oburącz chwycić pierwszy z poziomych uchwytów, o półtora metra od

niego. Jeżeli nie trafi, będzie za daleko wychylony, by wrócić do poprzedniej pozycji, i wpadnie między wagony. Nie ma powtórek. Zapiął ciasniej szelki od pojemnika, poruszył ramionami, żeby pojemnik na plecach wpasować sobie między łopatki.

Wreszcie postawił stopę na przegubie, chwiejąc się w rytm kołysania rozpędzonego pociągu.

Na zewnątrz panowała ciemność i tylko szczelne uchwyty prowadzące na dach RPO

połyskiwały w mroku. Z naprężonymi mięśniami i sercem podchodzącym do gardła, rozpostarłszy ręce, runął do przodu.

Dokładnie w tym samym momencie pociąg silnie zarzucił i Harry rozpaczliwie jął

wymachiwać rękoma, kiedy potworna ziejąca w dole czerń ruszyła mu na spotkanie. Jedna dłoń natrafiła na poręcz i zacisnęła się desperacko, ale skutek nagłego szarpnięcia stopy straciły oparcie na przegubie. Machnęło go w bok, na szczęście zdołał trafić drugą ręką na sąsiedni zaokrąglony uchwyt - zawisł więc z dyndającymi w powietrzu nogami. Miał uczucie, że siła ciężkości wyrwie mu ramiona ze stawów, lecz to, co go czekało, jeśliby puścił uchwyt, było okropniejsze od bólu. Z trudem podciągnął się, szukając stopami oparcia; pojemnik na plecach ciążył mu setką ton. Trafił wreszcie butem na dolny uchwyt i zgiętym łokciem uczeplił się poręczy na wysokości piersi, pozwalając nieco odpocząć mięśniom ramion.

Przez chwilę tkwił sztywno i z trudnością opanowywał przyspieszony oddech oraz dygotanie rąk i nóg. Wiedział, że szybko musi się stąd ruszyć, inaczej paraliżujący strach i chłód podmuchu przenikającego cienką tkaninę kurtki wywołają skurcz, który przygwoździ go do ściany wagonu. Jedną ręką sięgnął w górę, do następnego uchwyty. Kiedy już trzymał

go oburącz, zmusił się do postawienia nogi o szczebel wyżej. Wieczność minęła, zanim dotarł

do ostatniego uchwyty i podciągnął się na dach RPO.

Gwałtowny wiatr boleśnie gwizdał mu w uszach, a widok migoczących w oddali świateł i bezładne kołysanie wagonu pod nim powodowało skurcz w dołku. Ze stopami desperacko zaczepionymi o ostatni szczebel przywarł całym ciałem do dachu wagonu i jedną ręką sięgnął do butli na plecach, by zwolnić rurę wylotową przymocowaną do szelek.

Wpatrzony w ciemność, zdołał dostrzec po lewej niewyraźny zarys wylotu wywietrznika i uświadomił sobie, że aby tam sięgnąć, musi wpełznąć na dach, tracąc jakiegokolwiek oparcie.

Wziął głęboki wdech i odepchnąwszy się od uchwyty czołgał się centymetr po centymetrze, nie spuszczać z oczu wywietrznika - cały czas ze świadomością, że nie ma się czego chwycić. Jeśli pociąg wejdzie w gwałtowny zakręt, siła odśrodkowa porwie go z dachu.

Zacisnął zęby, klnąc w duchu swą wyobraźnię. Nie czas na żale, kiedy leży się plackiem na dachu pędzącego pociągu.

Dotarł do wywietrznika i rozcapierzonymi palcami chwycił się metalowej osłony, szczęśliwy, że ma

za co złapać. Wolną ręką podciągnął wylot rury i rozluźnił się nieco.

Uniósł brzuch, by sięgnąć po nóż do pochwy u paska. Podciągnął się jeszcze trochę do przodu i jednym zdecydowanym ruchem ciachnął wiązkę biegnących z wywietrznika przewodów.

Sznur skręconych drutów pękł i Harry odetchnął, z trudem wypuszczając powietrze. Nóż nie był mu już potrzebny, więc zamiast tracić cenne minuty na wetknięcie go za pas, wyrzucił go w ciemność. W ciągu całej tej operacji liczył w myślach sekundy, więc zdawał sobie sprawę, jak niewiele czasu zostało. Z grubsza licząc, ma niecałe pięć minut do przejazdu przez dworzec w Brighton, a opróżnienie pojemnika po odbezpieczeniu zaworu zajmie trzy i pół

minuty. Zostaje mu dziewięćdziesiąt sekund na zniknięcie z dachu RPO.

W dalszym ciągu jedną ręką uchwycony za obudowę wywietrznika, wcisnął wylot rury w głąb przewodu wentylacyjnego. Kiedy miał już całą jej długość w kanale, sięgnął po omacku, odnalazł niewielką dźwignię zaworu pojemnika i wcisnął do oporu, głośno licząc sekundy. Odliczył dwieście dziesięć, po czym dodał jeszcze dziesięć dla pewności. Przekonany, że pojemnik jest już opróżniony, puścił obudowę wywietrznika i począł odpinać szelki od butli na plecach. Niemal w panice przewrócił się na bok i nie bacząc na niebezpieczeństwo zrzucił z pleców ciężar. Przykurczony, uniósł się na kolana, którymi wpierał się w tańczącą pod nim powierzchnię dachu, następnie chwycił pojemnik z szelkami i z całej siły cisnął go jak najdalej, modląc się, by nie trafił w któryś z mijanych słupów linii wysokiego napięcia.

Nie sprawdzał, gdzie upadł pojemnik, tylko rozpląszczył się na brzuchu i zaczął pełznąć tyłem w stronę krawędzi dachu wagonu pocztowego.

Pod stopami wyczuł brzeg dachu, więc cofnął się dalej, szukając oparcia dla nóg.

Jednym butem trafił wreszcie na uchwyt i mało nie zemdlął z wielkiej ulgi. Serce waliło mu jak oszalałe, kiedy ześlizgiwał się z dachu i stopami wymacał kolejne uchwyty, aż wreszcie całkiem opuścił się na tył wagonu.

Teraz czekało go najbardziej przerażające zadanie. Z lewą stopą opartą na najniższej poręczy, uchwycony lewą ręką na wysokości piersi, odbił ukosem w prawo, w ciemną przepaść między wagonami, szukając pionowej dziury, którą wyciął w przegubie. Stopą wymacał otwór i wklinał się tam butem, rozciągnięty między dwoma punktami oparcia.

Cały zlany potem, ze spieczonymi wargami, czekał - i wtedy właśnie pociąg wszedł w niewielki zakręt. Szarpnięcie rozciągnęło Harry'ego jeszcze bardziej, lecz wykorzystując siłę odśrodkową mógł się przynajmniej odchylić, by prawą dłonią szukać w pustce uchwytu.

Palcami natrafił na brzeg rozdarcia, chwycił się go i zanim pociąg zdążył wyjść z zakrętu, puścił lewą dłonią górny szczebel, rzucił się przez otwór w przegubie i wylądował na metalowym podeście między wagonami, ciężko dysząc z ulgi po ogromnym napięciu.

Daniel złapał Harry'ego pod pachy i dźwignął do pozycji stojącej.



- O Jezu - wyszeptał ochryple. - Już myślałem, że cię tam szlag trafił albo coś. Mało nie straciłem głowy. Mamy pięć minut opóźnienia.

- Przykro mi - stęknął Harry, wciąż nie mogąc złapać oddechu. - Gotowe?

- Tak, masz.

Wręczył Harry'emu maskę, a swoją wcisnął na głowę, sprawdzając, czy dobrze przylega. Obie maski w zeszłym tygodniu podprowadził Martin Benovoy z karetki zaparkowanej przed Szpitalem Georgetown. Były to maski do użytku ogólnego, wyposażone w uniwersalny filtr. Martin zapewniał Harry'ego, że świetnie nadadzą się do tej roboty.

Daniel odczekał, aż Harry założy maskę, następnie wręczył mu średniej wielkości młot i przecinak ślusarski. Zbliżyli się razem do gładkiej płaszczyzny drzwi RPO. Harry przytknął przecinak do mechanizmu zamka i skinął głową na Daniela. Przyjaciel podszedł, chwycił prawą dłońią przecinak i usunął się w bok. Harry wziął głęboki wdech zasysając powietrze przez zawór maski gazowej i szeroko zamachnął się młotem. Siła ciosu wgniotła grubą blachę, która popękała w kilku miejscach, lecz zamek nie puścił.

- Jeszcze raz - poradził Daniel głosem stłumionym przez maskę. Harry uniósł młot i ponownie zamierzył się z całej siły. Rozległ się głuchy szczęk, zamek wpadł przez wybitą dziurę do środka. Harry rzucił młot na podłogę i chwycił w ręce łom, który Daniel trzymał za pasem. Naparł mocno. Drzwi odskoczyły. Odpędzając myśl o tym, co będzie, jeśli gaz nie zadziałał, Harry przestąpił próg RPO z łomem w garści, a tuż za nim podążył Daniel. - O

kurwa - wyszeptał Harry i stanął jak wryty. Łom z brzękiem wyleciał mu z rąk, w których stracił czucie.

Wnętrze RPO to była jatka. Na bocznej ścianie widniały wielkie krwawe rozbryzgi aż po sufit, jeszcze więcej krwi zebrało się w kałużach wokół dwóch mężczyzn. Jeden leżał na podłodze - tułów prawie całkiem bez głowy, wokół szyi rozlany śluz z szarą mazią, niczym odrażająca aureola; drugiego rzuciło na stół ze sprzętem radiowym - lewą rękę i ramię miał w strzępach, a sklezione zakrzepłą krwią włosy zasłaniały twarz. Ciało trzeciego znajdowało się na podłodze cztery metry dalej; obok nieruchomej dłoni leżał policyjny karabinek Siles z niklowaną lufą i rękojeścią z tworzywa. W przeciwieństwie do pozostałych, ubrany był od stóp do głów na czarno - sznurowane wojskowe buty, spodnie spadochroniarskie, czarna koszula i kurtka komandosa.

Dwaj przyjaciele stali jak sparaliżowani, z napiętymi mięśniami nóg, odruchowo balansując w rytm kołysania wagonu. Harry poczuł skurcz w żołądku i przez chwilę zbierało mu się na wymioty. Z trudem przełknął ślinę, wodząc wokół oczami, a jego mózg stopniowo ogarniał potworność otaczającej go rzeczywistości.

- Chyba się porzygam - jęknął Daniel stając obok niego.

- Musimy stąd wiać - rzekł Harry gardłowo.

- Co?

- Musimy wiać - powtórzył Harry, czując jak rosnące przerażenie ścisła mu wnętrzności i chwytła za gardło. Cofnął się o krok, nie mogąc oderwać oczu od pokrwawionych trupów. - Ja tylko chciałem obrabować pociąg - szepnął. - A to... to jest...

- Morderstwo - dopowiedział Daniel.

- Kto? - spytał Harry.

- Nie wiem - odrzekł przyjaciel. - Czy to ważne? - Wziął głęboki przerywany wdech. -

Wiem tylko, że tego nie było w planie, Harry. Wdepnęliśmy w jakieś wielkie gówno.

- Ten gość na ziemi ma broń, a jego ubiór mówi mi, że to niebezpieczny gość. On może mieć kumpli - stwierdził Harry.

- Żyje?

- Nie wiem - odparł Harry. - Jezu! Co my teraz zrobimy?

- Tak jak mówiłeś. Zrywamy się. Przechlapane, Harry. Wsiadka. My nie gramy w tej lidze. Mój zyciorys przestępczy właśnie dobiegł końca. *Finito*. Teraz, już. Glina za tymi drzwiami to byłby dar opatrności.

- Muszę się skupić - rzekł Harry. - Wracamy do bagażówki.

- Prowadź - powiedział Daniel.

Wycofali się; Harry zamknął drzwi RPO najlepiej jak umiał. W wagonie bagażowym zdjęli maski i zaczęli przebierać się w rzeczy, które Harry dostarczył w trumnie. Trzy minuty później stali przy drzwiach przejścia z wagonu bagażowego do pasażerskiego. Harry spojrzał na zegarek.

- Dziesięć po pierwszej - powiedział cicho. - Tucker wyjdzie z przedziału dopiero za jedenaście minut.

Sięgnął dłonią do klamki.

- Zaraz, czekaj - powstrzymał go Daniel. - Trzeba się zastanowić. Powiedzmy, że ten facet, cośmy go uśpili gazem, ten uzbrojony, nie działał sam. Gdzie w takim razie są jego kumple?

- Albo w pociągu, albo czekają na stacji - odrzekł Harry.

- Albo i tu, i tam - zauważył Daniel. - Obmyśliliśmy plan, jak wyjąć forszę z pociągu, i wygląda na to, że oni tak samo.

- Przeoczyłeś coś oczywistego - powiedział Harry drżącym głosem, mając wciąż przed oczyma

straszliwy widok zabitych w wagonie RPO. - Facet z bronią miał w dupie, czy rozpieprzy radio, czy nie, a mogę się założyć, że oni wiedzieli, iż strażnicy regularnie nawiązują łączność. Następna transmisja przewidziana jest o pierwszej dwadzieścia sześć, więc cokolwiek oni tam planują, nastąpi w ciągu najbliższych dziesięciu minut, a ty i ja stoimy temu na drodze. Ja tam nie czekam na Adriana i jego występ. Spływam stąd w tej chwili.

Nacisnął klamkę i odsunął drzwi. O metr dalej, przez szybę w drugich drzwiach, widać było oświetlone wnętrze pierwszego wagonu.

- I co teraz? - spytał Daniel, stając tuż za Harrym w przejściu, gdzie pęd pociągu dawał się we znaki hałasem i kołysaniem.

- Wchodzimy na bezczelnego - odparł Harry. - Siadamy na pierwszych z brzegu wolnych miejscach. Kiedy pociąg stanie w Princeton Junction dla wyładunku naszej trumny, wysiadamy. Benovoy powinien już dojechać. Wskakujemy do karawanu i jazda, *pronto*.

- Złapią nas - powiedział Daniel.

- Być może - rzekł Harry. - Ale jeśli tu zostaniemy, jest duże prawdopodobieństwo, że nas zabiją. Wybieraj.

- No dobra - mruknął Daniel. - Pierwsze dwa fotele po lewej powinny być wolne.

Harry kiwnął głową i pierwszy ruszył do drzwi, odsunął je, po czym obaj weszli do wnętrza wagonu. Parę osób odruchowo podniosło głowy, żeby spojrzeć na wchodzących, lecz nikt nie przejawiał większego zainteresowania. Na uginających się kolanach Harry z Danielem wśliznęli się na dwa miejsca z lewej strony, gdzie usiedli sztywno, sprężeni jak do skoku.

Przez dłuższą chwilę wstrzymywali oddech czekając. Nic się nie wydarzyło. Żadnych krzyków, nawoływań, nic.

- Która jest? - spytał Harry. Daniel spojrział na zegarek.

- Siedemnaście po pierwszej.

- Dobrze. Jeśli nie mamy opóźnień, znaczy, że za dziewięć minut będzie Princeton Junction. Trumna jest otwarta, narzędzia i inne kłopoty walają się po całej podłodze.

Natychmiast będzie wiadomo, że coś jest nie tak.

- No więc? - spytał Daniel.

- Jesteśmy za blisko miejsca zbrodni - rzekł Harry. - Myślę, że powinniśmy zostać tu jeszcze przez parę minut, a potem wynieść się do przedziału Adriana. Jeżeli wysiadzimy z dalszego wagonu, mamy jakieś szansę.

- Co mu powiemy? - dopytywał się Daniel.

- Prawdę. Jeśli ma trochę oleju w głowie, zostanie w pociągu aż do Nowego Jorku.

Możemy zabrać mu radio i inne rzeczy. Wtedy nic nie będzie łączyć go z tym, co się stało w wagonie pocztowym.

- O ile ci inni się wpiernie nie ujawnią - zauważył Daniel.

- Módlmy się - mruknął Harry przypalając papierosa.

W tym samym momencie młody człowiek w sportowym ubraniu i ze skórzanym neseserem w ręku minął ich siedzenia i zatrzymał się przy kranie z wodą pitną obok toalet.

Postawił neseser, przytrzymał go nogą i napełnił wodą papierowy kubek. Napił się, podniósł neseser i balansując nim na uniesionym kolanie otworzył oba zamki.

- Cholera - wyszeptał Harry i aż go skręciło, kiedy uświadomił sobie, co się zaraz stanie.

Młody człowiek odchylił pokrywę neseseru, sięgnął do środka i wyjął pistolet maszynowy Valmet o krótkiej lufie. Jednym ruchem zrzucił na ziemię neseser, stanął w rozkroku i unosząc w górę czarny pistolet odbezpieczył go wolną ręką. Kiedy przemówił, jego głos miał wyraźnie obcy akcent:

- Panie i panowie, proszę o uwagę.

Odczekał, aż ludzie podniosą głowy i zobaczą mężczyznę w dzinsach "Ralph Lauren"

z automatem w rękach. Rozległ się szmer rozmów, które umilkły, kiedy wycelowana lufa pistoletu Valmet przesunęła się wzdłuż rzędów foteli. Wszyscy natychmiast utkwili wzrok w mężczyźnie, który znów zabrał głos.

- Dziękuję państwu. Chciałbym ogłosić komunikat. Pociąg znajduje się odtąd pod kontrolą Armii Ludu Świata. Każda próba naruszenia tej kontroli będzie surowo stłumiona.

Proszę zachować spokój. Nie mamy zamiaru nikogo krzywdzić. Wolno państwu rozmawiać między sobą, ale pod żadnym pozorem nie należy opuszczać swoich miejsc, aż do następnego komunikatu. Za kilka minut wydam kolejne dyspozycje. Dziękuję.

Zachowując czujność mężczyzna przeszedł wzdłuż wagonu i zniknął. Harry z Danielem siedzieli nieruchomo, wpatrując się w ścianę.

- Cholera - powtórzył Harry przyciszonym głosem.

- No - przyznał Daniel Pendergast.

Frank Sagadore siedział obok Maca Donovana przy Głównej Tablicy Rozdzielczej w Centrum Kontroli Ruchu i kątem oka obserwował labirynt linii i światełek na ściennym schemacie. Przed pięcioma minutami Sagadore sprawdzał swój rozkład dyżurów i zastanawiał

się, co zrobić, żeby sen go nie zmorzył w ciągu długiej nocy - lecz teraz całkiem opuściła go senność: koncentrował się, zaciskając zęby, a skurcz żołądka kazał mu żałować wieczornej wyprawy do Paddy'ego na talerz zupy rybnej.

- Gdzie są? - spytał Donovan.

Operator wyciągnął dłoń i wcisnął guzik na tablicy przed sobą. Natychmiast zapłonęło czerwone światełko na ściennym schemacie. - Za Princeton Junction, ze dwa kilometry przed Monmouth. Zawiadowca w Princeton Junction czekał na specjalny postój, ale oni przejechali nawet nie zwalniając. Próbuje wywołać maszynistę, ale bez skutku.

- Lotna też nie może ich złapać - dodał Sagadore.

- W kabinie musi być ktoś obcy - stwierdził Donovan. - Przed trzema minutami pociąg zwolnił. Robi teraz nie więcej jak pięćdziesiąt na godzinę.

- Ale się nie zatrzymywał?

- Jeszcze nie - odparł Donovan.

- Kto prowadzi?

- Charles McClure. On jeździ od dwudziestu lat. Linia Penn Central, a teraz Amtrak.

Niezawodny facet.

- A co to za jeden, ten Devine? - spytał Frank Sagadore. - Wiesz coś o nim?

- Jeszcze nie - odrzekł operator. - Ale wiedziałem, że będziesz chciał go sprawdzić, więc zadzwoniłem do kadr, żeby przynieśli jego teczkę.

- Jak sądzisz, o co tu może chodzić? - spytał Sagadore. Otyły operator wzruszył

ramionami.

- Nie mam zdania - odparł po namyśle. - Możliwe, że radio wysiadło. Czasem sieć trakcyjna tłumi sygnał, ale wątpię, czy tym razem. Niepokoi mnie zmniejszenie prędkości.

McClure wie, że zwalniając biegu pociągu, można wywrócić rozkład w Korytarzu do góry nogami. On by nie zwolnił bez cholernie ważnego powodu, więc pewnie znalazł się taki powód.

Donovan wskazał ręką ścienny schemat. - Ma zielone światła aż do Newark.

- Nawaliły silniki?

- Silniki i radio? - operator potrząsnął głową. - W żadnym wypadku.

- Więc?

- Coś mi mówi, że to nie McClure prowadzi pociąg.

Donovan odwrócił się twarzą do Sagadore'a, łypiąc na niego zza grubych szkielek.

Odezwał się telefon przy łokciu Donovana i operator podniósł słuchawkę. Wysłuchał wiadomości i odłożył ją z powrotem.

- Dzwonili z łączności z pokoju obok. Włączył im się sygnał na częstotliwości kabiny "Nocnej Sowy". Kazałem im przyjąć i przełączyć tutaj.

Sięgnął na koniec pulpitu, przełączył parę guzików i wskazał palcem telefon stojący koło Franka Sagadore'a. Szef ochrony podniósł słuchawkę, a Donovan wcisnął kilka innych guzików. W tej samej chwili rozległ się głos dobiegający z głośników pod sufitem.

- Tu kabina maszynisty "Nocnej Sowy". Z kim rozmawiam? Głos był stłumiony; jego brzmienie nie dawało żadnych wskazówek co do wieku mówiącego, narodowości czy nawet płci.

- Tu Frank Sagadore, służba ochrony.

Sagadore widział, jak po prawej młody człowiek w koszuli z krótkimi rękawami włącza duży magnetofon Ampex, służący do rejestracji wszystkich rozmów prowadzonych pomiędzy obsługą pociągów i Centrum Kontroli Ruchu.

- Podejrzewam, że zajmuje pan w Amtraku stanowisko z szerokimi uprawnieniami?

- Póki co, nadam się - odparł krótko szef ochrony. Zmarszczył brwi. Głos brzmiał zdecydowanie, lecz miał w sobie coś kobiecego. Kobieta? Przy tym dobór słów był interesujący. Jak gdyby rozmówca nie posługiwał się angielskim na co dzień.

- Panie Sagadore, jak panu zapewne wiadomo, "Nocna Sowa", pociąg Amtraku numer 66, nie znajduje się już pod pańską kontrolą. Mówiąc wprost, został porwany.

Sagadore zmusił się do milczenia. W takich sytuacjach lepiej, żeby rozmówca powiedział jak najwięcej. Nastąpiła krótka przerwa wypełniona trzaskami w słuchawce, wreszcie głos odezwał się znowu:

- Pański pociąg przejęli członkowie Armii Ludu Świata. Jak dotąd nikomu nic się nie stało i nie stanie się, jeśli postąpi pan według instrukcji.

Frank Sagadore przycisnął ramieniem słuchawkę do ucha i sięgnął po blok notatnika.

Nabazgrał tam parę słów i pokazał kartkę Donovanowi. "Złap tajne służby w Waszyngtonie i okręgowe biuro FBI". Donovan przeczytał wiadomość, kiwnął głową i dał znak swoim ludziom.

- Na razie - ciągnął głos - wystarczy, żeby pan wiedział, że bez trudu możemy zabić jednocześnie wszystkich pasażerów "Nocnej Sowy". Zakładam, że zawiadomił pan już FBI i tajne służby albo zrobi pan to za chwilę. Kiedy się pan z nimi spotka, może pan powiedzieć, że w całym pociągu rozmieściliśmy miny przeciwczołgowe DTAT z automatycznym zapłonem. W drzwiach wagonów założone są miny przeciwpiechotne PRB-413, a otoczenie pociągu sprawdzamy przenośnym radarem. Jakakolwiek próba przechwycenia pociągu spowoduje natychmiastową śmierć wszystkich pasażerów, podobnie jak wszelkie działania niezgodne z naszymi instrukcjami. Czy pan rozumie?

- Rozumiem - odrzekł szef ochrony. - Co to za instrukcje?

- Na razie zajmie się pan jedynie trasą przejazdu pociągu.

Tu nastąpiła krótka pauza, jak gdyby rozmówca na coś czekał lub konsultował się z inną osobą.

- Zgoda - powiedział Sagadore. Po kilku sekundach głos powrócił:

- Dopilnuje pan, by pociąg otrzymał bezwzględne pierwszeństwo przejazdu na następującej trasie. Obecny tor aż do Elizabeth w New Jersey. Z Elizabeth do Summit po torze Rahway Valley i Consolidated Rail. Z Summit do Morristown i Denville linią Consolidated Rail, następnie na wschód linią Conrail do Lake Hopatcong i Andover Junction.

Stamtąd tor Consolidated powinien być wolny aż do Albany. Wtedy otrzyma pan dalsze informacje. Zdajemy sobie sprawę, że operator w Centrum Kontroli nie może bezpośrednio sterować ruchem na większości wymienionych odcinków, ale przecież ma pan mnóstwo czasu, by powiadomić okręgowych operatorów teleksem lub telefonicznie. Pański operator będzie miał ułatwione zadanie wiedząc, że poruszamy się ze stałą prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę aż do rozjazdu w Andover. Czy są jakieś pytania?

Sagadore spojrzał na Donovaną. Operator potrząsnął głową.

- Nie - odpowiedział Frank.

- To znakomicie - oświadczył głos. - Następną transmisję przewidujemy po wjeździe pociągu do Andover. Jeszcze raz podkreślam, że wszelkie próby zatrzymania lub zmiany trasy pociągu spowodują natychmiastową egzekucję wszystkich pasażerów. Dziękuję.

Rozległ się trzask, a potem zwykły głuchy szum w głośnikach. Frank Sagadore przyglądał się trzymanej w ręku słuchawce, wreszcie odłożył ją na widełki. Zwrócił się w stronę Donovaną:

- O co tu chodzi? - spytał.

- Omija Nowy Jork - odparł operator. Brzuchaty mężczyzna postukał chwilę w klawisze przed sobą i na ściennym schemacie zapalił się rząd czerwonych światełek. - On tak to obmyślił, że ominie nawet Newark. Patrz - powiedział Donovan wskazując rząd żaróweczek. - Odskoczy na północ, do

Denville, potem na zachód, do Lake Hopatcong i Andover Junction. Gdyby pojechał na południe, ta linia zaprowadziłaby go z powrotem do Nowego Jorku. A z północy ma otwartą drogę do Troy i Albany.

- Czyli to są dwie możliwe stacje docelowe? Donovan wzruszył ramionami.

- Niekoniecznie - odrzekł. - On może jechać dalej na północ, aż do Rouses Point i dalej do Kanady, albo krążyć po którejś ze stu linii w górnym stanie Nowy Jork. Kto wie, czy on w ogóle dokądś zmierza? Może będzie sobie jeździł, aż dostanie to, o co mu chodzi?

- Wszystko jedno - powiedział Sagadore. - Jezu kochany! Przesyłka dla banków Rezerwy Federalnej, do tego wagon pełen dyplomatów!

- Znajdziesz się na pierwszych stronach gazet, Frank, i w dzienniku o szóstej -

mruknął Donovan. - Wcale ci nie zazdroszczę.

- No tak - westchnął Sagadore. - Właściwie powinienem znajdować się w tym pociągu. Wtedy bym przynajmniej wiedział, co tu, u diabła, jest grane.

Spojrzał na zegarek. Minął niecały kwadrans od chwili, kiedy przełączono mu tamtą rozmowę.

- Gdzie teraz są? - spytał Donovana.

- Kilometr, dwa za Nowym Brunszwikiem. Koło trzydziestu kilometrów od rozjazdu w Elizabeth. Wtedy właśnie stracę nad nim kontrolę. Jeżeli nie przekroczy pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, przejazd zajmie mu prawie czterdzieści minut.

- To już jest coś - mruknął Sagadore. - Można chociaż złapać oddech. - Zmarszczył

brwi w skupieniu. - Słuchaj - odezwał się w końcu. - Muszę iść pogadać z FBI. Pewnie już mi obsiedli biuro. Mógłbyś zlecić swoim ludziom, aby zadzwonili do rezerwacji? Będziemy wiedzieli, kto jedzie tym pociągiem.

Donovan przytaknął.

- Nie ma sprawy. Za dziesięć minut dostarczą ci wydruk.

- To świetnie - odpowiedział szef ochrony podnosząc się z miejsca. - Potrzebuję też kopii tej taśmy, jak najszybciej. I jeżeli coś się zmieni w zamiarach pociągu, natychmiast dasz mi znać, dobrze?

Znów zerknął na zegarek. Była pierwsza czterdzieści sześć w nocy.

## **ROZDZIAŁ 6**

**Poniedziałek, 27 czerwca**



# Godz. 1.52 czasu wschodniego

**Odległość: 192 mile/307 km**

Annalise Shenker siedziała rozparta w jednym z foteli przedziału A na końcu wagonu panoramicznego w składzie "Nocnej Sowy" i marszcząc brwi czytała raport przypięty do okładki trzymanej na kolanach. W drugim fotelu Mohamed Kawi, libijski spec od materiałów wybuchowych obdarzony nosem przypominającym dziób jastrzębia, cierpliwie czekał

podparłszy brodę pokrytą ciemnym zarostem długimi kościstymi palcami. Ubrany w znakomicie dopasowany garnitur dżinsowy i białą koszulę z krawatem z jedwabnej surówki, Kawi zdecydowanie odbijał wyglądem od Shenker, która miała na sobie obcisłe dżinsy, spłowiały podkoszulek i fabrycznie wytartą dżinsową kurtkę. Ale nawet w takiej oprawie mroczna uroda Shenker rzucała się w oczy i nie po raz pierwszy Libijczyk zastanawiał się, jak to możliwe, by tak atrakcyjna kobieta miała w sobie tyle zimnej bezwzględności - nie dorównywał jej w tym żaden ze znanych mu mężczyzn. Większość ludzi z ich kręgów uważała ją za lesbijkę, lecz Kawi z własnego doświadczenia wiedział, że jest ona wyłącznie heteroseksualna. I to w takim stopniu i natężeniu, że Kawi usilnie starał się unikać sytuacji, które mogłyby zaprowadzić go do jej łóżka. Używała seksu tak, jak inni używają narkotyków.

Jednak była zdecydowanie najlepszym dowódcą, z jakim kiedykolwiek przyszło mu współpracować.

Zdecydowanym ruchem dłoni Shenker odrzuciła do tyłu długi kosmyk kruczoczarnych włosów i podniosła wzrok znad kartki. - Proszę o raport sytuacyjny -

zażądała szorstko po angielsku, z wyraźnie obcym akcentem.

- Pociąg zabezpieczony - odrzekł Kawi. - Dieter zorganizował centrum komunikacyjne w przedziale A następnego wagonu. Ustawił dwa radary i tam sprawdza ich odczyt, poza tym robi nasłuch radiowy. Raoul pilnuje wagonów z przodu, a Sheila jest cały czas w kabinie z maszynistą. Lisa zajmuje się naszymi przyjaciółmi z kręgów dyplomacji.

Ładunki rozmieszczono tak jak kazałaś, a pasażerowie pod groźbą śmierci mają trzymać zasłonięte okna. Powiedzieliśmy też pasażerom, że kilku z nas wmieszało się pomiędzy nich, żeby sprawdzić, czy wykonują polecenia. Jak dotąd nikt się nie ruszył, chodzą tylko do toalety.

- Amal się odezwał? - spytała Shenker.

- Nie - odparł Kawi. - Dieter mówi, że z wagonu ze strażnikami więcej nie nadawano, więc trzeba zakładać, że mu się powiodło.

- Nie będziemy niczego zakładać - przerwała Shenker lodowatym tonem. - Ludzie w wagonie Departamentu Skarbu byli uzbrojeni. Wraz z dwoma agentami tajnych służb obstawiającymi ten wagon stanowią największe zagrożenie dla naszej operacji. Mogli równie dobrze zabić Amalę. I teraz czekają, kiedy uderzyć.

- Nasz przyjaciel, "pan Biały", dostarczył Amalowi klucz do RPO od strony lokomotywy - rzekł Kawi. - Jeśli Amal żyje, to wie, że rozmieściliśmy już ładunki. Miał ze sobą radiotelefon, jak wszyscy. Jeśli ci dwaj strażnicy spróbują opuścić wagon, rozerwie ich na strzępy. To samo dotyczy lokomotywy. Sheila założyła dwa ładunki z przewodem od zapalnika w poprzek tylnych drzwi, jak tylko Amal przeszedł do RPO. Eksplozja zabije strażników, w najgorszym razie uszkadzając kocioł grzewczy. Strażnicy są w pułapce. Nie ma obawy.

- Nie ma obawy? Mohamed, w wagonie pocztowym jadą miliony dolarów.

Starczyłoby tego na sfinansowanie tuzina większych operacji. Akcja została podjęta właśnie ze względu na ten transport. Dyplomaci, których trzymamy jako zakładników, są jedynie atutem w rozmowach z władzami. Na razie niczego nie osiągnęliśmy, dopóki nie mamy w ręku tej przesyłki.

- Co proponujesz? - spytał Kawi. - Wiesz równie dobrze jak ja, że nie starczy nam ludzi do szturmowania wagonu pocztowego. Według moich obliczeń w pociągu jedzie około dwustu pasażerów, plus piętnastu kolejarzy z obsługi. Bez Amala jest nas zaledwie sześcioro. Atak może spowodować znaczne straty w ludziach. Pamiętaj, Annalise, że przed nami jeszcze długa droga. Daj na razie spokój strażnikom. Wystarczy, że są uwięzieni.

- To zbyt duże ryzyko, Mohamed. Usunięcie strażników było kluczowym punktem planu, wiesz o tym.

Rozległo się głośne podwójne pukanie do drzwi przedziału.

- Wejść - rozkazała Shenker. Mohamed Kawi poruszył się nieznacznie w fotelu i wyjął potężne Parabellum Interdynamic 9 mm z kabury pod marynarką. Odbezpieczył i wycelował groźną broń w stronę drzwi, które się powoli odsunęły i ukazał się w nich Dieter Haas.

- Co jest? - spytała Shenker.

- Amal - odparł Haas z kamienną twarzą. - Zgłosił się. Strażnicy wyeliminowani.

- Mówił, dlaczego to tak długo trwało? - wtrącił się Kawi.

- Nie. Ale chce, żeby Annalise przyszła zaraz do wagonu pocztowego. Powiedział, że mogą być pewne kłopoty. Miał niewyraźny głos. Niewykluczone, że jest ranny.

Niemka zastanowiła się chwilę, potem kiwnęła głową.

- Przyjdę. Mohamed - zwróciła się do Kawiego - wyjmij kajdanki z torby w przedziale B i niech Lisa przykuje naszych dyplomatów do foteli. Nie ma kogo z nimi zostawić. Jak zechce im się srać, niech robią pod siebie. Drobne upokorzenie wyjdzie im tylko na dobre.

Wstała, odwróciła się i sięgnęła na półkę bagażową nad kabiną toalety. Zdjęła miękką torbę podręczną ze znakiem firmowym Gucciego i umieściła ją na fotelu. Odpięła suwak i wyjęła jeden z pistoletów maszynowych typu Ingram MAC-11, zabranych z tajnego arsenału w St. Augustine. Zawiesiła go sobie na szyi i wypchała kieszenie kurtki zapasowymi magazynkami. Mimo woli Kawi poczuł, że jest podniecony. Uroda w połączeniu z bezwzględnością siłą niewątpliwie pobudza erotycznie.

Shenker widząc wyraz twarzy Libijczyka uśmiechnęła się z wyższością.

- *Int'a bela sharraf* - powiedziała po arabsku. - Wstydu nie masz. Wyszła z przedziału na korytarz za Dieterem Haasem. Ruszyli wzdłuż pociągu w stronę wagonu RPO.

- *Ai, Annalise, ne int'a khaater* - wyszeptał Kawi. - Ciebie lepiej się strzec.

Frank Sagadore wrócił do biura i w ciągu pięciu minut jego pokój wypełnił się tłumem urzędników kolei i przedstawicieli różnych służb policyjnych. Wobec tego Frank przeniósł

swój sztab operacyjny do pustej sali konferencyjnej na tym samym piętrze, gdzie działała ekipa Donovan. W czasie gdy szef ochrony usiłował zaprowadzić jakiś porządek pośród tuzina osób siedzących przy dużym owalnym stole, następna dwunastka zajęta była instalowaniem teleksu i radia, podłączonych do sieci Donovan, oraz baterii telefonów i urządzeń nagrywających. Zaaferowana krzątająca za stołem i bezładny rozgwar rozmów w każdej chwili groziły chaosem i Sagadore zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zrobi z tym czegoś natychmiast, nic z tego wszystkiego nie wyniknie. Wstał więc i rąbnął pięścią w blat stołu.

- Cisza, do kurwy nędzy! - ryknął. Natychmiast ucichło i twarze wszystkich obecnych zwróciły się w jego stronę. - Tak lepiej - stwierdził, w dalszym ciągu stojąc. - Chodzi o to -

ciągnął - że mamy tu wyjątkowo skomplikowany problem i żadne gadanie o podziale władzy czy kompetencji nic nie pomoże. Przejmuję funkcję szefa sztabu kryzysowego i wszyscy albo będą wypełniać moje polecenia, albo w tej chwili wyniosą się stąd w cholerę.

Powiódł wzrokiem dookoła stołu, lecz nikt się nie odezwał.

- No dobrze - mruknął i zajął miejsce siedzące. - Przede wszystkim proszę, żeby ktoś zanotował parę spraw. Boswell, póki co, ty się tym zajmiesz.

Skinął w stronę głównego zawiadowcy Penn Station, zwalistego mężczyzny w wygniecionym garniturze. Boswell wydawał się zaskoczony rolą, jaka mu przypadła, lecz nie protestował. Posłusznie przysunął do siebie blok notatnika i w milczeniu poszukał długopisu zatkniętego w kieszonce na piersi.

- Wysłuchajmy wpierw bieżącego raportu. W tej chwili najbardziej potrzebujemy wszelkich możliwych informacji. Rabinovich, pan reprezentuje Departament Skarbu.

Wysoki mężczyzna w czarnym garniturze, siedzący w połowie długości stołu po prawej ręce Sagadore'a, kiwnął głową, nerwowo stukając gumką od ołówka w leżące przed nim kartki.

- Wciąż nie mamy jasności - zaczął z wahaniem. - O ile nam wiadomo, wszystko przebiegało w miarę normalnie aż do chwili odjazdu pociągu. Pieniądze jak zwykle przeniesiono do wagonu Poczty Kolejowej w obrębie dworca przetokowego. Żadnych problemów. Wagon przetoczono, włączono do składu pociągu, i odjazd. Wszystko zgodnie z planem. Wysłaliśmy Lotną, Doddsa i MacMillana. Dwaj strażnicy z RPO regularnie nawiązywali łączność aż do Trenton. Wtedy straciliśmy kontakt. Powinni nadać sygnał tuż przed Princeton Junction, ale nie nadali. Widocznie na tym odcinku nastąpił

atak.

- Czy ktoś może mnie poinformować, dlaczego pociąg miał się zatrzymać w Princeton? - spytał czterdziestoparoletni mężczyzna siedzący naprzeciw Rabinovicha. Był to Wesler, dyżurny oficer z biura FBI na Manhattanie.

- Dla wyładowania trumny - odrzekł Vaughn, odpowiedzialny za rozkład ruchu na dworcu Penn Station. Przekartkował leżący przed nim plik wydruków komputerowych, wreszcie natrafił na ten właściwy.

- O, jest. Zlecenie z firmy "Ogrody Pamięci" Arlington. Trumna zawiera zabalsamowane zwłoki niejakiego Fredericka Dettricka przewożone z Waszyngtonu do Princeton Junction. Przesyłkę miał odebrać inny zakład. Salon Pogrzebowy Woodglen.

- Czy tego rodzaju rzecz jest normalna? - spytał agent FBI. Vaughn wzruszył ramionami.

- Coś takiego nie zdarza się zbyt często, ale się zdarza.

- Wszystko jedno, sprawdzę - oświadczył Wesler.

- Koniecznie - poparł go Sagadore. Przeniósł spojrzenie na Boswella, zawiadowcę. -

Terry, mógłbyś nam podać skład pociągu? Zorientujemy się z grubsza, co nas trafiło.

Główny zawiadowca odchrząknął nerwowo.

- Dziewięć wagonów. Lokomotywa F-40 PH elektryczno-spalinowa. Dwa pierwsze wagony to RPO i bagażowy. Potem dwa bez przedziałów, z miejscami siedzącymi, restauracyjny, trzy sypialne, jeden panoramiczny. Sypialne przejeżdżamy w spadku po liniach Penn Central, a obserwacyjny to Pullman Standard.

- Ilu pasażerów? - spytał Sagadore.

- Dwieście dwadzieścia pięć osób. Siedemnastu ludzi z obsługi, nie licząc strażników w RPO i dwóch tajnych agentów.

- A dyplomaci? - pytał dalej Sagadore. - Czy znamy ich nazwiska?

- Ja mogę je wymienić - zgłosił się mężczyzna z drugiego końca stołu.

- A kim pan właściwie jest? - zapytał szef ochrony.

- Moje nazwisko Anthony Neal, Tajne Służby Stanów Zjednoczonych - odparł mężczyzna.

- A gdzie Dempsey? - zdziwił się Sagadore. - To on jest moim łącznikiem.

- Dzwoni do Waszyngtonu - wyjaśnił Neal. - Jestem jego zastępcą.

- W porządku - kiwnął głową Sagadore. - Więc kto tam jedzie?

- Jest ich pięciu. Kiyoshi Katsuki, japoński przedstawiciel handlowy; Helmut Klassen, zachodnioniemiecki ambasador przy ONZ; Giuseppe Franchia z Waszyngtonu, włoski *attache* do spraw żeglugi; wielebny Davin Chilton, sekretarz ambasadora Watykanu przy ONZ; wreszcie generał Enrique Sanchez, argentyński minister obrony.

- Psiakrew! - zaklął Sagadore. - Same grube ryby.

- Najgorsze dopiero przed nami - zauważył Wesler. - Mogę się założyć, że wkrótce rozzwonią się telefony z wyrazami oburzenia od pięciu różnych ambasad.

- Nie chcę tu strugać waźniaka - powiedział Neal powoli dobierając słowa. - Obawiam się jednak, że przypuszczalnie kto inny przejmie prowadzenie sprawy, panie Sagadore. Nas też zresztą odsuną. Tu będzie decydował Sekretarz Stanu. Może wybuchnąć międzynarodowy skandal.

- Czyli dochodzimy do kwestii kontaktów z prasą - wtrąciła młoda kobieta z naprzeciwka. - Wkrótce nastąpi przeciek informacyjny i będziemy tu mieli straszny kocioł.

- To pani problem, pani jest rzecznikiem prasowym. A ja nie życzę sobie żadnych kamer w promieniu stu metrów od tej sali. Jeśli ktoś z obecnych przy tym stole coś chlapnie -

natychmiast mi podpada. Terroryci żyją z reklamy, a ja nie mam zamiaru im pomagać. Zrozumiano?

- Bardzo słusznie - odpowiedziała kobieta. - Ale proszę nie oczekiwać cudów. Nie jestem w stanie kontrolować działań innych firm czy agencji.

- Proszę się postarać - uciął szef ochrony.

- Zastanawia mnie jedno - odezwał się Wesler. - Dlaczego użył pan określenia

“terroryci”? A może to zwykli złodzieje?

- Złodzieje się nie ogłaszają i nie mają takiego wyposażenia - odparł Sagadore. - A ci mówili o minach, ładunkach wybuchowych i radarze.

- Może to blef? - wtrącił Neal.

- Chce pan zaryzykować? - spytał Sagadore. - Tu nasuwa się kolejna kwestia. Jeśli przyjmiemy, że ci ludzie są terrorystami, można również założyć, że to najwyższej klasy fachowcy. A takich nie ma zbyt wielu. W jaki sposób możemy dojść, z kim mamy do czynienia? Dowiedzieć się, kto stoi za Armią Ludu Świata?

- Można spróbować w USIST - zaproponował Wesler.

- A co to takiego, u diabła? - zdziwił się Sagadore.

- Amerykański Instytut Studiów nad Terroryzmem - wyjaśnił agent FBI. - Oni mają kartoteki na temat każdego specja w tej branży.

- Proszę znaleźć tam kogoś, z kim mógłbym pogadać. I to nie jakiegoś pierdołę. Chcę rozmawiać z kimś kompetentnym. - Sagadore powiódł wzrokiem wokół stołu. - Jeśli nie ma żadnych pytań, proponuję, żeby każdy wrócił do swoich obowiązków. Spotkamy się tu ponownie za godzinę. Gdyby ktoś mnie potrzebował, jestem pod telefonem.

Wstał z miejsca, lecz zatrzymał się pochylony nad stołem, z dłońmi opartymi na blacie.

- Jeszcze jedno. Nikt nie będzie tu działał na własną rękę. Jeśli wasi przełożeni będą się pieklić, przyślijcie ich do mnie. To jest sprawa Amtraku i ja tu decyduję, przynajmniej na razie. Jak się komuś nie podoba, niech się załapie na coś lepszego.

- Ostry jest, skurczybyk - mruknął Wesler, kiedy szef ochrony zniknął za drzwiami.

- Lepszy taki niż jakaś ciocia-klocia - zauważył Neal z Tajnych Służb.

O drugiej szesnastej "Nocna Sowa" wjechała na ostatni odcinek toru przed Elizabeth w New Jersey, uruchamiając sensor, który spowodował zapalenie światelka na ściennym schemacie - dzięki czemu operator Głównej Tablicy Rozdzielczej dowiedział się, że pociąg znajduje się o dwa kilometry od zwrotnicy przy wjeździe na tor linii Rahway Valley.

Donovan wcisnął guzik na swojej tablicy i zwrotnica przeskoczyła automatycznie.

O drugiej dwadzieścia, wciąż jadąc z umiarkowaną prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, "Nocna Sowa" skręciła w północne odgałęzienie głównej linii i wymknęła się tym samym spod bezpośredniej kontroli Donovana. Od tej chwili operator mógł posługiwać się wyłącznie teleksem i telefonem, by zapewnić właściwe ustawienie zwrotnic dla zmienionej trasy pociągu. Obszar pomiędzy Elizabeth i Newark pokrywała gęsta płatanina torów, niczym pajęczyna stalowych nitek oplatająca przemysłowe przedmieścia Nowego Jorku. Żeby spełnić żądania terrorystów dotyczące trasy przejazdu pociągu, należało porozumieć się z dziesiątkami zawiadowców poszczególnych odcinków. Donovan mimo woli czuł podziw dla autora planu porwania: samo przeprowadzenie pociągu przez gmatwaninę torów wymagało od operatora całkowitej koncentracji i nie zostawiało mu czasu na wymyślanie jakichkolwiek sztuczek, które mogły się marzyć Frankowi Sagadore. Operator patrzył na ścienny schemat, w którym światelka zmieniły kolor na zielony, zawiadamiając, że "Nocna Sowa" zoczyła z głównej linii - i zastanawiał się, czy pasażerowie w pociągu wiedzą o tym, jak mało można dla nich uczynić.

W kategoriach socjologicznych północnoamerykański pociąg pasażerski stanowi zamknięty system hierarchiczny, będący pomniejszonym odbiciem społeczeństwa kraju, który przemierza. Pasażerowie wagonów sypialnych, z obsługą i prywatnymi łazienkami do dyspozycji, stanowią warstwę

uprzywilejowaną i zwykle wagon restauracyjny odgradza ich od reszty pociągu. Klasy średnie i niższe podróżują w fotelach, a nad wszystkimi pasażerami czuwa personel pociągu, od kierownika i konduktorów począwszy aż po stewardów u dołu drabiny służbowej. Ów system, który ukształtował się wraz ze skonstruowaniem pierwszego slipingu z prawdziwego zdarzenia przez George'a Mortimera Pullmana w roku 1858, jest konserwatywny, elitarny, często nawet rasistowski. Lecz mimo to funkcjonuje sprawnie i w ciągu długich lat historii północnoamerykańskiego kolejnictwa zanotowano bardzo niewiele skarg. Porwanie pociągu przez Annalise Shenker i jej kompanów radykalnie odmieniło ten stan rzeczy, w każdym razie dla ponad dwustu pięćdziesięciu podróżujących "Nocną Sową"

osób.

Opuszczenie rolet okiennych, wymuszone przez porywaczy, całkowicie odcięło obsługę pociągu oraz pasażerów od świata; po zajęciu lokomotywy oficjalna władza kierownika pociągu i jego podwładnych stała się fikcją. Wszyscy podróżujący pociągiem -

zarówno personel, jak i pasażerowie - znaleźli się w tej samej sytuacji.

Poczucie bezradności i niemożności spotęgował komunikat, iż wśród pasażerów znajdują się inni członkowie terrorystycznej grupy, aby wykluczyć możliwość jakiegokolwiek współdziałania zakładników. Zamknięty system został zachowany, lecz zniesiono hierarchię.

Przestały działać wszelkie przepisy i zasady, z wyjątkiem groźby nagłej śmierci, której zapowiedź stanowiło uzbrojenie Shenker i jej kompanów. Shenker jeszcze bardziej skomplikowała ów stan rzeczy całkiem nieoczekiwanym posunięciem: zamiast nakazać wszystkim pasażerom, by pozostali na miejscach, zezwoliła im na poruszanie się po całym pociągu z chwilą, gdy rozmieszczono ładunki wybuchowe na drzwiach wyjściowych.

Z początku nikt nie próbował korzystać z pozornej wolności, lecz zanim pociąg zdążył dotrzeć do rozjazdu Rahway Valley, wagon restauracyjny wypełnił się tłumem zdenerwowanych pasażerów, którzy domagali się darmowych porcji alkoholu z zapasów firmy Amtrak. Jedynym dowodem na to, że dzieje się coś niezwykłego, była Sheila Teng pilnująca wejścia do tylnego wagonu panoramiczno-sypialnego: jej drobne dłonie ścisnęły samopowtarzalny karabinek Canadian Arsenals FN.

- No to nas zapuszkowali, co? - odezwał się Daniel Pendergast usadowiony na dolnej leżance w przedziale Adriana Tuckera. Harry Maxwell, który z papierosem w ręku przysiadł

na brzegu maleńkiej umywalki, wzruszył ramionami.

- Do diabła, mogło być znacznie gorzej - powiedział. - Przynajmniej możemy się przemieszczać.

- Ja tego nie rozumiem - stwierdził Tucker, wciśnięty w kąć leżanki, przebijając nerwowo palcami po zgiętych kolanach. - Dlaczego pozwalają nam chodzić, gdzie chcemy?

Bez sensu.

- Wcale nie - zaproponował Daniel. - To naprawdę cholernie sprytnie pomyślane. Tak czy inaczej,

mają nas w ręku. Nawet jeśli te ładunki albo inne miny na drzwiach są atrapami, nie sądzę, żeby komuś zachciało się wyskakiwać z pociągu.

- Najwyraźniej obmyślili wszystko, że mucha nie siada - wtrącił Harry Maxwell. - To nie porwanie samolotu, gdzie wszystkich trzyma się w kupie. Tutaj jedzie z dziesięć wagonów z podróżnymi. Z tego co widzę, oni nie mają tylu ludzi, żeby skutecznie upilnować taką gromadę rozproszoną po całym pociągu. Mogę się założyć, że ta gadka o terrorystach wmieszanych w tłum jest bujdą na resorach, ale nie zamierzam ryzykować. Nie da się ukryć, mają nas w garści.

- Nie rozumiem jednego... - rzekł Daniel. - Harry, sam powiedziałaś, że to nie porwanie samolotu. Pociąg musi się kiedyś zatrzymać, a jak stanie, zaraz opadną go gliny.

Cały ten pomysł to samobójstwo.

- Może - przyznał Harry. - Ale jak dotąd, świetnie sobie radzą, a ta czarnula w dżinsach, cośmy ją widzieli, kiedy szła do bagażówki, wygląda mi na cwana sztukę, nie tylko piękną. Możecie mi wierzyć, oni szykują tu większy numer.

- *A propos* kobiety w dżinsach, co będzie, kiedy zobaczy, że w wagonie z forszą jej kumpel kima sobie w najlepsze? Nie trzeba być geniuszem, żeby skapować, o co chodzi.

- To ją zaniepokoi - odrzekł Harry. - Stanowimy czynnik, którego oni nie brali pod uwagę.

- Jak myślicie, będą nas szukać? - spytał Daniel.

- Wątpię - odparł Harry. - W każdym razie niezbyt aktywnie. Tak jak mówię: nie mają ludzi. Ale oczy będą mieli otwarte. Co oznacza, że chyba powinniśmy pozbyć się radia i innych rzeczy, które mogą nas łączyć ze sprawą RPO.

- I co potem? - spytał Adrian Tucker głosem drżącym z niepokoju. - Będziemy tak siedzieć i czekać?

- Nie - oświadczył Harry pochylając się, by zgasić papierosa w ściennej popielniczce pod oknem. - Nie będziemy siedzieć i czekać. Tego nam nie wolno.

- Dlaczego? - zapytał Daniel. - Jeśli przycupniemy w kącie i nie będziemy rozrabiać, tamci potraktują nas jak zwykłych pasażerów.

- Nie przycupniemy w kącie, bo zanim będzie po wszystkim, coś może się komuś stać.

Może ucierpieć wiele osób. Nie mam pojęcia, czego żądają te świry, które porwały pociąg, ale macie to jak w banku, że ktoś prędzej czy później wezwie komandosów. A ci tutaj to banda czubków. Jacyś nawiedzeni. Może i puszczą pasażerów, ale równie dobrze mogą wysadzić nas wszystkich w powietrze, na większą chwałę ich zaszraną "sprawę", czegokolwiek ona dotyczy. W dodatku to wszystko mnie wkurza.

- Mianowicie? - spytał Daniel.



- Nadweręźaliśmy mózgownice, żeby dopracować ten nasz skok, i ja nie mam zamiaru się poddać. Chcę zdobyć tę forszę.

- Całkiem ci odbiło - nie wytrzymał Tucker.

- Nie, po prostu złość mnie bierze - powiedział Harry. - Tak czy owak, mam zamiar wyjść z tego cało i z czymś więcej niż dobry kawałek do sprzedania reporterom z tygodnika

“Time”.

- Co zatem proponujesz? - spytał Daniel marszcząc brwi.

- Kontratak - odparł Harry. - Oni przejęli pociąg i jak na razie wszystko im się udaje. -

Zapalił nowego papierosa i wydmuchał smuzkę dymu w stronę otworu wentylatora na suficie, po czym przyjrzał się dwóm swoim współnikom. - Proponuję odbić go z powrotem.

Mark Cavendish siedział przy jednym z niewielkich stołów w straszliwie zatłoczonym wagonie restauracyjnym i próbował wyłączyć się z hałaśliwego gwaru głosów wokoło. Kiwał

się kołysany przez pociąg, który turkotał po torach mało uczęszczanej linii Rahway Valley, starając się obmyślić jakiś plan działania. Wagon restauracyjny - napakowany po brzegi, pełen wrzawy i dymu papierosowego - niespecjalnie nadawał się do uprawiania twórczych rozmyślań, jednak lepiej siedziało się tutaj niż wśród rzędów foteli, gdzie nie pozostawało nic do roboty poza wgapieniem się we wzorek na rolecie. Na sąsiednim miejscu otyły mężczyzna, lekko pachnący wodą po goleniu, popijał swego Schlitza i bełkotał coś o przysługujących mu

“prawach człowieka” do stewarda w uniformie Amtraku. Przy tym samym stole, naprzeciw Cavendisha, drobny łysiejący człowiek w okularach spokojnie czytał książkę, której tytuł

zasłaniała obwoluta z gładkiego papieru. Ten nieduży człowiek w wymiętym garniturze sprawiał wrażenie zupełnie odprężonego, był niczym wysepka spokoju pośród morza wzbierającej hysterii. Cavendisha urzekło jego opanowanie.

- Dobra ta książka? - spytał.

Mężczyzna podniósł wzrok z uprzejmym uśmiechem.

- Przepraszam, nie dosłyszałem?

Cavendish powtórzył pytanie, przekrzykując harmider.

- Pytałem, czy to dobra książka. Dziwię się, że w ogóle może pan czytać w tych warunkach.

- To jest *Kolejowa Księga Faktów i Dokonań* Marshalla - odpowiedział niepozorny człowiek. - Coś w rodzaju *Księgi Guinnessa* o pociągach.

- Interesuje pana kolejnictwo? - zapytał Cavendish.

- Owszem - przyznał rozmówca. Zamknął swoją książkę, używając brzegu obwoluty jako zakładki. - Widzi pan, ja jestem mechanikiem.

- Mechanik kolejowy? - spytał Cavendish, nie bardzo w to wierząc. Na oko facet ważył nieco ponad pięćdziesiąt kilo, a jego pognieciony, wytarty garnitur koloru granatowego wcale nie przywodził na myśl krzepkiej postaci fizycznego pracownika kolei.

- Nie - zaprzeczył mężczyzna. - Jestem inżynierem mechanikiem. Projektuję przeważnie części do klimatyzatorów. Ale pociągi to moje hobby. Pasjonują mnie modele, zwłaszcza miniaturowe składy pasażerskie.

- Ach, modele - powtórzył Cavendish, tracąc zainteresowanie sąsiadem.

- Właśnie, proszę pana - ciągnął mężczyzna. - Ale tylko rozwiązania prototypowe.

Wierne kopie prawdziwych, na ile to możliwe.

- Pewno świetnie zna się pan na pociągach.

- Nieźle - przyznał hobbysta lekko się czerwieniąc. - Na przykład mniej więcej wiem, gdzie teraz jesteśmy.

- Żartuje pan - zdziwił się Cavendish, ponownie zaciekawiony.

- Skądże. Jeśli się nie mylę, jedziemy po starym torze linii Rahway Valley, która w Summit łączy się z trasą od Gladstone do Newark.

- Skąd pan to wie, skoro wszystkie okna są zasłonięte? - dopytywał się zaintrygowany Cavendish.

- Korytarz Waszyngton-Nowy Jork to moja specjalność - pochwalił się rozmówca. -

Większość hobbystów ma swoje ulubione trasy. W każdym razie ja zjeździłem swego czasu wszystkie linie Korytarza i nieźle pamiętani układ zwrotnic. Ci złoczyńcy, którzy porwali pociąg, zaczęli zwalniać tuż za Nowym Brunszwikiem. Wydaje mi się, że robimy gdzieś pięćdziesiąt mil na godzinę, wobec tego, jeśli prędkość jest stała, przed chwilą mieliśmy przejechać po wejściu w rozjazd Elizabeth. Od tamtej pory przejechaliśmy z piętnaście mil, czyli według moich obliczeń za parę minut będziemy w Summit.

- Niesamowite! - Cavendish nie mógł wyjść z podziwu. - A co nastąpi w Summit?

- Obawiam się, że niewiele - odrzekł tamten człowiek. - O ile dobrze pamiętam, to tylko kolejny rozjazd. Linia Rahway łączy się bezpośrednio z Consolidated biegnącą w trzech kierunkach: na zachód do Gladstone, gdzie jest ślepy tor, na wschód do Newark i na północ, przez rozjazd w Denville, do Scranton.

- Jak pan myśli, dokąd pojedziemy?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł inżynier. - Podejrzewam jednak, że nie udamy się do Gladstone, ponieważ to ślepy tor. - W takim razie Newark albo Scranton - wysnuł

wniosek Cavendish.

- Niekoniecznie - odrzekł tamten w zamyśleniu. - Istnieje nieskończenie wiele możliwości. Często zmieniając tory, można dojechać gdziekolwiek.

- Znakomicie - mruknął Cavendish.

- Ale byłbym zapomniął - zreflektował się jego rozmówca. - Nazywam się Mottbrown, Howard Mottbrown.

Wyciągnął rękę ponad stołem. Cavendish długo się jej przyglądał, wreszcie napiął mięśnie prawego ramienia i podniósł z kolan dłonie w kształcie kleszczy. Zaokrągloną częścią mechanizmu chwytanego klepnął w otwartą dłoń Mottbrowna i zaraz cofnął rękę.

- Mark Cavendish.

- Dobry Boże - odezwał się półgłosem Mottbrown.

- Drugą mam lepszą - powiedział Cavendish, unosząc ramię wyposażone w protezę kosmetyczną. Kątem oka dostrzegł reakcję grubasa siedzącego obok. Facet znieruchomiał, potem zaczął się powoli odsuwać. Natomiast Mottbrown w najmniejszym stopniu nie okazał

zakłopotania.

- Coś takiego, zdumiewające - powiedział przyglądając się protezie. - Wygląda bardzo naturalnie. Czy działa tak samo jak szczypce?

- Nie całkiem - odrzekł Cavendish, mile zaskoczony przejawem szczerego zainteresowania ze strony Mottbrowna. - To właściwie tylko konstrukcja zawiasowa pokryta lateksem. Mogę ustawiać palce do trzymania różnych rzeczy i obracać dłonie, ale na tym koniec. Przedtem byłem praworęczny, dlatego używam kleszczy tam, gdzie trzeba wyczucia.

Uniół rękę i parę razy poruszył mechanizmem otwierając i zamykając szczypce, głównie na użytek siedzącego obok grubasa. Po chwili otyły mężczyzna wymamrotał coś po cichu i odszedł od stolika, a za nim jego rozmówca z naprzeciwka. Nikt nie zajął

opuszczonych miejsc.

- Ci dwaj wydawali się lekko wzburzeni - powiedział Mottbrown oglądając się za nimi.

- Taka jest chociaż korzyść z tego - odrzekł Cavendish z ironicznym uśmiechem.

Rozparł się wygodniej. - Przynajmniej jest czym oddychać.

- W jaki sposób stracił pan ręce? - zapytał Mottbrown.

- W Wietnamie - odparł Cavendish. - Od tamtej pory się nie branzłowałem.

Mottbrown spuścił wzrok i znów się zaczerwienił. Cavendish zorientował się, że wprowadził rozmówcę w zakłopotanie, chrząknął więc i zmienił temat:

- Chce pan się czegoś napić? Chyba dają na koszt firmy.

- Nie, dziękuję - odrzekł Mottbrown. - Większość ludzi na skutek strachu ma pragnienie, zasycha im w gardle. A ja niepokoję się o mój słaby pęcherz.

- Boi się pan? - spytał Cavendish. Mottbrown powoli skinął głową.

- Tak - odpowiedział. - Oczywiście.

- Ja też - przyznał Cavendish. - Mam raczej bujną wyobraźnię.

- Co pan ma na myśli?

- Porwali nas terroryści. W każdej z akcji terrorystycznych, o których słyszałem, ofiary porwania w jakiś sposób ucierpiały. Sam przeszedłem podobne doświadczenia.

- Czy był pan porwany? - zapytał Mottbrown.

- Byłem w obozie jenieckim. Lang Son przy linii kolejowej Nanning, daleko na północ przy chińskiej granicy - wyjaśnił. Przypomniały mu się boleśnie wyraziste obrazy z przeszłości. - Nauczyłem się tam wiele o istocie terroryzmu. I proszę mi wierzyć, tortury fizyczne to była pestka. Ci oprawcy umieli sprawić, że człowiek zwijał się w psychicznej agonii. To pod wieloma względami gorsze. I właśnie z tym mamy teraz do czynienia. Dlatego pozwalają nam chodzić po całym pociągu. Pewna odmiana taktyki "twardego i miękkiego gliny".

- Chyba nie całkiem rozumiem - wyznał Mottbrown.

- W policyjnym przesłuchaniu często występuje policjant, który zachowuje się tak, jakby zaraz miał przejść do trzeciego stopnia. To "twardy glina". Później wychodzi i zostawia delikwenta z "miękkim gliną", czyli sympatycznym facetem, który częstuje kawą i papierosem. Przerabia się ten porządek parę razy i człowiek w końcu nabiera ochoty, by

"miękkemu glinie" odpowiedzieć na każde pytanie, byle tylko nie mieć do czynienia z

"twardym". Tutaj jest troszkę inaczej. Pozwalają nam się kręcić po pociągu, udawać, że wcale nie jesteśmy zakładnikami. Tyle jeżeli chodzi o "miękką" część. Będzie gorzej, jak zacisną pętlę, a zrobią to niedługo, sam pan zobaczy. Przyjdzie "twardy".

- W takim razie co mamy robić pańskim zdaniem? - spytał Mottbrowm.

- A co my możemy? - zdziwił się Cavendish. - Nie zostawili nam żadnego pola manewru.

- Ale musimy coś zrobić - mówił Mottbrowm. - Jeżeli jest tak, jak pan mówi, wszyscy znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie.

- Ja tam nic nie muszę, prócz pilnowania własnej dupy, i dla mnie oznacza to, że się nie wychylam, zwłaszcza kiedy zaczynają gwizdać kule. Zdarzyło mi się już odstawiać bohatera i wylądowałem z gnijącymi rękami w blaszanym baraku pośrodku zasnanej dżungli, dziesięć tysięcy mil od domu. Wiesz co, Howard? Może ja zachowuję się jak kutas, ale ty żyłeś sobie jak u Pana Boga za piecem projektując swoje klimatyzatory i pewnie nie dotarło do ciebie, że w życiu każdy jest sam. To jest tak zwana prawda życiowa. Na nikogo nie można liczyć.

- Przykro mi, że tak sądzisz - odrzekł Mottbrowm. Cavendish wzruszył ramionami i wstał od stołu. Wyprostował się i przystanął na chwilę, oparty o stół plastikowymi palcami lewej dłoni.

- Gdyby ci wpadł do głowy jakiś pomysł, możesz mnie zawołać. Mam miejsce trzydzieści sześć w następnym wagonie.

- Będę pamiętał - wymamrotał Mottbrowm w zamyśleniu.

Cavendish popatrzył z góry na niepozorną postać inżyniera i potrząsnął głową. Potem odwrócił się, ruszył w tłum oblegający ladę baru w wagonie restauracyjnym i zaczął

przeciskać się w stronę przejścia do następnego wagonu.

Przenikliwy dźwięk telefonu na nocnym stoliku przerwał niespokojny sen Waltera Linberga. Po omacku odnalazł przycisk nocnej lampki i zapalił światło krzywiąc się, gdyż raził go blask żarówki. Zamruczał pod nosem i zdrętwiałymi palcami sięgnął po słuchawkę.

- Co jest? - stęknął z wysiłkiem.

- Walt? Tu Dave Wesler. Przepraszam, że cię obudziłem, ale mam pilną sprawę.

- Wesler...?

Linberg wysilił mózgownicę, by przypomnieć sobie to nazwisko, wreszcie skojarzył.

Dave Wesler był nowojorskim łącznikiem pomiędzy USIST i FBI. Nazwisko to figurowało na liście odbiorców informacji, a mgliście zapamiętana twarz musiała pojawiać się czasem na zebraniach. Linberg rozwarł nieco szerzej powieki i uniósł rękę z zegarkiem. Było po drugiej.

- Pilna sprawa?

- Potrzebujemy kogoś, kto choć cokolwiek wie o najświeższych akcjach terrorystycznych. Powiniennem dzwonić najpierw do twojego szefa, ale nie mam czasu.

- Ja nie mam szefa - burknął Linberg. - I już nie robię w USIST.
- Psiakrew! - wybuchnął Wesler. Ton jego głosu w słuchawce zdradzał nerwowe napięcie.
- O co chodzi? - spytał Linberg. - Może dam ci namiary na kogoś innego?
- Mieliśmy porwanie. Ciężka sprawa. "Nocna Sowa" Amtraku, na trasie Waszyngton-Nowy Jork. Dwustu pasażerów, grupka dyplomatów w drodze na sesję ONZ, do tego ten cholerny transport Rezerwy Federalnej. Nie mogło być gorzej.
- Shenker - stwierdził Linberg, nagle całkiem rozbudzony.
- Co? - spytał zdezorientowany Wesler.
- Annalise Shenker - oświadczył Linberg. - Rozpracowywałem to przed odejściem z USIST.
- To znaczy, że ty wiesz, co to za jedni? - zapytał Wesler w zdumieniu.
- Tak myślę - odparł Linberg. - Wszystko pasuje. Jakiś czas temu wykryto skok na prywatny arsenał, potem uderzyliśmy na przypuszczalną melinę z bronią, tu w Waszyngtonie.
- Pamiętam - rzekł Wesler. - Coś nam niedawno podesłali na ten temat. Magazyn okazał się pusty, zgadza się?
- Niezupełnie. Obie akcje policyjne szły tropem pewnego raportu, który wpłynął do USIST gdzieś z miesiąc temu. Grupa czołowych terrorystów odbyła spotkanie na szczycie w mieście Algier, następnie zjechała do Stanów. Jedyne, co znaleziono po akcji w Waszyngtonie, to kwit kasowy. Załatwiłem sobie, żeby Krajowe Biuro mi go sprawdziło. Numery na kwicie pochodziły z Alexandrii, z fabryki mundurów. Szło o zakup trzech ubrań roboczych Amtraku. Bez przydziału środków nie mogłem tego pchnąć dalej, a że jakoś nikt się tym nie interesował, więc rzuciłem to i całą robotę. I tak by mnie wylali po fiasku akcji waszyngtońskiej.
- W cholere, nieważne - oznajmił Wesler. - Siedzisz w tym z powrotem. Jeżeli rzeczywiście wiesz, kim są ci ludzie, być może mamy nad nimi lekką przewagę. Chcę, żebyś wziął dupę w troki i zaraz się tu stawiał.
- Z czyjzego rozkazu? - spytał Linberg.
- Z mojego - odburknął Wesler. - Będziesz za eksperta czy innego konsultanta.

Papiery załatwimy później.

- Tak trzymaj, a wywalą cię z Biura na zbitą mordę - powiedział Linberg ze złośliwym uśmiechem do słuchawki.
- Dobra, ulżyj sobie - odrzekł Wesler. - Za dwadzieścia minut czeka na ciebie helikopter w Fort McNair.

- A dokąd lecę? - spytał Linberg wysuwając nogi spod kołdry na podłogę.

- Na dworzec Penn Station - odparł Wesler, i połączenie zostało przerwane.

- Bardzo słusznie - powiedział Linberg do siebie. - Helikopterem na stację kolei.

Zaśmiał się, czując jednocześnie, jak w żyłach wzrasta mu poziom adrenaliny na wieść, że szykuje się akcja, i sięgnął po ubranie. Kiedy śmigłowiec z Walterem Linbergiem na pokładzie startował do Nowego Jorku, grupka ludzi odbywała spotkanie w pustej siedzibie Departamentu Stanu przy Virginia Avenue. W zebraniu uczestniczyły cztery osoby: Norman Gregg, Doradca Prezydenta do spraw Bezpieczeństwa Państwa, Thomas Watt Kellog, Zastępca Sekretarza Stanu do spraw Bezpieczeństwa Wewnętrznego, generał Frederick Bowman ze Sztabu Generalnego oraz Carl Holloway, zastępca dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Gregg, najstarszy rangą urzędnik, sprawował funkcję przewodniczącego zebrania. Pozostali trzej siedzieli cicho, popijając zaparzoną naprędce kawę, podczas gdy mężczyzna o ptasim wyglądzie, w szarym garniturze o nienagannym kroju, odczytywał skąpy raport wstępny, jaki mu przygotowano. Spośród czwórki mężczyzn jedynie Gregg wydawał się rzeński i w pełni sprawny.

- I tyle - powiedział na koniec, starannie zamykając czerwoną teczkę, którą pedantycznie równo ułożył przed sobą na blacie małego stołu konferencyjnego. - Zdążyłem już zapoznać się z problemem. Widzę w tej chwili kilka możliwości podjęcia działań, jednak zanim je przedstawię, chciałbym wysłuchać waszych sugestii. Pan Kellog...?

Zwrócił się w stronę niskiej postaci o wąskich ramionach. Kellog, zastępca Sekretarza Stanu, przejechał dłonią po niesfornej masie szpakowatych loków i wzruszył ramionami.

- Sądzę, że niewiele możemy zdziałać. W każdym razie jeszcze nie teraz. W dalszym ciągu nie jestem pewien, komu sprawa podlega. Na pierwszy rzut oka leży to w gestii FBI -

ściśle wewnętrzny problem. Jeśli wziąć pod uwagę transport Rezerwy Federalnej oraz kwestię, czyją własnością jest Amtrak, wygląda to na porwanie lub kradzież mienia państwowego, względnie oba przypadki naraz. Biuro jak dotąd prowadzi działania opierając się na tym założeniu, chociaż o ile mi wiadomo, sprawę wziął w swoje ręce jeden z pracowników ochrony Amtraku w Nowym Jorku.

- Generale Bowman? - Gregg skinął na potężnie zbudowanego mężczyznę u szczytu stołu. Bowman miał na sobie coś, co przypominało pumpki do gry w golfa oraz hawajską koszulę w jaskrawych kolorach - ubiór ten jakby go pomniejszał, mundur zwykle przydawał

znaczenia.

- Moim zdaniem nie możemy sobie pozwolić na czekanie. I mam gdzieś, komu sprawa podlega. To nam groziło od dawna, teraz pieprznięło, a my budzimy się z ręką w nocniku.

Wszystkie kraje na świecie mają opracowane jakieś plany akcji na wypadek ataku terrorystycznego, tylko nie my. Wyobrażam sobie, co się teraz dzieje w Nowym Jorku. Z

piętnastu sukinkotów lata w kółko, włazi sobie w drogę i nic z tego nie wynika. Widzieliśmy

wszyscy, jak sprawdzały się scenariusze antyterrorystycznych akcji w innych krajach, i wiemy, że im bardziej odwleka się kontruderzenie, tym więcej osób ucierpi. Nie mówiąc o tym, że jeszcze jedno poronione przedsięwzięcie w rodzaju odbijania irańskich zakładników przez Cartera skompromituje nas do reszty w oczach świata. Trzeba uderzyć, i to skutecznie.

Natychmiast.

- Carl? - Gregg zwrócił się do przedstawiciela Agencji Bezpieczeństwa.

Zastępca dyrektora chrząknął i powiódł wzrokiem wokół stołu; jego ostre, jastrzębie rysy spotykały się z bruzdami zmarszczek, które niczym frontowe blizny świadczyły o jego dwudziestoletniej służbie na pierwszej linii kontrwywiadu. Z rozmysłem sięgnął do kieszeni tweedowej marynarki, wyjął paczkę Chesterfieldów i zapalił jednego, wydmuchując bliźniacze smużki dymu przez swój orli nos. Przemówił wreszcie niskim, ochryplym głosem człowieka, który pali tytoń od półwiecza.

- Zgadzam się z opinią generała Bowmana, że ta sytuacja z pewnością wytworzy niekorzystny obraz naszego kraju, jeśli pociąg pozostanie dłuższy czas w rękach terrorystów.

Z drugiej strony wątpię, czy obraz ten polepszy jakiś naprędce zmontowany atak na pociąg.

Sądzę, że po pierwsze wszyscy musimy bliżej poznać naturę tego, z czym mamy do czynienia. Jak wiadomo, większość incydentów z zakładnikami trwa bardzo krótko; im dłużej to się ciągnie, tym więcej jest ofiar i tym bardziej maleją szanse terrorystów. Ale tutaj chodzi o coś innego. Zakładnicy stanowią zwykle element przetargu: żąda się za nich pieniędzy lub zwolnienia tak zwanych więźniów politycznych. Jednak w tym przypadku terroryści przecież osiągnęli już swój cel. Jak dotąd, nie ogłaszali żadnych żądań ani manifestów - w dalszym ciągu nie wiemy nawet, z kim właściwie mamy przyjemność. Myślę, że przyczyna jest prosta: terroryści dostali to, o co im chodzi - transport Rezerwy Federalnej. Jeśli tak sprawa wygląda i nie zostaną wysunięte żądania, oni są górą. Nie będzie ciągnących się w nieskończoność negocjacji, bo nie ma takiej potrzeby. Terroryści będą chcieli osiągnąć jeden prosty cel: uciec z pieniędzmi, używając zakładników jako tarczy, żeby nas trzymać na dystans. To z kolei daje pewną przewagę nam, ponieważ można założyć, że oni muszą się zmieścić w jakimś limicie czasowym. Przecież nie jeżdżą tak sobie po torze, który się im akurat napatoczy, mają swój punkt docelowy i muszą tam dotrzeć w określonym czasie. Naszym zmartwieniem jest ustalenie, dokąd jadą, i zatrzymanie ich.

- Interesujące - mruknął Gregg. - Dziękuję, Carl.

Gregg wyduł usta i w zamyśleniu wpatrywał się w tekst leżącego przed nim raportu.

Potem podniósł wzrok.

- Nie ma czasu na zawracanie sobie głowy kompetencjami. Oficjalnie, rzecz jasna, sprawa należy do FBI, ale oni po prostu nie mają wystarczających środków ani możliwości.

Zgadzam się również, że pochopny atak na pociąg spowodowałby zapewne straty w ludziach i oburzenie opinii publicznej. Jakaś akcja jest jednak konieczna. Zakładam, że Czarne Berety czekają



w gotowości. Czy tak, generale?

- Tak jest - odparł wojskowy. - Starlifter czeka na rozkaz startu, możemy przerzucić oddział w niecałe dwie godziny.

- A może użyć samolotu zwiadowczego Spectre, sprawdzonego w Wietnamie? -

zapropozował Carl Holloway.

- Też o tym myślałem - odparł Bowman z uśmiechem. - Właśnie go testują przed lotem w bazie Wright Field. Z pełną obsadą.

- Dobrze - zgodził się Gregg. - Nawet jeśli nie uda się sama operacja, przyda nam się bliskie rozpoznanie.

Doradca Prezydenta przerzucił jeszcze raz kartki raportu.

- Według tej tutaj hipotezy pociąg powinien znaleźć się w pobliżu Andover w New Jersey około czwartej czterdzieści, na krótko przed wschodem słońca. Wobec tego mamy prawie dwie godziny do chwili, kiedy te informacje staną się nieaktualne. Zdaniem generała Bowmana jego ludzie zdołają w tym czasie zająć pozycje w okolicy Andover. Nie należy jednak działać pochopnie. Jeżeli pociąg nie zatrzyma się, a zakładamy, że pojedzie dalej, terroryści będą musieli podać nowojorskiej centrali Amtraku dalsze instrukcje dotyczące obranej trasy. Proponuję, by Czarne Berety generała Bowmana niezwłocznie wystartowały, wraz z samolotem zwiadowczym. My w tym czasie, korzystając z posiadanych informacji, zrealizujemy plan ataku na pociąg. Jeśli dopisze nam szczęście, odniesiemy sukces i sprawa zakończy się, zanim gazety zdążą wydrukować popołudniowe wydania. Fakty dokonane nie budzą już sensacji, prawda, panowie?

- A jeśli się nie uda? - zapytał Holloway; w jego głosie pobrzmiwała nutka powątpiewania.

- Sądzę, że powinniśmy zrobić ten krok, skoro to jest konieczne, panie Holloway. My, Amerykanie, nie myślimy nigdy o klęsce, zgadza się?

## **ROZDZIAŁ 7**

**Poniedziałek, 27 czerwca**

# Godz. 3.46 czasu wschodniego

**Odległość: 233 mile/375 km**

W ciągu dwóch godzin od pierwszego komunikatu o porwaniu pociągu Frank Sagadore i rozmaici urzędnicy rozpracowujący tę sprawę zebrali całkiem sporo informacji.

Porównując wstępne raporty sporządzone przez FBI, Tajne Służby, Departament Skarbu i pracowników Amtraku, Frank Sagadore zdołał dość wiernie odtworzyć przebieg tego, co się stało z "Nocną Sową".

Podczas dokładnego przeszukania na waszyngtońskim terminalu kolejowym odkryto ciała dwóch ludzi z brygad naprawczych: leżeli z poderzniętymi gardłami w magazynie sprzętu. Przyjęto więc, że co najmniej dwóch terrorystów wsiadło do pociągu podczas przetaczania składu. Znalaziono też trzecie ciało, mechanika z lokomotywni, również z poderzniętym gardłem; stąd wzięło się przypuszczenie, że trzeci, a może też czwarty terrorysta ukrył się w tylnym pomieszczeniu lokomotywy "Nocnej Sowy". Ponieważ przy sprawdzaniu biletów nie stosowano właściwie żadnych środków bezpieczeństwa, nie istniał

sposób ustalenia, ilu terrorystów wsiadło do pociągu - zdaniem FBI było ich jednak jeszcze co najmniej pięciu. Wesler, dyżurny agent FBI z Nowego Jorku, zameldował, że mogą zdobyć dane na temat przynajmniej części uczestników napadu, ale muszą wstrzymać się z wyciąganiem wniosków, dopóki nie przyleci ekspert z Waszyngtonu.

Kurs "Nocnej Sowy" przebiegał normalnie od chwili odjazdu aż do Trenton, wobec tego logiczne wydawało się, że napad musiał nastąpić między Trenton a Princeton Junction, gdzie pociąg miał się zatrzymać dla wyładunku trumny.

Sprawa postoju w Princeton Junction niepokoiła Sagadore'a. FBI sprawdziło zarówno

"Ogrody Pamięci" Arlington w Waszyngtonie, jak i Salon Pogrzebowy Woodglen z Kendall Park w New Jersey, lecz żadne z tych przedsiębiorstw nigdy nie miało do czynienia z Fredem Dettrickiem, w postaci zabalsamowanej bądź innej. Było to podejrzane, owszem, ale jednocześnie bardzo dziwne, gdyż pociąg w końcu nie stanął w Princeton Junction i zwłok nie wyładowano. Agent Wesler zwrócił uwagę na możliwość, że trumna, istotnie dostarczona na dworzec w Waszyngtonie przez prawdziwy karawan, mogła zawierać ukrytą broń. Sagadore odparł na to, że po co tyle zachodu, skoro dowolną ilość broni można zapakować do walizek i wnieść do pociągu - na dworcu przecież nie prześwietla się bagażu ani nie poddaje kontroli.

W końcu Wesler uznał sprawę trumny za nieistotną.

O trzeciej trzydzieści cały sztab był gotów do normalnej, rutynowej pracy pod kierunkiem Franka Sagadore'a. Frank nieoczekiwanie znalazł się w niewygodnej roli koordynatora, zmuszonego do utrzymywania łączności z kolejnymi węzłami wzdłuż trasy pociągu, wydającego polecenia odpowiednim ludziom i wysłuchującego skarg i zażaleń dosłownie ze wszystkich stron - także od Jennifer Youngman, rzeczniczki Amtraku, która z trudem odpierała inwazję dziennikarzy.

Departament Skarbu oraz FBI kręciły nosem z powodu arbitralnego przejęcia władzy przez Franka Sagadore'a i pani Youngman odebrała kilka telefonów z wyrazami oburzenia, również od przełożonych Weslera z waszyngtońskiej kwatery głównej FBI i z Departamentu Skarbu. Obie instytucje wyznaczyły konferencję prasową na dziewiątą rano. Sagadore modlił się, by do tej pory kryzys został przełamany, lecz sam w to wątpił, a niemożność opuszczenia choćby na chwilę sali konferencyjnej z każdą minutą potęgowała jego irytację. Najbardziej chciałby w tej chwili znajdować się na pokładzie jednego z helikopterów tropiących "Nocną Sowę".

Dane dostarczone przez załogi śmigłowców i raporty zwrotniczych stanowiły jedyny punkt oparcia wśród morza hipotez. Wynikało z nich, że pociąg poruszał się po wytyczonej trasie z niezmienną prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, ze zgaszonymi reflektorami i zasłonami w oknach. Trzech spostrzegawczych zawiadowców potwierdziło, że okna w przedsiódkach wagonów wyglądają na zamalowane, co uniemożliwia zagłądanie do środka.

Wszystkie raporty wspominały o jakiejś skrzynce zamontowanej przy tylnej krawędzi dachu lokomotywy - prawdopodobnie był to radar, o którym napomknął przez radio nieznamy głos. Odnosiło się wrażenie, że porywacze rzeczywiście pomyśleli o wszystkim: "Nocna Sowa" Amtraku stała się zamkniętym pudłem, do którego tylko oni mieli klucz.

Pracując niezależnie od innych służb, Frank Sagadore doszedł do tego samego wniosku, co tajna komisja na posiedzeniu w Departamencie Stanu: porwanie zamykało całą sprawę. Nie zostaną wysunięte żadne żądania. Terroryci mają już swój okup, a zakładnicy posłużą jedynie za tarczę i ułatwią zdobycie rozgłosu.

Frank nabrał również przekonania, że skoro tamci dali taki popis precyzji działania, mają też z pewnością opracowaną do ostatnich detali ucieczkę, co z kolei oznacza, że gdzieś tam na trasie "Nocna Sowa" musi się zatrzymać.

Problem polegał na tym, że istniała nieskończona liczba miejsc, do których pociąg mógłby dotrzeć. Trasa wytyczona przez nieznanego głosu z kabiny "Nocnej Sowy" świadczyła, zdaniem Franka Sagadore'a, o zaledwie jednej oczywistej sprawie: jadąc na północ, terroryci omijali miasto Nowy Jork. Na rozjeździe w Andover mogli skierować się na północny wschód, w głąb stanu Nowy Jork; na północny zachód - w kierunku Scranton w Pensylwanii; wreszcie na południowy zachód do Bethlehem. Przy tej ilości paliwa, jaką dysponowali, pociąg mógł przebyć siedemset-osiemset kilometrów w każdym z tych kierunków.

Siedząc przy stole konferencyjnym, Frank Sagadore wpatrywał się w mapę kolejową w atlasie Ameryki Północnej i próbował przewidzieć dalsze ruchy terrorystów. Gęsta pajęczyna torów na bladezielonych kartach atlasu zamazywała się, litery stłoczonych nazw przeskakiwały. Frank poczuł, że ma w głowie mętlik. Zacisnął powieki i oparł się plecami w fotelu, próbując nie zwracać uwagi na zaaferowanych ludzi wokół siebie. Gdyby sam chciał

prysnąć z łupem, dokąd by podążył? Terroryci orientowali się na pewno, że są obserwowani i że wszelkie zmiany trasy czy prędkości zostaną z miejsca dostrzeżone. Sieć kolejowa w Stanach Zjednoczonych łączy ośrodki miejskie i z wyjątkiem pewnych odcinków w Teksasie, Newadzie i Montanie, odległych o tysiące mil, żaden odcinek torów nie leży na odludziu. W

konfrontacji z policją i siłami FBI terroryści nie mają szans. Gdyby nawet udało im się oddalić od pociągu, wyłapano by ich w ciągu paru godzin albo i szybciej. Nie wymkną się, obojętnie w którym stanie, cały kraj był obstawiony. A więc?

Frank otworzył oczy i pochylił się znów nad stołem, gdzie leżał atlas kolejowy.

Przerzucił kartki. Na końcu znalazł mapę całego kontynentu północnoamerykańskiego. Dół

mapy wypełniał czarny gąszcz linii od Atlantyku aż po Kansas City. Za to na północy - pusta przestrzeń. Z Montrealu do Vancouver, na przestrzeni pięciu tysięcy kilometrów, biegły tylko dwie główne linie i kilka pobocznych. W jednym z kwadratów, pomiędzy Sudbury i Thunder Bay po drugiej stronie Jeziora Górnego, widniał odcinek toru ciągnący się przez prawie tysiąc kilometrów i wyglądało na to, że nie przecina żadnych skupisk ludzkich przekraczających parę setek mieszkańców. Wprost doskonały. Z dala od gęsto zamieszkanym obszarów, przy tym już za granicą. Proste. - Skurwysyny jadą do Kanady - wyszeptał.

O czwartej rano, na niecałą godzinę przed świtem, Starlifter C-141 Lockheeda, lecący na wysokości tysiąca sześciuset metrów, zrzucił osiemnastoosobowy oddział Czarnych Beretów generała Bowmana nad samotną osadą Andover Junction w New Jersey. Celem był

wylot podwójnego tunelu pięć kilometrów na wschód od niewielkiej stacji towarowej na mało uczęszczanym odcinku linii Conrail, biegnącej z Belvedere do Franklin. Spośród osiemnastu ludzi dwunastu wylądowało pomyślnie w promieniu czterystu pięćdziesięciu metrów od punktu zero, czterech straciło orientację i spadło ponad cztery kilometry dalej, jeden źle wylądował i złamał nogę w kostce, a starszy sierżant Leonard Nelms, czterdziestojednoletni weteran Sił Specjalnych z Wietnamu, zginął na miejscu po upadku z wysokości półtora kilometra na leśne poszycie, gdyż zaciął mu się spadochron. Starlifter, który dostarczył

swoich pasażerów na miejsce skoku pełne pół godziny przed czasem, kontynuował lot w stronę Bazy Sił Powietrznych Griffiss w miejscowości Rome, stan Nowy Jork. Trzy tysiące metrów nad Starlifterem, z dołu niewidoczny i niesłyszalny, krążył powoli nad strefą zrzutu drugi samolot. Był to ulepszony transportowy Herkules C-130, przerobiony na samolot bojowy Spectre, używany pod koniec wojny wietnamskiej. Latający sprzęt wartości dwudziestu pięciu milionów dolarów, stacjonujący zwykle w Bazie Sił Powietrznych Nellis w stanie Nowada, odbywał właśnie ćwiczebny lot z Wright Field, kiedy odebrano telefon generała Bowmana. Prócz bardzo zróżnicowanej broni palnej, od szybkostrzelnych karabinów maszynowych po haubicę 105 mm, w wyposażeniu Herkulesa znajdował się także pełny zestaw elektronicznego sprzętu obserwacyjnego dla celów wojskowych, w tym kamery wideo Pave Spike, laserowe wyznaczniki celu Pave Strike, kamery na podczerwień Linescany oraz Compass Link - urządzenie do przekazu danych, które łączyło wszystkie aparaty pokładowe z Systemem Komunikacji Satelitarnej Wczesnego Ostrzegania, skąd wszelkie informacje przekazywane były do Waszyngtonu. Compass Link System, po raz pierwszy użyty w roku 1968, działał tak błyskawicznie, że operator w centrum wojennym w Pentagonie mógł

rzeczywiście "ogłądać" przebieg akcji oddalanej o sześć i pół tysiąca kilometrów z zaledwie ośmiosekundowym poślizgiem.

- Wylądowali - mruknął umundurowany oficer ogniowy, siedzący w swojej kabine pośrodku szerokiego brzucha samolotu. W słabym blasku monitora Linescan rysy jego twarzy majaczyły bladuróżowo.

- Gdzie tamci? - W słuchawkach rozległ się głos pilota. Oficer ogniowy przeniósł

wzrok na mały ekran z lewej strony. Wcisnął kilka guzików na konsoli i mroczną kabinę rozświetlił nieco łagodny zielony blask włączonego drugiego monitora. Oficer rzucił siatkę współrzędnych na ekran i przyjrzał się słupkom cyfr i literek, które ukazały się w prawym górnym rogu.

- Dwadzieścia jeden mil na wschód od punktu zero. Szesnaście od rozjazdu.

- Widzisz coś poza tym? - spytał trzeszczący głos pilota.

- Odbicie ciepła paru samochodów. Zdaje się, że mało co jeździ po lesie o tej porze.

- Obserwuj dalej - nakazał pilot. - Jeśli cokolwiek zbliży się do pociągu, natychmiast daj znać.

- Lecimy na bliski zasięg?

- Zgłupiałeś? - oburzył się pilot. - Jesteś, kurwa, w New Jersey, jak pragnę Boga. Tym pociągiem jadą Amerykanie, nie jakieś żółtki. Namierzamy ich, i już. Róbmy, co nam każą.

- Przepraszam - powiedział oficer ogniowy.

- Dobra - odparł pilot. - Obserwuj.

W ciągu pięciu minut od momentu wylądowania dwunastu ludzi, którzy ostali się z oddziału Bowmana, zgrupowało się na ubitej drodze w pobliżu wylotu tunelu. Grupa szturmowa, w składzie pomniejszonym o jedną trzecią, ruszyła na wyznaczone pozycje bez dodatkowych pouczeń. Plan ataku - opracowany przez trzech najlepszych speców od taktyki, jakimi dysponował Bowman - był prosty, bez żadnych udziwnień. Tunel ponad kilometrowej długości przecinał spore wzgórze. U wylotu tunelu następowało rozwidlenie torów umożliwiające wjazd na bocznice, gdzie składy towarowe czekały na rozładunek w Andover Junction. Z bliźniaczych wylotów tunelu biegły pojedyncze tory, które łączyły się na rozjeździe sto pięćdziesiąt metrów dalej. Znajdował się tam pomost z sygnalizacją świetlną.

Skomplikowany układ torowiska i ką, pod jakim tory się zbiegały w pobliżu wylotu tunelu, miał przypomnieć maszyniście, że musi zmniejszyć prędkość do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę przy wyjeździe z tunelu. Oddział Bowmana, rozlokowany na wzgórzu nad wylotem tunelu, na pomoście sygnalizacyjnym, a także na poboczu torów, przypuści więc szturm na pociąg jadący ze zmniejszoną prędkością. Czterej ludzie zajmujący pozycje na nasypie przy wylocie tunelu spróbują ucześcić się pociągu między wagonami, czterech skoczy ze zbocza nad tunelem na dachy ostatnich wagonów i spróbują odbić dyplomatów w wagonie panoramicznym, a trzyosobowa zbrojna grupa na pomoście przejmie lokomotywę. Akcja jedenastu ludzi będzie kierowana przez radiotelefon ze wzgórza oddalonego o siedemdziesiąt metrów od wylotu tunelu. Dwunasty mężczyzna, dowódca całej grupy, wyposażony był w noktowizor Rank na trójnożnym stojaku, wzmacniający odbicie

światła około czterdziestu tysięcy razy. Patrząc w wizjer tego niewielkiego urządzenia na baterie, dowódca miał dobrą widoczność na pięćdziesiąt metrów w głąb tunelu. Na jego rozkaz cały oddział miał

zaatakować pociąg jednocześnie: trójka na pomoście sygnalizacyjnym zatrzyma lokomotywę, pozostali zaś dostaną się do środka wagonów. Za pomocą granatów błyskowych, gazu łza-wiącego i spowolnionych pocisków spodziewano się odbić pociąg w ciągu trzech do czterech minut, przy przewidywanych stratach wynoszących dwóch-trzech ludzi z grupy szturmowej i nie więcej niż dwunastu zakładników. Tak wyglądał plan.

Harry Maxwell szedł powoli wzdłuż rozkołysanego korytarza w stronę wagonu restauracyjnego. Nie spieszył się, usiłując przyswoić sobie maksymalnie wiele informacji.

Przy zaciągniętych roletach i zaciemnionych oknach w przejściach między wagonami nie było sposobu, by stwierdzić, gdzie się znajdują. Harry liczył jedynie czas, w jakim pociąg pokonywał odcinki torów między zwrotnicami, a na jego wycucie jechali z prędkością nie większą niż pięćdziesiąt mil na godzinę. Przez ostatnie półtorej godziny przejechali chyba kilka mostów, co prawdopodobnie znaczyło, że znajdują się gdzieś w głębi kraju i znacznie zbczyli z głównej linii.

Odsunął drzwi na końcu korytarza i wszedł do przedsionka, gdzie natychmiast zaatakowało jego uszy dudnienie kół pod nogami. Rozejrzał się i stwierdził, że tu również okna pospiesznie zamalowano, a na drzwiach wyjściowych umieszczono rzucającą się w oczy wybuchową pułapkę. Nie można się było z tego pociągu wydostać, przy prędkości pięćdziesięciu mil na godzinę czy jakiegokolwiek innej.

Odsunął drzwi następnego wagonu i wszedł do slipingu, o którym pracownicy Amtraku mówili: "śpioch". Łóżka, pościelone przed odjazdem z Waszyngtonu, zostały złożone na rozkaz terrorystów i pasażerowie podróżowali teraz w pozycji siedzącej, większość z nich ubrana w piżamy. Kiedy Harry powoli szedł korytarzem, wielu podróżnych spoglądało na niego podejrzliwie. Zorientował się, że nie są pewni, czy przypadkiem nie jest jednym z porywaczy. Pokiwał głową przytakując własnym myślom, kiedy przechodził do wagonu restauracyjnego. Oświadczenie terrorystów, że ich ludzie są wmieszani pomiędzy pasażerów, wywołało pożądany efekt.

W kolejnym wagonie siedzieli jedynie dwaj zdenerwowani faceci w wymiętych garniturach i mały człowieczek, który coś pracowicie notował w jakiejś książce.

Terrorystyci nakazali, by wszystkie drzwi przedziałów zostawić otwarte. Harry, przechodząc wzdłuż pociągu, widział twarze, na których malował się cały wachlarz uczuć, od usztywniającego strachu aż po ledwie wstrzymywany atak paniki. Wyruszył na zwiady żywiąc słabą nadzieję, że napotka kilku podróżnych z wystarczającym biglem, by zmontować wspólną akcję przeciw porywaczom, jednak jak dotąd nie dostrzegł nikogo, kto zrobiłby dwa kroki i nie trząśł przy tym portkami, nie mówiąc już o jakimś przeciwstawieniu się prześladowcom. Nie mógł się oprzeć przeświadczeniu, że w dalszych wagonach też nie znajdzie człowieka ulepionego z innej gliny.

Podszedł do baru pośrodku wnętrza wagonu i zamówił szkocką bez dodatków, zauważając jednocześnie, że za barem stoi ten sam człowiek, który był konduktorem podczas ich próbnej przejażdżki "Nocną Sową". Rozpoznał zmęczoną twarz Murzyna oraz nazwisko na plakietce:

Hamilton Stackpole.

- Znow się spotykamy - zauważył z uśmiechem. Stackpole skrzywił się odruchowo.

- Co? - spytał. W jego głosie nie było ani śladu zawodowej uprzejmości. Hamilton Stackpole wyraźnie odpuścił sobie tę noc.

- Niedawno jechałem "Nocną Sową" i pan obsługiwał wtedy wagon sypialny -  
wyjaśnił Harry.

- Aha - mruknął Stackpole.

- Wie pan może, co tu jest grane? - spytał Harry upijając nieco ze szklanki.

- Nie - odparł tamten.

- I ma pan to w dupie, prawda? - wyszczerzył się Harry.

- Jakbym miał, to myślisz, że bym ci powiedział? - odrzekł Stackpole.

- Dlaczego nie?

- Bo możesz być jednym z nich, dlatego - odciął się czarny barman, wycierając lśniący czystością blat.

- Ale nie jestem.

- No to mamy logiczną zagadkę - rzekł Stackpole. - Mówisz, że nie jesteś, a ja mówię, że możesz być, i oba twierdzenia mogą być równie dobrze prawdziwe, jak i fałszywe.

- Barman-filozof - skwitował Harry dopijając do dna.

- Żebyś wiedział - odciął się Stackpole. - Najpierw trzy lata na froncie drugiej wojny światowej, potem dyplom z literatury angielskiej i gdzie ja się w końcu znajduję? Na wschodnim wybrzeżu Florydy czyszcze ludziom buty. Oto filozoficzna głębia, przyjacielu.

Harry bawił się szklanką, wsparty łokciami o blat, kiwając tułowiem w rytm równomiernego kołysania pociągu.

- Ilu ich naliczyłeś? - spytał po chwili.

- Nie jestem pewny - odrzekł ostrożnie barman, ścisząc głos i nie spuszczać oka z Harry'ego. Nie proszony, rozlał następną kolejkę, sobie również. - Najmarniej sześciu. Albo więcej.

Harry dodał w myślach faceta, którego widzieli z Danielem, jak leżał nieprzytomny w RPO.

- Skąd wiesz? - spytał Harry.

- Poczta pantoflowa - odparł Stackpole z nutką lekceważenia w głosie.

- Gdzie oni są?

- Jeden w panoramicznym. Szefowa w pierwszej sypialni, sąsiedni wagon, trzeci słucha radia w sypialni obok. Czwarty trzyma wartę na korytarzu. Numer pięć jest gdzieś z przodu, między wagonem pierwszym a restauracyjnym. Numer sześć - kobieta, która wygląda na Hiszpankę - chodzi tam i z powrotem z automatem. Numer siedem w RPO, potem osiem, a może i dziewięć w kabinie maszynisty - pomyślał Harry.

- Jesteś niezłe poinformowany - stwierdził głośno po chwili, opuszczając wzrok na pełną szklankę, w której tańczył płyn kołysany lekko pędem pociągu.

Stackpole wzruszył ramionami.

- Taką mam robotę. A ty coś taki ciekawy?

- Zdaje się, że ze mnie typowy amerykański indywidualista - odparł Harry podnosząc wzrok z krzywym uśmiechem. - Nie lubię, jak mnie zgarniają.

- Masz zamiar coś zadziałać? - spytał Stackpole.

- Owszem, przyszło mi to do głowy - przyznał Harry.

- Nieuleczalny grzech głupoty - rzekł Stackpole.

- Słucham?

- Czyli myślenie - odpowiedział Murzyn. - Jak pisał Alexander Pope w *Eseju o krytyce*. To są wredne typy. Szefowa wybrałaby cię na zakąskę. A reszta też wygląda na bandę maniaków.

- Więc mamy siedzieć cicho? - spytał Harry.

- Tego nie powiedziałem - zaprzeczył Stackpole z uśmiechem. - Mówię tylko, że trzeba być wariatem, żeby próbować przejąć od nich pociąg. Z drugiej strony może czekanie z założonymi rękami to też wariactwo.

- Jak to? - spytał Harry.

- Oni zabijają - wyjaśnił tamten. - Dla nich wykończyć człowieka to tyle, co dla nas rozdeptać karalucha. Mamy dwieście osób w tym pociągu. Wszyscy spięci, zdenerwowani, przerażeni. Coś wkrótce musi trzasnąć. Ktoś wreszcie popełni jakieś totalne głupstwo i oni zrobią użytek z tych zabawek, z którymi się obnoszą. Zanim to się skończy, na ścianach będzie krew, tak czy owak. To wampiry.

- Wobec tego, skoro i tak masz być ofiarą, wolisz nie czekać biernie na swój los, czy tak? - upewnił się Harry.



- Mniej więcej - odrzekł Stackpole, po czym jednym haustem opróżnił swoją szklankę.
- Może byś to trochę sprecyzował? - poprosił Harry. - Trzy lata na froncie drugiej wojny coś ci dały, nie?
- Przede wszystkim w pojedynkę niczego nie zwojujesz - odparł Stackpole.
- Mam jeszcze dwóch - pochwalił się Harry.
- Znaczący jest was trzech - stwierdził Stackpole w zamyśleniu. - Ciągłe mało. I nie macie broni. Ale jest jeden facet, którego możecie zahaczyć. Siedział przy stole za tobą i gadał z tym facetem, co ma książkę. Za wiele nie usłyszałem, ale zdaje się, że on był w Wietnamie.
- Ten z książką? - spytał Harry. Stackpole pokręcił głową.
- Nie, ten drugi. Wysoki, z wyglądu twardziel. Jest jeden problem, on ma takie kleszcze zamiast rąk. Poszedł do tamtego wagonu.
- Kaleka? - westchnął Harry. - Może jednak lepiej będzie cicho siedzieć i czekać.
- Wygląda na takiego, co nie da sobie w kaszę dmuchać - odparł Stackpole. - Z rękami czy bez. Warto spróbować. W każdym razie można zakładać, że on nie jest jednym z porywaczy.
- No dobra - Harry kiwnął głową odchodząc od baru. - Pójdę z nim pogadać.
- W porządku - odrzekł Stackpole. - Gdzie można cię szukać i tamtych dwóch rekrutów?
- Pierwszy sypialny. Przedział B.
- Dobrze, zajrzę do was później. Ale się nie wychylajcie. Jak tamci zobaczą, że zakładacie klub kawiarniany, już po tobie, przyjacielu.

Harry skinął głową i odszedł od baru. Ruszył na koniec niemal pustego wagonu i odsunął ciężkie drzwi, zastanawiając się, czy aby ten plan ma jakiegokolwiek szansę powodzenia, czy też jest tylko skomplikowaną metodą popełnienia samobójstwa. Wzruszył

ramionami, odrzucając tę myśl. Naprawdę nie ma wyboru, bo jak przyjdzie umrzeć, woli już śmierć w walce. Z trudem przełknął ślinę i odsunął kolejne drzwi do następnego wagonu.

- Trzeba mi było pójść za radą starego ojczulka - mruknął pod nosem przechodząc do środka. - Powinienem zdobyć konkretny fach i zostać blacharzem.

Annalise Shenker dokonywała oględzin jatki we wnętrzu RPO z zaciętym wyrazem twarzy i zaciśniętymi pięściami, które oparła na biodrach. Amal Akbar, wciąż z błędnym po uśpieniu gazem wzrokiem, został posadzony na opróżnionym przed chwilą krześle, gdyż zwłoki strażnika przeniesiono w kąt, gdzie dwa trupy leżały teraz jeden na drugim. Krew i rozprysnięty mózg na ścianie za Libijczykiem wyschły tworząc cienką skorupę. W drugim końcu wagonu Dieter Haas

ładował "brykiety" pieniędzy owinięte w papier do zielonkawych worków z grubego płótna.

- Nie mam pojęcia, kim są, ale byli dobrzy - stwierdziła Shenker w zamyśleniu.

Prawie godzinę spędziła na kursowaniu w tę i z powrotem między bagażówką i RPO, starając się odtworzyć przebieg zdarzeń.

Akbar, z pistoletem na kolanach, przytaknął.

- Wiedziałem, że mnie gazują - powiedział wolno po arabsku. - Sądziłem, że to jakieś zabezpieczenie, o którym nie wiedzieliśmy. Myślałem, że to klęska.

- Policja tego nie zrobiła, a nasz pan Biały nic o tym nie wspominał. Zapach i objawy, które opisałeś, świadczą, że to na pewno podtlenek azotu. Gaz rozweselający. Ja tam bym wybrała co innego, ludzie z ochrony tak samo.

- Nie rozumiem - stwierdził Akbar.

- Zbyt duże ryzyko - wyjaśniła. - Podtlenek azotu jedynie obezwładnia. Znacznie lepiej użyć związków potasu albo może cyjanku. Oni wyraźnie nie chcieli nikogo zabić.

- Więc... - spytał Akbar.

- To nam daje pewne pojęcie, z kim mamy do czynienia - odparła Shenker. - Wszystko wskazuje na to, że oni nie mają ochoty zabijać.

- Tylko kraść - wtrącił Dieter Haas zajęty ładowaniem worków. Shenker przytaknęła.

- Tak, to tylko złodzieje. Ale inteligentni i sprytni. - Ruchem głowy wskazała drzwi prowadzące do wagonu bagażowego. - Pomysł przemycenia człowieka w trumnie jest znakomity. Prawdopodobnie mieli zabrać pieniądze tą samą drogą.

- Jakie to ma znaczenie? - burknął Akbar. - Mówisz przecież, że to złodzieje i że nie chcą zabijać.

- Mają niezły wywiad i wykazali wielką odwagę próbując czegoś podobnego -

powiedziała Shenker z leciutkim uśmiechem. - Dlatego są niebezpieczni.

- A co z twoim panem Białym? - zapytał Akbar. - Z tym facetem, co nam sprzedał informacje?

- Biały to nasz jedyny szpieg wśród pasażerów - odrzekła Shenker. - Jest o wiele za wcześnie, by odkrywać karty. Możemy go jeszcze potrzebować. A z tamtymi poradzimy sobie sami.

- Jak już ich złapiemy, to co wtedy? - spytał Akbar.

- Oczywiście ich zabijemy. Nic nie może nam przeszkodzić w Montrealu.

Kiedy wyjeżdżali z tunelu, Sheila Teng, siedząca obok maszynisty na miejscu pomocnika, zareagowała natychmiast. Ponad miesiąc trenowała w makiecie lokomotywy F-4

i dokładnie wiedziała, co robić w takiej sytuacji.

Chociaż pociąg jechał bez świateł, Teng widziała cały obszar z przodu lepiej niż potrzeba, posługując się systemem noktowizji Star-Tron Smith&Wessona, który był o jedną trzecią mocniejszy od sprzętu używanego przez dowódcę żołnierzy Bowmana. Noktowizor nie posiadał wziernika, tylko mały monitor, dzięki czemu Teng miała szeroki kąt widoczności, zasięg do tysiąca metrów w świetle gwiazd i nieco dalszy w świetle księżyca, czyli w obecnych warunkach. Shenker wybrała monitor telewizyjny, ponieważ operator miał

przy nim wolne ręce.

Pociąg miał właśnie wyjechać z tunelu, z prędkością dwudziestu ośmiu mil na godzinę, kiedy młoda Japonka dostrzegła sylwetki trzech ludzi na pomoście sygnalizacyjnym, a po bokach ekranu zauważyła ruchy czteroosobowego oddziału, który miał atakować z ziemi. Zgodnie z przećwiczoną procedurą bez wahania uniosła lewą dłoń, naciskając spust obrzyna. Wystrzelone pociski trafiły Charlesa McClure'a, maszynistę, w twarz i klatkę piersiową, i wyrzuciły go z fotela. Padając w lewo na posadzkę, by skryć się przed ogniem z pomostu, Teng wcisnęła guzik nadajnika w prawej dłoni i wypowiedziała jedno słowo:

- *Hinterhalt! Zasadzka!*

Przednia szyba lokomotywy rozprysła się nad nią, gdyż trzyosobowa grupa na pomoście otworzyła ogień, wypełniając wnętrze kabiny deszczem sześciokątnych kawałków specjalnie hartowanego szkła. Nie unosząc głowy, Japonka sięgnęła lewą ręką, złapała martwego McClure'a za pasek i odciągnęła spod pulpitu urządzeń kontrolnych. Mając teraz do nich wolny dostęp, po omacku przesunęła korbę przepustnicy, pamiętając o poluzowaniu dźwigni na kolejnych zazębieniach. Nastąpiło potężne szarpnięcie, kiedy ogromny diesel zwiększył moc, pociągając za sobą wagony. Pod nieustannym ostrzałem Teng wyciągnęła rękę i przekręciła karbowaną gałkę wyłącznika przednich reflektorów z zamiarem oślepienia stojących naprzeciwko ludzi nagłym rozbłyskiem światła. Po wykonaniu tej czynności zwinęła się w kłębek, by stanowić cel jak najtrudniejszy do trafienia, i wcisnęła pod deskę rozdzielczą, nie zwracając uwagi na plamy rozbryzgów krwi McClure'a, od której wszystko się lepiło. Wykonała swoje zadanie; teraz niech się wykażą inni.

W przeciwieństwie do terrorystów, dwunastoosobowy oddział szturmowy Bowmana był kompletnie nie przygotowany do akcji. Komandosom przekazano jedynie podstawowe instrukcje i prowizoryczny plan ataku opracowany w wielkim pośpiechu. Ludzie Bowmana -

znów w przeciwieństwie do terrorystów - wszyscy byli zawodowymi żołnierzami, przyzwyczajonymi do wojskowej taktyki i dyscypliny, toteż kiedy pierwotny plan natarcia odmienił się radykalnie w ciągu piętnastu sekund od chwili ukazania się pociągu w wylocie tunelu, ich zdolność szybkiego reagowania w nowej sytuacji okazała się bardzo ograniczona.

Trzej ludzie na pomoście zobaczyli, że pociąg, zamiast się zatrzymać jak planowano -

przyspiesza. Zaraz potem zapłonął reflektor lokomotywy, oślepiając strzelców. Doszli do siebie, kiedy lokomotywa przejechała już pod pomostem i popędziła naprzód.

Ludzie po obu stronach torów spisali się niewiele lepiej. Oni również spodziewali się nagiego hamowania albo przynajmniej takiej prędkości, która pozwoli im skoczyć na któryś z przednich wagonów. Dwóch żołnierzy w ogóle nie dało rady się uchwycić, a pozostała dwójka po obu stronach pierwszego wagonu pasażerskiego ledwie się trzymała. Kiedy pociąg zarzucił u zbiegu torów za pomostem sygnalizacyjnym, człowiekowi z lewej ześliznęły się dłonie z pionowej poręczy i wpadł pod pociąg, którego masywne koła zmiażdżyły mu nogi tuż nad kolanami, resztę ciała zaś siła odśrodkowa odrzuciła na pobocze. Czwarty członek grupy, po prawej stronie wagonu, zdołał uchwycić się mocniej i oparł nogi o próg. lewym ramieniem obejmując poręcz, dzięki czemu mógł pociągnąć klamkę wolną ręką i otworzyć drzwi napierając na nie prawym barkiem.

Drzwi się otworzyły i przerwały cienki drucik, który łączył framugę z bryłą materiału wybuchowego przylepionego do wewnętrznej klamki. Rozległ się krótki przenikliwy dźwięk i zaraz potem nastąpił wybuch ćwierćkilowego ładunku plastiku.

Siła wybuchu, skierowana przede wszystkim na zewnątrz, wyrwała z zawiasów drzwi

- człowiek za nimi zginął na miejscu. Eksplozja była tak silna, że przedsiónek wagonu wypełnił grad odłamków, z których jeden przeciął drucik na przeciwnych drzwiach, powodując niemal jednoczesny wybuch drugiego ładunku. Podwójna detonacja zmiotła ścianki przegubu łączącego wagony, wywaliła drzwi i rozpruła obie toalety niczym puszki sardynek. Wybuch uszkodził także kasetki z przełącznikami instalacji elektrycznej na przedzie wagonu, pogrążając natychmiast jego wnętrze w nieprzeniknionych ciemnościach.

Kiedy umilkł ogłuszający huk eksplozji, rozległy się krzyki pechowych pasażerów, którzy znajdowali się w jej zasięgu. Od momentu otwarcia ognia przez grupę na pomoście sygnalizacyjnym minęła niespełna minuta.

Shenker, Haas i Akbar ruszyli do akcji w tej samej chwili, kiedy Sheila Teng nadała jednowyrazowe hasło-ostrzeżenie. Shenker i Haas pobiegli przez wagon bagażowy na tył

pociągu, Akbar zaś udał się w kierunku odwrotnym, żeby pomóc Teng w kabinie maszynisty.

Shenker i Haas, pędząc co sił z bronią w pogotowiu, znajdowali się na końcu pierwszego wagonu, kiedy nastąpił wybuch, lecz nawet nie przystanęli. Oboje byli przekonani, że uderzenie na pociąg skoncentruje się na lokomotywie i wagonie z dyplomatami. Za lokomotywę odpowiadała Teng z Akbarem, oni natomiast zajmowali się tamtym wagonem.

Trzy minuty po wstępnym ostrzeżeniu Shenker i Haas minęli Raoula Attenderę i Lisę Ruffio, wpadli do centrum informacji mieszczącego się w przedziale A przedostatniego wagonu w składzie pociągu. Mohamed Kawi przy monitorach radaru spokojnie przedstawił

im sytuację:

- Czterej na dachu. Musieli się zacząć nad wylotem tunelu. Kiedy przyspieszyliśmy, jeden spadł, więc teraz mamy trzech.

- Odpalą ładunki w oknach i wrzucą granaty oślepiające - przepowiedziała Shenker. -

Tak samo jak w londyńskiej ambasadzie Iranu. Gdzie oni są dokładnie?

- Prawie bezpośrednio nad nami - odrzekł Kawi. Czwórka terrorystów odruchowo spojrzała na sufit.

- Poruszają się ostrożnie - ciągnął Libijczyk. - Nie sądzę, żeby spodziewali się tej prędkości.

- Co z Sheilą? - spytała przywódczyni terrorystów.

- W porządku. Przed chwilą z nią rozmawiałem. Maszynista nie żyje. Sheila twierdzi, że na pomoście było trzech ludzi, a na ziemi trzech albo czterech. - Ładunki na drzwiach -

wtracił Haas kiwając głową. - Dwa wypaliły na początku pierwszego wagonu.

Shenker odwróciła się i cicho powiedziała do Lisy Ruffio:

- Przejdź się po wagonach i zobacz, czy nic się nie dzieje.

- A co z tymi na dachu? - spytała piersiasta Włoszka.

- Żaden problem - odparła Shenker. - Stracili element zaskoczenia. Poradzimy sobie z nimi.

Ruffio skinęła głową i opuściła przedział. Shenker zwróciła się do pozostałych:

- Dobrze. Mamy trzy minuty, może mniej. Nie wydarzyło się nic takiego, czego byśmy się nie spodziewali. Ćwiczyliśmy to setki razy. Są jakieś pytania?

Pytań nie było. Shenker odwróciła się na pięcie i wyszła, a za nią cała reszta, także Mohamed Kawi. Otworzyła drzwi sąsiedniego przedziału za pomocą klucza zabranego konduktorowi. Na górnej i dolnej pryczy leżały cztery identyczne walizki, a dwie wsunięto pod dolną leżankę. Obie walizki na górnej półce były puste, gdyż zabrano z nich broń, która posłużyła terrorystom do przejmowania pociągu, lecz dwie niższe zawierały komplet lekkich kamizelek kuloodpornych i zestaw masek przeciwgazowych dla każdego członka grupy.

Kamizelki zabrano podczas napadu na arsenał w St. Augustine, natomiast maski pochodziły z waszyngtońskiego przedsiębiorstwa zaopatrzeniowego. Zazwyczaj używali ich ludzie pracujący przy produkcji toksycznych chemikaliów, ale podwójne filtry masek skutecznie przeciwdziałały również gazom stosowanym przez oddziały szturmowe policji i wojska.

Ponieważ zasłaniały całą twarz i głowę, dodatkowo ochraniały przed uderzeniem granatów błyskowych - a Annalise Shenker wiedziała, że ludzie atakujący z dachu wagonu posłużą się granatami. Shenker i trójka pozostałych terrorystów zdołali nałożyć kamizelki i maski w ciągu czterdziestu pięciu sekund, o dwie sekundy poprawiając rekord ustanowiony podczas ćwiczeń w waszyngtońskim magazynie. Zajęcie pozycji zabrało im następne dwadzieścia sekund. Shenker i Haas

ustawili się w połowie krótkiego korytarza prowadzącego do przeszklonego salonu z tyłu ostatniego wagonu, a Raoul Attendera i Mohamed Kawi zajęli miejsca za ich plecami, zwrócenie w przeciwną stronę. Cała czwórka uzbrojona była w Ingramy o krótkich lufach.

Shenker przykucnęła w korytarzu, opierając się ramieniem o drzwi przedziału B, żeby nie stracić równowagi wskutek kołysania pędzącego pociągu. Z miejsca, gdzie uklękała, widziała przerażonego Helmuta Klassena, zachodniemieckiego ambasadora przy ONZ.

Niski, baryłkowaty dyplomata siedział przykuty kajdankami do fotela dokładnie naprzeciwko tylnego okna wagonu. Było oczywiste, że jeden z atakujących spróbuje wedrzeć się właśnie tamtędy.

- *Tapferkeit, mein Freund* - zawołała ironicznie przez maskę przekrzykując stukot kół.

- Odwagi, przyjacielu, nikt nie jest wieczny.

Sprawdziła położenie wskazówki minutowej na dużym męskim zegarku, który nosiła na prawym przegubie. Jeśli Kawi nie mylił się w ocenie sytuacji, w tej chwili tamci powinni zajmować pozycje dokładnie nad nią.

- Pamiętajcie - mówiła szybko. - Jest ich trzech. Najpierw wysadzą ładunki na oknach.

Zobaczcie, którędy wskoczą, i zaraz chować głowy. Jak już wybuchną granaty, otwieracie ogień. Mierzyć nisko. Strzelacie do oporu, chyba że rozkażę przerwać ogień. Nie zwracajcie na nic uwagi, słuchajcie własnego...

Dalszy ciąg jej wypowiedzi zagłuszyła potrójna eksplozja ładunków okiennych zdetonowanych przez trzech ocalałych ludzi z oddziału Bowmana. Tak jak przewidywała, jeden wybuch wysadził okno bezpośrednio za plecami ambasadora Klassena i siła eksplozji rzuciła skutego mężczyznę wraz z fotelem na twarz. Drugie okno wybuchło po prawej stronie, mniej niż trzy metry od miejsca, gdzie klęczała. Trzecia eksplozja nastąpiła z tyłu. Shenker skierowała lufę swego małego pistoletu maszynowego w stronę prawego okna, chowając głowę przed błyskiem granatu oślepiającego i zostawiając tylne okno Haasowi.

Ludzie Bowmana, działając w doskonałej koordynacji, zawiśli na linach przymocowanych do obudowy wywietrzników. Równocześnie cisnęli granaty i po odliczeniu do czterech rzucili się sami ich śladem, jak na ćwiczeniach: najpierw nogi, później przewrót przez bark i lądowanie w rozkroku, M-60 odbezpieczone i wycelowane. M-60, pistolet o wadze dziesięciu kilo, to ciężka broń, niezbyt poręczna w akcjach antyterrorystycznych.

Wybrano ją jednak dla grupy „Delta” ze względu na szybkostrzelność - ponad dwieście pocisków na minutę. Teoretycznie pistolet tej marki faszkuje zamknięte pomieszczenie taką ilością ołowiu, że starczyłoby dla uśmiercenia kilkudziesięciu terrorystów. Niestety, teoria była jedynym punktem oparcia dla ludzi Bowmana i innych członków grupy „Delta” z Fortu Bragg, ponieważ żaden z nich nie posiadał praktycznej wiedzy o taktyce terrorystów.

Natomiast Annalise Shenker i jej kompani działali opierając się na długoletnim doświadczeniu.

Zanim zgasły ostatnie granaty błyskowe, Shenker i inni strzelali już do wybranych celów, ściągając w dół podskakujące lufy swoich Ingramów. Komandos, który wskoczył za plecami Haasa i Shenker, dostał najgorzej, gdyż w jego kierunku mierzyli dwaj: Attendera i Mohamed Kawi. Ledwie dolna część jego ciała znalazła się w wybitym otworze okna, skoncentrowany ogień dwóch pistoletów maszynowych dosłownie odrzucił go na zewnątrz.

Zarówno człowiek, do którego mierzyła Shenker, jak i jego kolega z okna za ambasadorem Klassenem zdołali wpaść do środka, lecz żaden z nich nie zdążył oddać nawet jednego strzału. Shenker, siekąc ogniem od prawej do lewej i w górę, trafiła swój cel jedenaście razy, zanim żołnierz upadł, Haas zaś - najlepszy strzelec w grupie - ześrodkował ogień na głowie kolejnego żołnierza. W osiemnaście sekund od chwili odpalenia ładunków okiennych wewnątrz wagonu panoramicznego zmieniło się w dymiące zgliszcza, a trzech komandosi z grupy

“Delta” zostali zabici. Franchia - *attache* morski, Chilton - sekretarz Watykanu i Sanchez -

argentyński minister obrony, na odgłos wybuchu rzucili się na ziemię, gdzie leżeli oślepieni i jęczący po eksplozji granatów, która wypełniła wewnątrz duszącą mgłą. Coraz większa kałuża krwi dookoła nieruchomej głowy zachodnioniemieckiego ambasadora świadczyła, że albo już umarł, albo umierał.

Annalise Shenker powoli wstała wciąż ściskając dłońmi pistolet i wymierzyła w nieruchome ciało komandosa, do którego przedtem strzelała. Zimny poranny wiatr wlatywał

przez wybite okno wagonu i rozrzedzał gryzący dym. Oczekała pełne pół minuty, zanim się odezwała, wciąż ze wzrokiem utkwionym w leżącego obok człowieka.

- Weźcie ich broń - powiedziała wreszcie. - Potem niech Sheila zatrzyma pociąg.

Podeszła i trąciła zwłoki żołnierza.

- Tego przywiążcie do drabinki na przedzie lokomotywy. Z rozpostartymi nogami i rękoma. I żeby miał głowę prosto. Chcę, żeby po naszym wjeździe do Montrealu telewizja zrobiła jak najlepsze ujęcie. Chcę, żeby jego przełożeni ujrzeli zapłatę za swój grzech.

**Część trzecia**

# SPOTKANIE

*Byłbyś zdziwiony wiedząc, o czym się myśli, gdy coś takiego się dzieje. Mark zareagował dużo szybciej niż ja, ściągając mnie z drogi latających odłamków tymi swoimi rękoma jak otwieracze do puszek. Pamiętam tylko, że myślałem: “Jak on, do diabła, dojdzie do łazienki?”*

Harry Maxwell

w wywiadzie dla “Playboya”

## ROZDZIAŁ 8

**Poniedziałek, 27 czerwca**



# Godzina 12.30 czasu wschodniego

**Odległość: 673 mile/1083 km**

Frank Sagadore, o oczach przekrwionych ze zmęczenia, usiadł za stołem konferencyjnym, po którym, od jednego końca do drugiego, poniewierały się do połowy opróżnione kubki kawy, przepełnione popielniczki i kawałki papieru. Oprócz szefa ochrony było tam jeszcze czterech mężczyzn: Wesler z FBI, Walter Linberg, Mac Donovan, który przekazał swoją zmianę przy Głównej Tablicy Rozdzielczej innemu operatorowi, i John Boswell, naczelnik Penn Station. Wszyscy wyglądali na przemęczonych.

- Jakie są ostatnie wiadomości z helikopterów nadzorujących? - spytał znużonym głosem Sagadore.

- Niewesołe - odparł Wesler. Wstał i podszedł do schematu składu "Nocnej Sowy", wykonanego przez Boswella i powieszzonego na sztaludze. - Przynajmniej wiemy teraz na pewno, że rzeczywiście mają ładunki na drzwiach. Wygląda na to, że w pierwszym wagonie jest dziura na jakieś dziesięć-dwanaście stóp, wysadzony jest też cały tył wagonu bagażowego. Wybuch musiał uszkodzić część przewodów elektrycznych, bo obserwator z helikoptera powiedział, że w wagonie było ciemno.

- A tył? - rzucił Sagadore.

- Wyleciał w diabły - stwierdził Wesler. - Poszła połowa okien i było sporo dymu. Nie widzieli jednak wnętrza, więc nie wiemy, czy ktoś jest ranny.

- Podali w poprzednim raporcie, że przywiązano kogoś do czoła lokomotywy -

powiedział kwaśno Sagadore. - Prawdopodobnie ten człowiek nie żyje. Myślę, że możemy zakładać znaczne straty w ludziach, inspektorze Wesler.

- Ja nic nie zakładam - odparł Wesler. - Czekam na jakąś wiadomość ze strony terrorystów.

- Nie sądzę, żebyś ją otrzymał - zauważył Walter Linberg. - W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Dlaczego pan tak myśli? - zapytał Sagadore.

- Pozwalają nam się tu dusić - odparł Linberg. - Atak był błędem, i oni wiedzą o tym tak samo dobrze jak my. Chcą, żebyśmy teraz się zwijali ze strachu. Właśnie dlatego przywiązali tego żołnierza do lokomotywy.

- Uważam, że to banda szaleńców - mruknął z drugiego końca stołu Boswell.

- Nie tak całkiem. - Linberg odwrócił się do niego. - Mogliby być uznani za obłąkanych, jeśli zastosować normalne kryteria dotyczące równowagi psychicznej, jednak w obecnej sytuacji są równie sprawni umysłowo jak pan czy ja. Działają w sposób ściśle określony i logiczny. Nie ma tam miejsca na przypadek. Wszystko jest zaplanowane do ostatniego szczegółu.

- Nazywasz logicznym skakanie po całym kontynencie z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę? - spytał Wesler. - Sprowadziłem cię tu jako eksperta, Walterze, ale nie sądzę, byś umiał to wytłumaczyć.

- Jeszcze nie - odparł Linberg wzruszając ramionami. - Nie znaczy to jednak, że jest to nielogiczne.

- Bzdury! - rzucił Wesler. - Oni sami nie wiedzą, co robią. Nastraszył ich ten idiotyczny atak grupy "Delta".

- Wątpię - odparł nadal spokojny Linberg. - Ci ludzie byli już wiele razy w trudnych sytuacjach, od operacji w Monachium począwszy, po porwania w krajach OPEC. Nie są ani trochę przestraszeni, nie oszukuj się.

- W dalszym ciągu sądzi pan, że wjadą do Kanady? - spytał Boswell. - Bo jeśli tak, to skontaktujmy się lepiej z ludźmi VIA Rail w Montrealu, nie mówiąc już o kanadyjskim Departamencie Stanu.

- Sekretarzu Stanu - poprawił Sagadore. - Już to zrobiłem. Są całkowicie świadomi powagi sytuacji. Mówią, że będą czekać i patrzeć, jak się to wszystko rozwinie.

- To zupełnie tak, jak u nas - mruknął Wesler.

- Ciągle nie wiem, dlaczego mieliby jechać do Montrealu - odezwał się Boswell.

- Oni wcale nie chcą jechać do Montrealu - powiedział Linberg. - Frank ma chyba rację. Przekroczenie granicy międzypaństwowej, nawet przyjacielskiej, takiej jak amerykańsko-kanadyjska, komplikuje wszystko w sposób niewiarygodny. Dwie biurokracje, Bóg wie ile sił policyjnych, dwie różne władze kolejowe. Chaos. To właśnie dokładnie jest ich zamiarem. Myślę, że przejadą obok Montrealu tak, jak to zrobili z Nowym Jorkiem i Albany.

- Mogą tak zrobić? - spytał Wesler.

- Jasne - odparł Sagadore. - Montreal to ważny węzeł kolejowy. Pół tuzina dużych linii wychodzi z miasta, nie mówiąc o kilkuset milach linii przelotowych.

- Czy wtedy jeszcze będziemy w stanie ich śledzić? - chciał wiedzieć człowiek z FBI.

- My nie, ale Kanadyjczycy tak - powiedział Mac Donovan. - Mają Centralną Kontrolę Ruchu tak jak my. - Operator GTR ugryzł kawałek czerstwego pączka i popił letnią kawą. -

Kiedy jednak przekroczą granicę, sprawa wymknie się nam z rąk.

- Mam nadzieję, że Kanadyjczycy są do tego dosyć dobrzy - odezwał się Sagadore. -

Sprawdziłem parę rzeczy. Przez Montreal przejeżdża codziennie prawie sto pociągów pasażerskich, i to nie licząc linii podmiejskich. Będą się tam musieli nieźle nagimnastykować.

Jeśli coś spieprzą i "Nocna Sowa" wjedzie na zły tor albo będzie musiała się zatrzymać, Bóg jeden

wie, co ci maniacy zrobią.

- Zabiją po prostu wszystkich pasażerów - stwierdził Walter Linberg. - Nie mieliby innego wyboru, w każdym razie tak by uważali.

- Jezu! - wyszeptał Wesler.

- Może nie być aż tak źle - powiedział Donovan. - Jaki jest przewidywany czas przyjazdu do Montrealu?

Frank Sagadore przerzucił szybko leżące przed nim papiery i wyjąwszy jedną kartkę przyjrzał się jej.

- Pół godziny temu byli na południe od Westport w stanie Nowy Jork. Według normalnego rozkładu jazdy to jakieś trzy godziny od Montrealu. Przy ich prędkości będzie z pięć, może więcej. Kanadyjczycy powinni się trzymać swoich rozkładowych przejazdów, dopóki tamci się zbytnio nie zbliżą, a potem muszą oczyścić pole. To nie jest niemożliwe. -

Uśmiechnął się kwaśno. - Z drugiej strony cieszę się, że to nie mój problem. Operator GTR w Montrealu nieźle się napoci.

Do sali wszedł nieśmiało młody człowiek, bez słowa wręczając Sagadore'owi jakąś kartkę. Szef bezpieczeństwa przeczytał ją, po czym rzucił na stos innych przed sobą.

- No cóż, to jest to, panowie - powiedział wstając. - Opinia Departamentu Stanu, kanadyjskiego Sekretarza Stanu, Amtraku i ludzi VIA z Montrealu: według nich wszystkich

“Nocna Sowa” rzeczywiście jedzie do Kanady. Terrorysty podobno nie mają innego wyboru.

- I w związku z tym...? - spytał Mac Donovan.

- I w związku z tym - ciągnął Sagadore, zdejmując marynarkę z oparcia krzesła i wkładając ją - pan Wesler, pan Linberg i ja jesteśmy proszeni o przerzucenie naszych tyłków do Montrealu tak szybko, jak to możliwe. Ja mam czuwać nad toczącym się po szynach wartym parę milionów dolarów towarem Amtraku, pan Wesler zaś będzie działał jako łącznik między federalną policją w Kanadzie i ambasadą Stanów Zjednoczonych. Pan Linberg ma wziąć ze sobą swoją szklaną kulę, jako że jest jedynym w okolicy, który wydaje się wiedzieć cokolwiek na temat terrorystów. W drodze jest już helikopter ONZ-u, a na lotnisku Kennedy'ego czeka rządowy odrzutowiec.

- Tyle gadania o pociągach, a ja spędzam cały mój czas w helikopterach - obruszył się Walter Linberg, zgarniając papiery z powrotem do swojej aktówki.

- Amtrak dopadnie tam pana - wycedził Mac Donovan, odchylając się na krześle. -

Nie mówią tylko, jak.

Oberleutnant Wolfgang Groz przesunął się trochę na twardym siedzeniu Messerschmitta Me-109, wpatrując się przed siebie w słabo wygwieżdzone niebo. Jak zwykle lecieli w dwuosobowej

“Rotte”, czyli oddziały - tym razem prowadził Werner jako

“Rottefuhrer”, podczas gdy Groz - “Katchmarek”, czyli skrzydłowy, trzymał się nieco z tyłu.

Przed dwudziestoma minutami wystartowali z małego, pokrytego koleinami pola w Eglise-sur-Mer i lecieli teraz jako eskorta eskadry Heinkli z KG-100.

Swego czasu Groz uważał, że wszystko jest lepsze od łażenia w butach pełnych wody w piechocie, ale po siedmiu miesiącach latania na Me-109 przed artylerią przeciwlotniczą nad Tamizą i walk z brytyjskimi nocnymi myśliwcami nie był już tego taki pewien.

Messerschmitt był wspaniałą maszyną i pod wieloma względami przewyższał wolniejsze Spitfire'y i Hurricane'y używane przez Anglików, jednak podczas bliskich ataków piloci myśliwców eskortujących Heinkle byli najbardziej narażeni. Do tej pory szczęście sprzyjało Grozowi, ale wiedział, że wcześniej czy później się skończy. Zależało mu jedynie na tym, aby zostać trafionym nad lądem, a nie nad La Manche.

Jak na razie wszystko odbywało się zgodnie z planem. Eskadra Heinkli leciała jako samoloty prowadzące, wyposażone w nowy radiowy system poszukiwania celu X-Geraet, w sporej odległości od głównej grupy bombowców. Ich zadaniem było zlokalizować cel i spuścić bomby zapalające oświetlające cel. W porównaniu z przewożonymi przez bombowce ważącymi dwa i pół tysiąca funtów bombami typu “Max”, pociski zapalające były o wiele lżejsze - pozwalało to Heinklom poruszać się szybciej. Groz, zapalony lotnik i oficer mający wiele uznania dla Luftwaffe jako elitarniej jednostki wojskowej, daleki był jednak od nazistowskich wynaturzeń. I jeszcze dalszy od pragnienia oddania wszystkiego dla Führera i Vaterlandu. Mając dwadzieścia lat, Wolfgang Groz uważał, że jego życie i jaja są warte zdecydowanie więcej niż pośmiertny *Ritterkreuz*, z liśćmi dębu czy też bez nich. Dlatego właśnie przed każdą misją, niezależnie od pośpiechu, zawsze dopilnowywał, by jego uprząż

spadochroniarza była w należyтым porządku, a ruchoma osłona kabiny dobrze naoliwiona.

Koniec świata dla Groza nadszedł w postaci brytyjskiego Spitfire'a - wyjącego kształtu o zaostrzonym dziobie, który pojawił się nagle w odległości mniejszej niż dwieście jardów przed nim, z wszystkimi ośmioma karabinami maszynowymi i działkami błyskającymi wzdłuż skrzydeł niczym rząd wściekłych, rozpalonych zębów.

Kątem oka dostrzegł samolot Wenera, w ciągu sekundy zamieniony przez Anglików w płonącą kulę, i w tej samej chwili pchał już drążek między nogami maksymalnie do przodu, lewą ręką instynktownie dociskając dźwignię przepustnicy, aby osiągnąć pełną moc i prędkość potrzebną do ucieczki.

Bez ostrzeżenia świat wokół niego nagle eksplodował; ME-109 wstrząsnął się, jakby uderzony z tyłu przez innego Spitfire'a. Groz wszedł w beczkę, ale wróg dalej siedział mu na ogonie, ładując serię za serią w trafiony już samolot. Glikol tryskał z silnika na osłonę kabiny, a sam silnik zakrzuszył się i po chwili zatarł. Dym zaczął wypełniaćabinę. Półprzytomny Groz uderzył w zamek osłony i podźwignął ją do góry aż do pionu. Dym przerzedził się trochę, ale przez ogniotrwałą przegrodę

wpełzły z silnika rozszalałe języki ognia, ogarniając pilota i zapalając jego kurtkę. Udało mu się odciąć pasy i wyskoczyć z samolotu, zanim ten wpadł w nie kontrolowany korkociąg spadając w kierunku ledwo widocznej ziemi. Kiedy spadochron otworzył się, Groz rękoma próbował zgasić na sobie ogień, który osmalał mu już prawą stronę twarzy. Potem świadomość opuściła go miłosiernie.

Sześćdziesięcioletni teraz Wolfgang Groz - z bliznami po tamtej nocy wciąż trochę widocznymi na ogorzalej twarzy - wyglądał przez okno po lewej stronie należącego do Lufthansy Boeinga 747, patrząc, jak ogromna maszyna pochyla się nad ciemnozielonymi lasami wokół Mirabel International Airport pod Montrealem. Nieczęsto myślał o tej nocy sprzed prawie półwiecza, ale ilekroć leciał, nawet czymś tak spokojnym jak Jumbo, stare wspomnienia powracały.

Teraz zresztą wypadało nawet, żeby o tamtym wspomniał - był na to wreszcie właściwy czas i pora. Miał właśnie dwutygodniowy urlop, który był chyba czymś więcej niż zwykłym urlopem z dala od jego drukarni w Stuttgarcie; był to jakby przyjazd do domu -

spędził przecież w tym kraju cztery lata jako jeńiec wojenny. Uśmiechnął się do siebie, ciągle patrząc przez okno, podczas gdy samolot szybko schodził w dół. Przed tamtą nocą, kiedy ten upiorny Spitfire zestrzelił go w otchłań, nigdy nawet nie słyszał o miejscu zwanym Medicine Hat, a potem nazwał to miejsce domem...

- "Medizin Hut" - wyszeptał uśmiechając się do siebie. Brzmiało to równie komicznie po niemiecku, jak po angielsku. Komicznie czy nie, ale naprawdę wtedy to był jego dom, i Groz o tym pamiętał. Pamiętał też długą podróż koleją, którą odbył z doków Halifaxu do obozu, trzy tysiące mil w głąb ogromnego kraju.

Tę właśnie podróż miał teraz zamiar powtórzyć, chociaż, dzięki Bogu, tylko z Montrealu, nie z Halifaxu i - tym razem - w wygodnym wagonie sypialnym, a nie na twardej drewnianej ławce w lodowatym wagonie, ogrzewanym przez jeden piecyk drzewny. Widział

wtedy całą trasę w środku zimy, lecz niezbyt interesowały go mijane krajobrazy. Teraz mógł

korzystać w pełni z przyjemności podróży. Pewien smutek zakradł się do jego myśli. Tak wielu jego towarzyszy już nie żyje, z tak niewieloma można będzie wspominać dawne czasy. Zastanawiał się, czy nie to właśnie - ta nostalgia - jest prawdziwym powodem jego powrotu do Kanady. Wróci do Medicine Hat za tych wszystkich, którzy nigdy nie mieli tej szansy; jego podróż będzie hołdem dla nich.

Boeing 747 zaczął podchodzić do lądowania.

Jake Sloane szedł sztywno przez wielki jak boisko piłkarskie hali Dworca Głównego w Montrealu, nieprzyjemnie świadomy, że patrzy na niego wiele par oczu. Co parę jardów, prawie wbrew własnej woli, obciągał swój nowy granatowy mundur, poprawiał krawat, sięgał

do czapki albo sprawdzał, czy mankiety wystają wystarczająco. Zachowując się tak obojętnie, jak tylko mógł w tych okolicznościach, skręcił w prawo i zatrzymał się przed kioskiem z papierosami. Kupiłszy paczkę Export A i cukierki miętowe, ruszył w kierunku schodów prowadzących do toru 19.

Miał sporo czasu. Tablica pociągu nie była nawet jeszcze zdjęta ze słupa z numerem toru. Uniósł rękę i sprawdził godzinę, zadowolony, że nie uległ naleganiom matki, by wziął

zegarek kieszonkowy na łańcuszku, który dała mu w dniu otrzymania awansu na konduktora.

Dosyć ciężko było być najmłodszym konduktorem - w dodatku w najważniejszym pociągu - i dawać polecenia ludziom dwukrotnie starszym, z których kilku spędziło na kolei ponad trzydzieści lat; noszenie staromodnego zegarka na łańcuszku sprawiłoby, że wyglądałby i czuł

się jak idiota.

Do odjazdu ciągle pozostawała jeszcze ponad godzina. Właściwie nie musiał być w pociągu, dopóki pierwsi pasażerowie nie zejść na peron, nie zaszkodzi jednak sprawdzić wszystko, tym bardziej że była to jego pierwsza podróż na "Kanadyjczyku" w roli kierownika pociągu. Nacisnął kłamkę sięgających do pasa szklanych drzwiczek, przeszedł i dokładnie zamknął je za sobą. Następnie, starając się nie wyglądać zbyt ochoczo, zszedł po krętych schodach na peron.

Pociąg czekał na niego i żadna siła woli nie mogła odebrać sprężystości jego krokom, gdy szedł wzdłuż tego stalowego kolosa, z którego wydobywał się huk i gwizd pary i który miał znajdować się pod jego opieką przez następne cztery dni. Kochał pociągi odkąd pamiętał

i miłość ta nie osłabła z upływem lat. Przez całą szkołę podstawową i średnią praca na kolei zawsze była jego celem, a stałość swoich zainteresowań udowodniał przyjmując każdą letnią pracę, jaką mógł dostać, najpierw w Canadian National, a potem - po utworzeniu narodowej spółki pasażerskiej - w VIA. Teraz, po sześciu latach pracy w niej na pełnym etacie, jego zainteresowania były bardziej ugruntowane niż kiedykolwiek. Szybko dostawał awanse -

najpierw był pomocnikiem obsługi pociągu, pracując na krótkich trasach do Ottawy, Quebecu i Toronto, później już pełnoprawnym członkiem obsługi na tych samych odcinkach. Na rok dali go na "Canadian Transcontinental", potem przenieśli na "Ocean", jeżdżący z Halifaxu do Montrealu. W końcu, dwa lata temu, awansował na konduktora-kierownika pociągu i - ku radości matki - przydzielono go z powrotem na krótkie trasy wzdłuż linii Quebec-Montreal-Ottawa-Toronto. Dzięki temu rzadko wyjeżdżał na więcej niż trzydzieści sześć godzin i matka mogła mieć na niego oko. W wieku trzydziestu lat Jake był raczej pewien, że nie potrzebuje pilnowania, ale ona miała inne zdanie - dopóki był kawalerem, uważała za swój święty obowiązek traktować go jak swojego "dzieciaczka".

Doszedłszy do czoła pociągu Jake przystanął na chwilę, wpatrując się w masywną niebiesko-żółtą lokomotywę typu PA-4 Diesel, która - z powodu chodzących na wolnych obrotach silników o mocy 2400 koni mechanicznych i węży hamulcowych - przypominała wielkiego śpiącego smoka. Opanował chęć wyciągnięcia ręki i poklepania stalowego kolosa i odwróciwszy się ruszył peronem z powrotem - mijając wagon bagażowy i sypialnię załogi -

do pierwszego z wagonów pasażerskich. Podciągnął się na krótkiej drabince i wszedł do pociągu, by zacząć swój długi obchód ośmiowagonowego składu.

”Kanadyjczyk”, przejeżdżając dwa tysiące dziewięćset mil w cztery dni, przemierza większą odległość niż jakikolwiek inny pociąg na świecie, może z wyjątkiem radzieckiego ekspresu transsyberyjskiego. Opuszczając codziennie Montreal ma zazwyczaj osiem do dziesięciu wagonów, w zależności od sezonu, zanim jednak dotrze do Gór Skalistych, przyłącza się do niego następne w Toronto, Winnipeg i Calgary, często więc ostateczny skład liczy aż dwadzieścia jeden wagonów, co czyni z niego nie tylko jeden z najdalej jadących, ale i jeden z największych pociągów pasażerskich na świecie.

Rodowód “Kanadyjczyka” sięga “Pacific Expressu” należącego do linii Canadian Pacific, wypuszczonego po raz pierwszy w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym i jadącego mniej więcej tą samą trasą. Przez pierwszą połowę dwudziestego wieku CP dalej dominowała, jeśli chodzi o podróże przez cały kraj, z takimi pociągami, jak złożony z wagonów pulmanowskich “Imperial Limited”, a później “Dominion”. We wczesnych latach pięćdziesiątych CP zakupiła nowe, aerodynamiczne wagony typu Budd, takie same, jakich używano już w USA, i w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym po raz pierwszy przejechały one Kanadę. Aby nie zostać prześcigniętą, Canadian National, kolej państwowa, zaczęła - mniej więcej w tym samym czasie - własne kursy transkontynentalne - “Super Continental”. Pociąg ten był trochę skromniejszy, składał się bowiem z kombinacji wagonów typu Canadian Car Foundry ze standardowym wyposażeniem pulmanowskim. W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych oba pociągi zaczęły być mocno deficytowe i w końcu - w październiku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku - na polecenie rządu kanadyjskiego zostały połączone.

Jake szedł przez wagony, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku, od klimatyzacji po ustawienie foteli. Sprzątacze wykonali dobrą robotę i biorąc pod uwagę, że większość składu miała dwadzieścia pięć-trzydzieści lat, nie było źle.

Na początku znajdowały się dwa stare wagony CN z miejscami siedzącymi. Każdy z nich mógł pomieścić we względnej wygodzie osiemdziesiąt osób. Trzeci - to Budd Skyline, kombinacja wagonu panoramicznego z bufetem, przy którym trwała teraz krzątania, bo stewardzi właśnie uzupełniali zapasy. Jego świetlica oddzielała klasę pierwszą od turystycznej. Następny był Daynighter - stary wagon CN, wyopatroszony i odrestaurowany; miał teraz pięćdziesiąt lotniczych foteli, poprawione wyciszenie i lepsze oświetlenie. Jazda

Daynighterem była trochę droższa, ale zazwyczaj izolowała pasażera od tabunu płaczących dzieci i nieuniknionych nastolatków z kaseciakami. Za nim stał wagon restauracyjny

“Express”, mieszczący czterdziestu ośmiu pasażerów. Kiedyś korzystali z niego tylko podróżujący wagonem sypialnym, ale w oświeconych latach osiemdziesiątych porzucono starą praktykę i dopuszczono również innych pasażerów. Następne były dwa wagony sypialne: “Chateau Radisson” z dziewięcioma dwuosobowymi przedziałami klasy pierwszej i sześcioma przedziałami klasy drugiej z czterema łózkami każdy oraz “Riverdale” z dziesięcioma przedziałami klasy pierwszej i pięcioma dwuosobowymi klasy drugiej.

Ostatnim wagonem w pociągu, który zachowywał swoje miejsce mimo różnych zmian i dołączania innych w czasie jazdy, był panoramiczny piętus “Tremblant Park” z dwoma świetlicami, siedmioma przedziałami i dwudziestoma czterema miejscami siedzącymi. Na czas podróży jego najlepszy

przedział miał być domem Jake'a, jako że nikt go nie zarezerwował, a był on lepszy od dość przepełnionej sypialni załogi na przodzie pociągu.

Doszedłszy do końca składu Jake otworzył drzwi przedziału leżącego obok świetlicy, w środku wagonu. Uśmiechnął się szeroko - stewardzi wiedząc, że to jego pierwszy występ w roli szefa pociągu, ułatwili mu sprawy. Na rozkładanym stole przed fotelem ustawionym w kierunku jazdy leżały: ostatnia lista pasażerów i spis inwentarza. Zauważył, że w małej szafce wisały dwa świeże mundury. Nie zamykając drzwi zrzucił z siebie marynarkę i razem z czapką powiesił na haku przy kabinie ubikacji. Odpiąwszy od pasa krótkofalówkę Motorola ustawił ją na stole i opadł na fotel. Czekало go trochę pracy.

Najpierw przejrzał listę personelu, sprawdzając, czy na pewno są wszyscy z czterdziestu trzech członków obsługi. Brakowało dwóch stewardów z wagonu restauracyjnego, ale według adnotacji przy ich nazwiskach mieli oni być zabrani w Toronto, razem z resztą załogi potrzebną do drugiej części pociągu. Poza tym był pełen komplet. Mając to z głowy, zajął się z kolei spisem inwentarza, sprawdzając obliczenia stewarda dotyczące wyposażenia pociągu, jak również żywności, alkoholi i nakryć do restauracji oraz dodatkowych obrusów zabieranych w Montrealu. Była to praca nużąca, ale konieczna, którą miał powtarzać jeszcze wiele razy w ciągu następnych czterech dni. Zapasy uzupełniano w Toronto, Winnipeg i Calgary i trzeba było znać dokładnie ich zużycie, aby uniknąć zarówno nadmiaru, jak i braku czegoś. Choć może się to wydawać dziwne, w spisie inwentarza rzadko trafiały się błędy czy nieścisłości, a zdarzające się złe podliczenia były prawie zawsze spowodowane prostymi pomyłkami w mnożeniu czy dodawaniu. Tylko raz, odkąd pracował

w VIA, znalazł dowód na kradzież, a i to tylko ziemniaków. Wyglądało na to, że w przeciwieństwie do linii lotniczych, które muszą radzić sobie z bardzo dużymi stratami zapasów, zwłaszcza alkoholi, ludzie pracujący na kolei są całkiem uczciwi. Zakończywszy sprawdzanie inwentarza, Jake wziął do ręki długą listę pasażerów i zaczął ją czytać, porównując ze zrobioną wcześniej tego samego dnia i zwracając szczególną uwagę na zwolnione miejsca oraz na to, kim są podróżni. Nie szkodziło wiedzieć, w razie nagłej potrzeby, czy i gdzie są w pociągu lekarze, dobrze też było zorientować się w różnych innych specjalnych potrzebach pasażerów, takich jak niewidomych z psami-przewodnikami, głuchych, na wózkach inwalidzkich czy kobiet w zaawansowanej ciąży.

Przeglądając spis Jake zauważył, że chociaż będą jechać mało obciążeni - wieść będą bardzo mieszane towarzystwo. Ze stu sześćdziesięciu miejsc rezerwowanych zajętych było tylko dziewięćdziesiąt cztery, większość tylko do Toronto, część do Winnipeg i dwa do końca trasy, czyli do Vancouver. Na szczęście nie było wycieczek szkolnych, grup harcerzy ani drużyn harcerskich; raz kiedyś, za sprawą jakiegoś złośliwego kaprysu losu, jechał

“Kanadyjczykiem” z wszystkimi trzema grupami: sześćdziesiąt uczennic prywatnej szkoły udających się z Montrealu na letni obóz pod Thunder Bay, czterdziestu harcerzy w wieku dojrzewania w drodze na Jamboree do Brandon w Manitobie oraz cała drużyna Kanadyjskiej Ligi Piłkarskiej, podróżująca do Alberty na mecz z Calgary Stampeders i korzystająca tym razem z pociągu z powodu strajku linii lotniczych. Były to trzy dni przeraźliwego, wypełnionego rock and rollem pijackiego szaleństwa. Zanim dotarli do Banff, gdzie wysiadła ostatnia z grup, Jake myślał, że umrze z wyczerpania.

Daynighter też nie był przepełniony, miejsca były bowiem zajęte tylko w dwóch trzecich, Jake



zauważył jednak przynajmniej jednego interesującego pasażera - sierżanta Normana Ketteringa z montrealskiej policji, udającego się do Toronto. Oznaczenie przy rezerwacji wskazywało, że miał on przy sobie broń. Na wszelki wypadek Jake podkreślił jego nazwisko czerwonym pisakiem.

W "Chateau Radisson" było dwóch lekarzy - niejaki Bellows w przedziale C oraz Strong w D. Przedział A zajmowały dwie zakonnice, B zaś był pusty aż do Toronto. Wolny był też największy przedział klasy pierwszej, jak również osiem łóżek w czterech przedziałach klasy drugiej. Jake zaznaczył na liście nazwiska obu doktorów i zapisał sobie, by polecić Forrestowi, stewardowi z "Radisson", dowiedzieć się, czy są oni lekarzami medycyny.

Brwi młodego konduktora uniosły się, kiedy zobaczył, kto zajmuje "Riverdale".

Wszystkie przedziały klasy pierwszej i cztery z pięciu klasy drugiej zostały zarezerwowane przez La Groupe Astrale, grupę tańca nowoczesnego z Montrealu. Corrigan, steward przydzielony do "Riverdale", był dobrze znany jako dość nieprzyjemny prostak i mogły być z nim kłopoty. Postanowił więc przenieść Corrigan do "Radisson", a Forresta do "Riverdale".

Forrest był o dobre dziesięć lat starszy od tamtego, Jake był jednak pewien, że zrozumie sytuację. Przed przyjściem do Canadian Pacific, na początku lat siedemdziesiątych, Forrest przepracował piętnaście lat w Pensylwania Railroad i Jake wiedział, że grupa tańca nowoczesnego nie poruszy go w najmniejszym stopniu. Po dwudziestu pięciu latach na kolei Forrest widział już wszystko co najmniej dwa razy.

Został jeszcze "Tremblant Park". Z trzech przedziałów klasy drugiej tylko jeden był

zajęty. Uśmiechnął się na widok ostatniego nazwiska na liście - Wanda Jenkins Margay; po raz

kolejny

w

transkontynentalnej

podróży.

Pierwszy

raz

spotkał

tę

siedemdziesięciokilkuletnią podróżniczkę, kiedy - będąc jeszcze w szkole średniej - pracował

jako steward w bufecie, i od tamtej pory widywał ją co najmniej raz w roku. Ona z zainteresowaniem śledziła jego karierę, udzielając mu nieustannych rad, a także opowiadając historie dotyczące kolei

sprzed pół wieku. Bogato urodzona, wyszła za mąż jeszcze bardziej bogato, ale wcześniej owdowiała. Nie potrzebując pracować i dysponując dużymi pieniędzmi, zaczęła podróżować, nie wyjeżdżając jednak poza kontynent północnoamerykański z powodu śmiertelnego strachu przed wodą i jeszcze bardziej paraliżującego lęku wysokości. Nastawiła się więc na pociągi, jeżdżąc z Montrealu, gdzie mieszkała, do Vancouver, a potem przesiadając się na starą linię Burlington Northern i kierując się na południe, przez stany Washington i Oregon do Kalifornii. Utrzymywała, że przemierzyła każdą z dwudziestu pięciu tysięcy mil torów BN. Widziała każdy stan, przez który przejeżdżały pociągi, i miała przyjaciół dosłownie wszędzie. Jej podróże trwały od trzech tygodni do trzech miesięcy, a pod koniec roku zazwyczaj przenosiła się na Florydę.

Po spędzeniu zimy w Miami wracała do Montrealu i znów rozpoczynała swoje podróże, czasem kierując się na wschód, czasem na zachód, a czasem na południe. W czasie jazdy bez przerwy robiła na drutach i Jake znał wielu kolejarzy, którzy nosili zimowe skarpety jej roboty. On sam też miał takie. Rzucił listę na stół i oparł się wygodnie, zapalając papierosa wyjętego z prawie pustej już paczki w kamizelce i uśmiechając się przy tym. Przez następne cztery dni będzie miał dużo ciężkiej pracy, ale mając Wandę o dwa kroki wiedział, że spędzi te dni przyjemnie.

Kenzie McLeod była owocem nieślubnego związku czarnego krętacza, któremu udało się uniknąć służby wojskowej, i hipiski z komuny w Kolumbii Brytyjskiej. Urodzona w ostatnich dniach wielkiej “rewolucji” młodzieżowej, była typową przedstawicielką

“nawiedzanej” generacji. Całe życie upływało jej w dobrobycie pojedynczego rodzicielstwa.

Jedyną spuścizną po ojcu, którego nigdy nie знаła, stanowiła jej ciemna cera, razem z irlandzką urodą matki i kruczoczarnymi włosami czyniąca z niej młodą kobietę o wyjątkowej piękności. Większość ludzi dopatrywała się w niej nawet krwi indiańskiej.

W Kanadyjskim Departamencie Zatrudnienia i Imigracji jej matka figurowała jako szwaczka, ale jedynym szyciem, przy jakim Kenzie ją widziała, były dziwaczne hafty na koszulkach jej niezliczonych przyjaciół. Czasami Kenzie zastanawiała się, czy tajemniczy motyl na kołnierzu lub tęcza na kieszeni nie były swego rodzaju magią, której matka próbowała używać, by utrzymać zainteresowanie aktualnego przyjaciela swoją osobą. Jeśli była to magia, to jakaś bardzo słaba, bo mężczyźni nigdy nie wytrzymywali dłużej niż kilka miesięcy, a ostatnio okazywali takie samo zainteresowanie Kenzie, jak jej matką.

Kiedy dziewczyna była młodsza, matka chętnie się jej urodą, gdy jednak sama przeszła klimakterium i stało się oczywiste, że piękność córki przewyższa urodę matki, stosunki między nimi zaczęły się psuć. Początkowo Kenzie nie rozumiała nagłej oziębłości matki, w końcu jednak zdała sobie sprawę, że tamta jest po prostu zazdrosna. Podczas gdy uroda matki bladła z upływem lat, Kenzie rozkwitała. Wydawać się mogło, że dziewczyna, za pomocą jakichś czarów, porywa matce jej jedyną cenną rzecz.

Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny w poprzednim tygodniu. Matka Kenzie, handlując ćwierćuncjowymi porcjami marihuany, by dorobić coś do czeku z opieki społecznej, zapomniała, że zaprosiła na obiad swego obecnego przyjaciela. Człowiek ten, rzekomo muzyk w zespole, o którym Kenzie nigdy nie słyszała, zjawił się na czas, w przeciwieństwie do matki dziewczyny. Gość, już

naszprycowany jakąś paskudną kombinacją narkotyków i alkoholu, zaczął się przystawiać do Kenzie. Kiedy się przed nim broniła, w drzwiach ich mieszkania na trzecim piętrze domu położonego w montrealskiej dzielnicy slumsów ukazała się matka.

Zobaczywszy co się dzieje, zaczęła wrzeszczeć, w końcu jednak stanęła po stronie swego przyjaciela, który uparcie utrzymywał, że to Kenzie mu nadskakiwała. Było to oczywistą nieprawdą, ale dyskusowanie na ten temat nie miało sensu. Właśnie wtedy Kenzie stwierdziła, że ma już dosyć matki, jej przyjaciół i nędzy, w której żyła od urodzenia.

Uzbroiła się w cierpliwość czekając na weekend. Jak zwykle latem, matka znalazła sobie jakieś miejsce na wsi, oczywiście bez Kenzie. Pozostawianie nieletniego dziecka bez opieki było sprzeczne z prawem i Kenzie wiedziała o tym, ale nie miała zamiaru skarżyć się komukolwiek. Kiedy upewniła się, że matka wyjechała na weekend, poszła prosto do skrytki z narkotykami znajdującej się w ubikacji i dokładnie ją opróżniła. Przez następne dwa dni krążyła między przyjaciółmi, sprzedając trawę i hasz po najniższych cenach. Do niedzielnego wieczora zebrała dwieście dolarów. Wrzuciła trochę swoich ciuchów do plecaka, zgarnęła najlepszą biżuterię matki i przenośny magnetofon - i wyniosła się. Noc spędziła w piwnicznej komórce domu jednego z przyjaciół, a w poniedziałkowe południe była już na Dworcu Głównym, zastanawiając się, co dalej. Była raczej pewna, że matka nie zgłosi jej ucieczki ludziom z opieki społecznej, ponieważ ściągnęłaby tym gromy na siebie za pozostawienie Kenzie samej na weekend, nie mówiąc już o tym, że prawdopodobnie straciłaby zasiłek na dziecko. Mimo to kręcenie się po Montrealu nie było dobrym rozwiązaniem - na ulicy urzędowało zbyt wielu przyjaciół matki i w końcu któryś z nich mógł ją spoznać, jeśli nie zgarnęliby jej wcześniej gliniarze czy służby do spraw nieletnich.

Kenzie doskonale знаła Dworzec Główny, otaczający go labirynt wypełnionych butikami korytarzy oraz tunele prowadzące do centrum handlowego na placu Ville Marie i hotelu Bonaventure. Urywała się z lekcji, by całymi dniami włóczyć się w podziemnych arkadach, i wiedziała, jak unikać zwracania na siebie uwagi. Z plecakiem na ramionach natychmiast stała się jeszcze jednym dzieciakiem na letniej włóczędździe. Przebrania dopełniała pusta okładka po bilecie VIA, znaleziona w popielniczce i wystająca teraz z jednej z bocznych kieszeni plecaka. Wiedziała, że może tak chodzić po dworcu, nie niepokojona przez gliniarzy, aż do odjazdu ostatniego pociągu, którym - według rozkładu na dużej podświetlanej tablicy przy przechowalni bagażu - miał być "Cavalier", nocny pociąg do Toronto, odchodzący o dwudziestej trzeciej trzydzieści pięć.

Siedząc na jednym z twardych plastikowych fotelików pod przeciwległą ścianą, Kenzie zajadała pączka, popijając go mocno osłodzoną kawą z plastikowego kubka. Gapiała się na rozkład, nie zwracając uwagi na przepływający przed nią w obie strony strumień ludzi.

Mogła wsiąść do któregoś z kilkunastu pociągów odjeżdżających tego dnia do Toronto czy Ottawy, jednak żadne z tych miast jej nie pociągało. Pierwsze z nich było cholernie duże, drugie zaś leżało w odległości tylko stu kilku mil od domu, co było dla Kenzie zbyt blisko. Gdy tak siedziała rozmyślając, przeszło obok dwóch pracowników kolei, ciągnąc za sobą przenośny kasownik biletów. Napis na nim głosił: VANCOUVER. Kenzie pokiwała głową - to już było coś. Po pierwsze, tam się urodziła, a po drugie było to chyba najdalsze miejsce od Montrealu, do którego można dojechać wciąż jeszcze będąc w Kanadzie.

Szansę na to, by jej matka ją tam znalazła, równały się zeru. Z tego co słyszała, było to też całkiem luzackie miasto, a gdyby nie udało jej się tam znaleźć jakiejś pracy, mogła zawsze pojechać na południe, do Kalifornii.

Wstała i poszła za mężczyznami ciągnącymi kasownik przez hali dworca. Zatrzymali się przy schodach prowadzących na tor 19 i zablokowawszy koła odeszli. Po chwili pojawił

się jakiś brzuchaty facet w mundurze VIA niosący wysoki stółek i usiadł za kasownikiem.

Sądząc po znaczkach na czapce, był konduktorem wagonu sypialnego. Kenzie znowu usiadła, próbując podjąć decyzję - niepokoje piętnastolatki opuszczającej dom walczyły w niej z przemożnym pragnieniem zmiany życia raz na zawsze. Była bystrą dziewczyną, a mieszkanie z matką nauczyło ją ulicznego sprytu. Wiedziała, że pozostanie w Montrealu byłoby przegraniem własnego życia. Jeszcze parę lat i rozpacz zwycięży zdrowy rozsądek - będzie gotowa zająć się z jakimś nieudacznikiem, żeby tylko móc żyć na własny rachunek.

Musiała działać, i to natychmiast. W megafonach rozległ się nagrany głos, oznajmiając, że pasażerowie wagonów sypialnych mogą już wchodzić do "Kanadyjczyka". Kiedy przed kasownikiem u wejścia na tor 19 zaczęła się tworzyć zwarta kolejka, Kenzie wstała i podeszła do okienek kasowych.

Po przeczekaniu kilkunastoosobowego ogonka do kasy Kenzie z rozzłoszczoną miną usiadła z powrotem na swoim miejscu. Cena biletu do Vancouver wynosiła dwieście dziesięć dolarów. Za trochę mniej mogła dojechać do Calgary, ale pochłonęłoby to wszystkie jej pieniądze. Klepanie biedy w Montrealu to jedno, ale przybycie bez grosza do nieznanego miasta byłoby szukaniem nieszczęścia. Trzymając plecak między kolanami osunęła się zrezygnowana na krześle. Co, u diabła, miała teraz zrobić? Zagryzła wargi, starając się powstrzymać łzy zawodu wypełniające jej oczy.

Miała mglistą świadomość obecności obok siebie jakiejś młodej pary, będącej oczywiście w trakcie romantycznego pożegnania. Gdy objęli się mocniej, Kenzie obróciła się lekko, by móc na nich spojrzeć. Chłopak miał mniej niż dwadzieścia lat, zmierzwił włosy, ubrany był w dżinsy i robocze buty. Kenzie stwierdziła, że dziewczyna wygląda na niewiele starszą od niego. Kiedy kurczowe objęcie jeszcze się pogłębiło, spuściła oczy zażenowana tym, że stała się mimowolnym świadkiem czułych pieszczot. Spojrzenie jej spoczęło na pomiętym plecaku z zielonego płótna należącym do chłopaka, podobnym do jej własnego. Z

jego lewej bocznej kieszeni wystawała książeczka biletowa, taka, jaką wzięła wcześniej dla kamuflażu.

Następne kilka sekund minęło jak dziwny sen. Prawie nie dowierzając temu, co robi, Kenzie sięgnęła w dół, niby to chcąc poprawić mankiety swoich dżinsów, wyciągnęła bilet z bocznej kieszeni plecaka i wstała, wszystko prawie jednym ciągłym ruchem. Chwyciła własny plecak i wolno odeszła z mocno bijącym sercem, wstrzymując oddech.

Pobrzmiwające echem odgłosy wielkiego dworca zlały się w jeden cichy jęk, niczym dźwięk kabli wysokiego napięcia. Mieszając się z tłumem pasażerów wagonów niesypialnych przy wejściu na tor

19, zaryzykowała spojrzenie do tyłu. Chłopak i dziewczyna byli częściowo zasłonięci murkiem następnego peronu, ale sądząc z ich nadal złączonych głów, raczej nie zauważyli ani kradzieży, ani nagłego odejścia Kenzie z sąsiedniego miejsca. Zarzuciwszy plecak na ramiona wepchnęła się głębiej w tłum pasażerów czekających na otwarcie bramki.

Otoczona ludźmi, otworzyła książeczkę biletową i rzuciła na nią okiem.

Nie rezerwowane miejsce do Winnipeg. Ledwo powstrzymała okrzyk radości. Ponad połowa drogi! Dokładniej przyjrzała się biletowi. Rubryka przeznaczona na nazwisko pasażera była pusta, a datą wystawienia był 27 czerwca. W prostokątku pod datą widniała godzina wydania biletu: piętnasta trzydzieści - niecałe pół godziny temu. Z kolei w rubryce dotyczącej sposobu płacenia wyraźnym komputerowym drukiem napisane było: GOTÓWKA.

Żadnego czeku czy karty kredytowej, żadnego nazwiska. Kenzie była prawie pewna, że bilet będzie nie do odnalezienia. Wiedziała też na tyle dużo o pracy urzędników kolejowych, by zdawać sobie sprawę, że nawet jeśli jakiś konduktor w pociągu posiadał listę biletów sprzedanych do różnych stacji, szansę jej uaktualnienia na tak krótko przed odjazdem były nikłe. Jeżeli chłopak jeszcze przez kilka minut będzie gruchał ze swoją dziewczyną, Kenzie będzie wolna. Kiedy zauważy już brak biletu, stwierdzi, że go zgubił, i wróci do kasy.

Fryzura, dzinsy i buciory raczej nie zjedną mu sympatii i przy odrobinie jej szczęścia ciągle jeszcze będzie próbował dostać nowy bilet, gdy pociąg już ruszy. Po kilku sekundach w hallu rozbrzmiewała kolejna nagrana zapowiedź. Pociąg nr 1 Kolei VIA - "Kanadyjczyk" -

przyjmuje już pasażerów na torze 19. Bramka przed nią otworzyła się i Kenzie pozwoliła się wepchnąć rozkołysanemu tłumowi na peron. Była w drodze.

Kiedy Kenzie McLeod rozpoczynała swoją od dawna wymarzoną ucieczkę z Montrealu i kiedy Jake Sloane usadawiał swoją starą przyjaciółkę, Wandę Jenkins Margay, w jej przedziale w ostatnim wagonie "Kanadyjczyka", z taksówki na postoju przy dworcu wysiadło dwoje ludzi. Kobieta - niska, dobrze ubrana blondynka - zapłaciła kierowcy i odrzuciła pomoc w niesieniu jej jedyne go bagażu, średniej wielkości ciemnozielonej walizki typu Samsonite. Ruszyła za swoim towarzyszem, dobiegającym trzydziestki mężczyzną o ciemnych włosach i wyglądzie Francuza, który przeszedł właśnie szklane drzwi prowadzące do hallu. Miał w ręku dużą aluminiową skrzynkę, taką, jakiej używają fotografowie. Każdy, kto by jej dotknął, byłby zdziwiony jej chłodem - jakby przez jakiś czas trzymano ją w lodówce. Chociaż skrzynka była wyraźnie ciężka, mężczyzna niósł ją bardzo delikatnie -

ostrożnie trzymał winylową rączkę, a nadgarstek miał lekko wygięty, aby uchronić skrzynkę od ocierania się o jego nogi podczas marszu.

Oboje, idąc w odległości kilku jardów od siebie, dotarli do wejścia na tor 19 i okazawszy bilety zeszli po schodach. Byli ostatnimi pasażerami, którzy przeszli przez bramkę. Ledwie zniknęli z widoku, zegar zawieszony wysoko nad wejściem na tory 11 i 12

szczęknął głośno. Cyfry przeskoczyły pokazując godzinę szesnastą dwadzieścia pięć.

# **ROZDZIAŁ 9**

**Poniedziałek, 27 czerwca**

# Godzina 16.40 czasu wschodniego

**Odległość: 780 mil/1255 km**

O szesnastej dziesiątej "Nocna Sowa", jadąc w przybliżeniu trasą "Adirondacha", pociągu nr 69 Amtraku, ze stałą prędkością około trzydziestu mil na godzinę, dotarła do Rouses Point w stanie Nowy Jork. Kilka minut później pociąg przekroczył granicę Kanady, przez co porwanie automatycznie stało się problemem międzynarodowym. Fakt ten zgłosili celnicy z Rouses Point, którzy zwykle tam właśnie wchodzili do środka. Na miejscu była też grupa inwigilacyjna FBI z Albany, której członkom - korzystającym z farmy stojącej w odległości niecałych stu jardów od torów - udało się zrobić kilkadziesiąt zdjęć przejeżdżającego pociągu i nagrać wszystko na wideo. Fotografie i kasety stanowiły pierwszy niezaprzeczalny dowód, że nierozważny atak Czarnych Beretów na "Nocną Sowę" miał

fatalne skutki. Wyraźne zdjęcie ciała nieszczęsnego członka grupy "Delta" przywiązanego do przedniej kraty lokomotywy F-40 niezbicie dowodziło, iż szturm na pociąg nie powiódł się.

O wpół do piątej, tylko parę sekund po tym, jak "Kanadyjczyk" odjechał z toru 19, Frank Sagadore, Walter Linberg i inspektor FBI Wesler przybyli wraz z policyjną eskortą przed wejście na Dworzec Główny od strony Dorchester Street. Zabrano ich do sali konferencyjnej w foyer Queen Elizabeth Hotel, który wznosił się dokładnie nad podziemnym terminalem.

Spotkali się tam z pospiesznie zebrany komitetem powitalnym, w skład którego wchodził: wiceprezes VIA, główny dyspozytor montrealskich dworców Kanadyjskich Kolei Państwowych oraz starszy oficer Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej, z oddziału w Montrealu. Wszyscy wyglądali na zmartwionych. Usiedli przy prostokątnym stole i Frank Sagadore od razu wyczuł, że kłopoty wiszą w powietrzu. Kanadyjczycy rozlokowali się po lewej stronie stołu, Amerykanie po prawej. Okazało się, że gospodarzom przewodzi Patrick Mason, wiceprezes VIA. Sagadore usiadł dokładnie naprzeciw pięćdziesięcioletniego, konserwatywnie ubranego dyrektora.

Mason przetykał ślinę bawiąc się bezmyślnie leżącym przed nim na stole plikiem papierów, jakby nie był całkiem pewien, od czego zacząć. Sagadore widział już takie zachowania. Mason zdawał sobie sprawę z tego, że wszystko, co teraz powie, będzie stanowiło jakiś precedens, a jak każdy biurokrata był prawdopodobnie śmiertelnie przerażony samą myślą o wzięciu na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności. Zanim zdobył się na powiedzenie czegokolwiek, Sagadore postanowił sam wziąć byka za rogi.

- Przez ostatnie kilka godzin nie otrzymywaliśmy żadnych wiadomości - odezwał się.

- Myślę, że wszyscy chętnie posłuchalibyśmy jakiegoś sprawozdania.

Mason jeszcze raz przełknął ślinę.

- Tak, oczywiście - powiedział wolno.

Odwrócił się w prawo, spoglądając na Jeana LaSalle, którego przedstawiono Sagadore'owi jako

głównego dyspozytora. Był to mężczyzna o ogorzałej twarzy, dobiegający już pięćdziesiątki. Nie będzie łatwo, pomyślał Sagadore. Dyspozytor skinął głową; kiedy przemówił, głos miał spokojny i opanowany, z niewielkim tylko śladem francuskiego akcentu.

- Dosłownie przed chwilą - zaczął - wasz skład minął Napierville, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Montrealu.

- Ile to mil? - spytał Wesler.

- Trzydzieści pięć - odparł obojętnie LaSalle. - Nie zwiększyli prędkości i, jak dotąd, nie komunikowali się z nami, chociaż wszystkie częstotliwości trzymamy wolne.

- A co z innymi pociągami na tej trasie? - zapytał Sagadore.

- Zdjęliśmy je wszystkie aż do Verdun - brzmiała odpowiedź. - Uznaliśmy, że lepiej będzie nie przerywać jazdy większości pociągów, przynajmniej na razie. - Jak dotąd trzymamy się rozkładu, w każdym razie VIA to robi. Przed chwilą odjechał właśnie

„Kanadyjczyk”, a także „Bonaventure”, jeden z naszych składów do Toronto. Za niecałą godzinę odchodzi jeszcze „Ottawa Rapido”, ale to byłoby już wszystko, jeśli chodzi o ruch na głównej linii.

- A pociągi podmiejskie? - zapytał Sagadore.

- Nie ma problemu - odpowiedział LaSalle. - Większość z nich przejeżdża tunel, a potem kieruje się na wschód albo na zachód.

- Problemu nie będzie, dopóki wasz pociąg nie zechce wjechać na dworzec - wtrącił

się Mason. - Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli tak się stanie - dodał.

- Nie sądzimy, żeby to było prawdopodobne - powiedział Sagadore zapalając papierosa. - Gdyby chcieli narobić jakichś szkód, zrobiliby to na Penn Station. Mogli tam narozrabiać dziesięć razy bardziej.

- Czy macie jakieś przypuszczenia co do ich rzeczywistych zamiarów? - zapytał Gore, oficer RCMP.

Chociaż siwy barczysty mężczyzna miał na sobie gładki granatowy garnitur, a nie mundur, Sagadore mógł na milę wyczuć w nim gliniarza. Bardzo krótko obcięte włosy i wojskowa postawa były jak czapka i oznaka.

- W zasadzie uważamy, że skierują się w stronę wzgórz - po raz pierwszy odezwał się Walter Linberg. Pchnął przez stół do policjanta kopię swoich akt na temat terrorystów. -

Niech pan sobie o nich poczyta. Sądzimy, że przywódcą grupy jest kobieta o nazwisku Annalise Shenker. Terrorystka starej szkoły. Nie jestem psychiatrą, ale nie wygląda mi na typ samobójcy. Chce z tego wyjść cało.



- Nie wiem nic o tutejszej sieci kolejowej - powiedział Sagadore. - Jeżeli ci ludzie będą chcieli ominąć Montreal, to jakie mają możliwości?

- Będą musieli zdecydować się na coś, zanim przejadą rzekę św. Wawrzyńca -

stwierdził LaSalle. - Mogliby udać się na wschód, co zaprowadziłoby ich do Gaspé albo Nowego Brunswiku, albo też skręcić na zachód, a potem na południe i przez Huntington wrócić do Stanów Zjednoczonych, korzystając z linii Consolidated.

- A z tej strony rzeki? - zapytał Sagadore.

- Na wschód mogliby pojechać do Quebecu, ale wtedy musieliby przejechać przez miasto, może wzdłuż doków. Jeśli mówicie, że starają się omijać miasta, takie wyjście nie byłoby chyba logiczne, prawda?

- Co z kierunkiem zachodnim?

- A, zachód - mruknął LaSalle. - No cóż, to zupełnie inna sprawa. Przez węzeł Pont Mercier dojechaliby do Montrealu Zachodniego. Stamtąd główną linią, która prowadzi obok dworca rozjazdowego w Lachine, ruszyliby do Dorval.

- Dorval? - zapytał Wesler. - To lotnisko?

- Zgadza się.

- Cholera! - rzucił agent FBI. - Jak daleko od niego są tory?

- Niedaleko, *monsieur*, może z pół mili. Ze stacji widać lotnisko całkiem wyraźnie. -

Czy to może być to...? - zwrócił się Wesler do Linberga.

- Co jest między stacją a lotniskiem? - spytał w odpowiedzi tamten.

- Sześciopasmowa autostrada - odezwał się Sagadore, przypominając sobie ich drogę tutaj. - Z betonowymi barierkami i rowami odwadniającymi po obu stronach. To zupełnie odkryty teren. Nie sądzę, żeby nasza panna Shenker widziała siebie w roli biegaczki olimpijskiej, zwłaszcza jeśli chce się zmyć z pieniędzmi. Zresztą co by zrobili, gdyby nawet dotarli na lotnisko? Porwali samolot? Po co, jeśli już mają cały pociąg zakładników? Nie, będą się trzymać pociągu.

- Jesteśmy tu nie na swoim terenie - wolno powiedział Linberg. - Może zapytamy kogoś, kto lepiej się orientuje? Pan LaSalle?

- *Pardon?*

- Niech pan się postawi na ich miejscu. Gdyby chciał pan wyjść z tego cało, gdzie porzuciłby pan pociąg?

Dyspozytor pomyślał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Nie jest to pytanie, na które szukałem już kiedykolwiek odpowiedzi - stwierdził - ale myślę, że najprawdopodobniej pojechałbym na północ. Oni na pewno chcą jak najszybciej wydostać się z głównego szlaku. To by znaczyło jazdę do Ottawy, a potem dalej, gdzie krzyżują się linie z prowincji Ontario do Quebecu. Poruszając się z rozsądną prędkością, mogliby być - jak byście to ujęli? - w środku niczego przed zapadnięciem zmroku. Dwie godziny do Ottawy, następne cztery czy pięć do North Bay. Do dwudziestej czwartej znaleźliby się głęboko w północnym Ontario.

- W takim razie tak właśnie zrobią - orzekł Linberg, z przekonaniem kiwając głową.

- To ma ręce i nogi - zgodził się Gore, wciąż czytając akta Linberga. - Widzę tutaj, że ten Mohamed Kawi posiada licencję pilota, a tam jest z tysiąc jezior. Gdyby tam czekał na nich hydroplan... - reszcie zdania pozwolił zawisnąć w powietrzu.

Rozległo się wysokie pikanie. LaSalle zmarszczył brwi, sięgnął do przypiętego przy pasku małego urządzenia i wyłączył je.

- Panowie wybaczą - powiedział. - Muszę zatelefonować. Dyspozytor wyszedł z sali.

Wrócił po niecałych pięciu minutach, łamiąc lodowatą ciszę, która urosła między dwoma stronami stołu.

- To był Jacques Normand z CTC - wyjaśnił, ponownie zajmując miejsce. Twarz miał

bladą i wyglądał na jeszcze bardziej zmartwionego niż przedtem. - Wasz Amtrak zwiększył

prędkość, żądając podwójnych zielonych świateł i przełączenia zwrotnic na Pont Mercier, a potem na rozjeździe 480, na zachód od południowej części dworca rozrządowego w Meadowbrook.

- Tak? - odezwał się Mason. - To sytuuje ich blisko głównej linii do Ottawy, czyż nie?

- *Oui* - odparł LaSalle, mimowolnie przechodząc na francuski. - *C'est vrai. Mais...* ale jest jeszcze coś innego. Jacques mówi, że "Kanadyjczyk" zatrzymał się, mimo wolnego sygnału wjazdu na odcinek za rozjazdem 480. Zadzwoił do operatora na wieży, który twierdzi, że pociąg po prostu stoi tam. Maszynista nie odpowiada na wezwanie.

- Myślałem, że jestem już w środku koszmaru - odezwał się Frank Sagadore. - A sytuacja pogarsza się z każdą chwilą.

Pół godziny wcześniej, gdy "Kanadyjczyk" wyjeżdżał na światło dzienne, Jake Sloane opuścił salonkę "Tremblant Parku" i ruszył w kierunku czoła składu. Pierwszym zadaniem dnia miało być zebranie biletów w towarzystwie jednego z członków obsługi. Przez przejście między wagonami wszedł do "Riverdale". W wagonie zarezerwowanym przez La Groupe Astrale panowało wielkie ożywienie, jako że czternaścioro tancerzy wraz ze swoim personelem pomocniczym zadomowiło się już na dobre w pociągu. Młody konduktor z wielkim trudem przeciskał się przez tłum kobiet i mężczyzn, ubranych bardzo kolorowo i różnorodnie, od obcisłych skórzanych spodni po wielobarwne

wschodnie kaftany.

Przechodząc przez wagon Jake nawet nie próbował określać płci poszczególnych osób, zignorował także liczne, dość grubiańskie komentarze na temat jego munduru. W końcu udało mu się przedostać na początek wagonu i wśliznąć do "Radisson". Odetchnął z ulgą, gdy ciężkie drzwi oddzieliły go od tego pandemonium.

Ruszył korytarzem, z łatwością utrzymując równowagę, gdy pociąg przechylił się na torze przejazdowym, a następnie obszedł salonkę. Widząc jakiegoś pasażera wychodzącego z sypialni B i zmierzającego w jego stronę, zszedł na bok opierając się o ściankę działową.

Zdziwił się, gdy nadchodzący człowiek stanął dokładnie przed nim, tak blisko, że ich brzuchy prawie się stykały, jeszcze bardziej zaś zdumiał się, kiedy zwrócono się do niego po nazwisku.

- Pan Sloane?

Mężczyzna dobiegał trzydziestki, miał ciemne włosy i nosił przeciwsłoneczne okulary w rogowych oprawkach.

- Tak...? - powiedział Jake, który poczuł się trochę nieswojo, widząc twarz mężczyzny tak blisko. Ręka mężczyzny uniosła się i Jake zeszywniał, czując jak coś twardego wbija mu się w bok.

- Panie Sloane, trzymam mały pistolet na wysokości pańskiego piątego żebra.

Gdybym teraz strzelił, umarłby pan, zanimby pan zdążył upaść. Proszę robić dokładnie to, co mówię, i to bez komentarzy. Jasne? Jake skinął głową - krew odpłynęła mu z twarzy, a mózg tłukł się pod czaszką jak oszalały.

- Proszę dojść do sypialni B i wejść do środka - rozkazał mężczyzna.

Jake ponownie skinął głową, po czym zrobił, jak mu kazano, czując przez cały czas ucisk rewolweru na żebrach. Tyłem ruszył do przedziału, mając oczy utkwione w nieznanym.

Znalazłszy się w środku, mężczyzna - nie odwracając się - zamknął lewą ręką drzwi na klamkę, w prawej cały czas trzymając czarny, mieszczący się w dłoni rewolwer wycelowany w pierś Jake'a. Łóżka na zawiasach nie były jeszcze opuszczone i konduktor zauważył, że w przedziale znajdują się jedynie dwa przepisowe fotele oraz jakaś aluminiowa skrzynka.

- Niech pan siada - odezwał się mężczyzna.

Jake zajął fotel stojący najbliżej okna. Mężczyzna pstryknął włącznikiem umieszczonym nad umywalką zapalając światło.

- Niech pan spuści zasłony.

Jake zrobił to, po czym - z boleśnie ściśniętym żołądkiem - odwrócił się z powrotem do mężczyzny. Położył ręce na oparciach fotela, kurczowo chwytając się wytartego materiału w szkocką kratę, aby

powstrzymać ich drżenie.

- W porządku - powiedział nieznajomy. - Teraz możemy porozmawiać. - Usiadł na drugim fotelu, wolną ręką odwróciwszy go przedtem w stronę Jake'a. Cały czas trzymał broń w ręku. Nawet gdy siadał, rewolwer ani drgnął.

- Mój kolega z obsługi pociągu będzie się zastanawiał, gdzie jestem - powiedział Jake starając się mówić opanowanym głosem, lecz przypominało to bardziej skrzeczenie.

Była to prawda, nie błąd; gdyby nie pojawił się wkrótce, jego zastępca zacząłby go szukać, a nagłe wtargnięcie kogokolwiek było ostatnią rzeczą, jakiej młody konduktor teraz by sobie życzył. Wyraz twarzy człowieka siedzącego naprzeciw niego świadczył o tym, że ma do czynienia albo z mordercą, albo z szaleńcem. Albo z obydwoma naraz.

- Pan Vermette będzie musiał poczekać - stwierdził beztrząsco nieznajomy.

Jake drgnął na dźwięk nazwiska swojego podwładnego. Najpierw jego własne, a teraz Bertranda. Ten uzbrojony facet był doskonale poinformowany.

- Dobra. Teraz chcę, żeby pan słuchał uważnie, bo istotne jest, by : pan zrozumiał sytuację, w jakiej się znalazł. - Przerwał, najwyraźniej czekając na jakąś reakcję.

- Będę słuchał - powiedział Jake.

- W porządku. Nazywam się Cyr. Jacques Cyr. Widzi pan, mamy ze sobą coś wspólnego, to samo imię. - Cyr uśmiechnął się miło. - Później będzie pan miał możliwość porozmawiania z przełożonymi, powinienem więc wyjaśnić, że przez ostatnie trzy lata byłem zatrudniony w Canadian National Railways jako młodszy dyspozytor. Mogę zapewnić pana i pańskich ludzi, że posiadam wszystkie niezbędne informacje dotyczące "Kanadyjczyka".

Znam węzły, sygnały poszczególnych odcinków, częstotliwości radiowe. Wszystko. W razie potrzeby mogę też robić za maszynistę. Może pan to powiedzieć swoim zwierzchnikom.

Również to, że RCMP prawdopodobnie ma moje dane w swoich kartotekach, w Sekcji G.

Powinni szukać pod nazwiskiem Paul Etienne Cyr - to był mój ojciec. Myślę, że sprawdzą wszystko. Ale to nie ma nic do rzeczy. Chcę, żeby pan wiedział, co się dzieje teraz. Widzi pan tę skrzynię na łóżku?

- Tak - odparł Jake.

- Niech pan sięgnie i dotknie jej. Jake wykonał polecenie.

- Jest zimna - stwierdził marszcząc brwi.

- Suchy lód - oznajmił Cyr. - Wie pan, co to jest węglik?

- Jakaś zwierzęca choroba?

- Tak. Między innymi - zgodził się Cyr. - Powtarzam tylko to, czego dowiedziałem się od mojej partnerki, ale zainteresuje to na pewno władze. - Oparł się wygodnie, ciągle trzymając rewolwer w ręce, spoczywającej teraz na oparciu fotela. - *Bacillus anthracis*.

Bakteria tlenowa, to znaczy taka, która nie ginie na wolnym powietrzu. W przeciwieństwie do wielu innych bakterii może również przetrwać w próżni, produkując zarodniki. Wąglik to jedna z najcięższych chorób zakaźnych. Jako zarodnik odporny jest zarówno na gorąco, jak i na zimno. Podczas prób z bronią biologiczną, przeprowadzanych przez Brytyjczyków na Hebrydach, jedna z wysp została tak zatruta, że nic nie może tam żyć przez najbliższe sto pięćdziesiąt lat. Nawet łodziom nie pozwala się tam dopływać. Choroba jest tak samo śmiertelna dla ludzi, jak dla krów czy owiec - umiera się na zapalenie płuc, i to bardzo szybko. Myślę, że to dość okropne, prawda?

- Dlaczego pan mi o tym wszystkim mówi? - spytał chrapliwym głosem Jake.

- Skrzynia, której pan dotknął, zawiera osiem pojemników z zarodnikami *Bacillus anthracis* na pożywce agaru. W tej chwili zarodniki te drzemią. Kiedy wyjmę pojemniki ze skrzyni, nagrzeją się do temperatury pokojowej i zarazki zaczną się rozmnażać. W dwanaście godzin będzie ich tyle, że staną się widoczne gołym okiem. Za czterdzieści osiem godzin wystarczy ich, by zatruć obszar kilkuset mil kwadratowych na co najmniej sto lat. To jeden pojemnik. A jest ich tutaj osiem. Moja partnerka ma jeszcze sześć. - Cyr spojrział na zegarek. -

Za siedemdziesiąt godzin zarazki będą niemal rozsadzać pojemniki... które są bardzo delikatne. Tryliony zarazków rozprzestrzenia się bardzo szybko. Wszyscy znajdujący się jeszcze w pociągu będą śmiertelnie zarażeni. Gdziekolwiek "Kanadyjczyk" się wtedy znajdzie, miejsce to w niedługim czasie stanie się absolutnym pustkowiem. Mam zdalnie sterowany włącznik, który otworzy wszystkie pojemniki. Zresztą nawet pojedynczy zarodek wchłonięty przez któregoś z pańskich pasażerów wystarczyłby, żeby go zabić. Tak więc, jak to zwykli mawiać w filmach, niech lepiej nie będzie fałszywych bohaterów.

- Co pan chce, żebym zrobił? - spytał Jake.

- Za chwilę opuścimy ten przedział. Moja partnerka weźmie tę skrzynię i przygotuje pojemniki do rozmieszczenia. - Ponownie spojrział na zegarek. - Do tego czasu ulokowała już pewnie pierwsze trzy ze swojej skrzyni. Podczas gdy ona będzie robiła swoje, my pójdziemy na czoło pociągu. Będę pana eskortował przez wagon bagażowy i sypialny, po czym przejdziemy część B i zajrzemy do lokomotywy. Pańskie zadanie polega na dopilnowaniu, żeby nas nikt nie zatrzymał. W przeciwnym razie zastrzelę pana i pstryknę włącznikiem.

Rozumie pan?

- Tak.

- Dobrze. Kiedy już dojdziemy do lokomotywy, powie pan maszyniście tyle ile trzeba, by zaznajomić go z sytuacją. Rozkaże mu pan, żeby zwolnił, gdy będziemy przejeżdżać rozjazd 480. Potem ma

stanać tak, by lokomotywa znalazła się zaraz za torem trójkowym wychodzącym z dworca Meadowbrook. Wtedy porozmawia pan sobie z Bertrandem Vermette. Może mu pan powiedzieć, co pan zechce, byleby tylko w wyniku tego pasażerowie i reszta załogi uwierzyli, że zatrzymaliśmy się jedynie z powodu jakiejś drobnej usterki.

- A potem? - zapytał ponurym głosem Jake, ledwo mogąc uwierzyć w koszmar tego, co się działo.

- Potem sobie poczekamy, panie Sloane.

Po dwudziestu dwu latach spędzonych w Miejskiej Policji Toronto. Norm Kettering rozwinął w sobie prawie nieomylny zmysł wyczuwania kłopotów - i chroniczne bóle w krzyżu. Kręcąc się na siedzeniu Daynightera nr 1823 krzywił się z bólu, a wyczuwane w powietrzu kłopoty burzyły jego spokój.

Początkowo przypisywał swoją nerwowość temu, że właśnie spędził ponad dwa tygodnie w Montrealu, jako świadek powództwa w pewnej zawiłej sprawie narkotycznej. Nie lubił zbytnio Montrealu, ponieważ nie mówił w ogóle po francusku, sama zaś sprawa była mocno szarpiąca nerwy - odpowiadał jako świadek koronny, wiedząc o tym, że od jego zeznań zależy, czy pięcioro oskarżonych odejdzie wolno, czy też dostanie siedem do dziewięciu lat.

Proces jednak był już skończony, sprawa rozstrzygnięta. Napięcie, które obecnie czuł, miało mocniejszy, bardziej bezpośredni odcień - niejasne uczucie, że coś jest niezupełnie w porządku tu i teraz. Leniwie zaczął badać swoje przecucie, w sposób, w jaki to robił, kiedy nad czymś pracował. Zwyczaj ten doprowadzał jego żonę do szaleństwa przez piętnaście lat -

skarżyła się, że nawet w łóżku nigdy nie przestawał być gliną. To i wiele innych czynników doprowadziło do rozwodu, od którego minęło już prawie dziesięć lat.

Trzy rzeczy chodziły mu po głowie - i wyglądały na sprzeczne z logiką. Po pierwsze, bez jakiegokolwiek widocznego powodu stali już od prawie piętnastu minut. Żaden pociąg nie minął ich, a wyglądając przez okno Kettering nie widział, żeby ktokolwiek robił coś przy pociągu. Stali tak po prostu, jakby na coś czekali. Drugim problemem była ta kobieta. Dwie czy trzy minuty po tym, jak opuścili dworzec, mijając slumsy i wąskie, wyludnione uliczki dzielnicy St. Antoine, na końcu pociągu pojawiła się kobieta w niebieskiej kurtce i spodniach VIA, niosąc w ręku coś, co wyglądało jak skrzynka z narzędziami. Przeszła przez cały wagon i otworzyła szafkę z wyłącznikami obwodu, grzebiąc w niej przez chwilę. Potem przeszła do następnego wagonu. Kettering nigdy przedtem nie słyszał o pracownikach remontowych na kolei, ale nawet gdyby były, chyba nie nosiłyby takich mundurów. Po trzecie wreszcie -

główny konduktor. Przed samym zatrzymaniem się pociągu przeszedł przez wagon w towarzystwie młodego człowieka niosącego metalową skrzynię fotograficzną. Wtedy jeszcze nie zwrócił na to większej uwagi, ale myśląc o tym teraz zdał sobie sprawę, że konduktor był

biały jak ściana. Albo zasłabł i mężczyzna ze skrzynką był lekarzem, albo też coś go śmiertelnie przeraziło. Kettering wiele razy widział taki wyraz skrajnego strachu, zwykle na twarzach rekrutów, którzy po raz pierwszy znaleźli się pod obstrzałem.

Mimo tego wszystkiego nic konkretnego się nie stało. Inni pasażerowie Daynightera nie wyglądali na zaniepokojonych, trochę tylko szemrali na opóźnienie, a zresztą co mogło być nie tak? Ostatnio nie bardzo były w modzie napady na pociągi, choć z drugiej strony...

jego wyczucie rzadko zawodziło. Wstał niedbale i sięgnąwszy po swój neser leżący na półce przełożył go na siedzenie. Usiadł ponownie, tak obracając neser, żeby jego podniesione wieko zasłaniało zawartość, i wyjął zeń swój pistolet: standardowego, lekko przestarzałego Smith&Wessona 38 Police Special, dopasowanego do wytartego futerału na pasku. Wsunął do niego broń i zapiawszy marynarkę zamknął neser. Uzbrojony, odłożył

bagaż na półkę.

Większość jego kolegów z pracy śmiała się z tej jego przesadnej dbałości o bezpieczeństwo, nie przeszkadzało mu to jednak zupełnie. Przez dwadzieścia dwa lata nigdy nie był raniony i nigdy nie miał wypadku samochodowego. Przezywali go "Pan Ostrożny", ale wcale się tym nie przejmował.

"Lepiej być przezornym niż poszkodowanym" - szepnął do siebie.

## **ROZDZIAŁ 10**

**Poniedziałek, 27 czerwca**

# Godzina 17.25 czasu wschodniego

**Odległość: 821 mil/1321 km**

Dla osoby nie obeznanej z taktykami i strategiami terrorystycznymi porwanie należącego do VIA “Kanadyjczyka”, a następnie przyłączenie go do “Nocnej Sowy”, mogło wyglądać na anormalne posunięcie grupy szaleńców. Większość ludzi uważałaby też, że szesnaście godzin to dość czasu, by władze opracowały już jakiś realny plan rozwiązania całego tego problemu, a przynajmniej podjęły pewne środki bezpieczeństwa, aby nie dopuścić do przejścia pociągu VIA. Wydawało się niemożliwe, żeby mała grupa mężczyzn i kobiet mogła tak łatwo udaremnić wysiłki dwóch dużych organizacji rządowych, takich jak VIA i Amtrak, stawić czoło siłom zbrojnym Stanów Zjednoczonych, Federalnemu Biuru Śledczemu, siłom Ministerstwa Skarbu USA i Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej oraz całemu Departamentowi Policji w Montrealu. W końcu czym była ta garstka niezadowolonych bandytów w porównaniu z najwspanialszymi ludźmi Ameryki Północnej?

Ale Annalise Shenker, która zaczęła planować tę operację ponad rok wcześniej, była doskonale wyszkolonym strategiem politycznym i wojskowym, jak również wspaniałym taktykiem. Jej usługi w tej dziedzinie osiągnęłyby na pewno bardzo wysoką cenę w każdej z kilkunastu największych organizacji wywiadowczych. Jeszcze gdy cała operacja była zaledwie niewyraźną koncepcją, zdała sobie sprawę, że porwanie “Nocnej Sowy” ma dużo większe szanse powodzenia niż większość innych akcji terrorystycznych, stanowiąc przy tym niepowtarzalną okazję osiągnięcia korzyści zarówno finansowych, jak i reklamowych. Plan, który narodził się w trakcie przypadkowej lektury pewnego artykułu w starym numerze

“National Geographic”, opierał się na fakcie słabości administracji, czy to korporacyjnych, czy rządowych, wynikającej z biurokratycznej niemożności wzajemnego porozumienia się.

Poza tym Shenker wiedziała, że porwanie “Nocnej Sowy” stanowiłoby pierwszą operację terrorystyczną na taką skalę przeprowadzoną na terenie Stanów Zjednoczonych i przyciągnęłoby uwagę społeczeństwa, a także - co było bardziej przydatne - wzbudziło zainteresowanie środków masowego przekazu. Z drugiej strony Amerykanie - zarówno siły zbrojne, jak i policja - nie mieli właściwie żadnego doświadczenia w zwalczaniu międzynarodowego terroryzmu.

Korzystając z dostępu do komputera w kierowanym przez libijską tajną policję Biurze Stosunków Arabskich w Trypolisie, Shenker zbadała wszystkie akta terroryzmu mające jakiś związek ze Stanami. W ciągu paru tygodni zebrała mnóstwo informacji wskazujących na to, że władze USA w sytuacji kryzysowej niezdolne były do przebiccia się przez własne struktury prawno-biurokratyczne. Nie istniała żadna organizacja czynnie kontrolująca działalność terrorystyczną ani też żadna grupa policyjna czy wojskowa dysponująca środkami niezbędnymi do zajmowania się takimi akcjami jak porwanie “Nocnej Sowy”. Jedyne, co podjęto, aby przeciwdziałać groźbie terroryzmu, to środki bezpieczeństwa na głównych lotniskach, z którymi jednak, mając trochę czasu, dość łatwo można było sobie poradzić.

Stosując tę samą logikę spóźnionego refleksu, która jest istną plagą większości administracji, władze amerykańskie nie podjęły kroków zabezpieczających system Amtraku, ani jakiegokolwiek inne



potencjalne cele ataków terrorystycznych w Stanach Zjednoczonych.

Rzadko chroniono osobistości życia publicznego; nie było właściwie przepisów dotyczących kontroli broni i - w przeciwieństwie do większości krajów Europy i reszty świata - do kupna broni palnej nie potrzeba było dowodu tożsamości czy zaświadczenia policji. Amerykanie naiwnie uważali, że chociaż terroryzm może uderzyć gdziekolwiek indziej, jest to niemożliwe w Stanach Zjednoczonych.

Przeglądając zebrane dane Shenker stwierdziła, że akt terroryzmu na dużą skalę dokonany w Stanach spowodowałby ogromne zamieszanie, a dodatkowe komplikacje wynikłe z przejechania pociągiem granicy państwowej i połączenia go ze składem kanadyjskim jeszcze by to zamieszanie spotęgowały. Szansę na zorganizowanie jakiegoś poważnego kontrataku, w każdym razie w granicach czasu, którego potrzebowała, były minimalne. Opierając się na statystykach, jak również informacjach dotyczących podobnych operacji przeprowadzanych w Europie, Shenker wywnioskowała, że przygotowanie takiego kontrataku zajęłoby co najmniej dwadzieścia godzin. A do tego czasu scenariusz zostałby radykalnie zmieniony przez dołączenie Paulette Baxter i Jacquesa Cyra.

Cyr od wielu już lat był związany z międzynarodowym terroryzmem, głównie z powodu zaangażowania swego ojca we Froncie Wyzwolenia Quebecu, quasi-terrorystycznej organizacji działającej pod koniec lat sześćdziesiątych. Ojciec Cyra miał swój udział -

niewielki zresztą - w porwaniach Crossa i Laporte'a w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, w wyniku czego został potem przypadkowo zabity.

Największą atrakcją stanowił dla Shenker fakt, że ten zgorzkniały młodzieniec pracował dla VIA. Kiedy tylko miała już w głowie ogólny plan operacji, Cyr został

zwerbowany przez Paulette Baxter.

Sama Baxter też była świeżym nabytkiem. Ta młoda i niezbyt urodziwa studentka była nieszczęśliwym potomkiem pewnej od dawna już rozwiedzionej bogatej pary z Montrealu. Nigdy nie była oczkiem w głowie żadnego z rodziców, toteż przenoszono ją ciągle z jednej prywatnej szkoły do drugiej, a jedynym źródłem jej osobistej dumy i siły była ambicja zostania lekarzem. W czasie wakacji w Europie, po pierwszym roku medycyny na Uniwersytecie McGill, Paulette miała krótki romans ze znajomym Annalise Shenker, wędrownym agentem Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, George'em Habashem. Po-zbawiwszy ją cnoty - zawady, której Baxter bezskutecznie próbowała się pozbyć od wielu lat

- werbista Ludowego Frontu zawładnął też dość naiwną świadomością dziewczyny, kończąc każde zbliżenie równie namiętną argumentacją na rzecz propagowanego przez siebie rozwiązania kwestii palestyńskiej przy użyciu siły. Reakcyjna i uproszczona filozofia LFWP idealnie odpowiadała Paulette, toteż w ciągu kilku tygodni stała się całym sercem oddana sprawie - bez głębszej analizy zresztą.

Działacz Ludowego Frontu zawiózł ją do obozu szkoleniowego w Al-Mukalla w Ludowo-Demokratycznej Republice Jemenu, nad Zatoką Adeńską. Tam zajął się nią Naif Hawatmeh, zastępca Habasha, który z kolei polecił ją przebywającym w obozie "doradcom" z NRD-owskiej tajnej

policii. Zainteresowani jej związkami z medycyną i znając możliwości i środki Uniwersytetu McGill, wschodni Niemcy poddali ją trwającemu całe lato wyczerpującemu treningowi i indoktrynacji, po czym odesłali do Montrealu - na zawsze wdzięczną LFWP za utratę dziewictwa i ukazanie życiowego celu. Stała się jednoosobową komórką w Quebecu, koncentrując się na rozwijaniu metod produkcji materiałów toksycznych i bakteriologicznych, których brak uważano za największą słabość wielu organizacji terrorystycznych w owym czasie. Kiedy Annalise Shenker wróciła do Ameryki Północnej, przeniosła przez punkt celny lotniska Mirabel mały, ukryty w pochwie próżniowy pojemnik z zarodkami *Bacillus anthracis*. Poza bronią, wziętą ze składu w St. Augustine, mikroskopijna fiolka zawierająca śmiertelne zarazki stanowiła ostatnią część skomplikowanej mozaiki, którą Shenker układała w sposób tak precyzyjny.

O 17.20, w godzinie największego natężenia ruchu w Montrealu, "Nocna Sowa"

przejechała Lachine Canal i skierowała się do przejazdu nad autostradą w Kirkland Park.

Kiedy pociąg zwolnił przed głównym torem doprowadzającym dworca przetokowego Meadowbrook, Annalise Shenker i jej towarzysze zajęli pozycje, gotowi do akcji, gdy tylko Sheila Teng odpowiednio ustawi skład. Setki razy każdy członek grupy ćwiczył swoje zadanie w magazynie w Waszyngtonie i kiedy lokomotywa zatrzymała się gwałtownie, zawisając na przejeździe nad Drogą 13, ruszyli do akcji. Mohamed Kawi, Raoul Attendera i Lisa Ruffio zeskoczyli na ziemię na początku wagonu pocztowego. Podczas gdy Ruffio -

uzbrojona teraz w jeden z należących do zabitych Czarnych Beretów M-60 - trzymała straż, Kawi i Attendera zaczęli szybko odczepiać lokomotywę. Ustawienie pociągu było idealne, bo betonowa platforma przy przejeździe pozwalała terrorystce dobrze widzieć cały teren. Z tyłu pociągu Akbar miał równie dobrą pozycję w piętusie Vista - z jednej strony szeroki widok na pole golfowe Meadowbrook, z drugiej na cmentarz i publiczne pole golfowe Lachine. Gdyby próbowano przypuścić szturm na pociąg, albo ona, albo Akbar zauważyliby to na pewno z daleka. Tymczasem nie było jednak widać nic poza sznurem samochodów przejeżdżających pod torami i okrytą pyłem przestrzenią wielkiego dworca w oddali.

Odlączenie trwało niecałe trzy minuty. Po jego zakończeniu Kawi z powrotem wskoczył na wagon pocztowy, a Raoul pobiegł do przodu, do umieszczonego po drugiej stronie przejazdu przełącznika. Lisa Ruffio zamarła, czekając na głuchy trzask pocisku - jeśli gdzieś byli ukryci snajperzy, teraz powinni uderzyć. Patrzyła, jak jej kochanek manipuluje dostarczonym przez Jacquesa Cyra kluczem, by zwolnić ręczną dźwignię. Raoul podciągnął

krótką rączkę, przesuwając zwrotnicę na miejsce. Zamachał do Teng i lokomotywa z przerywanym łoskotem ruszyła naprzód, a jej turbodmuchawa zaczęła wyrzucać z siebie gorący strumień rdzawych spalin. Gdy mijała Attenderę, ten złapał się tylnych poręczy i wskoczył na platformę, żeby pilnować dalszego rozwoju wydarzeń.

Ruffio przyglądała się, jak zmierzają w stronę oddalanej o kilkaset jardów boczniczy ograniczenia prędkości. Kiedy do niej dojechali, Raoul ponownie użył klucza odciągając wajchę, aby umożliwić Sheili Teng cofnięcie lokomotywy "Nocnej Sowy" z głównej linii na bocznice. Następnie z powrotem przesunął przełącznik i razem z Teng czekał, aż ruszy

“Kanadyjczyk”.

Po usunięciu z drogi diesla Amtraku lokomotywa VIA była widoczna na głównym torze w odległości niecałych pięćdziesięciu stóp na lewo. Poczekawszy, aż pociąg ruszy, włoska terrorystka wspięła się z powrotem do wagonu pocztowego. Spojrzała na swój świecący zegarek - pięć minut i dwadzieścia sekund, odkąd stanęli. Zamknęła oczy, powtarzając schemat działań, które tyle razy ćwiczyli.

Podczas gdy lokomotywa “Kanadyjczyka”, zestaw B i wagon bagażowy przesuwały się wolno do przodu, Haas, Annalise i Kawi odczepili zniszczony wagon panoramiczny Amtraku opuszczony przez dyplomatów, których przeniesiono do przodu, do ostatniego wagonu sypialnego. Wagon panoramiczny, tak jak “Tremblant Park” w “Kanadyjczyku”, nie miał tylnych drzwi i zostawiono by go, nawet gdyby był cały, ponieważ - umieszczony w środku składu - uniemożliwiałby przejście.

Lokomotywa VIA i przednie wagony minęły teraz wciąż otwartą zwrotnicę. Po jej ponownym przestawieniu cofnęły się do składu “Nocnej Sowy”. Jeśli wszystko szło zgodnie z planem, Cyr powinien mieć ze sobą w kabinie konduktora “Kanadyjczyka”, który - trzymany przez Ruffio na muszce M-60 - miał wraz z Cyrem dołączyć wagon bagażowy VIA do RPO.

Następnie lokomotywa miała znowu ruszyć do przodu, wracając na główny tor i ciągnąc za sobą “Nocną Sowę”. W ostatniej chwili Akbar opuściłby swoją pozycję w odczepionym już wagonie panoramicznym i razem z Mohamedem Kawi i Dieterem Haasem czekałby w przejściu ostatniego sypialnego. Po wjechaniu “Nocnej Sowy” na główny tor trzej terroryści mieli dołączyć sypialny do pierwszego zwykłego wagonu VIA. Następnie oba pociągi razem ruszyłyby w dalszą drogę.

Zasadniczym celem tej skomplikowanej operacji miało być zastąpienie diesla Amtraku, któremu zaczynało brakować paliwa, lokomotywą VIA i dołączenie pozostałych wagonów “Nocnej Sowy” do składu “Kanadyjczyka”.

Akcja ta wystawiała porywaczy na niebezpieczeństwo ataku przez prawie siedem minut, ale była konieczna dla realizacji ich planu.

Włoszka otworzyła oczy, mrużąc je zaraz przed blaskiem opadającego już słońca.

Ogromne zarysy wagonu bagażowego VIA majaczyły w odległości zaledwie jakichś stu stóp.

Zebrała się w sobie przed czołowym uderzeniem zbliżającego się wagonu i ponownie nerwowo zerknęła na zegarek. Była 17.29.

- O Boże, znowu - jęknął Adrian Tucker, kiedy wagon restauracyjny szarpnął mocno.

- Przetaczają nas - stwierdził Howard Mottbrown, który ze skupionym wyrazem twarzy usiłował z dochodzących do nich odgłosów wydedukować, co się dzieje. - Ten wstrząs kilka minut temu to było przejeżdżanie pociągu przez przejazd. Ostatnie uderzenie przyszło z tyłu, co chyba oznacza, że przyłączają więcej wagonów.

- Nie rozumiem tego - powiedział Daniel Pendergast, pilnujący przednich drzwi wagonu. Porywacze biegali ciągle tam i z powrotem i Daniel niepokoił się, czy aby w końcu nie *zaczną* podejrzewać ich

grupki siedzących wokół stołu w restauracji. - Po co im więcej wagonów?

- Kto wie? - odezwał się Harry Maxwell, popijając ciepłego Schlitza z puszki.

Zmarszczywszy w zamyśleniu brwi wpatrzył się w zaciągnięte zasłony na oknie po przeciwnej stronie przejścia między rzędami. - Jesteś pewien, że znajdujemy się w Montrealu? - spytał Mottbrowna.

- Nie bardzo wiem, gdzie indziej moglibyśmy być - odparł inżynier. - Starłem się śledzić zmiany kierunku i przysięgłbym, że jedziemy na północ od czasu... - przerwał, ale Harry wiedział, co myśli mały człowieczek. Terrorysty nie omieszkali przeciągnąć przez korytarze krwawych trupów komandosów z grupy "Delta", aby pokazać, co czeka tych, którzy przeciw nim wystąpią. Jedną sypialnię o dwa wagony do tyłu zamienili w prowizoryczną izbę chorych dla tuzina czy więcej pasażerów, którzy zostali ranni, gdy wybuchły ładunki założone na drzwiach. Wagon tamten był teraz pusty, bo terrorysty ogłosili go terenem zamkniętym, zmuszając zajmujących go ludzi do stłoczenia się w innych wagonach. Wydarzenia minionej nocy wykluczyły skutecznie możliwość zaistnienia tzw.

syndromu sztokholmskiego, kiedy to zakładnicy po jakimś czasie zaczynają się identyfikować i sympatyzować ze swymi ciemniejszymi. Ciała członków grupy "Delta" i ofiary wybuchu były dla pasażerów "Nocnej Sowy" wystarczającym dowodem na to, że sytuacja, w jakiej się znaleźli, jest śmiertelnie niebezpieczna. Po ataku komandosów w pociągu zaległa straszliwa cisza, przerywana jedynie bojaźliwymi szeptami najbliższych siedzących obok siebie osób, praktycznie zamarł też ruch pomiędzy wagonami. Pusta była świetlica, a także wagon restauracyjny - jeśli nie liczyć grupki Harry'ego - chociaż od czasu do czasu pojawiał się jakiś pasażer, który - poszperawszy trochę za ladą - zniknął z powrotem, ściskając w rękę swą zdobycz w postaci jakiegoś owiniętego w celofan sandwicza.

- Ciągle uważam, że sterczymy tu jak chory paluch - oświadczył Pendergast. - Czytałem kiedyś w jakimś artykule, że ostatnią rzeczą, którą powinno się robić będąc zakładnikiem, jest zwracanie na siebie uwagi.

To brzmi jak dobra rada.

- Przyciągnęlibyśmy jeszcze więcej uwagi, gdybyśmy siedzieli wszyscy ściśnięci w twoim przedziale sypialnym - odezwał się Mark Cavendish. - Gdyby ktokolwiek pytał, powiemy, że jesteśmy razem. Jedziemy na mecz drużyny Mets. Nie martw się - myślę, że oni teraz mają co innego na głowie.

Pociąg jeszcze raz przechylił się skrzypiąc, po czym ruszył gładko do przodu.

- Znowu w drodze - westchnął Pendergast. - Pytanie, dokąd?

- Na zachód - stwierdził Cavendish. - Można to określić po kącie promieni słonecznych przez szpary u dołu zasłony.

- Nauczyłeś się tego u *marines*? - spytał kwaśno Daniel.

- U harcerzy - odparł kaleka.

- Na zachód od Montrealu... - dumiał Harry. Odwrócił się do Mottbrowna, który z powrotem zajął się już swoją lekturą. - Mówi ci to coś, Howard?

Nieśmiały człowieczek zamknął książkę, dokładnie zaznaczając miejsce złożoną papierową serwetką. Zacisnął usta i w zamyśleniu wpatrzył się w sufit.

- Nie wiem za dużo o liniach kanadyjskich, ale oznacza to prawdopodobnie, że zmierzają do Toronto albo jeszcze bardziej na północ. Chyba nazywają to Drogą do Jeziora.

- Jeziora? Masz na myśli Górne? - zapytał Cavendish.

- Tak. To jest linia transkontynentalna do Winnipeg, a potem przez środkowy zachód.

- Kraj krzewów - rzucił Cavendish.

- A więc tak właśnie pojedą - stwierdził Harry, kiwając głową. - Myślę, że cały sens tego kręcenia się na wszystkie strony polegał na tym, żeby wydostać się z terenów zabudowanych. Mają zaplanowaną jakąś drogę ucieczki.

- A my? - spytał Adrian Tucker. - Co z nami zrobią?

- Albo o nas zapomną, albo nas zabiją - powiedział Cavendish. - Myślę, że to zależy od tego, w jakim nastroju akurat będą.

- Nie zapomną o nas - zapewnił Maxwell. - Oni nie są jak ci z OWP czy IRA. Nie potrzebują poparcia społecznego. Im większe okrucieństwo, tym lepiej dla nich. W tym pociągu mają pozakładanych dosyć kruszących materiałów wybuchowych, żeby nas wszystkich posłać do diabła, i sądzę, że mają dokładnie taki zamiar.

- Nie dramatyzuj - upomniął go Pendergast. - Czytam z ciebie jak z otwartej książki, Harry - po prostu za bardzo się ekscytujesz. koniecznie chcesz coś zrobić. Jedyne kłopot w tym, że możemy przez to wszyscy zginąć.

- Uważam, że Harry ma rację - skomentował Cavendish, wyciągając papierosa z otwartej paczki leżącej przed Tuckerem.

- Nikt cię nie pytał o zdanie - zimno powiedział malarz.

Harry spojrział nad stołem na swojego starego przyjaciela, prawie niedostrzegalnie kręcąc głową, czym dawał mu znak, żeby się uspokoił. Wiedział, dlaczego Daniel był tak antagonistycznie nastawiony w stosunku do weterana - Cavendish był kimś obcym.

Wystarczało już, że są uwięzieni w pociągu, ale kiedy z tego wyjdą, jeśli wyjdą... im mniej ludzi będzie wiedziało o próbie rabunku przewożonych pieniędzy, tym lepiej.

- Naprawdę nie sędzę, żebyśmy mieli duży wybór w tej sprawie - odezwał się cicho Howard Mottbrown. - Władze raz już próbowały odzyskać pociąg i skończyło się to tragicznie. Lekarz, którego znalazł pan Stackpole, powiedział mi, że wielu ludzi zostało bardzo ciężko rannych w czasie tamtego wybuchu. Nie jestem ekspertem czy czymś takim, ale jest oczywiste, że policja lub wojsko będą ponownie próbowały odbić pociąg, a to oznacza

jeszcze więcej rannych.

- Tym razem i my się między nimi znajdziemy - mruknął ponuro Adrian Tucker.

- Być może - stwierdził Mottbrown. - W każdym razie uważam, że sami musimy uporać się z sytuacją.

Daniel wzdychając pokręcił głową.

- Słuchaj - zaczął - może chcesz...

Przytłumiony rytmiczny stukot pociągu przybrał na sile, gdy w końcu wagonu otworzyły się drzwi. Słyszac to, grupka przy stole usiłowała wyglądać na kibiców baseballa, których mieli udawać. Odetchnęli, kiedy zobaczyli, że to tylko Stackpole.

- Patrzcie państwo - przemówił siwowłosy steward podchodząc. - Czyż to nie jakby kumple Szwejka, wszyscy razem? - Pokręcił głową, cmokając przy tym językiem. - Nie nazwałbym mądrym takiego siedzenia w kupie jak jajka w koszyku. Tamci goście mogą pomyśleć, że k o n s p i r u j e c i e, a to by nie było zdrowe, o nie.

- Jesteś “przynieś-wynieś-pozamiataj”? - spytał Harry.

- Tak, nasi oprawcy wybrali mnie na chłopca na posyłki. Chyba myślą, że skoro jestem czarny, to będę po ich stronie czy coś takiego. Byli bardzo przyjacielscy.

- I jaką to wiadomość masz przekazywać? - spytał ostrożnie Daniel.

- Mam powiedzieć wszystkim, że jesteśmy w Kanadzie - jeśli chodzi o ścisłość, to zaraz za Montrealem. Mają paru kumpli w “Kanadyjczyku” VIA, który wisi nam teraz na tyłku. Jeszcze jakichś trzystu zakładników na dokładkę.

- Wielki Boże! - wyszeptał Mottbrown.

- To jeszcze nic - stwierdził Stackpole, stojąc między rzędami siedzeń i kołysząc się w rytm ruchów pociągu. - Mam też powiadomić pasażerów, że ten pociąg zawiera obecnie dosyć zarodników węglika, żeby zniszczyć wszystkich ludzi w środku i paręset tysięcy na zewnątrz.

- A niech to diabli! - westchnął Daniel.

- Jeszcze jedno - ciągnął Stackpole. - Wszyscy mają przenieść się do “Kanadyjczyka”.

Będzie tam tłoczno, możecie mi wierzyć.

- Dlaczego oni to robią? - spytał Tucker. - Spowoduje to tylko jeszcze większą depresję.

- Może o to właśnie chodzi - odezwał się Harry. Stackpole wzruszył ramionami.

- Kto wie? Po prostu tak mi powiedzieli. Cofnijcie się co najmniej o cztery wagony i znajdźcie sobie jakieś miejsca. Dozwolony tylko bagaż podręczny. Ja muszę iść dalej na przód pociągu i powiadomić wszystkich pozostałych. - Zniżył głos: - Wątpię, żebyście już coś wykombinowali. A nie wiem, jak długo jeszcze będę mógł trzymać się formy: "robi się, szefie".

- Rzeczywiście, nie mamy zbyt wiele informacji, Hamilton - przyznał Harry. - Wiemy tylko, kto nosi czarne kapelusze, a kto białe, ale to na razie wszystko.

- No nic, dajcie mi znać, jak będziecie gotowi - mruknął steward. - Tamci faceci działają mi na nerwy.

- W porządku - rzucił Harry.

Stackpole skinął głową i odszedł, przechodząc przez przednie drzwi wagonu.

- Musimy znać plan pociągu - głośno myślał Daniel. - Nie możemy na ślepo ustalać jakiejś strategii.

- Myślę, że możemy ustalić skład pociągu dość dokładnie - powiedział Mottbrown.

Wyciągnąwszy pisak z małego plastikowego futerału w kieszeni koszuli, zaczął szkicować na leżącej na stole podkładce równy szereg prostokątów. - Możemy przyjąć, że przetaczanie w Montrealu miało na celu zastąpienie lokomotywy Amtraku, której powinno brakować już paliwa, lokomotywą "Kanadyjczyka", transkontynentalnego pociągu kolei VIA. Dalej -

przyłączyli pewnie skład "Nocnej Sowy" do "Kanadyjczyka", co oznacza, że porzucili tylny wagon panoramiczny naszego pociągu.

- Dlaczego? - spytał Mark Cavendish. - Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- To akurat jest całkiem proste - odparł Mottbrown, uśmiechając się nieśmiało. - Z tyłu wagonu panoramicznego nie ma przejścia. Jedzie zawsze na końcu, więc musieli go zostawić, jeśli chcieli złączyć składy Amtraku i VIA.

- Okay - odezwał się Harry. - Co jeszcze możemy z tego wszystkiego wywnioskować, Howard?

- No cóż, standardowy skład "Kanadyjczyka" to chyba wagon bagażowy, dwa zwykłe wagony z miejscami siedzącymi, "Skyline Lounge" - który jest restauracją jak ten, ale z wyższym poziomem panoramicznym, Daynighter, czyli po prostu lepszy rodzaj wagonu z rozkładanymi siedzeniami lotniczymi, prawdopodobnie jeszcze jeden wagon restauracyjny, kilka sypialnych, a na końcu może piętrowy sypialny.

- Dobra - rzucił Harry, nachylając się i oglądając szkic, który powoli nabierał treści. -

Mówisz, że straciliśmy wagon panoramiczny i bagażowy Amtraku, co daje nam z przodu RPO i dwa zwykle, ten tutaj restauracyjny, a za nami sypialny i dalej skład "Kanadyjczyka", zgadza się?

- W przybliżeniu - odparł Mottbrown. - Skład pociągu VIA może być trochę inny, nie mogę powiedzieć na pewno.

- Dobre przypuszczenie jest lepsze niż nic - stwierdził Harry, bacznie przyglądając się schematowi. - Pytanie, gdzie są terroryści?

- Ci z przodu to będą ci sami, których mieliśmy do tej pory - odezwał się Cavendish, wskazując swoim hakiem przednie wagony. - To znaczy jeden w lokomotywie, może dwóch.

Ponieważ od Montrealu nikt z nich nie poszedł do przodu, możemy przyjąć, że reszta jest w wagonach za nami.

- Mogę się założyć, że mają obserwatorów w dwóch piętrusach - powiedział Daniel.

- Możliwe - zgodził się Harry. - A więc jednak co najmniej trzech. Zastanawiam się, ilu jest ich wszystkich. Siedmiu...?

- Albo więcej - stwierdził Daniel. - Nie mamy pojęcia, ilu wsiadło w Montrealu, ciągle też nie wiemy, czy nie mają swoich ludzi wśród pasażerów. To wariactwo, Harry. Nic nam to, cholera, nie mówi.

- Mów za siebie - odezwał się Mark Cavendish. Swoimi kleszczami zgniótł koniec papierosa i rzucił skręcony niedopałek do popielniczki na stole. - Lepsze to niż siedzenie z założonymi rękami. Skoro ci się nie podoba, dlaczego nie wrócisz do reszty pasażerów?

- Przestańcie się kłócić - westchnął Harry. - Jeśli zaczniemy walczyć między sobą, to możemy równie dobrze zrezygnować ze wszystkiego. Teraz przynajmniej mamy jakieś rozeznanie terenu. Nie obchodzi mnie, ilu tych oprychów wsiadło w Montrealu. Ten pociąg ma teraz minimum piętnaścieszęścnaście wagonów, a to sporo miejsca do kontrolowania i dużo ludzi.

- Jeżeli "Kanadyjczyk" opuścił Montreal pełen, to wieziemy w tej chwili około sześciuset pasażerów - podsunął Mottbrown.

- Może powtykamy trochę nosy w cudze sprawy - zaproponował Harry. Zacisnął usta, w zamyśleniu wpatrując się w schemat. - Ci ludzie muszą mieć jakiś ośrodek dowodzenia.

Wszystko wskazuje na to, że mają radia i sporo innych rupieci. Kto ma jakiś pomysł?

- Jeden z piętrusów - powiedział Cavendish.

- Ten na końcu pociągu - uzupełnił Daniel. - Drugi jest zbyt odsłonięty. Jeśli znajduje się tam, gdzie mówi Howard, to znaczy prawie w środku pociągu, narażony jest na atak z obu stron. Mogą mieć



kogoś tam na górze, ale na pewno nie jest to ich główna baza.

- Myślę, że Pendergast ma rację - odezwał się Mottbrown. - Sypialne piętrosy używane w Kanadzie są bardzo obszerne. Kilkanaście przedziałów i duża świetlica z tyłu.

- Okay - przerwał Harry. - A więc rozdzielamy się i zaczynamy dokładnie określać ich pozycje... - zamilkł, gdy otworzyły się tylne drzwi wagonu.

Ukazał się w nich wysoki, barczysty mężczyzna w niemodnym garniturze. Dokładnie zamknął za sobą drzwi i przystanął, patrząc w stronę grupki zebranej przy dalekim stole. Po paru sekundach ruszył wzdłuż siedzeń, rozłożywszy szeroko obie ręce dla utrzymania równowagi w kołyszącym się pociągu. Zatrzymał się przed stołem i spojrzał na zebranych.

- Czy któryś z panów to Harry Maxwell? - zapytał.

- A bo co? - odezwał się Harry, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie.

Autorytatywny ton wielkoluda przypominał mu jego dyrektora ze szkoły średniej.

- Jeden gość z obsługi podał mi to nazwisko. Powiedział, że zobaczył na liście pasażerów, kim jestem, i stwierdził, że mogę się przydać.

- Czyżby? - mruknął Harry.

- Tak - odparł mężczyzna. Odsunął poły marynarki, wyciągając z futerału za pasem pistolet Police Special o krótkiej lufie. Ostrożnie położył broń na stole przed Harrym. -

Nazywam się Norm Kettering - oznajmił. - Jestem gliną.

Wanda Jenkins Margay siedziała w przedziale, poskręcanymi dłońmi przyciskając do siebie ozdobną laskę i bacznie przyglądając się mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko.

Wyglądał, jakby czuł się nieswojo, usadowiony na wyściełanym siedzeniu zasłaniającym toaletę, poza tym jednak wydawało się, że jest w bardzo złym humorze.

Prawie godzina minęła od czasu, gdy wyrzucono ją z wagonu panoramicznego i kazano znaleźć sobie wolny przedział gdzie indziej. Z wdzięcznością przyjęła miejsce zaoferowane jej w rycerskim geście - jak początkowo przypuszczała - przez siedzącego teraz naprzeciw mężczyznę. Obecnie nie była już tego taka pewna. Człowiek ten nie wyglądał na wiele młodszego od niej i, jeżeli wyraz jego twarzy mógł służyć za jakąś wskazówkę, był na skraju wybuchu wściekłości. Nie wiedziała, kogo bać się bardziej - terrorystów, którzy siłą usunęli ją z przedziału, czy tego potencjalnego szaleńca znajdującego się w odległości niecałego jarda od niej. Nie spuszczała go z oczu, ręce trzymając na główce laski, którą dał jej kiedyś mąż. Jej palce były spuchnięte i zniszczone artretyzmem, ale miały dosyć siły, by przekręcić srebrną główkę i wyciągnąć długi na siedem cali i ostry jak brzytwa sztylet. Ta zrobiona na zamówienie laska przerażała Wandę, gdy ją dostała, mąż jednak nalegał, tłumacząc, że musi mieć coś do osobistej ochrony. Teraz, po pięćdziesięciu latach, wyglądało na to, że osobliwy prezent może się w końcu przydać.

O dziwo, nie czuła skrupułów przed użyciem łaski, czy to przeciw temu mężczyźnie, czy też przeciw terrorystom, gdyby miało do tego dojść. Przeżyła całe swoje siedemdziesiąt sześć lat nie stykając się z brutalnymi realiami życia, ale nie była ani głupia, ani naiwna; wiedziała, że różne sytuacje i okoliczności wymagały różnych reakcji, a tu i teraz przemoc najwyraźniej stanowiła regułę dnia.

Nie miała ochoty zakończyć swoich dni w rękach łysiejącego wariata, zdecydowała więc, że nadszedł czas, by dowiedzieć się trochę więcej o przymusowym towarzyszczu podróży.

- Nazywam się Wanda Margay - oznajmiła sztywno lekko drżącym głosem.

Te same słowa wypowiedziała już przed godziną, ale wtedy jedyną reakcją mężczyzny było skiniecie głową.

- Wygląda na to, że znaleźliśmy się, że tak powiem, na tej samej łodzi, i pomyślałam, że powinniśmy się poznać.

- Jestem Groz - odezwał się mężczyzna. - Wolfgang Groz. Jego angielszczyzna była doskonała, choć z wyraźnym obcym akcentem.

- Jest pan Europejczykiem? - spytała Wanda.

- Niemcem - odparł Groz.

- Mówi pan bardzo dobrze po angielsku.

- Spędziłem w Kanadzie prawie cztery lata. Wtedy się nauczyłem.

- Gdzie pan mieszkał? - indagowała dalej Wanda, której ulżyło, gdy zobaczyła, że nieznajomy okazał się zdolny do prowadzenia konwersacji, choć w sposób dość zwięzły.

- Zaraz za Medicine Hat. To się nazywało Obóz Sto Trzydzieści Dwa. Byłem jeńcem wojennym.

- O! - Wanda przełknęła ślinę. - Przypuszczam, że chodzi o drugą wojnę światową.

Groz zakasłał lekko, jakby powstrzymywał śmiech.

- Tak. Druga wojna.

- Wojna faszystowska.

- Owszem - zgodził się Groz. - Ale ja nie byłem faszystą.

- Jestem pewna, że nie - stwierdziła dyplomatycznie Wanda.

- Nie - powiedział Groz, a usta ułożyły mu się w gorzki uśmiech. - Nigdy nie myślałem o takich rzeczach. Byłem "jungfleigerem", latającym chłopcem Luftwaffe. Nie zajmowaliśmy się polityką. Wie pani, to zabawne, poznałem, co to znaczy być hitlerowcem, dopiero kiedy zostałem wzięty do

niewoli i przywieziony do Kanady. W obozie dowiedziałem się, czym jest faszyzm. Zobaczyłem ich tam - ludzi, którzy podobno byli moimi rodakami, ale nie zachowywali się lepiej od dzikich psów. Rządzili obozem za pomocą terroru. W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim zamordowali człowieka - nazywał się Plaszek. Czuli się bardzo silni, ale władze kanadyjskie osądziły zabójcę i powieszono go. Od tego czasu mam wielki szacunek dla Kanadyjczyków. I jedynie nienawiść dla faszystów - dla takich jak ci, co porwali ten pociąg.

- Sądzi pan, że to faszyści? - spytała zdziwiona Wanda.

- Może tak siebie nie nazywają - odparł Groz. - Lewica, prawica, wszystko jedno. Być faszystą to nienawidzić bez rozróżniania, tak jak oni.

- No cóż - powiedziała Wanda. - Myślę, że powinniśmy coś z tym zrobić.

- Ale co? Ja jestem starym mężczyzną, pani jest starą kobietą. Cóż my możemy zrobić?

- Niech pan nie będzie głupi - zbeształa go Wanda. - Mam bardzo prostą filozofię życiową, panie Groz, i jak dotąd służyła mi ona bardzo dobrze. Żyjesz, dopóki nie umrzesz, a ja jestem teraz równie żywa jak wtedy, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat. Nie ślinię się, nie gadam do ludzi, którzy od lat nie żyją, i nie zapominam o wszystkim - w każdym razie niezbyt często. Niech pan pomyśli, panie Groz, my oboje mamy za sobą więcej lat doświadczeń niż cała ta zgraja chuliganów. Na pewno możemy coś wymyślić. Może użylibyśmy naszego podeszłego wieku. W końcu nie będą spodziewać się żadnego niebezpieczeństwa ze strony pary takich wapniaków jak my, no nie?

- Tak, oczywiście. Ale łatwo jest mówić. Co możemy zrobić?

- Zastanawiałam się nad tym - odpowiedziała natychmiast Wanda. - Wiadomości w butelkach?

- Że co proszę?

- No to, co robią rozbitkowie na morzu. Wysyłają wiadomości w butelkach.

- A jak proponuje pani wyrzucać te wiadomości z pociągu, *Frau Margay*? Drzwi są zablokowane, wszystkie okna zaciągnięte. Jesteśmy zaplombowani.

- Niezupełnie, panie Groz. Tak naprawdę - powiedziała Wanda uśmiechając się szeroko - świat zewnętrzny jest dużo bliżej, niż pan sądzi.

Frank Sagadore wpatrywał się we wczesnowieczorny ruch piętnaście pięter niżej, od czasu do czasu popijając zbyt mocno paloną kawę. W drugim kącie pokoju Walter Linberg siedział trzymając nogi na stoliku i na pozór spał.

- To po prostu strata czasu - odezwał się szef ochrony Amtraku, odwracając się od okna hotelowego pokoju. - Wesler robi te swoje różne spotkania, a my tu siedzimy z palcem w dupie. To absurd.

- Biurokracja - mruknął Linberg nie otwierając oczu. - Najpierw pogadają o granicach kompetencji. Potem o procedurze. Następnie przyjdzie mnóstwo poleceń i zawiadomień, a dopiero potem może

zobaczysz jakąś akcję, ale nie licz na to za bardzo. Dolary przeciw orzechom, że ktoś na wyższym szczeblu spęka się na myśl o zrobieniu czegokolwiek i będą musieli zacząć wszystko od początku. Wiem, co mówię, Frank.

- Burdel - warknął Sagadore, opadając na wyściełane krzesło naprzeciw byłego agenta FBI.

Linberg otworzył oczy, zamrugał nimi i stwierdził:

- Związły, ale żywy opis.

- No więc, co robimy? - spytał Sagadore.

Linberg wzruszył ramionami, po czym przeciągnął się ziewając.

- Nic, przyjacielu. Nie dość, że nie jesteśmy, w stanie nic na to poradzić, to jesteśmy jeszcze poza krajem.

- Więc mamy tak po prostu stać i patrzeć, jak twoja panna Shenker i jej kumple wysadzają w powietrze moich pasażerów?

- Może uda im się wyjść z tego cało - powiedział Linberg.

- Gadanie - mruknął Sagadore. - Jesteś ekspertem od terrorystów i sam powiedziałaś, że nie dajesz im żadnej szansy, chyba że podjęto by jakąś akcję.

- To prawda - zgodził się Linberg. - W przeciwnym razie nie mają wielkich szans. To samo powiedziałem Weslerowi. Prawdopodobnie powtarza właśnie moją opinię Kanadyjczykom. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, Frank.

- Ale nic się nie będzie działo, do cholery! Wiesz o tym. Linberg skinął głową.

- A jeśli będzie, to za późno. Jednak, jak powiedziałem, nie jesteśmy w stanie nic na to poradzić, straciliśmy tę sprawę.

- Więc dlaczego nie weźmiemy jej z powrotem w nasze ręce? - spytał Sagadore.

- W porządku - odparł Linberg wykrzywiając usta. - Ty bądź Zorro, a ja będę twym pomagierem.

- Mówię poważnie - nalegał Sagadore.

- Mówisz brednie - poprawił Linberg. - Siły Specjalne USA spieprzyły to - dlaczego uważasz, że zrobiłbyś coś lepiej? Ta sprawa ze złej stała się jeszcze gorsza, Frank. Pociąg jest naładowany jak bomba - mieliśmy tego dowody, a według Weslera naszprycowali go jeszcze teraz jakimiś zarazkami. Kiedy ostatni raz rozmawiałem z nim przez telefon, mówił, że sprawdzają dane tej kobiety, żeby się dowiedzieć, czy jest zdolna do zrobienia takiej rzeczy,

ale mogę się założyć, że jest.

- Jak to jest niebezpieczne? - spytał Sagadore, zawiedziony i zły.

- Bardzo - odparł Linberg. - Nie publikuje się na ten temat oficjalnych oświadczeń, ale od dłuższego już czasu Biuro jest mocno zaniepokojone. Z tego, co wyczytałem z akt, wynika, że trzy najlepsze możliwości to węglík, jad kiełbasiany i cholera - są najłatwiejsze do wyprodukowania na ograniczonej bazie. Jeśli to rzeczywiście jest węglík, jak przypuszcza Wesler, to jakiegokolwiek jego rozprzestrzenienie się może mieć katastrofalne skutki. Na początku lat czterdziestych Anglicy przeprowadzali z tym próby na jednej z wysepek u wybrzeży Szkocji i do dziś niebezpiecznie jest tam nawet podpływać. Śmiertelność wśród osób znajdujących się blisko miejsca, gdzie to świństwo wypuszczono, wynosi jakieś dziewięćdziesiąt procent, a możesz zarazić olbrzymi obszar niewielką ilością zarodników.

Naprawdę chcesz się w to pakować?

- Jeśli będą jakieś szanse powodzenia - z uporem stwierdził Sagadore. - Kto nam zagwarantuje, że te łajdaki i tak nie wypuszczą tego węglíka?

- To racja - zgodził się Linberg. - Ale co masz zamiar zrobić - stanąć na torach i machać, żeby się zatrzymali? - Pociąg i tak będzie musiał wkrótce stanąć. Zrobiłem małe dochodzenie na własną rękę.

- Słucham cię - zachęcił go Linberg.

- Silnik lokomotywy tego pociągu to stary przebudowany zespół F z umieszczoną z tyłu wytwornicą pary typu B, dostarczającą energii instalacji klimatyzacyjnej.

Prawdopodobnie wyjeżdżając stąd była zatankowana do pełna, ale i tak dziś w nocy powinno zabraknąć jej paliwa. Wątpię, żeby ci ludzie chcieli ryzykować całonocną jazdę bez ponownego tankowania. Będą musieli się zatrzymać.

- Gdzie? - spytał Linberg.

- Obejrzałem mapę tej trasy. Najbardziej prawdopodobne wydaje się miejsce o nazwie Capreol. Jest to początek Poddziału Ruel, jakieś trzysta mil na północ od Jeziora Górnego. W

tym Capreol zestawiają pociągi towarowe wiozące ładunki do Toronto, jak również dołączają jadącą do Toronto część "Kanadyjczyka". To duża stacja rozrządowa, na której łatwo napełnić zbiorniki, jednocześnie trzymając pociąg z dala od ludzi.

- A jeśli nie staną?

- To gdzieś w lesie zabraknie im ropy. Może nie tam, gdzie by akurat chcieli.

- Co w takim razie proponujesz?

- Kiedy staną, żeby zatankować, dostaniemy się do środka - oznajmił Sagadore.

- My?

Ochroniarz uśmiechnął się szeroko.

- Sądziłem, że będziesz chciał iść ze mną.

- Pomijając twoją ocenę mojego zdrowia psychicznego, jak niby planujesz dostać się do pociągu? Zapomniałeś, że na drzwiach są ładunki?

- Nie zapomniałem - powiedział Sagadore. - Obejrzałem sobie ten schemat, który sporządzili Kanadyjczycy. Według niego wagon restauracyjny to stary piętrus typu Budd Vista. Nasi terroryści są dobrzy, ale przeoczyli prawdopodobnie jego klapę na pomyje, chyba że wiedzą cholernie dużo o tych wagonach.

- Klapę na pomyje...?

Sagadore skinął głową. - Jest za kontuarem, przy ziemi. Gdybyś ją zobaczył, pomyślałbyś pewnie, że to drzwiczki od spiżarni czy coś takiego. W każdym razie pewnie od lat jej nie używano. Montowano je w wagonach długo przed tym, nim ktokolwiek zaczął

martwić się zanieczyszczeniami czy zaśmiecaniem - służyły do wyrzucania odpadków na tory.

- Żartujesz - powiedział zaintrygowany Linberg.

- Ani trochę - odparł Sagadore kręcąc głową. - Szeroka na jakieś osiemnaście cali, a długa na cztery stopy - dosyć, żeby człowiek mógł łatwo się przedostać. Potrzebny jest tylko łom.

- Nie mówiąc o ślepej wierze - dodał Linberg. - A co, jeśli będziesz się właśnie posługiwał łomem, a jeden z terrorystów wejdzie do wagonu?

- Nie będzie żadnych terrorystów. Pamiętaj, że w czasie postoju muszą się spodziewać ataku. Większość z nich wysiądzie z pociągu, i to z drugiej strony, nie z tej, którą my będziemy wchodzić.

- Skąd wiesz?

- Bo Kanadyjczycy robią to tak samo jak my. Jadąc ze wschodu na zachód pociąg prawie zawsze tankuje z prawej strony, z zachodu na wschód - z lewej. Tak są ustawione pompy.

- Jesteś pewien?

- Sprawdziłem. Dorwałem na dworcu starszego konduktora, który od dwudziestu pięciu lat pracuje na tej trasie. Stacja jest po prawej, a większa część torów po lewej. Będą się spodziewać jakiejś akcji od strony stacji. Ten konduktor twierdzi, że z lewej jest dużo otwartej przestrzeni, a przy końcu jedynie gęste krzewy. Nie mógłbyś w nich ukryć grupy żołnierzy, ale jeśli my będziemy tam przed przyjazdem pociągu, powinniśmy znaleźć dosyć miejsca, żeby się schować.

- A jak mamy się tam znaleźć przed pociągiem? Ile to jest od Montrealu?

- Trochę mniej niż czterysta mil. Na lotnisku Dorval jest pewien facet z helikopterem, który twierdzi,

że w niecałe dwie godziny może nas podrzucić do Sudbury. Stamtąd do Capreol jest trzydzieści mil drogą. Jeśli zaraz wyruszymy, możemy tam być przed pomocą.

- Ustaliliś to wszystko, kiedy byłeś niedawno na tym swoim "małym spacerku"? -  
spytał Linberg.

Sagadore przytaknął skinieniem głowy.

- Zmęczyła mnie beczyność.

- Jaki jest przewidywany czas przyjazdu pociągu?

- Gdzieś między drugą a trzecią w nocy. Mielibyśmy kupę czasu.

- Okay - powiedział Linberg. - Przypuśćmy, że docieramy do tego twojego Capreol, chowamy się za krzakiem, czekamy na pociąg i udaje nam się wśliznąć do środka. I co dalej?

Myślę, że jest tam teraz dziewięcioro terrorystów. To dość parszywa propozycja - dwóch przeciw dziewięciorgu, zwłaszcza że oni są uzbrojeni, a my nie.

- W neseserze mam Smith&Wessona - powiedział Sagadore.

- Przywiozłeś ze sobą broń z Nowego Jorku? To nielegalne.

Ochroniarz wzruszył ramionami. - Tak jak i to, co tu planujemy.

- Co ty planujesz. A myślałeś o tym, jak to się wszystko skończy?

- Jasne - odparł Sagadore. - Będzie mnie to kosztowało moją pracę. Jeśli się jednak powiedzie, nikt nie będzie się skarżył, a jeżeli nie - to i tak pewnie zginiemy. Zastanów się, Walt - tak naprawdę to my jesteśmy jedynymi, którzy mogą coś zrobić. Wszyscy inni są zbyt uwikłani biurokratycznie. Ja jestem tylko urzędnikiem Amtraku. ty zaś i tak nie pracujesz już w Biurze, więc działalibyśmy jako zwykli obywatele. - Przerwał, uśmiechając się słabo. -

Prawie - dodał.

- To szaleństwo - mruknął Linberg.

- Nieprawda - sprzeciwił się Sagadore. Wstał i zaczął przemierzać pokój od swojego krzesła do okna i z powrotem. - To konieczność. Kiedy zrozumiałem, że Shenker i jej ludzie zabierają pociąg do Kanady, wiedziałem, że wpadliśmy w niezłe gówno. Miałeś rację co do nich. Są kuci na cztery nogi i dokładnie wiedzą, co robią. Wszystkich już zdrowo nastraszyli. Zanim władze podejmą jakąś decyzję, będzie po wszystkim.

Musimy działać teraz. Sami.

- I ryzykować nasze życie - dodał Linberg.

- Zgadza się. Dla żadnego z nas nie będzie to pierwszy raz. Jeśli chodzi o mnie, będę po prostu wykonywał moją pracę. Moim zadaniem jest przecież chronić ten pociąg i jadących nim ludzi, nie mówiąc już o ładunku Rezerwy Federalnej. Nazwij to uczciwością zawodową, jeśli chcesz.

- To trochę banalne - stwierdził Linberg.

- Być może - odparł Sagadore. - Ale to prawda. - Przestał chodzić i spojrzął przez pokój na eks-agenta. - Myślałem, że czujesz tak samo.

- Nie próbuj mi tu pieprzyć o poczuciu winy. Jestem za stary, żeby dać się nabrać na frazesy typu: „poświęcenie się dla obowiązku do końca”. Miałem tego dosyć w Biurze. -

Uśmiechnął się. - Z drugiej strony nie jestem taki stary, żeby stracić swój instynkt psa gończego. Chcę dostać tych ludzi tak bardzo, że aż mnie swędzą ręce.

- A więc pojedziesz? - spytał Sagadore.

- Nie ma większego głupca nad starego głupca. Powinienem mieć więcej rozumu w głowie, ale tak - pojedę.

Annalise Shenker siedziała na samym końcu świetlicy “Tremblant Parku”, wpatrując się w stojący przed nią na stoliku do kawy lśniący odbiornik radiowy. Zasłony w tym wagonie - tak jak we wszystkich innych - były szczelnie zaciągnięte, a nikłe oświetlenie maskowało oznaki zmęczenia, które zaczynały się pokazywać na twarzy terrorystki.

Wraz z nią w świetlicy siedzieli: Paulette Baxter, ciągle w mundurze VIA, Mohamed Kawi i Dieter Haas. Lisa Ruffio pełniła rolę patrolującego strażnika w pociągu, mając na oku pasażerów, podczas gdy Amal Akbar trzymał straż w pierwszym piętrosie, Raoul Attendera zaś kilka stóp nad zgromadzonymi w wagonie towarzyszami - na górnym poziomie

“Tremblant Parku”. W kabinie lokomotywy Sheila Teng pilnowała pracy zespołu F, a towarzyszył jej Jacques Cyr, który działał też jako uzbrojona czujka na przedzie pociągu.

Wszyscy terroryści byli podłączeni do centrum komunikacyjnego Mohameda Kawi, znajdującego się w przedziale B “Tremblant Parku”, zaraz obok większego przedziału klasy pierwszej, w którym umieszczono dyplomatów przeniesionych z opuszczonej świetlicy

“Nocnej Sowy”.

- Gdzie znalazłeś to radio? - spytała Shenker.

- W przedziale B pierwszego amerykańskiego wagonu sypialnego - odparł Dieter Haas swoją niewyraźną angielszczyzną o gardłowym holenderskim akcencie. - Według listy pasażerów, którą odebrałem kierownikowi Amtraku, miejsce to było zarezerwowane przez niejakiego W. Sparlinga.



- Było coś jeszcze? - pytała Shenker. - Jakiś bagaż osobisty?

- Nic - odparł Haas, kręcąc głową. - Ale na jednym z wentylatorów były rysy. To wszystko.

- Antena? - podsunął Mohamed Kawi. Holender wzruszył ramionami.

- *Vielleicht*. Możliwe.

- Znowu nasi przyjaciele - powiedziała Shenker, ściągając włosy do tyłu i związując je. - Zapomnieliśmy o nich.

- O kim ty mówisz? - odezwała się Paulette Baxter. - Jacy przyjaciele?

- Ktoś próbował ukraść wiezione tym pociągami pieniądze. W każdym razie na to wygląda - odparła Shenker. - Mało nam wszystkiego nie popsuli.

- O Jezu! - krzyknęła Baxter. - Kim oni są?

- Nie wiemy - cierpliwie tłumaczyła Shenker. - Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć. Teraz, z tym radiem, staje się to jeszcze ważniejsze. Mogli wysłać jakieś wiadomości.

- To mało prawdopodobne - odezwał się Kawi. - Takie radio ma bardzo ograniczony zasięg. Ale mimo to ci ludzie stanowią niebezpieczną niewiadomą. Trzeba ich jak najszybciej znaleźć.

- To będzie trudne - powiedział Haas. - Myślę, że wieziemy teraz prawie pięćset osób.

Wszyscy są pomieszani jak w *viehwaggon*, czyli po waszemu wagonie bydłowym. A my mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia. - Może masz rację - zgodziła się Shenker. - Ale nie podoba mi się to. - Spojrzała na zegarek marszcząc brwi. - Ile jeszcze do tego miejsca, w którym będziemy tankować? - spytała zwracając się do Kawiego.

- Trzy godziny, może trochę mniej - odparł Libijczyk. - Przed kilkoma minutami rozmawiałem z Sheilą i ona mówi, że wszystko w porządku. Mój ostatni przekaz do władz najwyraźniej poskutkował. Linia jest całkowicie wolna, tak jak żądałem. Nie będzie przerw.

- Dobrze - rzuciła Shenker. Przymknęła na chwilę oczy, pocierając dwoma palcami czubek nosa. - Ciągły ruch i hałas źle wpływają na moje opanowanie - powiedziała wolno.

Otworzywszy oczy spojrzała na towarzyszy. - Pewnie tak samo jest z wami. Jestem też świadoma napięcia, w jakim jesteśmy. Ale mamy jeszcze przed sobą długą drogę i nie ma miejsca na pomyłki, nie ma miejsca dla tych, którzy tracą spokój albo popełniają błędy. Aby wygrać, musimy zachować ten spokój. Jeśli nam się to uda, będą nas pamiętać jeszcze w dalekiej przyszłości, a nasza akcja stanie się politycznym wydarzeniem stulecia.

Harry Maxwell stał w maleńkiej ubikacji Daynightera opierając czoło o chłodną matową szybę, w uszach kołatał mu głośno monotony stukot kół. Przed paroma minutami ktoś dobijał się do drzwi, ale w końcu zrezygnował i poszedł szukać ulgi gdzie indziej. Harry, przynajmniej na razie, był sam ze

swoimi myślami - co w przepełnionym pociągu graniczyło niemal z cudem.

Stał przez chwilę chłodząc rozpalone czoło, po czym usiadł na muszli klozetowej i zapalił papierosa, wpatrując się w pomalowany na stalowo sufit. Na jednym z zielonych nitów siedziała do góry nogami mucha. Harry uśmiechnął się lekko, zastanawiając się, czy małe stworzenie ma najmniejsze choćby pojęcie o tym, że jest zakładnikiem bezwzględnej bandy terrorystów. Zaciągnął się papierosem, po czym wyciągnął przed siebie ręce, przyglądając się im.

Trzęsły się, i to nie tylko z powodu ruchu pociągu. Drzenie było w połowie wynikiem wyczerpania, które zaczynało mu się już dawać we znaki, a w połowie napięcia. Spodziewał

się, że podczas rabunku będzie się bał, ale gdyby wszystko szło zgodnie z planem, byłoby już od wieków po wszystkim. Zastanawiał się, jak długo ludzki umysł i ciało może znosić takie napięcie, zanim coś trzaśnie. Spojrzał na zegarek - wpół do jedenastej. Doba minęła, odkąd wsiadł w Waszyngtonie do "Nocnej Sowy", a przez ten czas spał nie więcej niż parę godzin.

Nie miał cienia wątpliwości, że jeśli wkrótce się coś nie stanie, pęknie jak za mocno nadmuchany balon.

Nie tylko z nim tak było. Sytuacja była już wystarczająco zła, kiedy jechał sam pociąg antrakowski. Doczepienie "Kanadyjczyka" i podwojenie liczby pasażerów jeszcze ją pogorszyło. Zaczynało brakować żywności, a woda pitna została zużyta prawie do ostatniej kropli. Najwyraźniej strach pobudzał pragnienie.

Harry'emu i reszcie - jako dość silnej liczebnie grupie - udało się zarekwirować przedział w pierwszym z dwóch wagonów sypialnych za restauracją, znajdowali się więc w pewnym odosobnieniu, jednak przebywanie sześciu osób w małym pomieszczeniu samo w sobie powodowało wzrost napięcia, toteż przyjęli zasadę regularnych wizyt w toalecie mniej więcej co piętnaście minut. Teraz była kolej Harry'ego, zaczynał się jednak zastanawiać, czy względnie świeże powietrze i te kilka minut samotności były warte wysiłku samej przeprawy

- poza przedziałem panował właściwie taki sam zaduch, a wypełnione korytarze miały w sobie coś z koszmarów Felliniego. Sześćset osób - wszystkie przerażone, niektóre w stanie bliskim histerii - tłoczyło się w siedmiu wagonach, które w najlepszym razie przeznaczone były do pomieszczenia o połowę mniejszej liczby pasażerów.

Dzieci krzyczały, dorośli lamentowali, a smród świadczył o tym, że co najmniej jedna ubikacja już się zatkała. Część osób sprawiała wrażenie pogrążonych we śnie, ale większości strach i mocne światła uniemożliwiały jakikolwiek odpoczynek. A miało być jeszcze gorzej.

Harry rozdeptał papierosa na podłodze i odchylił się do tyłu zamykając oczy.

Sześciuset ludzi... gdyby jego plan się nie powiódł, wielu z nich mogło ucierpieć. Jeżeli Mottbrown się mylił albo jeśli coś innego się spieprzy, pociąg zamieni się w kostnicę.

Według entuzjasty modelarstwa kolejowego pociąg miał się wkrótce zatrzymać dla uzupełnienia

paliwa, ponieważ - po połączeniu dwóch składów - było w nim teraz przynajmniej szesnaście wagonów. Howard stawiał na miejsce zwane Capreol, gdzieś na wschód od Jeziora Górnego. Stosując swój własny wzór, polegający na mierzeniu częstotliwości stukotu kół pociągu na szynach, Harry obliczył w przybliżeniu ich prędkość i ustalił czas przyjazdu do Capreol na drugą lub trzecią w nocy. Zakładając, że do tej pory nic nowego się nie wydarzy, tam właśnie mieli wykonać swój ruch. Howard twierdził, że tankowanie potrwa co najmniej piętnaście do dwudziestu minut. Zarówno Harry, jak i Kettering, ich nowy współnik, zgodzili się, że chociaż terroryści będą w czasie postoju najczujniejsi, to jednak najłatwiej będzie właśnie wtedy ich zaatakować. Mottbrown zapewnił

ich, iż przy samym tankowaniu zajętych będzie dwoje ludzi, a dwóch następnych terrorystów, jeśli nie więcej, stanie na straży. Licząc co najmniej jednego w kabinie lokomotywy i po jednym w każdym z piętrusów, nie zostawało wielu do pilnowania pasażerów. Poza tym było mało prawdopodobne, by terroryści przejmowali się ludźmi w pociągu - skoncentrują się raczej na kolejnym prawdopodobnym szturmie z zewnątrz. Jediną broń ich grupki stanowił

pistolet Ketteringa z pięcioma kulami - nie było to dużo, ale lepsze niż to, co mieli przedtem, czyli nic. Gdyby im się bardzo poszczęściło, mogli zdobyć więcej broni na którymś z terrorystów, ale Harry na to nie liczył. Westchnął i wstał. Ktoś desperacko łomotał klamką w drzwi. Czas iść. Zatrzymał się z ręką na blokadzie: wczoraj był rodzącym się przestępcą, a dzisiaj - zakładnikiem bandytów. Kim będzie jutro? Wolnym człowiekiem? A może trupem?

W pierwszych godzinach po porwaniu wyczuwało się wśród pasażerów prawie uroczyste braterstwo. Była to zwykła w takich sytuacjach reakcja, nieuchronnie jednak - w miarę upływu czasu - podniosły duch zaczął słabnąć, zastępowany przez powszechne przygnębienie i prawie całkowitą bezwolność. Zakładnik nie ma właściwie żadnego wpływu na bieg wypadków i - poznając swoją niemoc - zamyka się w sobie, reagując jedynie na rozkazy oprawców.

Równolegle z narastającą depresją pogarszał się też stan fizyczny zakładników. Wielu starszych pasażerów, nie mogąc znieść psychicznego napięcia, zaczynało skarżyć się na bóle w płucach i inne dolegliwości. Część z nich, rzeczywiście cierpiących z powodu kłopotów z sercem, przeniesiono do i tak już mocno zatłoczonej izby chorych, przez co trzeba było przeznaczyć na jej potrzeby część następnego wagonu. Środków medycznych - których od początku było nie za wiele - zabrakło już niemal całkowicie i pasażerowie ciężiej ranni w wyniku wybuchu w przedsiönku wagonu z miejscami siedzącymi byli bliscy śmierci. Wagony Amtraku, w większości wyposażone w ubikacje o wymiennych zbiornikach, wypełniał odór ekskrementów, gdyż zbiorniki zatykały się, a potem przelewały. Nie lepiej było też w toaletach VIA. Na domiar złego woda pitna i żywność były na wyczerpaniu, gdy zaś wysiadła instalacja klimatyzacyjna, w wielu wagonach zaczęło robić się za gorąco. W pociągu byli wprawdzie ludzie potrafiący naprawić urządzenie wentylacyjne, nikt jednak nie chciał się zbliżyć do szafek elektrycznych, w których umieszczone były pojemniki z zarodnikami węgla. Nic więc nie robiono.

- Harry, na miłość boską, jesteś tam? - Był to mocno przerażony głos Daniela.

- Tak, jestem tu - mruknął Harry, otwierając drzwi ubikacji.

Natychmiast w jego nozdrza wdarł się smród wagonu - automatycznie więc zaczął

oddychać przez usta. - O co chodzi? - spytał przyjaciela.

- Jakiś facet oszalał w jednym z wagonów. Dorwał gdzieś nóż i grozi, że poderżnie gardło każdemu, kto do niego podejdzie.

- Cholera! Tylko tego nam brakowało - powiedział Harry ochryplym ze zmęczenia głosem. - Czy ktoś próbował go unieszkodliwić?

- Nie ma szans - stwierdził Daniel potrząsając przecząco głową. - Oparł się o szafkę elektryczną i grozi, że rozpruje pojemnik z zarazkami.

- Czego chce?

- Wyjść. Chce się wydostać z pociągu.

- W takim razie nie jest taki szalony - mruknął Harry.

- Nie pora na żarty. Facet ma bzika. Jeśli czegoś nie zrobimy, zabije nas.

- Co mówi Mark?

- Oczywiście jest za tym, żeby go zastrzelić - odparł Daniel pogardliwie krzywiąc usta. - Czego się spodziewasz po tym żołnierzyku?

- Daj sobie na luz, Daniel. Wiem, że masz własną opinię na temat żołnierzy, ale Mark nic ci nie zrobił. A Kettering?

- Gliniarz? Mówi, że powinniśmy poczekać i zobaczyć. Obaj są tam teraz.

Próbowaliśmy opróżnić wagon, ale facet ostrzegł, że jeśli ktokolwiek się ruszy, rozwali pojemnik.

- Co na to wszystko nasi przyjaciele strażnicy? - spytał Harry.

- Nic jeszcze nie wiedzą. I musimy coś zrobić, zanim się dowiedzą. Jeżeli ktoś z nich go zobaczy, rozwałą faceta na strzępy, a wraz z nim prawdopodobnie pół tuzina innych ludzi.

- Więc co niby mam zrobić? - zapytał znużonym głosem Harry. - Chryste Panie, przecież nie uda mi się z nim dogadać.

- Tylko chodź, Harry. Spróbuj. Proszę cię.

- No dobra.

Ostrożne wchodzenie do następnego wagonu dało Harry'emu przyprawiające o mdłości uczucie, jakby znalazł się nagle w innym wymiarze. Wagon - zaraz przed "ziemią niczyją" terrorystów - pełen był ludzi o twarzach wyglądających blado i niezdrowo w ostrym świetle padającym z lamp umieszczonych na suficie. Obie ubikacje od tej strony, z której nadszedł Harry, przelały się i fetor

dosłownie zatykał. Krztusząc się ruszyli naprzód i spojrzeli wzdłuż przejścia między rzędami siedzeń. Z wyjątkiem jednego dziecka, płaczącego w ramionach matki mniej więcej w połowie wagonu, wszyscy siedzieli cicho. W głębi, przyciśnięty do ścianki na końcu wagonu, stał chudy łysiejący mężczyzna w pomiętej, poplamionej potem koszuli. W jednej ręce, opartej na oknie, trzymał duży nóż do krajania mięsa. Druga dotykała przyczepionego do szafki pojemnika przypominającego termos.

Otwarte drzwiczki szafki kołysały się w rytm ruchów pociągu, trzaskając co kilka sekund o ściankę.

Harry uniósł rękę i starł pot, który zaczynał zbierać mu się pod oczami. Klimatyzacja w wagonie wysiadła już dawno i oprócz straszliwego smrodu było jeszcze bardzo duszno.

- O Jezu - mruknął. - Musi tu być ze czterdzieści stopni. - Mrugając oczami ponownie spojrzął w głąb wagonu.

- Gdzie są Mark i Kettering?

- Nie widać ich stąd - odparł Daniel. - Cavendish jest między dwoma fotelami w drugim rzędzie od przodu. Glina po drugiej stronie przejścia.

- Chyba Mark ma rację - stwierdził Harry. - Nie da rady unieszkodliwić go bez strzelania.

- Gliniarz nie chce tego. Uważa, że jeśli terroryści usłyszą nasz strzał, to wszyscy oberwiemy. Myślę, że ma rację.

- No to zaproponuj coś innego.

Pociąg przechylił się mocno na zakręcie i nawet z odległości osiemdziesięciu stóp Harry widział, jak ręka mężczyzny raptownie zaciska się na pojemniku.

- Jeszcze raz takie coś i zrzuci nam to świństwo ze ściany na kolana - wyszeptał

Daniel.

- Kto to jest?

- Nazywa się Hafner. Bob Hafner. Kettering dowiedział się tego od jednego z pasażerów.

- Czy ktoś wie, co go tak wyprowadziło z równowagi? - spytał Harry.

- Wdał się w bójkę ze swoim sąsiadem. Tamten rozbił mu okulary. Wygląda na to, że bez nich jest półślepy. Ale poszedł potem do wagonu restauracyjnego, wrócił z nożem i zaczął ciąć tego drugiego. On ciągle leży tam, pod siedzeniem. Nikt nie wie, jak poważnie jest ranny, ale od dziesięciu minut nie poruszył się ani nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

- Nie żyje...?

- Możliwe - stwierdził Daniel. - Na naszą korzyść działa krótkowzroczność Hafnera.

To dlatego nie podniósł wrzasku, kiedy weszliśmy. Nie widzi tak daleko. Dzięki temu też udało mi się wyjść po ciebie.

- Ostrze tego noża ma ze stopę długości - skomentował Harry. - Nie mógłby chybić, nawet gdyby był całkiem ślepy.

- Czyli co: sytuacja bez wyjścia? A co będzie, jak pojawi się któryś z tamtych drani?

Ciemna mogiła.

- To już jest ciemna mogiła - mruknął Harry pocierając nos. - Pójdę i pogadam z nim.

Trzymaj się za mną, tak żeby cię nie widział. Kiedy będę dosyć blisko, padnij na ziemię i dostań się do Ketteringa. Spróbuję coś wymyślić, ale jeśli zacznie być groźnie, niech Kettering strzela, jasne?

- Okay.

Ruszyli naprzód - Harry lekko chwycił się za oparcia mijanych foteli. Kątem oka dostrzegał twarze pasażerów - wszystkie wykrzywione strachem - i szeroko otwarte oczy. Słysząc było tylko stukot kół - nawet dziecko przestało płakać. Człowiek z nożem dostrzegł Harry'ego dopiero z odległości trzydziestu stóp.

Zesztywniał i zaczął wymachiwać uzbrojoną ręką, drugą zaciskając na pojemniku.

- Kto to? Kto tam jest? - krzyknął.

Harry zamarł w pół kroku. Pendergast opadł na podłogę, uciekając w bok, poza zasięg wzroku szaleńca. Harry, nie zwracając uwagi na przyjaciela, patrzył prosto na tamtego.

- Nazywam się Harry Maxwell, panie Hafner. Widzę, że chce pan opuścić pociąg.

- A coś pan myślał - wybuchnął mężczyzna. - To przecież jest oburzające. Oburzające.

Ja mam zobowiązania. Tak, tak. Zobowiązania. Joanna oczywiście będzie się martwiła.

Zbikował, pomyślał Harry.

- Wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji, panie Hafner - przerwał łagodnie. - I wszyscy się boimy. Ale to, co pan robi, nie pomoże nam.

- Ja wymyśliłem! Wiem jak! - wrzasnął mężczyzna. - Wszyscy możemy się stąd wydostać. Wybić szybę. Walizką. Nigdy się nie dowiedzą.

Harry zauważył jakiś ruch za szybą przednich drzwi wagonu i na chwilę odwrócił

wzrok od Hafnera. Stała tam przywódczyni terrorystów. Z trudem przełknął ślinę i z powrotem spojrzał na mężczyznę z nożem.

- Niech pan odłoży nóż, panie Hafner, natychmiast - zażądał. Szalencie gapił się na niego swymi krótkowzrocznymi oczyma i po chwili zaczął się śmiać, co brzmiało jak ryk osła. Harry zamarł widząc, że drzwi z przodu wagonu otwierają się. Kobieta trzymała w ręku mały stalowoszary pistolet maszynowy. Ich oczy spotkały się i Maxwellowi aż przekręciło się coś w żołądku. Poczł się jak zwierzę zahipnotyzowane przez kobrę - oczy tej pięknej kobiety były martwe: śmierć była jedynym przesłaniem, które niosły.

- Hafner! Nóż! - po raz ostatni spróbował Harry. Mężczyzna nie zwrócił na niego żadnej uwagi, a jego budzący grozę śmiech rozbrzmiewał nadal. Oniemiały Harry wpatrywał

się wytrzeszczonymi oczami, jak kobieta wchodzi do wagonu odciągając bezpiecznik trzymanej broni. Nie zwracając uwagi na ruchy pociągu i z łatwością utrzymując równowagę ruszyła do przodu, wciąż niewidoczna dla bełkoczącego mężczyzny. Bez zastanowienia Harry skoczył do Hafnera, który natychmiast zaczął wywijać nożem.

- Odejdź! Odejdź! - krzyczał otrząsając się niezdarnie. Harry zatoczył się do tyłu, a terrorystka zrobiła ostatni krok, jednym płynnym ruchem podnosząc niewielki pistolet.

Maxwell widział, jak jej długi, szczupły palec obejmuje spust i dwukrotnie go naciska. Twarz Hafnera rozprysła się jak pękający owoc, jej rysy jakby zapadły się do środka, kiedy ołów -

którego wystrzelenie znaczyły dwa krótkie trzaski - trafił w cel. Mężczyzna zaczął się zginać, nóż wyleciał mu z ręki. W dwóch krokach terrorystka znalazła się przy pojemniku i odczepiła od niego umierające palce. Nie zwracając uwagi na trupa cofnęła się opuszczając broń i przez chwilę wpatrywała się w Harry'ego.

- Próbował pan być bohaterem - odezwała się chłodno i beznamiętnie. - Heroizm jest dla głupców. Radzę, żeby pan to sobie zapamiętał. Mimo to dziękuję za pomoc. - Trąciła Hafnera nogą. - Ten człowiek nie żyje i najwyraźniej ten na podłodze również. Usuńcie ciało.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na Harry'ego, po czym odwróciwszy się odeszła tak jak przyszła, jak gdyby śmierć Hafnera była jedynie lekko irytującym epizodem. Harry osunął się na najbliższe siedzenie, mając niejasną świadomość tego, że Daniel i Norm Kettering podnieśli się ze swoich kryjówek zaledwie o kilka stóp od niego. Ten nagły przejaw przemocy wykończył go i czuł się, jakby oczy terrorystki wypaliły dwie dziury w jego czaszce.

- O Boże! - wyszeptał. - Już nie mogę z tym wszystkim.

**Część czwarta**

# TARCZA

*Ktokolwiek powiedział: “głupcy lecą tam, gdzie anioły boją się stąpnąć” - trafił w samo sedno. My byliśmy głupcami, a Capreol w Ontario nie jest miejscem, w którym łatwo znaleźć anioła, nawet w najlepszych czasach.*

Harry Maxwell

w wywiadzie dla “Playboya”

## ROZDZIAŁ 11

**Wtorek, 28 czerwca**



# Godzina 3.13 czasu wschodniego

**Odległość: 1274 mile/2050 km**

Gdyby Harry Maxwell i inni pasażerowie porwanego pociągu mogli cokolwiek widzieć przez okna wagonów, zauważyliby powolne, lecz zdecydowane zmiany krajobrazu i ktoś taki jak Harry może zaobserwowałby, że - podobnie jak pogarszająca się sytuacja na pokładzie, okolica również stawała się coraz mniej cywilizowana.

Przez większą część dotychczasowej jazdy znajdowali się na ziemiach od wieków ujarzmionych przez człowieka i jakieś osady ludzkie zawsze znajdowały się w odległości najwyżej dziesięciu-dwudziestu mil. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Przez pierwsze sto mil za Ottawą ciągle jeszcze spotykało się farmy i osady rozlokowane wzdłuż krętej rzeki, ale kiedy pociąg skręcił na pomocny zachód, za Chalk River i Mattawa, teren stał się nierówny, pokryty gęstymi lasami cedrowymi i jeziorami, a w oddali po prawej stronie widać było wznoszący się ku niebu posępny masyw Gór Laurentyńskich. Indiańskie legendy zwały ten obszar Nipissing - Krainą Czarowników. Mniej romantycznie nastawieni geologowie nazywali ten obszar Uskokiem Mattawy. Była to licząca sześćset milionów lat kotlina przełamowa słynna ze złóż ochry, leżąca na południowym skraju masywnej granitowej formy znanej jako Tarcza Kanadyjska.

Na stacjach przy głównej linii, powiadomionych o sytuacji, panowały ciemności i nie próbowano przeszkadzać pociągowi, który mknął przez noc ze stałą prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, co na dość nędznym podkładzie było właściwie szybkością maksymalną.

Chociaż nie podjęto żadnej bezpośredniej akcji, nie oznaczało to wcale, że nic nie zrobiono. Patrol zwiadowczy z bazy Kanadyjskich Sił Zbrojnych w Petawawa czujnie obserwował przejazd pociągu przez obszar będący w zasięgu ich artylerii polowej. Oddziały Policji Prowincjonalnej Ontario z Renfrew, Chalk River i North Bay również śledziły jego drogę, choć właściwie prawie nie było nic widać. Był to budzący grozę pociąg-widmo: zasłony miał zaciągnięte, światła pozycyjne wygaszone, syrena milczała. Dudnienie kół na szynach rozbrzmiewało krótkim echem, po czym zanikało, jak gdyby pociągu nigdy tam w ogóle nie było. W środku nocy skład dotarł do North Bay na wschodnim krańcu jeziora Nipissing, przejechał nad miastem - i po krótkiej przerwie, w czasie której Jacques Cyr znowu użył swojego klucza, by przestawić go na tory pomocne - wjechał na linię Canadian Pacific.

Zmiany tej nie zauważono, gdyż trzy samoloty wywiadowcze Policji Prowincjonalnej Ontario zostały odwołane pół godziny wcześniej z powodu gęstniejących ciemności i niebezpieczeństwa katastrofy w ogromnym mrocznym lesie, który rozciągał się na północ do Zatoki Jamesa i na południe do jeziora Huron. Był to obszar większy niż cały stan Nowy Jork, a gęstość jego zaludnienia równała się mniej więcej zaludnieniu Mongolii Zewnętrznej. Przed nimi nie było nic poza prawie tysiącem mil nieprzebytych gąszczy. Pewien geometra, który sto lat wcześniej sporządzał mapę tej trasy, opisywał ten obszar jako *olbrzymi pusty teren, tak dziki jak żaden na świecie, gdzie skaliste grzbiety górskie przebijają się przez skąpą warstwę gleby, jak kości w rozkładającym się ciele. W licznych kotlinach znajdują się bagna muskegowie, które pochłaniają wiele jardów sześciennych zasypki, zanim dadzą mocne oparcie dla podkładu.* Przez te sto lat nie wydarzyło się nic, co mogłoby zmienić

ów opis.

Wesler, inspektor FBI, który przybył do Montrealu razem z Frankiem Sagadore i Walterem Linbergiem, siedział przy czynnym całą noc barze na Dworcu Głównym, popijając kawę i bez entuzjazmu dłubiąc w czymś, co na pierwszy rzut oka przypominało ciastko cytrynowe. Ostatnie spotkanie skończyło się przed dwoma godzinami, ale zdenerwowany agent nie mógł spać. Zszedł z hotelu do prawie całkiem pustego głównego hallu, aby pozbierać myśli. Jedynymi jego towarzyszami byli barman i zmiatacz, który akurat pracował.

Okręciwszy się na stołku Wesler oparł się o ladę i pił kawę. W pewnym momencie jego oczy natrafiły na zegar zawieszony pod sufitem w odległości prawie stu jardów. Była 3.21 - według ostatniego meldunku z montrealskiego biura Głównej Kontroli Ruchu porwany pociąg powinien już dojeżdżać do Capreol, aby uzupełnić paliwo.

Spotkania nie dały nic poza zamęceniem i tak już skomplikowanej sytuacji. Wesler opowiadał się za jakąkolwiek natychmiastową akcją, ale nikt go nie poparł. Królewska Kanadyjska Policja Konna i wojsko najwyraźniej czekały, aż terroryści oddalą się od pociągu.

Z jakiegoś powodu wszyscy uważali, że zanim go opuszczą, nie zrobią pasażerom nic złego -

Wesler jednak nie był tego taki pewien. Ale zarówno Kanadyjczycy, jak i przedstawiciel amerykańskiego Departamentu Stanu z ambasady w Ontario byli nieugięci. Przy dodatkowej komplikacji w postaci niebezpieczeństwa rozprzestrzenienia węgla nie mieli zamiaru ryzykować. Terrorystom miało się pozwolić jechać dokąd będą chcieli, a po opuszczeniu przez nich pociągu - śledzić ich. Dopiero kiedy uzyska się absolutną pewność, że ani zakładnikom, ani całemu społeczeństwu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, władze przystąpią do działania. Do tego czasu prowadzić się będzie jedynie nadzór przy pomocy specjalnych grup w Capreol, Sioux Lookout i Winnipeg na trasie pomocnej oraz w Thunder Bay i Kenora na południowej, w razie gdyby pociąg pojechał tamtędy. Powszechnie sądzono, że terroryści będą próbowali porzucić pociąg gdzieś między Capreol a Winnipeg i wysyłano właśnie kilka dużych samolotów nadzorujących oraz zwiadowczych do Thunder Bay, aby móc rozpocząć poszukiwania, jak tylko zrobi się jasno. Ponadto postawiono w stan pogotowia oddziały Policji Prowincjonalnej Ontario w Gogama, Folyet, Hornepayne, Nakina, Armstrong i Sioux Lookout, ponieważ były to siedziby władz policyjnych leżące najbliżej głównej linii.

Żadne z tych posunięć nie miało dla Weslera najmniejszego sensu. Pokazano mu trasę pociągu na zwykłej mapie drogowej prowincji Ontario, na której wyraźnie zaznaczone były bazy wojskowe i miejsca stacjonowania oddziałów policji. Jeśli on mógł je zobaczyć, mogli to również zrobić porywacze, co oznaczało, że raczej nie będą próbowali uciekać wzdłuż tego odcinka linii. Równie absurdalne było przydzielenie sił do Winnipeg czy Thunder Bay - jak dotąd terroryści robili wszystko, aby unikać głównych ośrodków miejskich i Wesler wątpił, żeby zamierzali teraz zmieniać swoją strategię.

Kiedy po raz pierwszy zwrócono uwagę na możliwość ucieczki terrorystów w głąb północnego Ontario, wydawała się ona dość logiczna, im więcej jednak Wesler myślał na ten temat, tym mniej był przekonany. Ucieczka taka oznaczałaby, że prawie na pewno mają gdzieś tam ukryty samolot i

choć lecąc nisko mogli uniknąć wykrycia przez zwykłe radary, to gdzie niby mieli się udać? Na północy było jedynie Koło Podbiegunowe, na południu zaś największe miasta Stanów Zjednoczonych. Wesler był pewien, że daleko jeszcze było do końca lotu "Nocnej Sowy". Inspektor FBI okręcił się z powrotem i rzuciwszy ćwierćdolarowy napiwek obok pustej filiżanki odszedł od baru, idąc wolno przez hali w kierunku wyjścia do tunelu, który prowadził do Queen Elizabeth Hotel. Postanowił zaraz z rana skontaktować się telefonicznie z Linbergiem i omówić z nim sytuację. Gdyby nie zanosilo się na żadną stanowczą akcję, miał zamiar poprosić o odwołanie go do Stanów. Po prawie dwudziestu latach pracy w Biurze umiał wyczuć przegraną na milę, a ta sprawa już teraz śmierdziała cholernie.

- Jak daleko jeszcze? - spytał Harry szeptem, ledwo słyszalnym poprzez warkot wentylatora w zaciemnionym przedziale.

Mały wiatraczek z plastikowymi łopatkami, umieszczony wysoko w górnym rogu, właściwie tylko kręcił stęchłym powietrzem w kółko, ale było to lepsze niż nic. Przykucnięty nad podłogą Mottbrown wyjrzał przez półcałową szparę w zasłonie na oknie.

- Dwie mile - odparł również szeptem. - Właśnie minęliśmy słupek i zwalniamy.

- Cicho! - syknął Mark Cavendish ze swego miejsca przy uchylonych drzwiach na korytarz. - Ktoś idzie!

Howard Mottbrown poprawił zasłonę i wszyscy z powrotem ułożyli się w pozycji do spania. Harry zwalczył pokusę otwarcia oczu, gdy kroki zbliżały się, i poczekał, aż drzwi na końcu wagonu zostały zamknięte.

- To oni? - zapytał, kiedy był już pewien, że tamci przeszli. Cavendish podniósł się z ziemi i wyjrzał za drzwi.

- Tak - powiedział cofnąwszy się do środka. - Troje z nich. Piękna, Niemiec i jeden z Arabów.

- Wychodzą pewnie przez rozwalone wybuchem drzwi wagonu z miejscami siedzącymi - podsunął Pendergast. - W ten sposób nie muszą majstrować przy żadnej ze swoich pułapek.

- Możliwe - zgodził się Harry. - Ale ilu ich jeszcze jest?

- Nie widziałem drugiego Araba i tego, co wygląda na Hiszpana, już od dłuższego czasu - odezwał się Adrian Tucker. - Może to oni są w piętrusach.

- A ten, który wsiadł w Montrealu, poszedł na przód z konduktorem zaraz po odjeździe z dworca. Nie wracał, czyli jest w lokomotywie.

- Zostaje więc Włoszka i ta, którą widziałeś w mundurze VIA. Przypuszczam, że są w tylnym wagonie panoramicznym - powiedział Cavendish. - Chyba że pilnuje go ktoś, o kim nie wiemy.

- Okay - odezwał się Harry. - Howard mówi, że potrzeba dwóch osób do zatankowania i przynajmniej jednej do pilnowania. To chyba będzie Piękna. Nie jest głupia, więc mogę się założyć,

że stanie bardzo blisko wejścia do wagonu, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

- Nieźle się zabezpieczyli - stwierdził Norm Kettering, krzywiąc się z bólu, kiedy próbował zająć lepszą pozycję pod ścianą przedziału. - Dwoje z przodu, dwoje z tyłu i tych dwóch facetów w piętrusach - będą wszystko widzieli.

- Na zewnątrz, ale nie w środku - zaproponował Harry.

- No więc jak to rozgrywamy? - spytał policjant.

- Trzeba zacząć od tego gościa w przednim piętrusie - odparł Harry. - Tak jak mówiliśmy. Jeśli go załatwimy, będziemy w stanie utrzymać cały tył pociągu i skierować większość ich siły ogniowej na przód. Wtedy zostanie nam jeszcze tylko ta dwójka w tylnym wagonie panoramicznym i facet w drugim piętrusie.

- Który pewnie ma karabin maszynowy - mruknął Daniel.

- Nieważne, co ma - zareplikował Harry. - Możesz postawić w zakład swoje skarpetki, że zwieją, jak tylko zacznie się walka, a wtedy my przejmujemy pociąg. Będzie im tak samo ciężko precyzyjnie się do nas, jak i odwrotnie.

- A więc tak robimy? - upewniał się Kettering.

- Chyba że ktoś ma lepszy pomysł. Kłopot w tym, że musimy mieć pewność, że nie przepuścimy tych z tylnego panoramicznego na przód. Każde z nich ma przy sobie krótkofalówkę, więc jeśli gość w pierwszym piętrusie coś skapuje, zanim go zdejmemy, inni spadną nam zaraz na łeb.

- To zdejmemy go po cichu - odezwał się z półmroku Cavendish.

- Niby jak? - spytał Daniel.

- Tym - odparł weteran z Wietnamu pokazując kończące prawą rękę dwa haki, błyszczące w nikłym świetle padającym z korytarza.

- Jezus Maria! - wyjąkał Harry.

- Brutalne - przyznał Cavendish. - Ale skuteczne.

- Jeśli się do niego dostaniesz - mruknął Daniel.

- Światła w wagonie będą wygaszone - odparł Cavendish. - Zresztą nie zobaczyłby nas, nawet gdyby były włączone. Poza tym powinno być dosyć ogólnego hałasu, żeby mnie kryć.

- Celuj w oczy - poradził spokojnym głosem Kettering. - Te haki nie są dosyć ostre, żeby przeciąć ubranie, a może nawet skórę. Spróbuj wbić mu je w oczodoły, a potem nimi pokręć. Pewnie nie zabije go to od razu, ale utrzyma z dala od krótkofalówki. Będziesz też potrzebował kogoś do wsparcia, najlepiej z czymś dosyć ciężkim, by rozwalić facetowi łeb.

- Ja się tym zajmę - odezwał się ochrypłym głosem Adrian Tucker. W każdej sylabie słyhać było przerażenie. - Dzięki, Adrian, ale... - zaczął Cavendish.

- Nie. Ty musisz pójść do Stackpole'a - przerwał Harry zwracając się do Tuckera. -

Chcę, żebyś się go trzymał. Jeśli popadniemy w tarapaty, może się przydać jakaś ukryta karta, o której nie wiedzą nasi przyjaciele.

- Nie pieprz mi tu bzdur, Harry - powiedział aktor. - Dlaczego po prostu nie powiesz, że nie chcesz, żebym brał w tym udział?

- Bo to nieprawda - skłamał Harry. - Chcę, żebyś był ukryty, a nie wykluczony.

Nastąpiła chwila chłodnej ciszy, w końcu jednak Tucker skinął głową.

- W porządku, Harry - powiedział miękko. - Jeśli tak to widzisz.

- Po co aż trzech z przodu? - spytał Howard Mottbrown przełamując napięcie. - I co ja mam robić?

- Daniel będzie trzymał straż u stóp schodów prowadzących na wyższy poziom wagonu - odpowiedział Harry. - Gdyby któryś z terrorystów za wcześniej wsiadł z powrotem do pociągu, byłoby po nas. A ty będziesz w następnym wagonie. Jak tylko uporamy się z bandziorem na górze, zbudujesz barykadę. Bagaże, poduszki, co tylko znajdziesz. Adrian, ty zrobisz to samo od twojej strony. Są pytania?

Po krótkiej ciszy zabrał głos Howard Mottbrown.

- Mam pewien pomysł - zaproponował cicho. - Może to zwiększyć szansę waszego...

hm... załatwienia się z tym człowiekiem w piętrusie.

- Wal śmiało - zachęcił go Harry.

- No cóż, może zauważyliście, że w większości wagonów są oszklone szafki przeciwpożarowe. Trzeba tylko złamać pieczęcie, żeby się do nich dostać.

- Toporki - domyślił się Norm Kettering. - W każdej są toporki, do cholery.

- Zgadza się - powiedział Mottbrown. - Gaśnice też mogą się przydać. Gdyby pan Pendergast miał jedną pod ręką, mógłby opóźnić czyjeś wsiadanie do pociągu, przynajmniej na parę chwil.

- Jesteś wspaniały, Howardzie - powiedział Harry uśmiechając się szeroko. - Toporki, haki i gaśnice. Ale zestaw!

- Przypuszczam, że mam zostać na miejscu - zabrał głos Kettering.

- Nie widzę innego wyjścia - odparł Harry. - Z tym swoim pistoletem i paroma nabojami zginiesz w

pierwszej strzelaninie, nie mówiąc o gromadzie innych. *A propos*, niegłupio byłoby powiedzieć ludziom w tamtym wagonie, żeby się usunęli.

- To jest wagon sypialny, nie? - powiedział policjant. - Jest już dosyć zatłoczony, nie pogarszajmy sytuacji. Każdemu zresztą powinno zależeć, by trzymać się z dala od linii strzałów.

- W porządku - zgodził się Harry. - Jak uważasz.

Pociąg przechylił się mocno ze zgrzytem, zwalniając jeszcze bardziej, aż szczęki hamulcowe zaczęły piszczeć trąc o nagi metal kół. Howard Mottbrown ostrożnie uniósł

zasłonę za róg i wyjrzał na zewnątrz.

- To to - powiedział. - Ciągłe jesteśmy na głównej linii i chyba właśnie mijamy stację.

- Przerwał na chwilę. - Tak. Zgadza się. Jest całkiem ciemno. Wygasili wszystkie światła.

- Nikt nie chce być celem - odezwał się Cavendish. - Możemy tylko mieć nadzieję, że nie spróbują teraz szturmować pociągu.

- Przejeżdżamy przez stację na dworzec przetokowy - oznajmił Mottbrown. - Trzy...

nie, cztery tory po prawej stronie. Po drugiej będzie więcej.

- Ciekaw jestem, jak daleko jest pompa? - mruknął Harry.

- Sądzę, że jest ich kilka - odparł Mottbrown, ciągle przykucnięty przy oknie. -

Spodziewam się, że skorzystają z tej najbardziej w głębi, aby trzymać pociąg jak najdalej od stacji.

- Myślicie, że są tu żołnierze? - spytał Adrian Tucker.

- Prawdopodobnie - odezwał się Cavendish. - Nam jednak nie pomogą.

Hamulce zapiszczały, pociąg jeszcze raz się przechylił i w końcu stanął ze zgrzytem.

- Dobra jest - rzucił Harry. - Idziemy!

Wyszli z przedziału, sprawdzwszy najpierw, czy korytarz jest pusty. Harry, Mark Cavendish, Howard Mottbrown i Daniel skręcili na prawo, w kierunku czoła pociągu, natomiast Kettering i Adrian Tucker poszli w drugą stronę. Poza monotonną wibracją chodzącego na wolnych obrotach diesla i sykiem powietrza wydostającego się z zaworów hamulcowych w pociągu panowała cisza.

Harry przystanął przy drzwiach wagonu i zamknął oczy, próbując wyobrazić sobie plan, który naszkicował im Howard Mottbrown. Znajdowali się w drugim wagonie sypialnym przed panoramicznym, czyli między nimi a przednim piętrusem ze świetlicą był wagon restauracyjny "Kanadyjczyka" i Daynighter. Jeszcze dalej stały dwa zwykłe wagony kanadyjskie, a potem "Nocna

Sowa” bez swojego panoramicznego. Jeśli terroryści używali zniszczonego czoła pierwszego amtrakowskiego wagonu z miejscami siedzącymi jako wejścia i wyjścia, to przed “Kanadyjczykiem” powinny znajdować się dwa wagony sypialne, restauracja i wagon zwykły. Tak więc porywacze mieliby do pokonania prawie czterysta stóp

“ziemi niczyjej”, gdyby człowiek w piętrusie zdołał podnieść alarm. Biegiem byłoby to półtorej minuty - niezbyt dużo.

Odwróciwszy głowę Harry ujrzał, jak Mark Cavendish przerywa swymi szczypcami pieczęć na szklanej szafce przeciwpożarowej. Kiedy tylko pękła, Daniel otworzył drzwiczki i wyjął z przytrzymujących zacisków mały toporek, ważąc go w rękę. Z jednej strony narzędzie miało płaskie ostrze, a z drugiej ostry klin.

- Witamy w Wampirkowie - mruknął artysta szczerząc wilczo zęby.

- Zdejmujemy tego gościa w piętrusie tak szybko, jak to możliwe - powiedział Harry, ignorując komentarz przyjaciela. - Jeśli będzie spokój, idziemy na przód pociągu kanadyjskiego pomóc Howardowi z barykadą. Ja i Mark zniesiemy z góry całą broń, jaką ten facet tam ma. Miejmy nadzieję, że będzie można dać z tego dosyć ognia, by zatrzymać jego kumpli.

- A co z ludźmi w wagonach z miejscami siedzącymi? – spytał Mottbrown. - Mam im coś mówić?

- Nie. - Harry przecząco pokręcił głową. - Jeszcze nie. Ostatnią rzeczą, której nam potrzeba, jest stado rozhisteryzowanych pasażerów wpadających do świetlicy piętrusa, zanim załatwimy tego na górze. Na razie po prostu nie zwracaj na nich uwagi. Nie sądzę, żeby ktokolwiek zgłaszał potem jakieś pretensje. Zapewniam cię, że wszyscy boją się tak samo jak my.

- No właśnie, jak cholera - odezwał się Cavendish.

- Ruszajmy - niecierpliwił się Daniel. - Tracimy czas. A jeśli o mnie chodzi, to niech pasażerowie, którzy nie chcą pomóc, lepiej nie wchodzą mi w drogę.

- Zgadzam się - powiedział Cavendish.

Najciszej jak mógł, Harry nacisnął klamkę i pociągnął. Stojący za nim Daniel zablokował drzwi przy ścianie. Harry szybko przeszedł przedsiónek, zaglądając do następnego wagonu - restauracyjnego. Panująca w nim pustka budziła grozę - światła były przyćmione, wszystkie stoły nakryte, nie brakowało nawet serwetek i cukierniczek. Tak jak w innych wagonach zasłony były całkowicie zaciągnięte, odgradzając od świata zewnętrznego.

- W porządku - mruknął Harry odwracając głowę. Otworzywszy drzwi wszedł do wagonu, a za nim Cavendish i Mottbrown. Daniel przystanął, żeby zablokować drugie drzwi.

Gdyby przyszło im uciekać, nie chciał tracić czasu na mocowanie się z nimi.

Przeszli przez cały wagon i na jego końcu Harry znowu pierwszy wszedł do przedsiönka. Następny był Daynighter, zamieniony teraz na prowizoryczną izbę chorych dla pasażerów ranionych

poprzedniej nocy w czasie wybuchu. Tutaj również światła były przygaszone; zaglądając przez szybę Harry nie dostrzegł wielkiego ożywienia. Siedzenia najbliższej drzwi zostały całkowicie rozłożone, więc widział dokładnie tych, którzy je zajmowali - ciała przykryte kocami wraz z głową. Z trudem przełknął ślinę i ręką dał znać swoim towarzyszom, że mogą iść za nim.

Idąc wzdłuż rzędów tych prowizorycznych łóżek, Harry naliczył osiemnastu pacjentów, z których wielu było niezbyt starannie opatrzonych, a wszyscy wyglądali na śpiących. Kiedy znaleźli się w środku wagonu, Harry zatrzymał się - wyrosła przed nim jakaś postać, blokując drogę. Był to czterdziestoletni mężczyzna ubrany w spodnie od garnituru, białą koszulę i pomiętą kamizelkę. Miał na szyi słuchawki, a na sąsiednim siedzeniu Harry dostrzegł zarys torby lekarskiej.

- Mogę zapytać, co pan tu właściwie robi? - odezwał się mężczyzna.

- Proszę zejść mi z drogi - powiedział Harry.

- Zadałem panu pytanie - stwierdził oschle lekarz. - Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że tam w przedzie są uzbrojeni ludzie? - spytał pokazując za siebie kciukiem. - Nie pozwolę narażać na niebezpieczeństwo pacjentów i innych pasażerów tego pociągu przez fałszywy heroizm jakiegoś...

Mark Cavendish wystąpił naprzód wtykając haki swojej protezy za kołnierz mężczyzny. Przekreślił je przyciągając go do siebie, aż ich twarze znalazły się w odległości zaledwie cala.

- Złaż z drogi, doktoru, albo rozpruję ci twoje pieprzone gardziółko. - Uwolnił

lekarza z uścisku i lekko pchnął do tyłu.

- Weteran z Wietnamu - oznajmił Harry. - Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Mógłby to zrobić.

Doktor bez słowa usunął się na bok.

- Szalony jak Kapelusznik - mruknął Daniel zarzucając sobie toporek na ramię, gdy mijał go stojącego z wybałuszonymi oczami. Idący na końcu Howard Mottbrown uniósł brwi i uśmiechnął się. Lekarz usiadł i gapił się na nich.

Zebraли się na końcu wagonu, czekając na następny ruch Harry'ego.

- Myślałem, że moglibyśmy zbudować barykadę tutaj - szepnął dowódca. - Ale ten lekarz ma rację. Tych ludzi nie można przenieść, a jest za duże ryzyko, że ktoś tutaj zostanie trafiony.

- Więc co robimy? - spytał Daniel.

- To sarno, co przedtem - odpowiedział Harry - tyle że teraz Howard czeka z tobą u stóp schodów. Kiedy dam wam znać, że przyskrzyniliśmy tego frajera z góry, obaj przeniesiecie tyłki na początek wagonu. Tam będzie nawet lepiej, możecie zwalić na stos stoły i parę foteli. Napakujcie ich jak najwięcej pod samymi drzwiami. Otwierają się do środka, nie, Howard?

- Zgadza się - przyznał mały człowieczek.



- Czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć o tym piętrusie? - spytał Harry.

- Jest tylko jedno wejście na górę - odparł Mottbrown. - Półspiralne schody przy końcu najbliższego wagonu. Osiem albo dziewięć stopni. Górny poziom ma jakieś sześćdziesiąt stóp długości i dwa rzędy podwójnych siedzeń, po dwanaście z każdej strony.

Fotele są na podwyższeniu wysokości mniej więcej stopy. Otwierają się tylko dwa okna, z przodu i z tyłu, więc tylko przez nie tamten może strzelać, chyba że wybił jakieś inne.

- Prawie na pewno to zrobił - odezwał się Cavendish. - Nie ograniczałyby sobie pola obstrzału.

- Świetnie - ucieszył się Harry. - Jeżeli nie ma szyb, to z zewnątrz będzie dochodziło więcej odgłosów, które nas osłonią.

- Miejmy nadzieję - mruknął Daniel.

- Idziemy. I, na miłość boską, nie róbcie hałasu.

Amal Akbar stał na przodzie górnego poziomu piętrusa z okiem przyklejonym do wizjera stojącego na trójnogu karabinu typu Rank SS-32 z noktowizorem, obracając nim powoli o 180° z prawa na lewo, przez co miał w zasięgu wzroku wszystko, co działo się z południowej strony pociągu. Każdy obrót trwał dokładnie pięć sekund. Wiedział, że w tylnym piętrusie to samo robi Raoul Attendera, obserwując stronę stacji i w ten sposób osłaniając go od tyłu. Na półce, w odległości zaledwie paru cali od prawej ręki Libijczyka, stała jego krótkofalówka, nastawiona na częstotliwość kanału pierwszego, za pomocą której mógł natychmiast - w razie jakichś kłopotów - zaalarmować pozostałych. Obok leżał Walther Olympic o kwadratowej lufie ze zwolnionym bezpiecznikiem, a nabój kaliber 32 był już w komorze. Pistolet wyglądał jak broń sportowa, przeznaczona tylko do zawodów strzeleckich, Akbar jednak uważał się za świetnego strzelca i osobiście wybrał ważącą dwa i pół funta broń ze składu w St. Augustine. Do tego, na wypadek ataku, o fotel przed terrorystą oparty był

jeden z karabinów maszynowych M-60 "odziedziczonych" po grupie "Delta". Przed paroma godzinami użył jego ciężkiej kolby do strzaskania grubych szyb wagonu, co dawało mu szerokie pole obstrzału. Niestety rozbite okna wpuszczały również chłodne nocne powietrze, toteż ostatnie cztery godziny spędził na swoim posterunku przemarznięty do szpiku kości, gdyż wiatr i szerokość geograficzna sprawiły, że temperatura opadła do prawie minus 10° C.

Akbar - wychowany w klimacie, w którym rzadko bywało poniżej 15° - cierpiał bardzo, a wszystkie mięśnie i stawy zeszywniały mu od zimna.

Przez ostatnie kilka minut zapomniał jednak o chłodzie, mocno zaniepokojony postojem na stacji, gdyż piętrus i on sam stanowili oczywisty cel, gdyby któryś z ukrytych w ciemności ludzi zdecydował się oddać strzał na chybił-trafił. Jak dotąd noktowizor nie pokazał jednak nic poza rzędami pustych torów, stojącymi tu i ówdzie zestawami wagonów towarowych i cystern, a także ciemną linią drzew okalających stację.

Ale oni tam byli, wiedział o tym. *L'ihudi halluf*, żydowskie świnie, wszyscy czekają w ciemności. *Mayoukounsh*. Tchórze, boją się wyjść z ukrycia i walczyć jak mężczyźni. Boją się umrzeć. Starł strużkę potu z górnej wargi i poczuł, jak dreszcz przechodzi mu po plecach.

Ilu ich może być? Tuzin, dwudziestu, pięćdziesięciu? Ilu będzie chciało zabić Amala Atsuka Akbara? Ile kuł przeszyje jego ciało i ilu padnie z jego ręki, zanim on sam zginie?

- *Weld l'gahba!* Skurwysyny - mruknął ponownie ścierając pot.

Jak długo jeszcze? Od wielu już godzin nie załatwiał się i pęcherz prawie mu pękał.

Przed wieloma laty oglądał w telewizyjnych wiadomościach reportaż o pewnym radzieckim sportowcu, skoczku do wody. Próbował on wyjątkowo trudnej kombinacji i kiedy po wykonaniu salta leciał do wody, uderzył głową o betonową platformę. Natychmiast stracił

przytomność i po kilku dniach śpiączki zmarł. Akbar był zafascynowany taśmą z nagraniem tego wypadku i wiele razy myślał o tamtym człowieku, zastanawiając się, czy ostatnim doznaniem sportowca był potworny ból, kiedy jego czaszka trzasnęła o beton. W jednej chwili, przy początku skoku - euforia, ułamek sekundy później - agonia. Niemal natychmiastowy zwrot od przyjemności do bólu, od życia do śmierci, bez żadnego ostrzeżenia.

Akbar, który nigdy nie bał się śmierci - po prostu dlatego, że odrzucał możliwość, by jemu mogła się ona przydarzyć - zirytowany był tym, w jaki sposób skoczek zginął. Dla niego umieranie było rytuałem, nie zaś tylko wymazaniem z egzystencji. W sumie jednak jednostka ma bardzo mało do powiedzenia w tej sprawie - i podobnie też było z Amalem Akbarem.

Haki z nierdzewnej stali trafiły Akbara w róg jego prawego oczodołu, a następnie przekreśliły się w dół, trafiając na gałkę oczną i rozrywając ją, niszcząc nerw wzrokowy i rozcinając tętnicę. Odciągnęły też Akbara od noktowizora, wgrzając się głębiej w czołowy płat mózgu. Terrorysta wrzeszczał w śmiertelnym bólu. Cała jego świadomość skoncentrowana była w oszalałym oku, prawie więc nie poczuł drugiego ciosu, kiedy to toporek Harry'ego wbił mu się w kark, przecinając gruby dźwigacz łopatki i mięsień płatowy głowy. Lewym końcem ostrze zatrzymało się na szóstym kręgu szyjnym, podczas gdy drugi koniec ugrzązł w krwawej masie, będącej kiedyś przełykiem i tchawicą. Gdyby uderzenie przyszło bardziej z boku, ścięłoby prawdopodobnie głowę Libijczyka, ale w tej sytuacji, gdy Harry wypuścił z ręki toporek, pozostał on w karku Akbara niczym groteskowa ozdoba w środku tryskającej na wszystkie strony fontanny krwi. Martwy już terrorysta osunął się na ziemię, pociągając za sobą Marka Cavendisha, a jego częściowo odrąbana głowa opadła z głuchym stuknięciem. Weteran z Wietnamu warknął chrapliwie, wrywając swoją morderczą protezę z oczodołu Akbara, Harry zaś, któremu zbierało się na wymioty, szarpnął za trzonek toporka, żałując w duchu, że nie jest w jakimkolwiek innym miejscu. W chwili gdy ciało ostatecznie upadło na ziemię, nastąpiła seria błysków świetlnych, a zaraz potem usłyszeli terkot broni maszynowej.

- Rzuć to! - warknął Cavendish. - Łap karabiny.

Harry skinął głową i chwycił za pistolet leżący na półce, sięgnął też szybko po M-60.

W tym czasie Cavendish zbiegał już po schodach na niższy poziom wagonu. W momencie gdy Harry stanął na najwyższym stopniu, pociąg gwałtownie szarpnął i - po sekundzie -

ruszył.

Podczas długich godzin, które upłynęły od porwania "Kanadyjczyka" VIA za Montrealem, Wanda Jenkins Margay i Wolfgang Groz nie poprzestali bynajmniej tylko na wzajemnej wymianie życiorysów. Wanda odsłoniła ubikację ukrytą pod opuszczanym siedzeniem, które zajmował Groz, i - korzystając ze swego niewyczerpanego zapasu buteleczek z witaminami i innymi specyfikami - zajęta była spuszczeniem wiadomości w dół

rury ściekowej, mającej ujście prosto na tory. Wiadomości te, powtarzane wielokrotnie, wyjaśniały sytuację pasażerów i przekazywały posiadane przez nich skromne informacje na temat składu grupy porwawczy. Nie było to wiele, ale podróżniczka czuła się przez to trochę bardziej użyteczna. Groz ze swej strony sporządził pełny inwentarz dobytku osobistego, zarówno swojego, jak i Wandy. Kiedy pociąg zbliżał się do rzeki Petawawa, trochę ponad sto mil na zachód od Ottawy, były pilot myśliwca, a obecnie chemik, zajęty był pracą nad czymś, co - miał nadzieję - powinno być skuteczną bronią, której można by użyć przeciw terrorystom, gdyby nadarzyła się okazja.

Po półgodzinie Wanda Jenkins nie mogła już dłużej powstrzymać swej ciekawości.

Nie powiedziała nic, gdy Groz wylał do umywalki zawartość dużej butelki sznapsa, wyjętej z własnej walizki; nie rzekła też ani słowa, kiedy - używając prowizorycznego lejka, naprędce skręconego z książeczki biletowej - zastąpił trunek spirytusem salicylowym z małej buteleczki znalezionej w jej rzeczach. Kiedy jednak wziął węgiel w tabletkach, który zażywała przy zdarzających się wzdęciach, i zamienił swoim scyzorykiem mydło na strużyny

- cierpliwość staruszki się wyczerpała.

- Mam nadzieję, że nie uzna pan tego za niegrzeczne, ale czy mogę zapytać, co pan właściwie robi? - odezwała się.

Groz, używając półki nad umywalką jako warsztatu, spojrział na nią i uśmiechnął się.

- Napalm - odparł. - A przynajmniej pewną jego formę zastępczą.

- Obawiam się, że nie rozumiem - powiedziała grzecznie starsza pani. - Co to właściwie jest napalm?

- Zgalaretowaciała benzyna - odpowiedział Groz. - Materiał zapalający.

Kantem dłoni zgarnął mydlane strużyny na wydartą z notesu kartkę papieru, po czym przesypał je do lejka.

- *Vollkommen* - mruknął krzywiąc się. - Doskonale. Teraz mam już wszystko oprócz benzyny.

- Musi to być benzyna? - spytała Wanda.

- Niekoniecznie. - Groz z powrotem usiadł na przykrywającym ubikację siedzeniu. -

Nadaje się wszystko, co zawiera zasadę węglowodorową - benzol, benzen, metylobenzen.

- Nie słyszałam o żadnym z nich. Ale może rozpuszczalnik przyda się na coś? Jest prawdopodobnie dość łatwopalny.

- Jak najbardziej - stwierdził Groz unosząc brwi. - Chyba nie powie mi pani, że wozi też ze sobą płyn do czyszczenia?

- Nie - odparła Wanda ściągając usta. - Chociaż czasami przydałby się. Ale wiem, gdzie pan może go znaleźć.

- Tak...?

- Zaraz za drzwiami. Na końcu wagonu. Mają tam małe szafki i wydaje mi się, że widziałam w nich środki czyszczące.

- Wspaniale! - wykrzyknął Groz.

Wstał, podszedł do drzwi przedziału i otworzył je. Zniknął na chwilę, po czym wrócił

uśmiechając się od ucha do ucha i niosąc prawie dwulitrowy plastikowy pojemnik Varsolu. W

godzinę później - po wymieszaniu we właściwych proporcjach mydła, Varsolu, węgla i spirytusu salicylowego - butelki po sznapsie i spirytusie, a także spory słoiczek po witaminie B-12 zamieniły się w śmiercionośne bomby, wszystkie uszczelnione zwitkiem papieru toaletowego i zakończone zapalnikiem zrobionym z główek od zapalek.

- I co teraz? - spytała Wanda przyglądając się niechętnie temu żałośnie małemu arsenałowi ustawionemu na półce nad umywalką.

- Czekamy na właściwy moment - odparł Groz.

Zarówno Wanda, jak i Wolfgang Groz przespali dojazd do Capreol, nagłe zatrzymanie się pociągu wyrwało ich jednak z drzemki i oboje byli już zupełnie rozbudzeni, kiedy po chwili zapukano do drzwi. Wanda otwierała właśnie usta, by odpowiedzieć, ale Groz gestem nakazał jej ciszę.

- Laska - wyszeptał.

Skinęła głową i wręczyła mu swoją laskę. Ostrożnie przekręcił rączkę i wyciągnął

ostrze z jego ukrytej pochwy. Wstając sięgnął jeszcze do wyłącznika na ścianie, gasząc wszystko poza bladą niebieską nocną lampką na suficie. Zapukano ponownie.

- Tak? - odezwał się Groz.

Szczęknęła klamka, bezskutecznie jednak, gdyż Groz, zanim zabrał się do butelek, zamknął dla bezpieczeństwa drzwi na klucz.

- Proszę otworzyć - powiedział przytłumiony głos.

- Chwileczkę - odparł Groz. Mając sztylet w jednej ręce, drugą przekręcił klucz i zrobił krok do tyłu. Trzymał broń nisko, z ostrzem skierowanym lekko ku górze. - Otwarte -

powiedział.

Drzwi odsunęły się. Ukazał się w nich mężczyzna z pistoletem w dłoni. Był wysoki i barczysty. Groz jednym ruchem odskoczył od ściany szybko unosząc sztylet i wsuwając jego ostrze pod podbródek mężczyzny, tak że lekko dotknęło skóry. Tamten cofnął się, ale były pilot przesunął się razem z nim, trzymając ostrze w tym samym miejscu. Uzbrojona ręka przybysza nawet nie drgnęła.

- Proszę to odłożyć - odezwał się wielkolud. - Jestem policjantem. Nazywam się Kettering.

- *Sicher* - stwierdził Groz. - To pan tak mówi.

- Mogę to udowodnić - powiedział z naciskiem mężczyzna. - Posłuchaj pan, nie mamy czasu do stracenia. Ja próbuję ocalić nasze tyłki, a pan wchodzi mi w drogę. Chcę tylko usunąć pasażerów tego wagonu poza linię ognia.

- Mówił pan, że może udowodnić, iż jest policjantem - odezwał się spokojnie Groz. -

Proszę to zrobić.

- W wewnętrznej kieszeni marynarki jest moja legitymacja.

- *Frau Margay*, zechce pani... - poprosił Groz.

Wanda wstała, z wahaniem podchodząc do olbrzyma stojącego w otwartych drzwiach.

Spojrzała na Groza, który uśmiechem dodał jej odwagi.

Tak delikatnie, jak tylko mogła, starając się nie dotknąć mężczyzny, odciągnęła połę jego marynarki i sięgnęła do wewnętrznej kieszeni. Wyciągnąwszy z niej skórzany portfel otworzyła go.

- Norman Kettering - przeczytała mrużąc oczy w słabym świetle. - Miejski Wydział

Policji w Toronto. Jest zdjęcie i odznaka. Detektyw sierżant.

- Wystarczy wam? - spytał Kettering.

- Niezupełnie - odparł Groz obniżając o kilka centymetrów ostrze sztyletu. - Ale będzie musiało. Byłbym wdzięczny, gdyby wsadził pan ten rewolwer z powrotem do kieszeni.

- Jezul! - wymamrotał Kettering. Powoli uniósł rękę i wsunął broń do przyczepionej do paska kabury.  
- Zadowolony? - zapytał.

- Na razie tak - powiedział Groz. - Proszę wejść do przedziału, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

- Niech pan posłucha - zaczął Kettering. - Nie mam czasu na...

- Proszę - mruknął eks-lotnik lekko poruszając ostrzem. Kettering ostrożnie przełknął

ślinę, świadomy tego, że gdyby pociąg szarpnął albo ruszył, nadziałby się na ostry jak brzytwa sztylet. Skinął głową i Groz odsunął się o krok. Kettering wszedł do przedziału, a Wanda Margay zasunęła drzwi. Dopiero wtedy Niemiec cofnął nóż. Policjant otworzył usta, ale Groz pokręcił głową.

- To ja będę zadawał pytania - oznajmił stanowczo. - Po pierwsze, czy należy pan do jakiejś oficjalnej grupy ratunkowej zorganizowanej przez władze?

- Nie - odparł Kettering. - Jestem pasażerem.

- Rozumiem - powiedział Groz. - Działa więc pan na własną rękę?

- Nie. Są jeszcze inni. Ja mam zająć się terrorystami tutaj, podczas gdy oni wezmą na siebie tych z przodu.

- Ma pan zamiar atakować tych ludzi z jednym pistoletem?

- To wszystko, co mam.

- W takim razie może jesteśmy w stanie pomóc.

Kettering spojrzał na Wandę Margay, a potem z powrotem na Groza.

- Czyżby?

- Jesteśmy tylko dwojgiem starych ludzi, to prawda - powiedział były pilot uśmiechając się. - Mamy jednak pewne środki. - Sięgnął za Ketteringa i chwycił jedną z butelek zapalających. - Udało mi się zrobić trzy takie.

- Koktajle Mołotowa? - spytał z niedowierzaniem Kettering.

- Swego rodzaju. Coś bardziej skutecznego, jak sądzę - odparł Groz. - Bardziej zbliżone do napalmu. Gdybym miał trochę więcej czasu, może byłbym w stanie wyprodukować prawdziwy materiał wybuchowy, jako że obecna tu *Frau* Margay dysponuje sporym zapasem tabletek chlorku potasu wśród swoich lekarstw.

- Wielki Boże! - zdumiał się Kettering.

- Proszę wybaczyć - odezwała się ze swego miejsca Wanda. - Nie chcę się wtrącać, ale zastanawiam się, czy pan ma zamiar iść do terrorystów w wagonie panoramicznym?

- Nie - odparł Kettering. - To zbyt niebezpieczne. Mam tylko nie pozwolić im ruszyć się stamtąd.

- Myślę, że to rozropne - powiedziała Wanda trąc czoło. - Według moich obliczeń jest ich tam co najmniej trzech. Układ wagonów też raczej nie pozwala - moim zdaniem - na żadną akcję ofensywną.

- Naprawdę?

- Tak - ciągnęła Wanda. - Czytałam sporo na temat wojen napoleońskich i amerykańskiej wojny domowej i wygląda mi to na jedną z tak zwanych "sytuacji zatkanej butelki", tak powszechnych w tamtych nieszczęsnych konfliktach.

- O! - Policjant był zaskoczony.

- Tak, tak - kontynuowała Wanda. - W korytarzu wagonu panoramicznego, zaraz przed świetlicą, jest ostry zakręt, który daje bardzo małą możliwość manewru. Z drugiej strony stwarza to ten sam problem nieprzyjacielowi.

- Nieprzyjacielowi... - powtórzył Kettering, oszołomiony staruszką, która przetrząsała właśnie dużą wiekową walizkę leżącą u jej stóp. Wyciągnęła z niej staromodne, bogato zdobione lustro i wręczyła je Ketteringowi, uśmiechając się triumfalnie.

- To chyba powinno wystarczyć, żeby sprawy przyjęły obrót korzystniejszy dla nas.

- Jak to?

- Przy drzwiach tego wagonu znajduje się skrzynka wyłącznikowa - tłumaczyła Wanda. - Może pan z niej skorzystać i zgasić światło w wagonie. Jeśli ustawi się pan w jednym z przedziałów po drugiej stronie korytarza i umieści to lustro w drzwiach, skierowane na tył pociągu, zobaczy pan każdego, kto wyjdzie z wagonu panoramicznego, sam będąc niewidocznym. - Spojrzała na Ketteringa i uśmiechnęła się. - Co pan o tym sądzi?

Policjant zastanawiał się przez chwilę i w końcu też się uśmiechnął szeroko.

- Prawdę mówiąc - odezwał się - myślę, że to piekielnie dobry pomysł.

Karabin półautomatyczny Sterling L34A1 z tłumikiem wchodzi w skład wyposażenia Armii Brytyjskiej i Kanadyjskich Sił Zbrojnych od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego, a tak dobrze został zaprojektowany, że od tamtego czasu prawie go nie unowocześniano. Jak każda broń jednak, naładowana i odeszczona, ma on nieszczęśliwą skłonność do strzelania, kiedy upuści się go na ziemię. To właśnie się stało, gdy kapral Dwayne Corrigan z Drugiego Oddziału Powietrzno-Desantowego Kanadyjskich Służb Specjalnych potknął się w ciemnościach na capreolskiej stacji o gałąź, w odległości jakichś dwustu jardów od miejsca, w którym Jacques Cyr i Sheila Teng uzupełniali paliwo lokomotywy VIA, wspomagani przez Jake'a Sloane'a i ochraniani przez Dietera Haasa i Annalise Shenker. Corrigan należał do liczącej dwadzieścia jeden osób Lotnej Grupy

Uderzeniowej przeniesionej drogą powietrzną z Camp Petawawa i zrzuconej w Capreol przed pociągiem. Oddział miał przeprowadzić jedynie rozpoznanie, a żołnierze mieli rozkaz niestrzelania pod żadnym pozorem.

Na odgłos strzału porywacze zareagowali natychmiast. Teng i Cyr rzucili się do lokomotywy i zaczęli wspinać do kabiny, osłaniani przez Haasa i Shenker, którzy prowadzili ogień ciągły, cofając się do na wpół otwartych drzwi wagonu bagażowego VIA. W

odpowiedzi kilku kolegów Corrigana, rozciągniętych wzdłuż północnego skraju stacji, również otworzyło ogień - dwóch z nich wybrało na cel sparaliżowanego ze strachu Jake'a Sloane'a, trzeci natomiast zaczął strzelać do Cyra i Sheili Teng. Cyr pierwszy dopadł

lokomotywy i jego głowa ukazała się nad szczytem schodków jako ciemniejszy cień na tle niebiesko-żółtej kabiny. Pojedynczy strzał, oddany przez jednego z kanadyjskich żołnierzy z wyposażonego w noktowizor snajperskiego karabinu typu Parker-Hale, zabił go na miejscu.

Zanim strzelec zdążył ponownie zarepetować broń, Sheili Teng udało się przepchnąć ponad ciałem Cyra i schronić w kabinie. Jake Sloane, niewinny kierownik pociągu VIA, w samej tylko koszuli i bez czapki, został dosłownie skoszony przez ogień z automatycznej broni. Nim upłynęło trzydzieści sekund od niefortunnego wystrzału Corrigana, Annalise Shenker i Dieter Haas znaleźli się w wagonie bagażowym, a Teng uruchomiła pociąg. Trzy minuty później był

już daleko za stacją rozrządową. Shenker zajęła się radiem, aby dowiedzieć się, co się stało.

Opierając się o jedyny fotel, Norm Kettering przykucnął w przedziale i wlepił oczy w lusterko, które mu dała Wanda Jenkins Margay. Słyszał strzały przed kilkoma minutami i kiedy pociąg gwałtownie ruszył, zrozumiał, że się zaczęło. Modlił się, żeby Harry'emu Maxwellowi i pozostałym udało się zlikwidować człowieka w przednim piętrze, wiedział

bowiem, że nie będzie w stanie utrzymać długo swojej pozycji w wagonie sypialnym.

Wszyscy sądzili, że co najmniej dwóch porywaczy jest w tylnym wagonie panoramicznym, a trzeci w następnym piętrze. Tym bardziej, że wagon panoramiczny był najwyraźniej kwaterą główną terrorystów i prawie na pewno ich arsenałem; te kilka kul ze Smith&Wessona nie utrzyma ich tam długo. Miał wprawdzie jeszcze bomby Niemca - dwie ułożone bezpiecznie na siedzeniu z tyłu, a trzecią w kieszeni marynarki. Na jego korzyść działał

również brak światła, Wanda bowiem miała rację co do wyłączników i cały wagon był teraz pogrążony w ciemności. Z trudem przełknął ślinę i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. W

policji zawsze mógł liczyć na wsparcie, kiedy znajdował się w groźnej sytuacji; tym razem nie miał żadnych gwarancji, a ci, którzy mogliby go ewentualnie wesprzeć, byli amatorami.

Przyczajony w ciemności zastanawiał się, czy nie jest właśnie teraz o parę chwil od kresu swojego życia. Zmarszczył brwi; przynajmniej oboje starszycy byli poza tym - na razie. Wiekowa dama chciała zostać w przedziale, ale razem z Niemcem przekonali ją w końcu, żeby przeniosła się o jeden



wagon do przodu, gdzie było względnie bezpiecznie. W

ostatecznym rozrachunku i tak nie miało to jednak większego znaczenia: jeśli im się nie uda, będą musieli wszyscy zginąć. Strzały z zewnątrz i atak Maxwella i Cavendisha na przedni piętro znaczyły, że terroryści wkroczyli już na "wojenną ścieżkę". Brał kiedyś udział w wystarczająco wielu operacjach SWAT i uczestniczył w tylu seminariach z zakresu

"psychologii zbrodni", że wiedział, iż znajdowali się w tej chwili poza punktem, z którego jeszcze możliwy byłby odwrót. Terroryści będą chcieli odwetu i cała logika ich rozumowania zastąpiona zostanie przez to jedno gwałtowne pragnienie. Jeśli jemu i pozostałym nie uda się w jakiś sposób powstrzymać lub zabić porywaczy, życie wszystkich zakładników niewarte będzie funta kłaków.

Kettering nagle stężał, zauważywszy jakiś ruch w małym owalnym kawałku szkła.

Przesunął się do przodu, wpatrując się w lusterko nie całkiem pewien, czy była to rzeczywistość, czy po prostu złudzenie wywołane nurtującym go niepokojem. Wyciągnąwszy rękę przytrzymał drgające szkielko i spojrzał jeszcze raz. Nie przywidziało mu się. W świetle padającym z wagonu panoramicznego pojawił się jakiś kształt. Zobaczył twarz za szklanymi drzwiami, a następnie więcej ruchu, gdy drzwi wagonu zostały otworzone i zaczepione. -

Sprytnie - mruknął policjant.

Terrorysta nie ryzykował. Gdyby musiał szybko uciekać, drzwi miałyby już otwarte.

Było prawdopodobne, że to samo zrobi z wewnętrznymi drzwiami wagonu sypialnego.

Kettering rozluźnił uchwyt na rewolwerze, wygodnie układając kolbę na dłoni. Odciągnął

bezpiecznik i czekał, oddychając głęboko i usiłując przenieść się myślą na strzelnicę - gdzie nie przestał ćwiczyć dwa razy w miesiącu - wyobrażając sobie strzał.

Odległość była mniejsza niż trzydzieści stóp, miał jednak strzelać z trudnej pozycji i pod ostrym kątem.

Nie warto było ryzykować strzału w głowę; będzie celował w środek klatki piersiowej i jeśli mu się uda, kula powinna trafić w brzeg serca. Zmuszał się, by widzieć cel w lusterku jako tekturową makietę, a nie ludzką istotę z krwi i kości. Bandyta czy nie, zabicie kogoś nie było łatwe, nie miał jednak czasu na wahanie. Wyciągnął się na podłodze, wpychając nogi między ubikację a umywalkę w rogu przedziału. Obrócił głowę patrząc cały czas w lusterko i oparł rękę z rewolwerem na nadgarstku, podtrzymując ciężar ciała na łokciach. Po paru minutach pozostawania w takiej pozycji zaczął drętwieć, nie miał jednak wyboru, nie był w stanie wziąć celu na muszkę, musiał więc strzelać raczej na wycucie. Pot lał mu się po twarzy i piekł w oczy, ale nie poruszył się. Zobaczył

w lusterku, że postać zbliża się, trzymając jakąś małą broń automatyczną. Sądząc po kształcie, był to Ingram albo Uzi, fachowo przewieszony przez ramię. Zarówno Uzi, jak i amerykański Ingram miały tendencję do ściągania w górę i na prawo, ale przy sześciuset nabojach na minutę i czterdziestostrzałowych magazynkach I jeden i drugi mógł w kilka sekund rozerwać wnętrze wagonu

na strzępy. Tamten otworzył drzwi wagonu panoramicznego i ostrożnie wszedł do przedsionka, poruszając się bokiem, aby stanowić jak najmniejszy cel, gdyby ktoś miał czekać w ciemności. Kettering wziął głęboki oddech, powoli wypuścił powietrze i przycisnął

mocniej palec do spustu. Miał zamiar oddać tylko jeden strzał... Jeśli chybił, terrorysta cofając się zasypałby wagon gradem pocisków. Policjant modlił się, żeby przeciwnik patrzył przed siebie, a nie ku ziemi - lusterko było wprawdzie ledwo widoczne, wystarczyłoby jednak za ostrzeżenie.

Terrorysta zaczął otwierać drzwi korytarza do wagonu - nagle zwiększony hałas zabębnił w uszach Ketteringa. Porywacz zaparł się ramieniem o ciężkie drzwi i pchnął mocno

- wylot lufy jego półautomatu skierował się na bok. W innych okolicznościach Kettering oddałby już strzał, chciał jednak mieć absolutną pewność, a cel nie był zbyt wyraźny. Czekał

jeszcze, by tamten znalazł się już w środku po zablokowaniu otwartych drzwi. Policjant zdał

sobie nagle sprawę, że jest to kobieta - i w tym momencie strzelił.

Odległość między nim a celem wynosiła mniej niż dwadzieścia stóp i pocisk kaliber 38 ledwo osiągnął swą maksymalną prędkość, gdy wdarł się w ciało kobiety, robiąc dokładnie to, na co liczył Kettering - rozrywając brzuch, wchodząc pod żebrami w klatkę piersiową i w końcu wylatując z drugiej strony przez rdzeń kręgowy, zaraz pod łopatkami. Paulette Baxter nie żyła, zanim jeszcze huk eksplozji mógł dotrzeć do jej uszu. Kettering szczupakiem wyleciał z przedziału i potykając się dopadł zwiotczającego ciała, wyrywając karabin z nie stawiającej już oporu dłoni. Jakaś część jego mózgu odnotowała, że jest to Ingram, po czym -

nie zastanawiając się nad tym, co robi - trzymając go w jednej ręce wystrzelił w głąb korytarza, do wagonu panoramicznego, jednocześnie wciskając na ślepo za pas swojego Smitha&Wessona. Sięgając do kieszeni po bombę zapalającą Groza, oddał jeszcze jedną serię z Ingrama. Zaraz potem cisnął butelkę przez otwarte drzwi przedsionka na korytarz drugiego wagonu. Po trwającej ułamek sekundy ciszy zapalnik zadziałał i urządzenie Niemca wybuchło, odrzucając policjanta do tyłu wściekłym podmuchem gorącego powietrza i rozpryskując na wszystkie strony smugi kleistego, zgalaretowaciałego rozpuszczalnika.

Prawie natychmiast chmury gryzącego dymu zaczęły wypełniać cały korytarz, pełznąć w kierunku przedsionka. Materiał zapalający opryskał ściany i podłogę korytarza wagonu panoramicznego - natychmiast zajęły się chodniki i plastikowe płytki na suficie, tworząc nieprzenikloną ścianę ognia. Dusząc się w gęstniejącym dymie Kettering przeszedł nad ciałem Baxter i znalazł się w przedsionku. Otwarte drzwi wagonu parzyły już, policjantowi udało się jednak odblokować je i zamknąć, odgradzając płonący wagon od reszty pociągu.

Potykać się wrócił do sypialnego i zaczął zdejmować ekwipunek z trupa Paulette Baxter, zadowolony, że terrorystów w sąsiednim wagonie zatrzyma ogień, przynajmniej na razie.

Kiedy tak stał nad poskręcany ciałem młodej kobiety, twarz jego przybrała wyraz gorzkiego triumfu. Ofiary stały się zwycięzcami - szczęście zaczęło uśmiechać się do nich.

Wybuchnął śmiechem, zduszonym i ochrypłym z powodu dymu, którego się nałykał, uświadamiając sobie prawdziwość starego powiedzenia: tylko w obliczu śmierci naprawdę rozumiesz, czym jest życie.

## **ROZDZIAŁ 12**

**Wtorek, 28 czerwca**

# Godzina 4.35 czasu wschodniego

**Odległość: 1445 mil/2929 km**

Frank Sagadore i Walter Linberg zdołali dostać się do porwanego pociągu dokładnie tak, jak zaplanowali, forsując zwykłą zasuwę małych drzwiczek za kontuarem Skylinera.

Sagadore wszedł pierwszy, Linberg zaraz za nim. Pracownik Amtraku wstał ostrożnie z rewolwerem w dłoni, podczas gdy były agent FBI zamykał klapę. W wagonie było zupełnie ciemno, gdyż zasłonięte okna nie przepuszczały nawet nikłego światła stacyjnych lamp.

- Chyba słyszałem strzały - szepnął Linberg, podnosząc się zza kontuaru.

Sagadore przystanął nasłuchując. Z zewnątrz dochodził rozdzierający odgłos broni maszynowej.

- Cholera! - mruknął.

Oparł się na kontuarze i był właśnie w trakcie przekładania nóg na drugą stronę, kiedy zamarł na dźwięk głośnego krzyku dochodzącego z wyższego poziomu wagonu, dokładnie znad jego głowy. Zanim zdążył unieść broń, ujrzał Marka Cavendisha zbiegającego po spiralnych stopniach piętrusa. Jego twarz, prawy rękaw i hak były umazane we krwi. Harry Maxwell deptał mu po piętach. Cavendish zamarł w bezruchu. Sagadore wykorzystał ten moment, by trzymając broń dwiema rękami skierować krótką grubą lufę w pierś weterana.

Nie odwracając wzroku od rewolweru ochroniarz Amtraku przerzucił nogi nad kontuarem.

- Schodzić, ale powoli - rozkazał.

- Kim, do diabła, jesteście? - spytał Cavendish. Stojący za jego plecami Harry przesunął wiszący mu na ramieniu M-60, zastanawiając się, czy zdołałby z niego wycelować, zanim mężczyzna przy kontuarze rozwaliliby mu głowę. Odrzucił ten pomysł prawie tak szybko, jak na niego wpadł - facet już przecież trzymał Marka na muszce, poza tym Harry nie miał najmniejszego pojęcia, jak posługiwać się tym karabinem, a co dopiero strzelać celnie.

- Powiedziałem, żebyście zeszli - powtórzył Sagadore. Cavendish rzucił mu wyzywające spojrzenie.

- Jesteś gliną, co? Wyglądasz na to.

- Niezupełnie - odparł Sagadore, lekko zbity z tropu. - Ale na razie może być.

- My też jesteśmy tymi dobrymi - włączył się Harry. - Możesz więc odłożyć broń.

- Nie widzę oficerskich czapek - odezwał się Linberg wychodząc zza kontuaru. W tym momencie pociąg szarpnął i ruszył, szybko nabierając prędkości. Cavendish rzucił

zaniepokojone spojrzenie w kierunku lokomotywy.

- Zostawiliśmy je na górze, przy Arabie, którego właśnie załatwiliśmy - powiedział.

- Arabie...? - zainteresował się Linberg.

- Zgadza się - przytaknął Harry.

- Akbar albo Kawi - mruknął Linberg w zamyśleniu.

- Znacie tych ludzi? - zdziwił się Harry.

- Słuchajcie - przerwał Cavendish - im dłużej tu stoimy wykrzykując jeden do drugiego, tym bardziej robi się niebezpiecznie. Na początku pociągu jest jeszcze co najmniej czterech tych czubków i możecie się założyć o własne tyłki, że są żądni krwi. Między nimi a nami jest może ze stu albo stu pięćdziesięciu niewinnych pasażerów i jeśli nie zataskamy tam tego M-60, będzie z nich szybko rąbanka.

- A więc jesteście pasażerami? - spytał z wahaniem Sagadore.

- Nie, do cholery, jesteśmy pieprzonymi ornitologami! - wściekł się Harry. - Chyba jasne, że jesteśmy pasażerami, na miłość boską! Czy m o ż e m y w końcu ruszyć?

- Walt...? - Sagadore zwrócił się do Linberga, trzymając ciągle Cavendisha na muszce.

- Nie należą do pierwotnej grupy - powiedział były agent. - Tego jestem pewien.

Myślę, że są czyści.

- Okay - rzucił Sagadore, opuszczając broń. - Prowadźcie.

Dave Wesler, łącznik FBI w Montrealu, siedział w prowizorycznym gabinecie w hotelu Queen Elizabeth i po raz trzeci słuchał kasety z nagraniem raportem grupy nadzorującej z Capreol. Żołądek miał już odrętwiały po zażyciu półtuzina tabletek Rolovalu, w ustach jednak ciągle czuł smak jakby ptasich odchodów, a oczy kleiły mu się jeszcze po niespokojnym śnie, w jaki zapadł zaledwie przed godziną. Poza oficerem dyżurnym, drzemającym przy radiu, w pokoju nie było nikogo - ludzie z Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej poszli złożyć raport swoim przełożonym, a przedstawiciele kanadyjskiego MSZ i człowiek z Sekretariatu Stanu wrócili do Ottawy.

Taśmy nagrano z radia przed niespełną półgodziną, sam raport zaś został sporządzony przez zespół naziemny i załogę wojskowego helikoptera, który wystartował w kilka minut po odjeździe pociągu z Capreol. Grupa nadzorująca donosiła, że w dziesięć minut po przyjeździe pociągu na stację doszło do strzelaniny i dwóch terrorystów zginęło. Jak dotąd nie zidentyfikowano żadnego ciała. Nie było ofiar wśród żołnierzy.

W raporcie nie wspomniano, co było przyczyną walki, teraz jednak nie miało to większego znaczenia. Jeśli Walter Linberg słusznie oceniał terrorystów, zabijanie w odwecie już się rozpoczęło.

Interesujące było też sprawozdanie z helikoptera. Pilot dogonił pociąg nad jeziorem Bass, nie więcej niż milę czy dwie za Capreol. Helikopter trzymał się trochę z tyłu, lecąc za ciemnym węzłem pociągu sunącym po skalistym terenie przy rzece Yermilion. Gdy pociąg dojeżdżał do małej zapory na jeziorze Fraser, drugi pilot - który obserwował go przez nocną lornetkę - zameldował, że w tylnym wagonie panoramicznym dostrzegł jakiś błysk, a po chwili, jak się wydawało, przez ujście wentylatorów na dachu zaczął się wydostawać dym.

Helikopter leciał za pociągiem jeszcze kilka mil i według drugiego pilota ogień chyba wygasł.

Potem, obawiając się zetknięcia w ciemnościach w nieznanym terenie z drutami wysokiego napięcia, pilot wrócił do Capreol.

Wesler wyłączył magnetofon i opadł na krzesło, marszcząc brwi. Wymiana ognia między terrorystami i żołnierzami, a po kilku minutach pożar w ostatnim wagonie... Co to wszystko razem miało znaczyć? Co, u diabła, działo się w pociągu?

Agent pochylił się do przodu, podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do recepcji hotelu. Poprosił o połączenie z pokojem Linberga. Sygnał odezwał się kilkanaście razy i w końcu Wesler odłożył słuchawkę, zirytowany, że Linberg może spać pomimo dzwonięcia.

Spojrzał na zegarek - właśnie minęła czwarta i wkrótce będzie świtało. A tam, w lasach Ontario, umierali ludzie.

Harry i Mark Cavendish prowadzili Linberga i Sagadore'a na przód pociągu. Pierwszy szedł weteran z Wietnamu, trzymając okrwawiony hak prawej ręki na spuście M-60, przez ramię miał przerzuconą taśmę naboju z dwustoma pociskami. Spryskany krwią Amala Akbara na ramieniu, piersi i twarzy, wyglądał, jakby wyszedł z piekła. Kiedy przechodzili przez dwa wagony z miejscami siedzącymi, pasażerowie - i tak już przerażeni i wycieńczeni ciężkimi przeżyciami - ustępowali bez słowa, pozwalając im spokojnie posuwać się naprzód.

Po minięciu jeszcze dwóch pustych wagonów sypialnych Amtraku w restauracyjnym znaleźli w końcu Howarda Mottbrowna i Daniela Pendergasta, którzy zdołali zerwać blaty z półtuzina stołów i zbudować barykadę w tyle wagonu.

Zostawiwszy Cavendisha, Sagadore'a i M-60 razem z Danielem i Mottbrownem do obrony przodu, Harry i Linberg ruszyli na tył pociągu, do Normana Ketteringa. Były agent wziął ze sobą Smith&Wessona Sagadore'a, Harry natomiast dźwigał ciężkiego Walthera Olympic Akbara.

Znaleźli Ketteringa w przedostatnim wagonie, wygodnie odpoczywającego w drzwiach jednego z przedziałów z firmową poduszką kolei VIA pod plecami i małym Ingramem na kolanach. Wagon był pogrążony w ciemności, nie dochodziło bowiem do niego nikłe światło z wagonu panoramicznego. Trup Paulette Baxter w przejściu był tylko bryłowym cieniem.

- Jak leci? - spytał Harry, przykucając obok olbrzyma.

- Nie narzekam - odparł Kettering, zmieniając trochę pozycję. - Załatwiłem jedną z nich. - Spojrzał

badawczo na Linberga. – Nowy rekrut?

- Walter Linberg, FBI. - Nie tracił czasu na wyjaśnianie złożoności swojej sytuacji zawodowej. - Dwóm z nas udało się dostać do pociągu w Capreol.

- Ten drugi to agent Amtraku do spraw bezpieczeństwa – uzupełnił Harry.

- Dwóch? To wszystko? - zdumiał się Kettering. - Słyszałem, że macie tam u was ostry program zaciskania pasa, ale czyż nie jest to pewne niedocenianie powagi sytuacji?

- Prawdopodobnie - odparł z uśmiechem Linberg. - Frank i ja działamy jednak na własną rękę. Postanowiliśmy trochę obejść biurokratyczne zasieki.

- Cóż, ostatecznie dwóch to lepiej niż nikt. A jak tam z przodu?

- Barykada w amtrakowskiej restauracji i wielki karabin maszynowy. Mark broni pozycji razem z Danielem i Mottbrownem. A jak wygląda tutaj?

- Jak dotąd, jedynie ona się pokazała - powiedział Kettering, lufą Ingrama wskazując ciało Baxter. - Podrzuciłem bombę na korytarz ostatniego wagonu. Pewnie coś działała.

Przez jakieś pięć minut paliło się, a potem zgasły wszystkie światła.

- Bombę? - Linberg był zaskoczony. Kettering zaśmiał się.

- Tak. W jednym z przedziałów znalazłem parę staruszków montujących razem mały arsenał. Facet jest Niemcem - chemikiem, jak sądzę. Mam jeszcze dwie.

- Zdziałało? - spytał Harry.

- Jak sztuczne ognie - odparł policjant. - I było cholernie dużo dymu.

- Włączyły się pewnie automatyczne gaśnice i zrobiły spięcie - zauważył Linberg. -

Od tamtej pory nie było żadnej akcji?

- Ani odrobiny - powiedział Kettering potrząsając przecząco głową.

- Było kilku dyplomatów, których ci ludzie przetrzymywali jako zakładników -

powiedział Linberg. - Znajdowali się chyba w tamtym wagonie?

- Powinni - włączył się Harry. - Widzieliśmy wszystkich branych do przodu, a ten wagon panoramiczny jest jedynym, w którym nie byliśmy.

- Niedobrze - mruknął Linberg. - Będą ich używać jako tarczy. To znaczy, że nie możemy tam rozpocząć frontalnego ataku.

- Pieprzenie - zauważył z podłogi Kettering. - Dyplomaci czy nie, musimy to zrobić.

Wjechali właśnie w ostrzejszy zakręt - pociąg szarpnął i zakołysał, wytrącając policjanta z równowagi. Skrzywił się z bólu, gdy kant drzwi wbił mu się w plecy, po czym od nowa ułożył swoją poduszkę.

- Może by pan to wytłumaczył - poprosił Linberg.

- To proste - odparł Kettering. - To jest wojna, panie FBI. Nie zabawa w gliniarzy i rabusiów. Nie możemy sobie pozwolić na walkę na dwa fronty. Jeśli jest tam ktoś z jakąkolwiek bronią palną, mogą nam, kiedy zechcą, spaść na łeb. Musimy ich dostać, zanim oni dostaną nas.

- A jak ma pan zamiar to zrobić? - spytał Linberg.

- Tam z przodu jest mała staruszka ze swoim przyjacielem chemikiem. Wygląda na to, że wie sporo na temat pociągów. Zgodnie z tym, co mówi - i zgodnie z tym, co widziałem -

przed właściwym wagonem jest mały zakrzywiony korytarzyk. Uważam, że powinniśmy tam pójść, wystawić głowy i posłać parę serii. Jeśli odpowiedzą ogniem, ładujemy im następną bombę i robimy z sukinsynów skwarki.

- A zakładnicy? - Ilu ich jesi?

- Nie jesteśmy pewni. Czterech, może pięciu.

- A ilu pasażerów? Sześciuset? Jeśli o mnie chodzi, zakładnik to zakładnik i jakiś tam dyplomata ma taką samą wartość, jak każdy inny pasażer. Nie ma w ogóle nad czym dyskutować. Paru polityków przeciw setkom niewinnych ludzi?

- Obawiam się, że nie mogę na to przystać. Te osoby są ważne - powiedział Linberg, w tej samej chwili zdając sobie sprawę, jak świętoszkowato zabrzmiały jego słowa.

- Gramy tu według innych zasad - zauważył Harry. - W realnym świecie może pan sobie być agentem FBI, ale teraz nie liczy się to zbyt. Ważne, żebyśmy wydostali się stąd z nietkniętymi tyłkami. Gra jest prosta. Norm ma największą spluwę, więc to, co on mówi, przechodzi.

- W porządku - powiedział Linberg. - Ale zapamiętajcie sobie - jeśli rzeczywiście wyjdziecie z tego z nietkniętymi tyłkami, jak to określasz, zasady realnego świata ponownie będą miały zastosowanie.

Harry uśmiechnął się kwaśno.

- Nie martw się pan. Jestem tego zupełnie świadomy. Bardziej, niż mógłby pan przypuszczać, Horacy.

- Słucham? - zapytał Linberg.

- Nieważne - mruknął Harry. Wyciągnął rękę do Ketteringa. - Chodź, skończmy z tym, zanim mój



zwieracz puści.

Policjant złapał Harry'ego za nadgarstek i podciągnął się, stękając przy tym.

- Ja pójdę pierwszy - powiedział chrząkając i podpierając się w krzyżu ręką. - Harry drugi, a pan, Linberg, ostatni. Rewolwer w jednej ręce, bomba w drugiej. Najpierw ja strzelam. Jeśli odpowiedzą ogniem, rzucacie butelki i spieprzamy. Okay?

- Jak pan sobie życzy - powiedział Linberg.

- Dobra, do roboty - rzucił Harry.

Trzej mężczyźni przeszli przez przedsionek i wśliznęli się do wagonu panoramicznego, próbując po cichu odsunąć drzwi. Ściany korytarza były mocno przypalone, w powietrzu ciągle unosił się gryzący dym. Umieszczone pod sufitem automatyczne gaśnice szybko ugasiły ogień, zamieniając wykładzinę pod ich stopami w rozmokłą zwęgloną masę, było jednak oczywiste, że pożar narobił wiele szkód, między innymi całkowicie zniszczył

skrzynki wyłącznikowe po obu stronach drzwi do przedsionka.

Idąc na wycucie dotarli do końca małego korytarzyka, po czym przystanęli. Poza dudniącym stukotem kół i rytmicznym skrzypieniem wagonu, kołyszącego się w przód i w tył, panowała cisza. Nie wychylając się, Kettering wystawił zgięte ramię za róg i wystrzelił z Ingrama ogłuszającą serię. Błysk u wylotu lufy nadał na moment ostre kształty twarzom mężczyźni, po chwili jednak znowu zapadła ciemność. Nie było żadnej reakcji na ogień z półautomatycznego karabinu.

- Może nikogo nie ma w domu - szepnął Harry, któremu ciągle jeszcze brzęczało w uszach.

- Albo czekają, żeby ktoś wystawił nos na korytarz - odparł stojący za nim Linberg. -

Wiemy coś o rozkładzie tego wagonu?

- Cztery przedziały, świetlica, a dalej tylna świetlica. Korytarz idzie do końca wzdłuż prawej ściany.

- A więc jeśli czekają w tej tylnej świetlicy, mogą nas wystrzelać jak kaczkę, kiedy będziemy podchodzić - stwierdził Linberg.

- Dla nich jest tak samo ciemno, jak dla nas. Będę przechodził z przedziału do przedziału i strzelał seriami, tak jak teraz. Jeśli dojdę do świetlicy bez problemu, pójdziecie za mną.

- Świetnie - zgodził się Linberg.

- Powodzenia - rzucił Harry. Kettering zniknął w ciemnościach.

- To świr - szepnął Linberg, opierając się plecami o ścianę. - Co, jeśli trafi w któryś z tych pojemników?

- Nie mamy dużego wyboru - odparł Harry. Kilka sekund później rozległa się kolejna seria z Ingrama. Harry zacisnął oczy i wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź. Nic się nie stało. - Chyba wyrzygam - jęknął.

Strach działał na jego wnętrzości niczym obracający się nóż, a pamięć o straszliwej śmierci Amala Akbara była ciągle gorzka i paląca jak żółć napływająca do gardła. Myślał, że osiągnął już ostateczną granicę strachu, zanim wszedł po schodach piętrusa; teraz wiedział co innego - za każdym razem było coraz gorzej, nie lepiej. Jeśli chodziło o niego, strach był studnią bez dna. Nastąpiła druga seria ognia - Kettering posuwał się naprzód - i znowu nie było odpowiedzi. Nagle, bez widocznego powodu, Harry przypomniał sobie, dlaczego w ogóle znalazł się w tym pociągu, i zaczął chichotać.

- Co cię tak śmieszy? - spytał przytłumionym głosem Linberg.

- Nic - odparł Harry, usiłując powstrzymać zabarwiony paniką śmiech. - Chyba po prostu zacząłem wierzyć w Boga albo przynajmniej w karę boską.

- Jezus Maria - mruknął Linberg. - Obaj jesteście szaleni! Ponownie rozległ się wściekły jazgot Ingrama, teraz zdecydowanie bardziej odległy, a następnie - po paru sekundach - głos Ketteringa:

- Wszystko w porządku, możecie przyjść! - Miałem rację - stwierdził Harry. - Nikogo nie ma w domu. Ruszył na korytarz, wyjmując po drodze zapalniczkę z kieszeni.

Pstryknął nią i trzymał nad głową jak lampę, a szeroki płomień oświetlał mu drogę.

Spodziewał się natknąć na jakieś ciała, ale nic nie było. W końcu razem z Linbergiem dotarł

do półowalnej panoramicznej świetlicy na końcu wagonu. Kettering czekał na nich u stóp schodów prowadzących na piętro. Kołysanie pociągu było tu dużo silniejsze i Harry musiał

stać w rozkroku, żeby utrzymać równowagę.

- Jest ktoś na górze? - spytał Ketteringa. Policjant pokręcił głową.

- Nikogo. Ale myślę, że tamtędy właśnie się wydostali. Chodźcie i zobaczcie.

- A co z zakładnikami? - odezwał się Linberg, ukazując się w małym kręgu światła rzucanym przez zapalniczkę.

- Nie widziałem żadnego - odparł Kettering.

- Rozejrzę się - oznajmił Linberg.

- Proszę bardzo. - Kettering wzruszył ramionami. - Możesz pan wpuścić trochę światła odsłaniając okna. Nie ma powodu, żeby dalej były zasłonięte.

Odwrócił się i ruszył po schodach na wyższy poziom, a Harry za nim. Większość dolnych szyb na

piętrze została rozbita, prawdopodobnie dla lepszego pola ostrzału, i zimny wietrzyk boleśnie kłuł Harry'ego w oczy. Na zewnątrz zaczynało świtać i czarne nocne niebo zmieniało się w głęboką, półprzeźroczystą purpurę. Ani po jednej, ani po drugiej stronie widnokrąg nie był rozległy - krajobraz tworzyły zakrzepłe kępy cedrów i ogromne sterczące szczyty skał lodowcowych. Tylko od czasu do czasu widać było krętą linię rzeki Vermilion, ciągnącą się prawie równolegle do torów.

- Tędy właśnie wyszli - powiedział Kettering, przekrzykując płaczliwe zawrodozenie wiatru. Wskazał na przód wagonu. Znajdujące się za ostatnią parą podwyższonych foteli frontowe okno - jedyne na piętrze, które się otwierało - zionęło pustką. Obok niego stał

trójnog od M-60.

- Jezu! Chyba nie myślisz, że przeszli po dachach wagonów?

Kettering wzruszył ramionami.

- To jedyna droga.

- A jednak nie kapuję - powiedział Harry. - Po co w ogóle się wynosili? Pożar nie narobił zbyt wiele szkód.

- Sądzę, że spanikowali - odparł Kettering. - Dymu było jak jasna cholera. Pewnie stwierdzili, że to szturm na całego.

- Myślisz, że im się udało?

- Kto wie? Możliwe. Chyba nawet nie próbowali rozeznaczyć się w sytuacji. Może po prostu wyskoczyli.

- Więc co teraz robimy? - spytał Harry, opadając na jeden z foteli.

- Postawimy straż, żeby nie próbowali zakraść się z powrotem - odpowiedział

policjant. - Nie przyglądałem się za bardzo, ale przypuszczam, że właśnie tam na dole, w świetlicy, mają cały swój cholerny arsenał.

- Cóż, nie posunęliśmy się zbyt daleko do przodu - stwierdził zmęczonym głosem Harry. -

Ciągle jeszcze oni są za kierownicą, i to dosłownie.

- Ale to my prowadzimy w grze. Przynajmniej teraz będzie ich sporo kosztowało, jeśli będą chcieli nas prześcignąć. Przedtem oni byli całkowicie górami, teraz szansę się trochę wyrównały. Remis jest lepszy niż porażka.

- Przypuszczam - bąknął Harry ziewając przeraźliwie. - Padnę, jeśli się wkrótce nie prześpię.

- Oni są w tej samej sytuacji. Nie ma problemu. Możemy się zmieniać.

- Najpierw mam zamiar zorganizować małe zebranie - powiedział w zamyśleniu Harry. - Musimy mieć jakiś plan, jeśli mamy się stąd wydostać...

- Z nietkniętymi tyłkami? - Kettering wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Tak, chyba masz rację.

Na szczycie schodów pojawił się Walter Linberg.

- Znalazł pan coś? - spytał Harry.

- Zakładników - odparł były agent z zimną wściekłością w głosie. - W jednym z dużych przedziałów. Wszyscy nie żyją. Zamordowani. Przedział wygląda jak rzeźnia.

- Chyba wyszli na dach - powiedział Harry. Linberg skrzywił się.

- Przed odejściem zniszczyli radio. Nie zawołamy o ratunek. - Wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze. - Będziemy musieli zrobić coś z ciałami. Nie możemy ich tak zostawić.

- Tamtych dwoje też trzeba zabrać. Waszego faceta w piętusie i tę, którą ja załatwiłem - odezwał się Kettering.

Na zewnątrz był już świt, purpura nieba przeszła w błękit, postrzępione wierzchołki drzew zabarwiły się złotem. W bladym świetle Harry zauważył, że twarz policjanta była wykrzywiona ze zmęczenia, Linberg wyglądał niewiele lepiej. - Nie możemy zostawić ciał w pociągu, wie pan o tym, prawda? - powiedział Kettering, patrząc Linbergowi prosto w oczy.

- Tak, wiem. Jak powiedział Harry, gramy teraz według innych zasad. Wyrzucie je, zanim zaczną się rozkładać.

Annalise Shenker - z twarzą stężoną od wściekłości i napięcia - chodziła tam i z powrotem po wagonie pocztowym. Mohamed Kawi, siedzący na stołku w jednym końcu RPO, przypatrywał się współpracownicy, zastanawiając się, kiedy kotłująca się w niej furia w końcu wybuchnie. Spośród wszystkich, z którymi kiedykolwiek pracował, ona była bez wątpienia największą profesjonalistką, teraz jednak widział ją od innej strony i martwił się.

Niepowodzenie negatywnie wpłynęło na jej sądy i doprowadzało ją do pasji, a taka niezogniskowana złość była bardzo niebezpieczna. Na szczęście Raoul i Lisa nie wchodzili jej w drogę, pilnując przejścia między pierwszym zwykłym wagonem Amtraku a restauracją.

Dieter natomiast był z Sheilą Teng w lokomotywie.

Wiedział, że poradzi sobie z Annalise, nie był jednak pewien innych, zwłaszcza Haasa. Holender był głupcem, który zabijał dla samego zabijania.

- Ciągłe kontrolujemy pociąg - odezwał się Kawi spokojnie. - Pamiętaj o tym, Annalise.

- Nie! - warknęła Shenker, zatrzymując się na środku wagonu i patrząc gniewnie na Libijczyka. - To ty pamiętaj. Pamiętaj o Amalu. A Jacques? A Paulette? Nasi towarzysze zostali zabici, Mohamedzie!

- Nie mogę pamiętać o ludziach, których nigdy nie znałem, Annalise - odparł wolno. -

Cyr i Baxter byli dla mnie niczym, a jeśli Amal umarł z rąk pasażerów, to znaczy, że na to zasłużył. Nie spodziewaj się, żebym był wrażliwy na uczucia, Annalise. W tym, co robimy, nie ma na to miejsca.

- A więc mają zostać nie pomszczeni?

- Nie, na pewno nie. Ale najlepsza zemsta dla nas to dokończenie naszej misji, tak jak to było zaplanowane dawno temu. Nie stało się nic, co zmusiłoby nas do zmiany planów.

- Jesteśmy odcięci od naszych zapasów amunicji, straciliśmy troje naszych ludzi.

Mężczyźni i kobiety, którzy byli przedtem naszymi zakładnikami, teraz mają naszą broń. Nie nazywasz tego zmianą?

- Faktycznie - może, ale nie strategicznie. Tak jak powiedziałem, ciągle mamy kontrolę nad pociągiem. Z bronią czy bez niej, pasażerowie ciągle są zakładnikami, drzwi są zaminowane, a pociąg jedzie w tym kierunku, w którym chcemy, by jechał. Poza tym jest jeszcze pan Biały, nasza tajna broń - dodał z krzywym uśmiechem.

- Ile to jeszcze potrwa? - spytała Shenker nie zwracając na niego uwagi.

Spojrząwszy na zegarek Kawi zamknął oczy, obliczając odległość, jaka dzieliła ich od celu podróży.

- Jeśli utrzymamy naszą obecną prędkość, to mniej więcej trzydzieści osiem godzin.

- Wytrzymamy tak długo?

- Nie ma powodu, żebyśmy nie wytrzymali - odparł Libijczyk. - Lisa i Raoul zniszczyli radio, zanim porzucili wagon panoramiczny. Władze nie będą miały skąd dowiedzieć się, co się dzieje w środku pociągu. Właściwie jesteśmy teraz nawet w lepszej sytuacji niż przedtem. Sheila twierdzi, że nabraliśmy dosyć paliwa w Capreol, żeby przejechać większą część drogi. Jeżeli zatankujemy w Carberry - nie będziemy musieli więcej się zatrzymywać. Władzom dwukrotnie nie udało się nas opanować i jest mało prawdopodobne, by szybko próbowali po raz trzeci.

- A zakładnicy? Nie spróbujemy odbić reszty pociągu?

- Jako balsam na siniaki na naszych ego? Nie. Wygraliśmy już wojnę. Po co staczać niepotrzebne bitwy?

- Umiesz dorabiać ideologię, Mohamedzie - powiedziała Shenker, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- A ty widzisz demony tam, gdzie ich nie ma - odpowiedział Libijczyk.

Shenker przeszła przez kołyszący się wagon i stanęła przed Kawim, patrząc na niego z góry. Wyciągnąwszy rękę, pozwoliła swym palcom zjechać po jego piersi aż do naprężonego materiału

pod pachwiną. Nachyliła się i pocałowała go lekko w nie goloną od kilku dni twarz.

- Widzę to, co chcę zobaczyć, Mohamedzie, synu Khalila.

- Czy to rozsądne? - spytał Kawi, czując, jak sztywnieje pod wpływem jej dotyku.

- Może nie - szepnęła Shenker z ustami przy jego uchu. - Ale rozsądek nie ma nic wspólnego z pożądaniami.

Na zebranie, zwołane na dwunastą w południe w wagonie restauracyjnym VIA, miały wstęp wyłącznie zaproszone osoby. Po Bitwie pod Capreol - jak to określił Harry - wielu ludzi, w tym wojowniczy lekarz, który usiłował stanąć na drodze Markowi, przyszło na przód, domagając się, by im powiedziano, co się dzieje. Po nieudanych próbach udzielenia satysfakcjonujących odpowiedzi kilkunastu osobom naraz Walter Linberg arbitralnie oznajmił, że do czasu dalszych ustaleń każdy ma robić dokładnie to, co mu się mówi, i to bez pytania. Wszyscy, którym się to nie podoba, mogą iść i dołączyć do terrorystów. Wtedy lekarz zapytał Linberga, kto dał mu władzę rozporządzania losem niewinnych ludzi.

Wygwizdany przez tuzin innych pasażerów, wrócił na miejsce i sprawa została załatwiona.

Harry nakazał, by nie odsłaniać okien, gdyby bowiem zorganizowano jakąś próbę ratunku, atakujący nie będą umieli odróżnić dobrych z karabinami od złych, a nie chciał, żeby ktokolwiek ucierpiał. Łącznie z Harrym w ścisłym zebraniu wzięło udział dziewięć osób.

Groz i Margay zostali poproszeni ze względu na ich specjalistyczną wiedzę - Niemca o chemikaliach, a Wandy zarówno o pociągu, jak i o jego trasie. Z tego samego powodu był tu również Howard Mottbrown, a także dlatego, że ofiarował się prowadzić notatki w czasie spotkania. Linberg i Sagadore reprezentowali świat zewnętrzny, Mark Cavendish wystąpił

jako zastępca Harry'ego, natomiast Hamilton Stackpole był przedstawicielem załóg obu pociągów - VIA i Amtraku. Złączono razem trzy stoły i Harry usiadł na szczycie, a Cavendish obok niego. Weteran z Wietnamu pierwszy zabrał głos.

- Uważam, że jedną sprawę powinniśmy wyjaśnić od razu - powiedział, przyglądając się bacznie pozostałym członkom grupy. - Póki co, wyrzucamy demokrację za okno. To, co mówi Harry, przechodzi i nie chcę tu żadnego pieprzenia kogokolwiek na ten temat. On jest szefem, bo był jedynym, który miał dość odwagi, żeby urządzić im przedstawienie już na początku - a także dlatego, że ma głowę na karku. Jasne?

Zebrani pokiwali głowami na znak zgody. Cavendish usiadł i przyszła kolej na Harry'ego.

- Nie jestem pewien, czy chcę odgrywać tu rolę gwiazdy - zaczął - ale przypuszczam, że to nie ma znaczenia. Czego naprawdę chcę, to wydostać się z tego pociągu żywy. Jak dotąd mieliśmy szczęście, ale te zbiry z przodu ciągle mają w ręku większość kart. Zaminowali drzwi. Jak twierdzą Walter Linberg i Frank Sagadore, te pojemniki, które pozakładali, zawierają jakąś zarazę czy coś takiego. Walter...?

- Według informacji, które posiadamy, jest to węgiel - odezwał się ze swojego miejsca były agent. - Nie jestem ekspertem od bomb, ale ten kanister, który widziałem przymocowany do szafki elektrycznej w Daynighterze, wygląda, jakby był zdalnie sterowany. Musimy zakładać, że terroryści ciągle mają pilota, i zamierzają go użyć.

- Jestem chemikiem - odezwał się Groz - i mam pewne doświadczenie z materiałami wybuchowymi. Herr Linberg pokazał mi urządzenie, o którym przed chwilą mówił. Wiem bardzo niewiele o węglu, ale sądząc z wyglądu pojemnika, powiedziałbym, że nosicielem zarazków jest sprężone powietrze. Poza tym, według pana Linberga, w całym pociągu jest więcej takich kanistrów, więc przypuszczam, że gdyby ci ludzie zdecydowali się je wysadzić, wszyscy zginęliby bardzo szybko.

- Nie można tego jakoś rozbroić? - spytał Harry.

- Wątpię - odparł Cavendish. - Pojemniki mają ten sam rodzaj mechanizmu wyzwalamy, co ładunki na drzwiach wagonów - napięcie sprężynowe. Wystarczy przeciąć przewody lub ruszyć i będzie bum.

- A więc musimy dostać tego pilota - stwierdził Harry.

- Chwileczkę - włączył się Frank Sagadore. - Całe to gadanie w stylu Rambo jest świetne, ale czy ktokolwiek zastanowił się nad tym, co ci ludzie właściwie robią?

- Porywają pociągi - odezwał się Cavendish. - Myślałem, że to oczywiste.

- Nie o to mi chodzi - powiedział pracownik Amtraku. - Wiemy już, że chcą ukraść gotówkę przewożoną w tym pociągu.

- Jaką gotówkę? - spytał niewinnie Harry.

- W pociągu Amtraku przewożone są pieniądze - wyjaśnił Linberg. - Myślę, że Frank sugeruje, że właśnie to jest ostatecznym celem tego wszystkiego.

- Zwykły rabunek? Dolce? - podsunął Harry.

- Zgadza się - odezwał się Sagadore. - Nie sądzę jednak, żeby byli samobójcami.

Myślę, że chcą z tym zwać, a to znaczy, że muszą mieć na to jakiś sposób. Pytanie tylko, jaki?

- Mają alternatywę - powiedział Cavendish. - Wysadzają pojemniki z węglkiem i spływają, albo też: nie wysadzają ich i spływają.

- Ale gdzie? - nalegał Sagadore. - Gdybyśmy mieli chociaż jakieś przypuszczenie co do tego, gdzie planują zakończyć to wszystko, to może moglibyśmy się jakoś zabezpieczyć.

- To będzie gdzieś w górach, jak sądzę - odezwała się cicho Wanda Jenkins Margay. -

Można przypuszczać, że będą raczej woleli jakiś odludny teren niż ośrodek miejski.

Linberg spojrział na staruszkę z podziwem. Jemu potrzeba było dużo więcej informacji, niż ona miała, żeby dojść do tego samego wniosku.

- Zgadzam się - powiedział kiwając głową.

- Mark? - spytał Harry.

- To ma sens - odparł zapytany. - Wątpię jednak, żeby można było na tym polegać.

Góry na pewno dałyby im pewniejsze schronienie niż cokolwiek innego. Ale czy będą ciągnąć to aż tak długo?

- Może nie mają wyboru - zastanawiał się Harry. - Jeśli zaplanowali jakąś szczególną trasę ucieczki przez góry, to może muszą się tego trzymać?

- Ile czasu by nam to dało? - spytał Linberg.

- Do gór jest jeszcze trzydzieści godzin jazdy. Powinniśmy być tam jutro o zmroku -

odezwał się Mottbrown.

- A co jest przedtem? - zapytał Harry.

- Winnipeg przede wszystkim - odparła Wanda. - Chociaż spodziewam się, że będą chcieli ominąć samo miasto. Potem nie ma nic godnego uwagi aż do Calgary.

- A dalej?

- Góry - stwierdził krótko Mottbrown.

- Przedtem jednak mamy jeszcze do załatwienia parę dość pilnych problemów -

zauważył Hamilton Stackpole.

- Na przykład? - spytał Harry.

- Już brakuje nam pitnej wody, wkrótce skończy się żywność. Mamy też sześć zatkanych ubikacji w wagonach sypialnych i dwie następne w wagonach z miejscami siedzącymi. Już zaczyna cuchnąć. Będziecie mieć sporo mocno zdeprimowanych ludzi. Do tego głodnych i spragnionych.

- A co z rannymi?

- Wasz pan Tucker mówi, że dwóch zmarło, następny jest w drodze. Poza tym jednak nie ma się o co martwić. W pociągu jest pełno zestawów pierwszej pomocy, są też dwaj lekarze.

- Gdzie przenieśliście ciała? - spytał Linberg.

- Na górny poziom piętusa, tam gdzie są już inne. Niedługo zaczną śmierdzieć, jeśli pani wybaczy -



odparł Murzyn zwracając się do Wandy Jenkins Margay.

- Nie wiem, po co w ogóle trzymacie je w pociągu - powiedziała staruszka. - Są przecież pogrzeby na morzu. Dlaczego więc nie w pociągu?

- Że co proszę? - nie zrozumiał Harry.

- Wyrzucić je, drogi chłopcze - powiedziała uśmiechając się pogodnie. - Jestem pewna, że znajdzie się ktoś, kto się nimi zajmie.

- W porządku - rzucił Harry. - Może tak zrobimy. - Zwrócił się ponownie do Stackpole'a: - Niewiele możemy zrobić w sprawie żywności i wody poza racjonowaniem ich.

Jeśli chodzi o ubikacje - zamknij je na dobre i wybij szyby w oknach - to na jakiś czas zatrzyma smród.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy jeszcze bardziej cofnąć ludzi w pociągu -

odezwał się Frank Sagadore. - Powiedzmy z Daynightera z powrotem do wagonu panoramicznego. Będzie tam jeszcze większy ścisk niż obecnie, ale wydaje mi się, że korzystniej jest zgromadzić razem pasażerów na wypadek, gdybyśmy musieli się nagle ewakuować. Zresztą między tym wagonem a ostatnim jest tylko jeden pojemnik - w środkowym sypialnym. Może wykombinujemy coś, żeby go odczepić, i będziemy wtedy bardziej odizolowani od pozostałych.

- Jak bardzo tamten wagon byłby zatłoczony? - spytał Harry.

- Wyjechaliśmy z Waszyngtonu z małym obciążeniem - odparł Stackpole. - Będzie ciasno, ale myślę, że ten człowiek ma rację. Mamy ograniczoną ilość broni i będzie bezpieczniej, jeśli zbierze się wszystkich pasażerów razem.

- A więc zrób tak - polecił Harry. - Opróżnij wagony z miejscami siedzącymi i przenieś rannych z powrotem do panoramicznego. Starsi mają pierwszeństwo. Gdyby było naprawdę źle, młodszy pasażerowie mogą stać. Coś jeszcze?

Nikt się nie odezwał i Harry wstał.

- Okay, w takim razie to wszystko. Idę przenieść Norma Ketteringa z piętra wagonu panoramicznego do tego ze świetlicą na górze. Pozostali na zmianę obejmują straż. Kieruje tym Mark.

Wszyscy inni też wstali i zebranie się skończyło. Kilka chwil później Harry został w restauracji sam z Markiem Cavendishem. Weteran z Wietnamu wyglądał na zmartwionego.

- Coś cię gryzie, Mark? - spytał Harry.

- Tak - przyznał Cavendish, opadając na krzesło i rozpoczynając rytuał zapalania papierosa. Harry zrobił to samo. - Nie chciałem mówić o tym przy innych - w każdym razie jeszcze nie.

- No więc, o co chodzi?

- Terrorysty nie są jedyną rzeczą, z którą musimy sobie poradzić. Jest jeszcze inny problem.

- Słucham cię - zachęcił go Harry.

- Rozmawiałem z Linbergiem o tym pojemnikach z węglikiem. On mówi, że wiadomość o nich dosłownie sparaliżowała wszystkie szczyty. Dostają sraczki ze strachu, jeśli chodzi o ścisłość. Linberg uważa, że mogą być zbyt przestraszeni, żeby coś z tym zrobić.

- Nie kapuję - stwierdził Harry marszcząc brwi. Zaciągnął się mocno papierosem i wypuścił kłęby dymu przez nos.

- Z pociągu pełnego zakładników zamieniliśmy się po prostu w bombę zegarową na kółkach - wyjaśnił Mark. - Tak więc następnym razem, gdy ktoś z zewnątrz będzie próbował

zdobyć pociąg, to nie dla odbicia więźniów. Bezwzględne pierwszeństwo będzie miało dla nich załatwienie się z problemem pojemników z węglikiem, nawet gdyby miało to oznaczać załatwienie nas wszystkich.

- Co niby mogą zrobić, spuścić na nas bombę? - zakpił Harry. - Daj spokój, Mark, to nie jest film *science fiction*.

Używając swojego haka, Cavendish zręcznie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąwszy stamtąd małą książeczkę cisnął ją na stół. Harry podniósł ją i przeczytał tytuł: *Krajobrazowy przewodnik kolejowy po zachodniej Kanadzie*.

- Znalazłem to na jednym z siedzeń w pierwszym wagonie - powiedział Cavendish. -

Jest to opis trasy, którą jedziemy, mila po mili. Sporo ciekawych rzeczy. I możesz się założyć, że terroryści też mają takie coś.

- Do rzeczy, Mark.

- Przeczytałem to prawie całe dziś rano - mówił wolno. - A następnie sprawdziłem z panią Margay i paroma kolejarzami z "Kanadyjczyka". Jeśli terroryści chcą użyć gór jako tarczy, to zanim zrobią swój ruch, poczekają, aż będą bardzo głęboko. A to oznacza omijanie dużych miast. Pierwszym miejscem na naszej trasie, które spełnia te warunki, jest odcinek między czymś o nazwie Golden a miastem Revelstoke. Dziewięćdziesiąt mil odludzia. Teraz -

jeśli ja to mogę wykombinować, to mogą też ludzie z zewnątrz.

- No i co?

- No i to, że mniej więcej w połowie drogi między tymi dwoma miastami leży tak zwany tunel Connaught. Ma on pięć mil długości, a powietrze dochodzi do niego tylko przez portale - wschodni i zachodni. Nadaje się świetnie.

- Na co?

- Na cmentarz - powiedział ponuro Cavendish. - Albo jeszcze lepiej - na hermetycznie zaplombowany masowy grób. Zatkaj wentylację i wysadź w powietrze wjazd i wyjazd, i masz węgla z głowy. Kolej jest teraz zresztą w połowie przekopywania nowego, lepszego tunelu, więc nie byłoby nawet wielkiej straty gospodarczej.

- Myślisz, że by nas pogrzebali? - spytał Harry.

- Jeśli nie wymyślimy czegoś, zanim dojedziemy do tego tunelu, to uważam, że tak właśnie zrobią - odparł Mark.

Godziny mijały bez żadnych wydarzeń, a pociąg dalej jechał przez nie kończące się odludzia, wśród skał, drzew, jezior i bagien. Lokomotywa utrzymywała stałą prędkość, nie zważając na nierówności podkładu ani też - w najmniejszym stopniu - na wygodę pasażerów.

Mila po kołyszącej, trzęsącej, szarpiącej mili długi węzowaty pociąg przedzierał się przez ten złowieszczy krajobraz.

Późnym popołudniem dotarli do rzeki Sturgeon i jeziora Abrama, minęli pustą stację w Sioux Lookout, następnie przejechali szybko przez dwa bliźniacze tunele, długości pięćset dwadzieścia pięć stóp każdy, przy jeziorze Canyon, i jechali dalej na zachód. Było już znowu zupełnie ciemno, gdy przekroczyli granicę między prowincjami Ontario i Manitoba, prawie nie oznakowaną zresztą, poza pojedynczą tablicą stojącą wśród drzew.

W niecałe dwie godziny później, zaraz po pomocy czasu centralnego, pociąg dojechał

do długiego na dziewięćset stóp mostu łączącego brzegi Rzeki Czerwonej. W oddali, na tle czarnego jak smoła nieba, widać było łunę światła miasta Winnipeg.

Lekceważąc Główną Kontrolę Ruchu w Transcon Yards, pociąg kontynuował jazdę po głównej trasie przez przejazd Nairn, a następnie przez Rzekę Czerwoną wjechał do samego Winnipeg. Na szczęście większość mieszkańców pogrążona była we śnie i tylko bardzo nieliczni wiedzieli o straszliwym ładunku. Nie próbowano nawet ewakuować terenów przylegających do głównej linii w Winnipeg i Weston, a jedyną wskazówką, że coś wisi w powietrzu, były blokady i kordony policji ustawione na głównych przejazdach kolejowych.

Podczas dwudziestominutowej jazdy przez centrum rozległego miasta nie stawano pociągowi na przeszkodzie i przed samą pierwszą minął granicę miasta w Omand's Creek, znikając w ciemnościach nocy. Nie zrobiono też nic, gdy pociąg na krótko zatrzymał się zaraz za Carberry w celu uzupełnienia paliwa.

Przedział klasy pierwszej w wagonie sypialnym za restauracją VIA został przejęty przez tych członków grupy Harry'ego, którzy mieli pełnić straż. Sam Harry zaledwie od godziny spał na dolnej koi, kiedy obudził go Daniel Pendergast.

- Co jest? - wymamrotał niewyraźnie Maxwell.

Daniel potrząsnął głową kładąc palec na ustach. Walter Linberg spał na górnym łóżku, a Mark Cavendish chrapał na środkowym, kilka stóp od nich. Harry, który był całkowicie ubrany, zsunął się z posłania, wbił w buty i całkiem spokojny wyszedł za przyjacielem na korytarz. Pociąg - ciągle jadący z dużą prędkością - trząsł się mocno w przód i w tył.

Bezustanne skrzypienie i trzeszczenie wagonów towarzyszyło każdej rozmowie.

Daniel bez słowa przeszedł przez korytarz, zatrzymując się przed drzwiami przedziału leżącego najbliżej przejścia do wagonu restauracyjnego.

- To jeden z przedziałów zamkniętych z powodu ubikacji - wyjaśnił szeptem Pendergast. - Naprawdę mocno śmierdziało. Chyba jeszcze jedna się zatkała.

- Masz rację - zgodził się Harry pocierając nos.

Fetor dobywający się z małej kratki umieszczonej u dołu odsuwanych drzwi był

odrażający.

- Weź głęboki oddech - poradził Daniel. - Będzie gorzej. Harry posłuchał rady przyjaciela, a Pendergast odsunął drzwi. Harry zajrzał do środka. Okno było odsłonięte i natychmiast zauważył, że szyba nie była zbita.

Zatkał sobie ręką usta, ale nie z powodu silnego odoru ludzkich odchodów.

- Chryste Panie! - wyszeptał wytrzeszczając oczy.

Adrian Tucker, oświetlony z góry przez bladą nocną lampkę, leżał rozciągnięty na ławie. Przód koszuli i spodnie miał przesiąknięte krwią, połyskującą ciemno w nikłym świetle, a odrzucona do tyłu głowa ukazywała pobielające krawędzie straszliwego otwartego cięcia, biegnącego od lewego ucha do prawego.

Harry zwymiotował.

**Część piąta**

# TUNEL

*...Myślę, że gniew jest chyba najlepszym antidotum  
na strach... Po tym, jak znaleźliśmy Adriana,  
przestałem się bać. Byłem już tylko wściekły -  
zabójczo wściekły.*

Harry Maxwell

w wywiadzie dla "Playboya"

## ROZDZIAŁ 13

**Środa, 29 czerwca**

# Godzina 10.20 czasu centralnego

**Odległość: 2482 mile/3994 km**

Dave Wesler siedział w głębi sali odpraw, słuchając umundurowanego oficera, przedstawiającego zarysy planu Kanadyjczyków dotyczącego porwanego pociągu. W

pomieszczeniu znajdowało się kilkanaście osób, reprezentujących różne agencje wojskowe, polityczne i dyplomatyczne związane z tą sprawą. Przez piętnaście minut oficer streszczał

minione wypadki, potem - posługując się dokładną mapą Kolumbii Brytyjskiej, wyświetloną na ekranie projekcyjnym - zaczął wyjaśniać szczegóły. Mówił głosem tak monotonnym, że brzmiało to, jakby przedstawiał plan dziennej wywózki śmieci.

- Z wyjątkiem specjalnych przekazów z pociągu, związanych z regulacją ruchu i przestawianiem zwrotnic, nie otrzymaliśmy żadnych pewnych informacji dotyczących położenia pasażerów czy terrorystów na pokładzie pociągu od czasu, kiedy opuścił Capreol wczoraj wczesnym rankiem. Biorąc to pod uwagę, należy rozumieć, że przedstawiam tylko plan hipotetyczny, który w każdej chwili może ulec zmianie.

Innymi słowy, pomyślał Wesler, nie mają zielonego pojęcia o tym, co się dzieje, natomiast cholernie liczą na to, że terroryści zrobią dokładnie to, czego się będą po nich spodziewać.

- Zakładamy, że przy stałej prędkości, wraz z jej ewentualnymi wahaniami wynikającymi ze zmian pochyłości w Górach Skalistych, pociąg dotrze do Field w Kolumbii Brytyjskiej około godziny dwudziestej drugiej dnia dzisiejszego. Zgodnie z naszymi informacjami dotyczącymi zużycia paliwa przez lokomotywę, możemy również przyjąć, że terroryści nie mają zamiaru kontynuować jazdy pociągiem poza Revelstoke.

- Chyba że postanowią zatankować jeszcze raz - mruknął pod nosem Wesler.

- Wiedząc o tym, w świetle potencjalnego zagrożenia, jakie pociąg stanowi teraz dla społeczeństwa, zdecydowaliśmy zamknąć go w tunelu Connaught, tutaj. - Wskaźnikiem pokazał miejsce leżące zaraz za obszarem Big Bend, przy rzece Kolumbii, prawie w połowie drogi między Field a Revelstoke. Przerwał, a po sekundzie na ekranie pojawiła się jeszcze dokładniejsza mapa tej okolicy. - Jak państwo widzą, wschodni portal tunelu jest ze wszystkich stron otoczony górami. Na zachodzie Hermit, Mount Rogers i Mount Tupper, na wschodzie zaś Mount Dauntless. Sam tunel biegnie pod Mount MacDonald i Avlanche Mountain, zachodni portal natomiast znajduje się u stóp Mount Cheops od zachodu i Mount Abbot od wschodu. Oba portale są w odległości dwustu jardów od Autostrady Transkanadyjskiej, nie ma więc trudności z dostępem do tego terenu. Tunel ma 26 517 stóp, czyli niewiele więcej ponad pięć mil długości, dwadzieścia osiem stóp szerokości i dwadzieścia jeden i pół wysokości. Początkowo był projektowany na dwa tory, ale od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku jest tam tylko jeden. Wjazd do środka automatycznie uruchamia dwa duże wywietrzniki przy zachodnim portalu, które przepychają powietrze przez tunel w czasie przejazdu pociągu i przez dwadzieścia minut po nim.

Wywietrzniki te są jedyną formą wentylacji tunelu. Awariami wentylatorów oraz całym ruchem kolejowym na tym obszarze zajmuje się Field i Centrum Kontroli Ruchu w Revelstoke. - Oficer odwrócił się od mapy do swojego doborowego audytorium. -

Proponujemy zatrzymać pociąg wewnątrz tunelu Connaught. Można to zrobić bez ostrzeżenia, gdyż na tym odcinku torów działa system sygnalizacji kontrolnej. Po przekroczeniu podwójnych czerwonych świateł pociąg może być zatrzymany automatycznie, jeśli załoga nie zastosuje się do sygnału. Po takim, jak to się określa, "zaminowaniu hamulców", pociąg nie może ruszyć, dopóki światła się nie zmienią. Ponieważ terroryści zobaczyliby czerwony sygnał wjeżdżając do tunelu, usuniemy po prostu ze świateł czerwone soczewki, zmieniając sygnał na podwójne białe, co znaczy: "droga wolna".

W tym momencie na twarzy oficera pojawił się krótki, i - w odczuciu Weslera -

zupełnie nieszczerzy uśmiech.

- Zdajemy sobie sprawę - ciągnął po chwili - że mamy tu do czynienia z bardzo dużą grupą zakładników, i dlatego właśnie postanowiliśmy zorganizować ostatni atak na pociąg.

Dokona go grupa ochotników z brytyjskich Powietrznych Służb Specjalnych z Dwudziestego Drugiego Pułku SAS w Hereford. Ludzie ci byli w pogotowiu od momentu wjazdu pociągu na terytorium Kanady, a obecnie znajdują się w drodze do Trail w Kolumbii Brytyjskiej, skąd helikopterem udadzą się do tunelu. Zgłaszano wprawdzie sprzeciwy, zarówno Biuro Sekretarza Stanu USA, jak i wielu naszych ludzi. W przeciwieństwie jednak do Brytyjczyków ani amerykańska grupa "Delta", ani nasze oddziały Grupy Czerwonej nie mają żadnego doświadczenia w walce z porywaczami pociągów. Oni natomiast wiele razy ćwiczyli operacje odbijania pociągów. Poza tym właśnie ten oddział odbywał również ćwiczenia w Kolumbii Brytyjskiej i jest obeznany z terenem. Piętnastoosobową grupę wspomagać będzie grupa rozbiórkowa z Chilliwack. Jeśli z jakiegokolwiek powodu oddział SAS poniesie porażkę, grupa rozbiórkowa szczelnie zamknie oba portale tunelu, uniemożliwiając w ten sposób rozprzestrzenienie się wirusa wąglika - niestety za cenę życia zakładników. Strata ta jednakże z całą pewnością będzie mniejszym złem, a i następstwa ekonomiczne minimalne, jako że w ciągu następnego roku Canadian Pacific ukończy budowę nowego tunelu - Rogers Pass. Do tego czasu pociągi mogłyby korzystać ze starego objazdu przez Big Hill. Ładunki burzące będą na miejscu do godziny osiemnastej czasu górskiego, sama operacja zaś zacznie się mniej więcej o północy, czyli o trzeciej naszego czasu. O czwartej w tej sali odbędzie się posiedzenie sprawozdawcze, jeśli zechcą państwo wziąć w nim udział. Dziękuję.

Pułkownik zebrał leżący przed nim plik papierów, mapa zniknęła z ekranu - odprawa była zakończona. Osoby znajdujące się w pokoju zaczęły go opuszczać i Wesler wstał.

Wychodząc za tłumem na korytarz, spojrzął na zegarek. Za piętnaście godzin będzie już po wszystkim, w ten czy inny sposób.

- Uważam, że to głupi pomysł i że to kawał sukinsyna - wściekał się Daniel Pendergast.

Harry Maxwell zgniótł papierosa w popielniczce wbudowanej w ścianę przedziału i patrzył przez okno. Na zewnątrz nie było widać nic poza bezkresnymi polaciami falującej pszenicy,

wygrzewającej się pod ciemnoniebieskim niebem wschodniej Alberty.

- To nie jest głupi pomysł i on nie jest sukinsynem - odparł Harry, wciąż gapiąc się przez okno.

W oddali dostrzegł migające zarysy elewatora zbożowego, należącego do Kartelu Pszenicznego Alberty, wznoszącego się ponad monotonnym krajobrazem jak wieża jakiejś surrealistycznej fortecy.

- Jeśli będziemy tu tak siedzieć i pozostawimy sprawy ich własnemu biegowi, to nadal będziemy tak samo ofiarami, jak przedtem - tyle że jesteśmy za barykadami. Musimy coś zrobić, zanim te zbiry z przodu dobiorą się do nas albo władze postanowią dać nam w dupę.

Na miłość boską, Daniel, jesteśmy zadżumionym statkiem, któremu nikt nie pozwoli nigdzie stanąć. Wóz albo przewóz.

- Zaczynasz gadać jak nasz przyjaciel weteran. Może on coś ci tam przestawił, Harry.

Może nie pozbył się jeszcze zamiłowania do rozpieprzania wiosek w dżungli.

- Odczep się. Nie jestem pod wpływem Marka. Nie zamieniam się w żadnego Zielonego Bereta czy kogoś takiego. Ale on ma rację.

- Przypuszczam, że zemsta na zabójcy Adriana nie ma z tym nic wspólnego?

- Nie - odparł zdecydowanie Harry. - Choć to też jest problem, z którym musimy coś zrobić. Wątpię, żeby któryś z terrorystów włąził tu ukradkiem tylko po to, żeby poderżnąć gardło Adrianowi.

- Szpieg w rajcu? - spytał Daniel. - Sądysz, że mamy wśród pasażerów jakiegoś nienawidzącego pedziów świrusa?

- Też nie - powiedział Harry, potrząsając przecząco głową. Zapaliwszy kolejnego papierosa odchylił się do tyłu. - Myślę, że te łajdaki mówiły prawdę, że w pociągu są kapusie.

Albo postanowili nas nastraszyć, albo może Adrian w coś wdepnął.

- Nie masz pojęcia, kto to mógł zrobić?

- Nie... ale Adrian spędzał wiele czasu przy rannych.

- Któryś z lekarzy?

- Nie, nie sądzę. Musimy się dowiedzieć.

- Nie mamy czasu na zadawanie każdemu pasażerowi dwudziestu pytań - stwierdził

Daniel. - Więc co robimy?

- Po pierwsze zachowamy nasze podejrzania dla siebie - odparł Harry. - Jesteśmy jedynymi, którzy



wiedzą, że on nie żyje, i chcę, żeby tak było, przynajmniej na razie.

Elewator zbożowy za oknem rósł w oczach z każdą sekundą. Harry dostrzegł grupę domów. Spróbował wyobrazić sobie kogoś w jednym z nich, może jakiegoś dzieciaka, oglądającego przejeżdżający pociąg i zastanawiającego się, dlaczego prawie wszystkie okna są zasłonięte i dlaczego wygląda on, jakby wracał z wojny. Z drugiej strony być może cały świat już się o nich dowiedział, w takim razie mała wioska przy elewatorze została pewnie ewakuowana. Latający Holender na szynach.

- Jesteś pewien, że trzeba ich zaatakować? - spytał Daniel.

- Musimy. Myślę, że to nasza jedyna szansa.

- A jeśli Linberg i jego kumpel myślą się? Może te pojemniki są puste.

- Pobożne życzenie - odparł Harry. - Ci ludzie nie pieprzą bzdur, Daniel. Jeśli powiedzieli, że to wąglik, to możesz być tego pewien.

- Więc atakujemy, a wtedy jeden z tamtych postanawia nacisnąć guzik. Co wtedy?

- Jesteśmy trupami - stwierdził krótko Harry. Po elewatorze okno wypełnił na krótką chwilę ogromny silos, po czym zniknął, zostawiając tylko pustą prerię.

Harry, Mark Cavendish i Howard Mottbrown siedzieli za stołem pustego wagonu restauracyjnego VIA, po raz kolejny przyglądając się szkicowi pociągu, narysowanemu przez Mottbrowna. Człowieczek o łagodnej twarzy naniósł wszystkie ważne szczegóły, jakie przyszły mu do głowy, i dokładnie oznaczył ich własne pozycje, także Ketteringa w przednim piętrusie i zabarykadowaną świetlicę kawiarnianą pod nimi.

- Okay - odezwał się Cavendish - powiedz mi jeszcze raz, co jest przede mną. Ma to być tylko zwiad, ale nie chcę wpaść na coś, czego się nie spodziewałem.

Mottbrown skinął głową, w zamyśleniu zaciskając usta.

- Przed piętrowym Vista masz dwa kanadyjskie wagony z miejscami siedzącymi, a dalej amtrakowską część pociągu. Porzucili wagon panoramiczny, więc zostają ci dwa sypialne, restauracyjny i dwa zwykłe. W sumie pięć wagonów, czyli jakieś czterysta stóp do przejścia. Za nimi powinieneś mieć wagon bagażowy i RPO, który widziałem wsiadając w Waszyngtonie. Ostatnia jest bagażówka "Kanadyjczyka".

- Nie rozumiem - odezwał się Harry. - Po co mieliby ją wlec za sobą?

- To proste - odparł Mottbrown. - Zdecydowanie łatwiej jest złączyć razem dwa wagony niż doczepiać wagon do lokomotywy czy zestawu B. Zostawili go przy lokomotywie dla zaoszczędzenia czasu.

- W porządku - wtrącił się Mark - więc potem powinien być diesel, zgadza, się?

- Tak. Według tego kolejarza, z którym rozmawiałem, jest to PA-4. Wprawdzie według norm amerykańskich dość przestarzała, ale bardzo skuteczna maszyna.

- Możemy się więc spodziewać dwójki w lokomotywie - mruknął Cavendish, zręcznie oznaczając ich pozycję przez x ściśniętym między hakami ołówkiem. - Logicznie rzecz biorąc, co najmniej jeden człowiek powinien być jako obserwator gdzieś z przodu, blisko nas, powiedzmy tutaj. - Postawił na schemacie następny x, tym razem na końcu pierwszego wagonu sypialnego Amtraku. - Mógłby być nawet bliżej - rozważał - ale prawdopodobnie zostawili dwa wagony z miejscami siedzącymi jako taką... ziemię niczyją.

- Ilu więc nam zostaje? - spytał Harry.

- Nie możemy być absolutnie pewni, ale powiedziałbym, że trzech, może czterech. -

W tym ta Shenker, "Piękna", która według Linberga jest przywódczynią - powiedział Harry.

Cavendish przytaknął.

- To pewnie ona zajmie się wysadzeniem tych pojemników.

- Gdzie teraz może być? - zastanawiał się Harry.

- Tutaj - stwierdził Cavendish, stawiając na rysunku jeszcze jeden x - w pierwszym z amtrakowskich wagonów z miejscami siedzącymi - tam, gdzie wybuchły ładunki. Howard mówi, że będziemy przejeżdżać przez Calgary, a to oznacza, że będą się spodziewali kłopotów. Z tą dużą dziurą w boku wagonu są bardzo narażeni na atak.

- Tego chcę żywego - oznajmił Harry, stukając w x oznaczające hipotetycznego obserwatora z przodu. - Chcę wycisnąć trochę informacji z jednego z tych sukinsynów, żebyśmy mieli jakiś punkt zaczepienia.

- Chyba mam pewien pomysł - odezwał się Mottbrown. Sięgnąwszy do kieszeni marynarki wyciągnął starannie złożoną mapę i rozłożył ją na stole. Czytając legendę Harry zauważył, że jest to plan Calgary.

- Pożyczyłem to od pani Margay - powiedział Mottbrown z lekkim uśmiechem. - To naprawdę zdumiewające, co ona wozi w swojej walizce. To jest trasa, po której jedziemy -

powiedział, wskazując szarą linię ciągnącą się od południowego wschodu w górę. - Główna linia Canadian Pacific dochodzi z tego kierunku, a potem idzie mniej więcej równoległe do kanału irygacyjnego, który dalej wpada do rzeki Bow. Na tym terenie jest dużo zakładów przemysłowych, a więc sporo mniejszych linii, ale najprawdopodobniej pojedą prosto do centrum miasta, dalej znowu po głównej linii. Pani Margay mówi, że aż do podgórza trasa wiedzie wzdłuż rzeki Bow.

- Nie wiem, do czego zmierzasz - odezwał się Harry.

- Chodzi o te zakręty, które tu widzicie - odparł spokojnie Mottbrown. - Wygląda na to, że jest ich

całkiem sporo, zwłaszcza w dzielnicy przemysłowej po wschodniej stronie miasta. Kiedy pociąg będzie pokonywał te zakręty, to amtrakowski wagon z miejscami siedzącymi będzie widoczny z tyłu pociągu, nie?

- No i co z tego? - spytał Mark Cavendish.

- To, że Kettering, jako policjant, musi być prawdopodobnie co najmniej znośnym strzelcem. Gdyby dostał zdobytą broń i strzelał z piętrusa Vista...

- Ma rację - stwierdził Cavendish, odwracając się do Harry'ego. - Kettering mógłby ich zająć strzelaniem na każdym zakręcie.

- Dobra, mamy więc tych dwóch czy trzech z przodu przygwożdżonych. Teraz: jak dobieramy się do zbira siedzącego w sypialni? Facet nie rzuci broni i nie wyjdzie nam na spotkanie z otwartymi ramionami.

- Gaz pieprzowy i zasłona dymna - odparł natychmiast Cavendish uśmiechając się szeroko. - Po naszej pierwszej rozmowie na ten temat poprosiłem Groza, żeby coś wymyślił.

Rozpuścił więc ze sto tych małych paczuszek pieprzu z restauracji w małej ilości spirytusu salicylowego Wandy i taśmą przyklepił buteleczkę do jednej ze swoich bomb zapalających.

Mówi, że dym z tego będzie oślepiający i obezwładniający. Co wy na to?

- Wspaniale - odparł Harry z kwaśną miną.

- W wagonie panoramicznym dorwaliśmy parę karabinków o krótkich uchwytach -

ciągnął Cavendish. - Możemy rozwalić szyby w drzwiach między wagonami, cisnąć bombę, a potem wejść i go capnąć. Raz, dwa, trzy.

- Albo cztery - mruknął Harry. - Było tam też kilka masek przeciwgazowych. Jeśli będzie miał jedną na sobie, to co?

- To ryzyko, które musimy podjąć. - Mark wzruszył ramionami. - Mają te rzeczy na wypadek, gdyby ktoś z zewnątrz użył przeciw nim gazu łzawiącego - ale nie będą się spodziewać, że zaatakujemy ich pieprzem.

- Okay - zgodził się Harry. - Ty wybijesz szybę, ja rzucam butelkę, razem wchodzimy i zgarniamy go. Kettering siedzi na górze i ściąga nam łajdaków z pleców, a Linberg, Sagadore i Daniel pilnują barykady, na wypadek, gdyby cała sprawa wzięła w łeb. - Odwrócił

się do Mottbrowna. - Ile jeszcze do Calgary?

- Właśnie minęliśmy miejsce zwane Strangmuir - odparł mały człowieczek, zaglądając do rozkładu jazdy VIA. - Zostało więc jeszcze jakieś czterdzieści mil. Przy tej prędkości będziemy tam za około pół godziny.

Ucieczka, która dla Kenzie McLeod rozpoczęła się na Dworcu Głównym w Montrealu od kradzieży biletu, zmieniała się w nie kończący się koszmar. Kiedy dziewczyna zdała sobie sprawę, że wkrótce po opuszczeniu stacji pociąg został porwany, przeraziła się bardziej niż ktokolwiek inny. Widok rannych pasażerów i przykrytych kocami trupów przyprawiał ją o mdłości ze strachu. Teraz jednak było jeszcze gorzej. Włoczono ją wraz z półtuzinem innych podróżnych do przepełnionego wagonu sypialnego. Czuła się jak sparaliżowana. Ciągłe kołysanie pociągu, mruczące głosy i odór ciał stu czy więcej osób wciśniętych jak sardynki w każdą dostępną przestrzeń wagonu powodowały, że czuła się fizycznie chora. Nie mogła znieść tego dłużej, wstała i lawirując wśród pasażerów śpiących w przejściu między rzędami przepychała się do drzwi wyjściowych z wagonu. Dotarła do nich w końcu, otworzyła i -

wreszcie sama - znalazła się w przedsionku. Było to jedyne miejsce w pociągu, w którym ludzie nie leżeli pokotem na ziemi, omijane jednak przez wszystkich z powodu groźnych ładunków przymocowanych do zewnętrznych drzwi. Kenzie nie dbała o to i miała co innego na głowie. Nie umiała poradzić sobie z tym, czego przypadkiem była świadkiem poprzedniej nocy.

Trzymając się w bezpiecznej odległości od zaminowanych drzwi, oparła się plecami o ściankę przedsionka i oddychała względnie świeżym powietrzem, dostającym się do środka przez szpary między drgającymi blachami podłogowymi i przez nieszczelne drzwi. Teraz, gdy była sama, nie przeszkadzało jej nawet dudnienie kół. Zamknawszy oczy wsunęła rękę do kieszeni dżinsów i namacała leżący w niej mały przedmiot. Upuścił go człowiek, którego widziała, gdy wychodził z jednego z przedziałów. Ten mały kluczyk na łańcuszku prawie ją zgubił. W bladym świetle korytarza spostrzegła, jak upadł, i już chciała zawołać mężczyznę, gdy coś ją powstrzymało.

W wieku piętnastu lat Kenzie McLeod była dziewczyną, była też piękna i inteligentna.

Miała również wysoce rozwinięty instynkt samozachowawczy, co wynikało z życia na niskim szczeblu drabiny społecznej. Ten sam uliczny spryt, który chronił ją przed utratą dziewictwa i być może zajściem w ciążę z jednym z tych nieudaczników, z którymi się stykała, powstrzymał ją od zawołania mężczyzny, który wyśliznął się z przedziału. Ułożenie ramion i sposób, w jaki się poruszał, nawet tyłem do niej, włączyły w niej wszystkie możliwe alarmy, toteż pozostała w cieniu, aż mężczyzna zniknął w drzwiach do następnego wagonu.

Kilka minut wcześniej Kenzie szukała ubikacji, która nie byłaby jeszcze całkowicie zatkana, teraz jednak zapomniała o bólu pęcherza. Kiedy upewniła się, że mężczyzna odszedł, szybko podeszła i podniosła przedmiot, który przed chwilą upadł bezgłośnie na pokrytą wykładziną podłogę korytarza. Na końcu łańcuszka wisiał kluczyk, inny jednak niż te, które Kenzie kiedykolwiek widziała - długi na dwa cale, żeliwny i z pełnym trzpieniem. W metalu były odcisnięte trzy litery: FEC.

Zaciekawiona, zapukała lekko do drzwi przedziału, z którego mężczyzna właśnie wyszedł, a kiedy nie otrzymała odpowiedzi, delikatnie przekręciła gałkę i odsunęła je. To, co zobaczyła, pozostanie w jej umyśle do końca życia, powracając w tysiącach straszliwych koszmarów. Jeśli będzie żyła dostatecznie długo, by je mieć.

Stojąc teraz w przedsionku, Kenzie otworzyła oczy, po raz pierwszy w życiu żałując, że nie pali papierosów. Przynajmniej miałyby się czym zająć. Spojrzała na zegarek. Czwarta trzydzieści. Nie

dlatego, by to miało jakieś znaczenie - od wyjazdu z Montrealu przejechali przez co najmniej jedną strefę czasową, a ona nie przedstawiała wskazówek. Uświadomiła sobie natomiast, że przed prawie dwunastoma godzinami stała się świadkiem potwornego morderstwa.

Skrzyżowała ramiona na piersiach, ściskając je mocno i chodząc tam i z powrotem po niewielkiej przestrzeni między wagonami. Wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała opowiedzieć komuś to, co widziała, pytanie tylko: komu?

- Ile czasu? - spytał szeptem Mark Cavendish, trzymając niekształtny karabinek Siles. Przykucnął na podłodze przy pierwszej parze foteli we frontowym wagonie VIA, podczas gdy Harry Maxwell stał po drugiej stronie przejścia między rzędami. Przed sobą mieli jedynie ubikację po prawej stronie i pomieszczenie na bagaż po lewej. Dalej był przedsiónek prowadzący do pierwszego z amtrakowskich wagonów sypialnych.

- Dwie minuty - odparł Harry, spoglądając na zegarek. - Kettering zacznie strzelać na następnym zakręcie.

- Mam nadzieję, że to wyjdzie - mruknął Cavendish.

- Co to znaczy, masz nadzieję, że wyjdzie? Chryste, człowieku, to był twój plan!

- Ja latałem na odrzutowcach, Harry, nie byłem dowódcą plutonu - odparł Mark.

- Boże! W co ja wdepnąłem! - jęknął Harry.

- Byłeś w złym miejscu w niewłaściwym czasie. Ile jeszcze?

- Dziewięćdziesiąt sekund.

- Mottbrown mówi, że poczujemy szarpnięcie pociągu, kiedy wjedziemy w zakręt.

Uważa, że chociaż maszynista jest całkiem dobry, to przy tej prędkości będzie nieźle rzucało.

Gdy poczujemy szarpnięcie, zacznę liczyć. Powinniśmy słyszeć tutaj strzały Norma. Jak doliczę do pięciu, zapal lont w swojej bombie. Na sześć wstaję, strzelam w szyby - dwa razy, żeby być pewnym, że rozwalę obie - i rzucam się na siedzenie za tobą. Wtedy ty wskakujesz w przejście między rzędami, ciskasz bombę i skaczesz na lewo. Nie spiesz się, po takiej serii facet nie będzie się zbytnio rozglądał. Uważaj, żebyś rzucił butelkę przez oboje drzwi. Pożar między wagonami nie wyjdzie nam na dobre. Okay?

- Znalazł się Napoleon...

- Nie bądź taki do przodu. Czas?

- Pół minuty.

- Miejmy nadzieję, że w twojej zapalniczce nie zabraknie gazu.

- Ha, ha - zaśmiał się Harry, ale dla pewności pstryknął na próbę. Minęło ostatnie kilka sekund, które wydawały się wiecznością, w końcu pociąg zatoczył się w prawo jak pijany. Po kolejnych paru sekundach obaj mężczyźni usłyszeli głuchy, przytłumiony terkot z góry i z tyłu - to Norman Kettering zaczął strzelać ze swojego M-60. Mark Cavendish wstał, głośno odliczając, protezę trzymał suwadło karabinu, hak zaś zaczepił o spust. Krótka, właściwie pistoletowa kolba była zaklinowana w złączu mechanicznego łokcia. Na pięć ledwo dostrzegalnym płomieniem zapalniczki Harry zapalił długi, nasączony rozpuszczalnikiem skrawek materiału. Kątem oka dostrzegł, że Cavendish podnosi się, i po chwili cały wagon wypełnił się ogłuszającym hukem karabinu. Kiedy Mark przetoczył się obok niego na siedzenie, Harry wstał, modląc się, by nie stanąć naprzeciwko wylotu jakiejś lufy. Poruszając się jakby w zwolnionym tempie, przeskoczył między rzędami foteli do rozbitych drzwi przedsionka. Nie zauważył nikogo, więc zamachnął się, aby rzucić bombę. Kiedy później o tym rozmawiali, ani Harry, ani Mark nie przypominali sobie właściwie, żeby słyszeli odgłos otwieranych za ich plecami drzwi, najwyraźniej jednak jakaś część ich podświadomości, pierwotny instynkt samozachowawczy, uruchomiła gdzieś w nich alarm. Obaj mężczyźni prawie jednocześnie odwrócili się do tyłu - Harry z bombą w ręku, Cavendish z Silesem.

Z ubikacji wyszła niska kobieta o krótko obciętych czarnych włosach, ubrana w coś, co wyglądało na rodzaj munduru polowego. Cavendish - który instynktownie wrzucił przed chwilą do komory karabinu jeszcze jeden nabój - strzelił, Harry zaś w ostatniej sekundzie zdał

sobie sprawę, że Mark odstrzelił kobiecie większą część prawej nogi. Odwracając się cisnął

swój ładunek przez najbliższe drzwi prosto na Raoula Attenderę, który stał ukryty w przedsionku. Podwójna butelka roztrzaskała się o Ingrama, którego trzymał terrorysta, a płyn spryskał go od stóp do głów. Usłyszeli silny odgłos zasysania, po czym eks-sandinista zamienił się w płonącą pochodnię. Wrzaski dobiegające z palących się ust ucichły w płomieniach. Attendera osunął się na kolana, a następnie upadł, zwęgloną klatką piersiową tłumiąc opóźniony wybuch amunicji Ingrama. Przedsionek zaczął się wypełniać czarnym oleistym dymem - pieprzowa mikstura wycisnęła z oczu Harry'ego strumień łez, zmuszając go do wycofania się. Mark Cavendish był już przy rannej terrorystce, zręcznie ściągnął z niej pas od munduru i owinał go wokół kikuta nogi. Pojedyncza kula dosięgła jej powyżej kolana, a gruby śrut wystrzelony z tak bliskiej odległości dosłownie oderwał dolną część. Stopa w dokładnie zasnurowanym wojskowym bucie została odrzucona pod jeden z foteli i leżała tam niewidoczna. Starając się nie patrzeć na ranę, Harry pomógł Cavendishowi mocniej zacisnąć opaskę. Kobieta była nieprzytomna - twarz poszarzała od szoku, a oczy cofnęły się tak, że widać było tylko białka.

Gaz pieprzowy, powstały w wyniku eksplozji bomby zapalającej, przetaczał się ku nim w postaci lekkiej mgiełki i Mark również zaczął odczuwać jego skutki.

- Weź ją pod ramiona, Harry - poinstruował towarzysza kaszląc. Harry skwapliwie wykonał polecenie i razem przenieśli terrorystkę z nieprzyjacielskiego terytorium na swój teren. Zdobyli jeńca.

Ośmioosobowa grupa rozbiórkowa i trzynastu członków jednostki antyterrorystycznej SAS z Hereford spotkali się na lotnisku w Trail w Kolumbii Brytyjskiej o godzinie piętnastej zero zero czasu górskiego. Stamtąd, korzystając z czterech helikopterów typu Huey, z bazy Kanadyjskich Sił

Zbrojnych w Comox przeniesiono ich w okolice tunelu Connaught, wysoko w górach Selkirk. Wylądowali przy małej nieczynnej stacji kolejowej Glacier, którą zarekwirowali na swoją tymczasową bazę. Do wpół do szóstej obie grupy rozładowały swój sprzęt i rozpoczęły wykonywanie powierzonych im zadań. Czterech ludzi z grupy rozbiórkowej zeszło wytyczoną drogą dwieście jardów do zachodniego portalu tunelu, gdzie zaczęli zakładać ładunki przy wjeździe i w umieszczonym nad nim wywietrzniku. Pozostała czwórka oraz większość oddziału SAS wsiadła do dwóch drezyn i wjechała do tunelu. Trzech snajperów pozostało zaraz za wjazdem, aby uniemożliwić komukolwiek opuszczenie tunelu, kiedy pociąg wjedzie już z drugiej strony.

Sześciu innych komandosów, cofając się od wjazdu wschodniego, rozstawiło się wzdłuż tunelu w odstępach co osiemdziesiąt stóp. Według biura kontroli ruchu Canadian Pacific, pociąg miał ostatecznie się zatrzymać, kiedy ostatni wagon będzie się znajdował

dwieście stóp w głębi tunelu. Wszyscy ludzie z SAS, którzy mieli zamiar dostać się do pociągu przez okna, byli wyposażeni w granaty ogłuszające i karabiny półautomatyczne.

Sześciu miało wdrzeć się do środka, podczas gdy siódmy, uzbrojony w amerykańską bezodrzutową broń przeciwpancerną typu Dragon, miał pozostać w centrum tunelu, skąd mógłby zniszczyć kabinę lokomotywy i każdego, kto by się w niej znajdował. Trzej ostatni komandosi przejechali na drugą stronę tunelu i zajęli pozycje za małą, pozbawioną okien szopą na narzędzia, stojącą przy drodze jakieś sto stóp od wjazdu. Ich zadaniem - podobnie jak kolegów przy portalu zachodnim - było nie dopuścić, by którykolwiek z terrorystów - albo w ogóle ktokolwiek, gdyby wybuchły pojemniki z węglikiem - uciekł w tym kierunku.

Wszyscy byli świadomi niebezpieczeństwa i każdy wiedział, że jeśli nie uda się bardzo szybko opanować pociągu, nie będą mieli prawdopodobnie żadnej szansy na przeżycie. Poza tym, jeśli dowódca oddziału SAS nie przekaże przez radio zakodowanej wiadomości o sukcesie w ciągu sześciu minut od momentu wjazdu pociągu do tunelu, grupa rozbiórkowa miała rozkaz wysadzić ładunki, na zawsze plombując Connaught. Dowódca komandosów otrzymał

instrukcje mówiące, że jeżeli z jakiegokolwiek powodu będzie podejrzewał, że pojemniki zostały rozbite w czasie trwania operacji, ma natychmiast nadać wiadomość o porażce do stacji Glacier. Wtedy zostaną zdetonowane ładunki przy wschodnim i zachodnim portalu.

O godzinie dziewiętnastej zero zero czasu górskiego wszyscy byli na swoich miejscach. Pół godziny później nadeszła wiadomość z wieży kontrolnej z Field: według biura CTC w Calgary pociąg dotarł do Sawback na osiemdziesiątej ósmej mili rejonu Laggan. Przy obecnej prędkości spodziewano się go przy wschodnim portalu tunelu Connaught prawie za trzy godziny.

O dwudziestej piętnaście wypożyczona ciężarówka, przemalowana na kolory wozów technicznych Canadian Pacific, przejeżdżała na tyłach starego drewnianego budynku, który kiedyś był stacją kolejową w Glacier. Kierowca, mężczyzna o nazwisku Murak Shirad Azziz, podziwiał krajobraz, tak zupełnie inny od krajobrazu jego rodzinnej Libii, z której wyjechał

przed tygodniem. Chociaż w górskich dolinach zaczynał już zapadać zmierzch, Azziz dostrzegł ożywienie wokół stacji. Widząc helikoptery i ludzi, uśmiechnął się.

Piętnaście minut później, po przejechaniu krótkiego odcinka krętej Autostrady Transkanadyjskiej u stóp Mount MacDonal i Rogers Pass, Libijczyk włączył prawy kierunkowskaz i gładko zjechał na zwirową drogę prowadzącą pod górę w las. Na poziomie czterech tysięcy stóp skręcił na wschód. Przez przerwy między drzewami widział linię kolejową, a dalej - jeszcze wyżej - autostradę. Po czterech czy pięciu milach droga zaczęła opadać, a w kilka minut później skończyła się na polance przy dużej nastawni. Trochę dalej, prawie niewidoczny w mroku, stał ogromny most Stoney Creek - potrójny, stalowo-betonowy łuk długości pięciuset stóp, łączący brzegi głębokiego wąwozu utworzonego przez wąski strumień, od którego most wziął swą nazwę w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku.

Azziz zaparkował ciężarówkę i włączywszy światła postojowe wrzucił kluczyki do kieszeni. Następnie przeszedł przez tory, idąc ledwo widoczną ścieżką opadającą między drzewami. Po zrobieniu pół mili znalazł się na skraju autostrady, poczekawszy na przerwę w ruchu przebiegł jezdnię i zniknął po drugiej stronie. Kilkanaście jardów dalej odnalazł

ścieżkę. Przystanął, żeby spojrzeć na zegarek. Ostatnim razem wszystko to zajęło mu niewiele ponad półtorej godziny, łącznie ze wspinaczką na dość strome zbocze. Odetchnął głęboko świeżym powietrzem i ponownie się uśmiechnął. Będzie miał mnóstwo czasu.

## **ROZDZIAŁ 14**

**Środa, 29 czerwca**

**Godzina 20.45 czasu górskiego**

**Odległość: 3050 mil/4908 km**

- Chcę znać jej stan - powiedział Harry Maxwell, siedząc w wagonie restauracyjnym.

Lekarz, starszy człowiek nazwiskiem Kerwald, ze znużeniem rozłożył ramiona.

- Bardzo trudno go określić - odparł i wypił łyk wrzącej kawy z filiżanki, którą przyniósł mu przed paroma chwilami Stackpole. - Szybko zastosowano opaskę zaciskową, nie było więc wielkiej utraty krwi, ale pacjentka jest w głębokim szoku.

- Śpi czy jest nieprzytomna? - spytał Daniel Pendergast.

Przy następnym stoliku Mark Cavendish przeglądał broń, sprawdzając ile amunicji im jeszcze pozostało. Leżący przed nim stos sprzętu stanowił dziwny kontrast z bukietem sztucznych kwiatów w małym wazoniku pomiędzy pojemniczkami z solą i pieprzem.

- Śpi - powiedział lekarz. - Podałem jej środek uspokajający. Chlorowodorek meperidiny.

- Długo będzie spała? - spytał Harry.

- Jakiś czas.



- Chcę z nią porozmawiać - powiedział Harry. - Niech ją pan obudzi.

- Nie uważam, żeby to było rozsądne - oznajmił Kerwald.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jej stan jest bardzo poważny. Jakakolwiek podnieta w tej chwili może ten stan jeszcze pogorszyć.

- Ona należy do grupy terrorystów. Jest odpowiedzialna za zadanie bólu tym, których pan tu leczy. To morderczyni.

- To nie ma nic do rzeczy - odparł lekarz. - Nie dopuszczę do tego, aby traktowano ją w sposób, który mógłby zagrozić jej życiu.

- Jakie to prochy ma pan tam w tej torbie? - wtrącił się Daniel. Lekarz, który trzymał

swoją czarną torbę na kolanach, chwycił ją mocniej dla ochrony i gdy spojrzał na Daniela, wargi mu zwiotczały.

- Przypuszczam, że przez "prochy" rozumie pan środki pobudzające - odezwał się sztywno.

- Zgadza się - amfetaminy, metadryny, te rzeczy.

- Nie mam niczego takiego - odparł Kerwald. - W podróż zabieram ze sobą jedynie najbardziej potrzebne leki.

- Co pan ma? - spytał spokojnie Harry.

- Ritalin. Chlorowodorek metylfenidyny. Stosuje się ją na nadpobudliwość u dzieci, u dorosłych ma jednak przeciwny skutek.

- Ile by trzeba, żeby ocucić tę dziewczynę na parę minut?

- Może ze trzydzieści miligramów - powiedział lekarz. - Ale ja mam tylko pięciomiligramowe tabletki.

- Będzie nam ich potrzeba dwadzieścia - stwierdził Harry. - Najpierw dam jej dziesięć, a jeśli to nie pomoże, to następne pięć, okay?

- Nie pozwolę wam tak jej traktować! - krzyknął rozwścieczony lekarz.

- Daj mi coś - rzucił Daniel, odwracając się do Marka Cavendisha i wyciągając rękę.

Weteran wybrał Ingrama i włożył do niego magazynek. Następnie podał go Pendergastowi, który odciągnął suwadło i wpakował lekarzowi lufę pod nos. - Wygląda pan na miłego człowieka, doktorze Kerwald, i jestem pewien, że Hipokrates byłby z pana dumny, lecz my nie mamy za dużo

czasu. Nie bawi mnie granie twardziela, ale albo pan da narkotyk tej suce w następnym wagonie, albo my to zrobimy. Czy wyrażam się dosyć jasno?

- Doktorze, proszę - odezwał się Harry.

Stary człowiek spojrział na broń w ręku Pendergasta i skrzywił się. W końcu pokiwał głową.

- Podam jej to. Ale przy jej obecnym stanie może trochę potrwać zanim środek zadziała.

- Jak długo? - spytał Harry.

- Piętnaście, dwadzieścia minut.

- Okay - zgodził się Harry. Zwrócił się do Marka Cavendisha. - Zabierz go do niej.

Niech Stackpole zostanie przy nich i zamelduje, kiedy zaczną się budzić.

Cavendish skinął głową i wstał, a za nim doktor. Poszli razem do wagonu sypialnego. Po paru minutach weteran wrócił.

- W porządku - oznajmił, ponownie siadając przy swoim arsenale.

- Myślicie, że ona naprawdę będzie w stanie coś nam powiedzieć? - spytał Daniel.

- Cholernie na to liczę - mruknął Harry, zaglądając przez oszklone drzwi przedsionka do następnego wagonu. - Jak dotąd, mieliśmy szczęście, ale chyba zaczyna go już nam brakować. Na przykład, czy masz jakieś pojęcie, gdzie jesteśmy?

- Mottbrown twierdzi, że właśnie minęliśmy miejsce o nazwie Field. Poza tym zwalniamy. Howard mówi, że pochyłość wzrasta w miarę, jak posuwamy się w głąb gór.

- A ile jest z tego Field do tunelu?

- Jakies osiemdziesiąt mil. Przy tej prędkości to gdzieś półtorej godziny, może trochę więcej.

- Ciągłe uważacie, że chodzi o tunel? - spytał Daniel.

- Coraz bardziej - odezwał się Mark. - Wspomniałem o tym Mottbrownowi i on powiedział, że mają tam jakiś automatyczny system hamowania. Jest to właściwie strumień prądu, który przebiega przez szyny i koła. On mówi, że zatrzymanie pociągu w tunelu nie będzie dla władz żadnym problemem.

- A więc to jest to - stwierdził Harry.

- Ale co, jeśli staną przed tunelem? - spytał Daniel. - Może mamy jeszcze mniej czasu, niż myślimy.

- Wątpię - powiedział Cavendish. - Jeśli spojrzeć na mapę, najlepszym dla nich miejscem jest Albert

Canyon, jakieś piętnaście mil za tunelem. Spory kawałek od głównej szosy, poza tym jest tam droga i miejsce dla małego samolotu. Tymczasem tu, gdzie znajdujemy się w tej chwili, i dalej, aż do tunelu, przez cały czas jesteśmy nie więcej niż kilkaset jardów od Autostrady Transkanadyjskiej. Nie ryzykowaliby.

- Więc niby jak, do cholery, mamy zatrzymać pociąg przed tunelem?! - krzyknął

Harry.

Walnął pięścią w stół; zawód i gniew prawie z niego kipiały. Wyglądało na to, że każdy życiowy wybór, jakiego dokonał od opuszczenia szkoły średniej, był błędem. Nawet jeśli ciągle była w nim jakaś iskierka optymizmu, w tej chwili nic o tym nie świadczyło. Po raz kolejny znajdował się na straconej pozycji. Tyle że teraz porażka nie oznaczała po prostu nudnej, bezmyślnej roboty czy nawet odsiadki - oznaczała śmierć.

- A niech to szlag! - ryknął.

Dokładnie w tym momencie do wagonu weszli Wanda Jenkins Margay i Wolfgang Groz.

- Wielki Boże - odezwała się Wanda. - Wygląda pan na bardzo rozdrażnionego, panie Maxwell.

- Przepraszam - mruknął Harry. - Po prostu żałowałem właśnie, że w ogóle się urodziłem, to wszystko.

- Och! A ja tu przychodzę z nowymi niepomysłnymi wiadomościami.

- No cóż, wysłuchamy ich - powiedział Harry ponuro. Staruszka usiadła naprzeciwko niego, Groz zaś podszedł do stołu, przy którym Mark Cavendish dopasowywał magazynki do automatów. Również usiadł, splatając swoje zdeformowane dłonie na gałce laski należącej do Wandy, co nadawało mu dostojny wygląd człowieka ze Starego Świata, zupełnie nie pasujący do zdewastowanego wagonu.

- W naszym przedziale jest pewna młoda kobieta - zaczęła Wanda. - Wygląda na bardzo przestraszona.

- Podobnie jak siedemset innych osób w tym pociągu – stwierdził Harry.

- Ta młoda dama opowiedziała nam szczególnie niepokojącą historię - ciągnęła Wanda nie zwracając uwagi na komentarz Harry'ego. - Znaleźliśmy ją chowającą się w jednej z ubikacji. Mówi, że była świadkiem morderstwa.

- Słucham...?

- Morderstwa - powtórzyła ostrożnie Wanda. - Jest zdenerwowana, ale raczej mówi prawdę. W obecnych okolicznościach może to się wydać dziwnym pytaniem, ale czy wie pan coś o jakichś morderstwach, panie Maxwell?

- O wielu - odparł Harry. - Którego zdarzyło jej się być świadkiem?

- Tego w przedziale numer pięć w „Riverdale” - odparła, wymieniając nazwę wagonu sypialnego jadącego za restauracją. I numer przedziału, w którym zginął Adrian Tucker.

- Proszę mówić dalej.

- Twierdzi, że był tam jakiś człowiek. Miał podejrzięte gardło.

- O czym ona, u diabła, gada? - spytał Mark Cavendish.

- O Adrianie - powiedział Harry, nie patrząc na weterana. – On nie żyje.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście?

- Bo nie wiedzieliśmy, kto to zrobił - odezwał się Daniel Pendergast. - To mógł być każdy, Mark, nawet ty. Tylko Harry i ja wiedzieliśmy o tym.

- A co z tobą? - spytał gniewnie Cavendish. - Może to byłeś ty?

- Przestańcie - warknął Harry. - Nie mamy czasu na takie pieprzenie. Proszę mi wybaczyć, Wando. Ta dziewczyna, co ona właściwie widziała?

- Ona nazywa się Kenzie McLeod. Oboje z *Herr* Grozem przepytaliśmy ją szczegółowo. Nie potrafiła opisać mordercy, ale mówi, że gdy wychodził z przedziału, wypadło mu z kieszeni spodni to - Wanda sięgnęła do swojej portmonetki, wyciągnęła z niej kluczyk i położyła na stole przed Harrym. Mark i Daniel nachylili się, by móc się przyjrzeć, a Harry podniósł go i zmrużył oczy, żeby odczytać napis na trzpieniu.

- Zastanawiam się, co znaczy FEC? - spytał nie zwracając się właściwie do nikogo.

Stara dama zaskoczyła go natychmiastową odpowiedzią:

- Florida East Coast. Trasa kolejowa, którą dość często podróżowałam za moich młodych lat. Biegnie wzdłuż wybrzeża, od Jacksonville na południe, przez Daytona Beach, Palm Beach i Fort Lauderdale, a kończy się w Miami. Bardzo malownicza.

- Na pewno - zgodził się Harry. - Czy wie pani, co to jest?

- Oczywiście - odparła bezzwłocznie Wanda. - To klucz nastawny. Kierownik pociągu używa go do otwierania zwrotnic w różnych miejscach, aby ręcznie przestawić tory. Tego typu klucz powinien otworzyć każdą zwrotnicę na linii.

- Ale tutaj na nic by się to nikomu nie przydało, prawda? - spytał Harry, usiłując wykombinować, po co jeden z terrorystów miałby przy sobie nosić taki klucz.

- Nie, z całą pewnością nie. Nazywają to, jak mi się wydaje, kolejowymi pamiątkami.

Niektórzy ludzie je zbierają.

- Kto?

- Miłośnicy pociągów - odrzekła Wanda.

Nastąpiła długa cisza, zakłócana jedynie jednostajnym dudniącym stukotem pociągu, wytrwale wspinającego się w kierunku tunelu Connaught.

- O Boże - wyszeptał Daniel. - Mottbrown.

- Nie wierzę - odezwał się Cavendish.

- Ja też nie - powiedział Harry wpatrując się w klucz. - To nie miałoby sensu. Po co Howard pomagałby nam tak, jak to robił, gdyby był jednym z nich? A jaki niby miałby powód, żeby się do nich przyłączyć?

- Ten Mottbrown... - odezwał się spokojnie Groz. - Czy to taki niski człowiek podobny do aktora Daniela Pleasence'a?

- Zgadza się - przytaknął Harry.

- W takim razie nie jest tym waszym mordercą czy terrorystą - stwierdził stanowczo Niemiec. - Dziewczyna zwróciła uwagę na jedną rzecz. On był *schwarz*.

- Że co proszę? - spytał Harry.

- *Schwarz* - powtórzył Groz. - Ten człowiek był czarny.

- Jezus Maria! Hamilton Stackpole! - syknął Cavendish.

- To idiotyczne. - Harry zmarszczył brwi. - Jak on może być jednym z nich? Pracuje przecież dla Amtraku.

- No właśnie - skrzywił się Daniel. - Wszystko pasuje. Od początku karmił ich wszystkimi ważnymi informacjami. Kto, u diabła, zwraca uwagę na stewarda w pociągu? Był

w stanie podać im szczegóły dotyczące zabezpieczeń "Nocnej Sowy" linijka po linijce.

Powiedział nawet, że wybrali go na chłopca na posyłki. On jest tu wujem Tomem, a nikt nawet tego nie zauważył.

- Ale przecież przysłał do nas Norma Ketteringa - próbował jeszcze Harry, ciągle nie chcąc uwierzyć, że Stackpole jest człowiekiem terrorystów.

- Jasne - wtrącił się Cavendish. - Norm sam nam powiedział, że podróżując środkami transportu publicznego musi zgłaszać fakt posiadania przy sobie broni. Stackpole nie chciał, żeby mu się gdzieś pałętał facet ze spluwą, więc przysłał go nam. Po prostu wsadzali wszystkie jajka do jednego koszyka. Wiedząc, gdzie jesteśmy, mogli mieć nas na oku.

- Chyba się trochę zagalopowaliśmy - powiedział Harry. Oparł się o siedzenie kręcąc głową. - Stackpole!

- A teraz jest razem z naszym rannym gołąbkim - odezwał się Daniel. - Co z tym fantem zrobić?

- Wyciągnij go stamtąd - powiedział Cavendish. - Przyrowadź go tutaj pod jakimś pozorem. Powiedz, że potrzebujemy jego rady.

- Może to ja powinnam powiadomić pana Stackpole'a - zaproponowała Wanda Harry'emu. Spojrzała na Marka i Daniela. - Nie sądzę, aby któryś z pańskich przyjaciół

potrafił zachować teraz twarz pokerzysty.

- W porządku - zgodził się Harry. - Tam zresztą będzie pani bezpieczniejsza. -

Spojrzał przez ramię na Groza. - Może pan też zrobiłby to samo? Tutaj może być niebezpiecznie.

- Zostanę, gdzie jestem - oznajmił Groz. - Zapewniam pana, ten człowiek mnie nie przestraszy.

- Dobra, w takim razie niech go pani tu poprosi, Wando - polecił Harry.

Staruszka skinęła głową i wstała, odchodząc między rzędami pewnym krokiem kogoś, kto doskonale czuje się w trzęsącym pociągu.

- Co teraz? - spytał Daniel.

- Zamień się miejscami z Markiem i stąd pilnuj Stackpole'a. Mark, ty idź do tego stołu najbliższej drzwi. Jeśli będzie próbował wycofać się do części pasażerskiej, zabij go.

Chwyciwszy jeden z Ingramów, Cavendish odciągnął suwadło i usiadł za stołem z tyłu wagonu, trzymając mały karabin na kolanach. Daniel zajął fotel naprzeciwko Harry'ego po drugiej stronie przejścia. Groz natomiast został na swoim miejscu - ręce złożył na błyszczącej gałce laski, a jego poorana brzdami, ogorzała twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

Po kilku chwilach ukazał się Stackpole.

- Nie budzi się - powiedział idąc między rzędami.

- To nieważne, Hamilton - odezwał się Harry usiłując mówić spokojnie. - Usiądź. Jest coś ważniejszego, o czym musimy pogadać.

- O co chodzi? - spytał swobodnie steward siadając przed Harrym. Maxwell rzucił

klucz na obrus. Stackpole spojrzał na niego przelotnie.

- Co to jest? - zapytał.

- Dobrze wiesz, co to jest, sukinsynu jeden - powiedział Harry. - Pracowałeś kiedyś dla Florida East Coast.

- Nie wiem, o czym mówisz, chłopcze - odparł Stackpole marszcząc brwi.

- Nie nabieraj mnie tu na żadne "chłopcze". To twój klucz, Hamilton. Ten, który zgubiłeś na korytarzu po zamordowaniu mojego przyjaciela Adriana.

Stackpole nawet nie próbował przekonywać go o swojej niewinności. Skinął głową uśmiechając się lekko.

- Podśluchał mnie. Chciałeś, żebym sprawdził, która ubikacja się zatkała i w razie czego wybił okno, pamiętasz? Skorzystałem z tego czasu, by skontaktować się z moimi ludźmi na przodzie. Adrian usłyszał, jak rozmawiałem, i wszedł do przedziału. Nie miałem wyboru. On albo ja.

- Gówno prawda - mruknął Daniel. - Adrian nie był dla ciebie groźny. Nie musiałeś go zabijać.

- Powiedziałyby wam.

- Miałeś radio? - spytał Harry.

- Jasne. Moi ludzie dobrze mnie wyposażyli.

- Dlaczego się do nich przyłączyłeś? - zapytał Cavendish. - Ile ci zapłacili?

- Więcej, niż ta pieprzona kolej kiedykolwiek - prychnął Stackpole. - Walczyłem za ten pieprzony kraj i prawie umarłem za niego, a kiedy wyszedłem z wojska, pomyślałem: cholera, czasy się zmieniły - poszedłem więc do szkoły i dowiedziałem się, że nic się nie zmieniło. Byłem dalej małym Murzynkiem Bambo, tak jak cała reszta moich smoluchowatych przyjaciół. Chciałem zostać nauczycielem, lecz najlepsze, co dostałem, to była robota w Pennsylvania Railroad, kolego. A kiedy to się skończyło, dostałem pracę w Amtraku. I wiesz co? Wtedy myślałem, że w ogóle mam szczęście, że pracuję. Ale potem mi to zabrali. Powiedzieli, że jestem "zbędny" i zaproponowali mi emeryturę w wysokości połowy zarobków, jeśli odejdę bez robienia kłopotów. Złoty interes. Oddałem im połowę życia, a oni chcą mnie wykolegować za czterysta dolców miesięcznie. Kiedy więc nadarzyła się okazja zarobienia tylu pieniędzy, że wreszcie mógłbym coś zrobić ze sobą, wziąłem ją, a jakże, i nie żałuję.

- Nie żałujesz, że zabiłeś człowieka? - spytał cicho Harry. Mógł zrozumieć rozgoryczenie Stackpole'a, spowodowane tym, jak potraktowało go życie, nie mógł jednak ani zrozumieć, ani przebaczyć morderstwa swojego przyjaciela.

- Nie - odparł Stackpole patrząc Harry'emu prosto w oczy. - Nie stać mnie już na żal.

Murzyn wstał powoli, wydając z kieszeni lewą rękę. Trzymał w niej tekturową tuleję wielkości małej puszek do napojów.

- Chyba żartujesz - mruknął Harry, wpatrując się w niewielki przedmiot.

- Przykro mi - powiedział Stackpole. - To belgijski granat ręczny, który wyrzuca z siebie około pięciuset kawałków stalowego drutu. Wystarczy, żeby zamienić was wszystkich w hamburgery. Nawet gdyby ktoś mnie zastrzelił, zdążę was zabić. To świństwo ma podobno zasięg stu trzydziestu stóp. Takie same zabawki przymocowano do drzwi, więc bez kawałów, jasne?

- Nie ma sprawy - rzucił znużonym głosem Harry.

- Mądry chłopiec - powiedział Stackpole z uśmiechem. Mając oko na Harry'ego, Daniela i Cavendisha odwrócił się i zaczął iść tyłem w kierunku przodu wagonu, trzymając granat w wyciągniętej ręce. Siedzący za nim Wolfgang Groz również się uśmiechnął, jakby przyszło mu na myśl coś zabawnego. Po cichu przekręcił gałkę umieszczonej między nogami laski i wyciągnął ostrze - bezustanny stukot kół zagłuszył delikatny odgłos wysuwania stali z hebanowej pochwy.

Kiedy Stackpole przechodził obok jego stolika, Groz uniósł sztylet. Ciągłe trzymając laskę dwiema rękami, obrócił się lekko i wstał z miejsca, ostrze zaś przecięło marynarkę i koszulę stewarda, przechodząc między trzecim a czwartym żebrzem i zatrzymując się w lewej komorze jego serca. Następnie Niemiec użył sztyletu jako dźwigni i pchnął lekko do tyłu.

Ostrze, zrobione przed prawie stu laty przez spółkę, która więcej zarobiła od tego czasu na żyłtkach, wcięło się w klatkę piersiową Stackpole'a, przecinając mu serce na połowę. Z

niemal wyrafinowaną obojętnością Wolfgang Groz puścił laskę i nachylił się, żeby wyjąć granat z nie stawiającej już oporu dłoni Murzyna. Steward zakaszłał krótko, z ust trysnęła mu krew. Upadł twarzą w dół na podłogę wagonu. Groz wpatrywał się w ciało, leżące w coraz bardziej powiększającej się kałuży krwi.

- *Scheisse* - prychnął gniewnie. Spojrzał na oniemiałych mężczyzn, przykutych do foteli w odległości paru stóp od trupa. - Rzeczywiście nie było sprawy - powiedział, a ogorzała twarz rozszerzyła mu się w uśmiechu. - Na dźwigience zabezpieczającej była jeszcze agrałka.

- Chryste Panie! - wyszeptał Daniel Pendergast. - Chyba się zlałem!

- Żadnych wieści od pana Białego? - spytała Annalise Shenker wracając z lokomotywy do wagonu pocztowego.

Mohamed Kawi zaprzeczył ruchem głowy i dalej sprawdzał obszycie czterech dużych wojskowych worków leżących przed drzwiami wagonu. Na stole, który służył kiedyś strażnikom Departamentu Skarbu za centrum komunikacyjne, stał mały wojskowy aparat nadawczo-odbiorczy, a jego długa antena biczowa drgała bez przerwy w pędzącym pociągu.

Będąc tak blisko pracującego na pełnych obrotach diesla i jego zespołu B, terrorystka musiała podnosić głos, żeby było ją słychać.

- A co z Raoulem i Lisą? - zapytała marszcząc brwi.

- Nic - odparł Kawi. Wstał, zadowolony z wyniku kontroli. - Myślę, że zostali zabici albo złapani.



- Więc zostało nas tylko troje - powiedziała Shenker. - A już prawie po wszystkim.

- Jak się czuje Sheila? - spytał Kawi.

- Jest bardzo zmęczona. Dexedrina podtrzymywała ją do tej pory, ale i tak jest jej coraz trudniej.

Shenker opadła na krzesło przy stole z radiem. Twarz zwiotczała jej ze zmęczenia i patrząc na nią Kawi zastanawiał się, jakim sposobem mogła mu się kiedykolwiek wydawać atrakcyjna. Tutaj, teraz, kiedy napięcie ostatnich dni tak widoczne było na jej twarzy, pod bezduszną piękną maską dostrzegął rzeczywistą kobietę. Była to twarz kogoś, kto umarł

dawno temu i Libijczyk rozmyślał nad tym, co mogło taką kobietę jak ona zmienić w istotę o kamiennym sercu. Ich zbliżenie przed paroma godzinami było odrażające. Pożądanie samicy pająka, która chce pożreć swojego partnera. Jej pocałunki miały smak pierwszej grudki ziemi rzuconej do grobu.

Dużo łatwiejsze do zrozumienia było jego zaangażowanie w sprawę. Straciwszy oboje rodziców w obozie dla uchodźców, mając sześć lat stał się ofiarą rewolucyjnej retoryki Kadafiego. W wieku lat dwudziestu jedyną robotą, do jakiej się naprawdę nadawał, było zabijanie. Retoryka dawno już przeminęła, praca natomiast została i czerpał z niej nawet pewną zawodową satysfakcję, ale nic poza tym.

- Ile jeszcze? - zapytał.

- Sheila mówi, że minęliśmy właśnie bocznice Rogers. Nie więcej niż dziesięć mil.

Piętnaście albo dwadzieścia minut.

- A tunel?

- Wkrótce będziemy wiedzieć. Sheila wie, czego szukać. Jeśli światła ciężarówki będą zapalone, to znaczy, że są w tunelu, tak jak się spodziewaliśmy.

- Jeżeli Azziz dojedzie na czas - mruknął Kawi.

- Dojedzie - powiedziała Shenker uśmiechając się zimno. - Doskonale wie, że jeśli nie przyjedzie, to jego życie nie będzie warte funta kłaków. Świat pełen jest takich, którzy byliby szczęśliwi mogąc pomścić naszą śmierć.

- To zaszczyt, którego chętnie bym uniknął - odpalił Kawi.

- Sprzykrzyła ci się zabawa? - spytała. Libijczyk wzruszył ramionami.

- To nigdy nie była dla mnie zabawa, Annalise. Po prostu robię to.

- Stachanowiec, co? - zadrwiła Shenker. - Bezimienny członek wielkiego proletariatu?

Ten obrazek nie bardzo do ciebie pasuje.

- Nie prowokuj mnie, Annalise - ostrzegł Kawi. - Nie mamy czasu.

- Masz rację - powiedziała terrorystka. Obróciła się i wzięła ze stołu mały nadajnik, po czym wstała wsuwając go do zamykanej na zatrzask górnej kieszeni kurtki, - Wiesz, co i jak?

Kawi skinął głową.

- Za pięć minut na drzwiach wagonu z miejscami siedzącymi będzie założony ładunek. Kiedy pociąg się zatrzyma, nikt nie będzie w stanie wyjść, chyba że przejdzie po dachach wagonów, tak jak Raoul i Lisa. Nawet jeśli rozwałą parę okien, to i tak tylko bardzo niewielu będzie mogło uciec, zresztą znajdą się wtedy trzysta stóp na przepaścią... Po założeniu ładunku wracam tutaj i czekam, aż pociąg się zatrzyma, wtedy otwieram drzwi.

- Jeśli będzie tam Azziz z ciężarówką, powinno się udać. - Libijczyk wskazał ręką nadajnik w kieszeni Shenker. - Masz zamiar tego użyć? - spytał.

- Oczywiście - odparła, najwyraźniej zaskoczona, że w ogóle o to pyta. - Jeśli napotkamy jakieś trudności, będzie to pożyteczne narzędzie przetargowe, kiedy zaś już uciekniemy - ostatni gest. Może Amerykanie pomyślą dwa razy o swojej nowej polityce dotyczącej wojny chemicznej i biologicznej, kiedy zobaczą ją użytą tak blisko domu.

- Amerykanie myślą dwa razy tylko o seksie i pieniądzu - powiedział Kawi. - To ich największa siła i zarazem najgorsza wada.

Shenker zignorowała ten komentarz i spojrzała na zegarek.

- Już czas - powiedziała. - Załóż ładunek.

- Szybciej, szybciej! - popędzał Harry pochylając się nad ramieniem Daniela.

- Zamknij się! Robię najszybciej, jak mogę.

Malarz kartkował cienką książeczkę - palce mu się plątały, a pot piekł w oczy i zbierał

się pod pachami. W wagonie restauracyjnym byli też Norm Kettering, Frank Sagadore i Walter Linberg, którzy dołączyli do pozostałych, gdy Wanda Jenkins podniosła alarm.

Sagadore stał przy odsłoniętym już oknie i z nosem przylepionym do szyby próbował zorientować się w okolicy.

- Właśnie przejechaliśmy jakiś most! - zawołał głośno.

- Cholernie pomocna wskazówka! - jęknął Daniel. - W tej książce jest z tuzin przeklętych mostów. Co jeszcze widzisz?

- Dużo wielkich cieni - odparł Sagadore. - Góry, w oddali rzeka. Nie, poczekaj. Cholera, tak! Kilka torów. Jakaś bocznica! Długi most, a za nim bocznica!

- Chwileczkę - mruknął Pendergast. - Rzeka Beaver... Cupola Creek... Alder Creek...

Jest! Most Mountain Creek, a zaraz za nim miejsce zwane Griffith! Bocznica na sto czterdzieści wagonów. Chryste, mam nadzieję, że tu się wszystko zgadza.

- Nie przejmuj się - odezwał się Harry. - Co jest między tą bocznicą a tunelem?

- Zaraz, zaraz. Dobra, mam... Most Bryanfs Creek.

- Jaki długi?

- Osiemdziesiąt trzy stopy.

- Nie nadaje się, jedź dalej.

- Cedar Creek, dwieście dwadzieścia dwie stopy. Sturdee - to wieża ciśnień. Raspberry Creek, sto siedem stóp... Most Mud Chute, czterdzieści stóp - do diabła, też niedobry.

Cutbank, następna bocznica. Zaraz, tutaj coś jest. Most Stoney Creek, podwójne przęsło nad Stoney Creek, długości czterystu osiemdziesięciu czterech stóp. Tak... tak, to najwyższy most na linii Canadian Pacific, trzysta dwadzieścia pięć stóp nad korytem potoku. Zaraz za nim jest stara bocznica i zbiornik wodny. - A dalej? - spytał Harry.

- Nic. Następnym ciekawym miejscem według książki jest tunel Connaught.

- Okay - powiedział Harry. - Zakładamy, że to ten most Stoney Creek. Jak daleko od niego jesteście?

- Griffith jest na siedemdziesiątej pierwszej mili w tym rejonie. Most na siedemdziesiątej szóstej.

- Pięć mil - odezwał się Sagadore, ciągle badający wzrokiem mroczny krajobraz za oknem. - Liczyłem słupki. Na tym wzniesieniu nie jedziemy szybciej niż trzydzieści pięć czy czterdzieści mil na godzinę. To nam daje jakieś siedem-osiem minut.

- Czas na długą, porządną modlitwę - mruknął Linberg rozparty na jednym z krzeseł

restauracji.

- Nie jest aż tak źle. Zastanówcie się - powiedział Harry. - Przypuszczalnie staną na tym moście. Może mają zamiar go wysadzić, nie wiem. Tak czy siak, jest to najbardziej prawdopodobne. Ten pociąg ma dużo więcej niż czterysta osiemdziesiąt cztery stopy, co znaczy, że część wagonów będzie stała na solidnym gruncie, pewnie po obu stronach mostu.

Jak tylko stanie, zaczniemy wyładowywać ludzi.

- A niby jak, do diabła, mamy tego dokonać? - spytał Cavendish.

- Jesteśmy w stanie to zrobić - upierał się Harry, w którego żyłach krążyła szybko adrenalina, dając mu poczucie pewności siebie i siły. - Miejmy oko na to, jak staniemy w stosunku do mostu. Jeśli będzie wyglądało, że poza nim jest większość wagonów przednich, przesuniecie ludzi na przód. Możecie być pewni, że zaminowali tam jakieś drzwi, więc bądźcie ostrożni. Kiedy dotrzecie do wagonu, który nie będzie już stał na moście, ktoś będzie musiał

wyzwolić ładunek na drzwiach zewnętrznych.

- Jak? - spytał Daniel.

- Obwiąż sznurkiem i pociągnij. Zwiąż sznurowadła. Nieważne jak, po prostu rozwal je i zacznij wysadzać ludzi, gdy tylko opadnie dym.

- W szafce w naszym wagonie widziałem szpulę drutu - odezwał się Wolfgang Groz. -

Myślę, że nadałby się do tego.

- Więc niech go pan przyniesie - powiedział Harry. Skinąwszy głową starszy wstał i skierował się na tył pociągu.

- A co, jeśli to będzie któryś z wagonów z pojemnikami węgla? - spytał Linberg.

- Idźcie naprzód tak długo, aż dojdziecie do wagonu bez kanistra. To nie ma znaczenia, jeśli ludzie zaczną wysiadać, jak tylko pociąg stanie.

- Będzie tych ludzi sporo - powiedział Linberg. - Potrwa to chwilę.

- Lepiej żebyśmy uratowali część, niż nikogo. Co chcecie robić? Siedzieć tu i czekać na to, co nam zgotują?

- A może powiedziałbyś, co ty masz zamiar robić? - odezwał się Kettering cedząc słowa. - Cały czas rozkazujesz innym. Jaka będzie twoja rola w tym wszystkim?

- Wychodzę przez okno piętusa - odparł Harry. - Natychmiast.

- Po dachach wagonów? - spytał z niedowierzaniem Linberg. - Jesteś szalony. To świństwo co trzydzieści sekund zarzuca na zakrętach.

- Ta dwójka z panoramicznego zrobiła to niedawno - powiedział Harry. - Więc ja też mogę. Któryś z terrorystów ma ten cholerny nadajnik do rozpieprzenia pojemników. Stawiam na Shenker - tę piękną. Chce się dostać do niej, zanim będzie mogła pociągnąć za spłuczkę tego przeklętego pociągu.

- Sam? - spytał Kettering.

- Owszem, chyba że ktoś inny chce pójść na ochotnika - odparł Harry patrząc po zgromadzonych w

wagonie.

Góry Selkirk w Kolumbii Brytyjskiej położone są na zachód od Gór Skalistych.

Należą one do najmłodszych gór na świecie. W okresie jurajskim i we wczesnym trzeciorzędzie, sto dziewięćdziesiąt pięć milionów lat temu, góry te - już wtedy ogromne -

uległy licznym odkształceniom i sfałdowaniom, które powykręcały i porwały gigantyczne szpice skalne, potworzyły kaniony i rozległe płaskowyże, a także odwróciły bieg jednej rzeki z północy na południe z taką łatwością, z jaką dziecko tworzy małe światy na plaży oceanu. Epoki lodowcowe przychodziły i mijały, monstrualne dinozaury ciężko stąpały po przepaścistych wąwozach i w końcu - siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt milionów lat temu -

rozwrosł się tu bujnie świerk, jodła, tsuga i cedr, i potężne lasy zaczęły okrywać poszarpane skały niczym gruby zielony koc. Aż do roku tysiąc dziewięćsetnego obszar ten nie był

właściwie w ogóle zbadany, a niecały wiek obecności człowieka nie wywarł prawie żadnego widocznego wpływu na tę krainę, w której czas właściwie stał w miejscu. Za dnia można jeszcze dojrzeć nikiłe ślady ludzkiej działalności - wąskie szosy, linie elektroenergetyczne i dwie linie kolejowe czepiające się stoków potężnych gór; kiedy jednak zapada ciemność, czas jakby się cofa i cywilizacja znika. Góry stają się zębami gigantycznego smoka, rzeki zmieniają się w oświetlone światłem księżyca szkło, a lasy ciągną się jak okiem sięgnąć, zalegając ponuro w nocnej ciszy.

Wiatr, który powstał pod wpływem ruchu pociągu, z trudem wspinającego się przez Rogers Pers, szarpał ubranie Harry'ego Maxwella, temperatura zaś - mimo że był czerwiec -

spadła tak, że ręce mu skostniały. Każdy przechyl pociągu na zakręcie groził mu sturlaniem się z wąskiego dachu wagonu i w każdej sekundzie spodziewał się krzyku Daniela albo Marka, spadających w wąwóz ziejący po lewej stronie czy też roztrzaskujących się o skalną ścianę wznoszącą się prawie pionowo po prawej.

Zesztywniał przerażony, kiedy pociąg szarpnął na ostrym zakręcie, a następnie wjechał na rozbrzmiewające echem płyty kolejnego mostu. Zastanawiając się, czy ta straszliwa męczarnia kiedykolwiek się skończy, skupił wzrok na ledwo widocznym w oddali garbie lokomotywy. Powiedział sobie, że najgorszy był pierwszy krok - ze strzaskanego okna przedniego piętrusa - i dalej ostrożnie posuwał się naprzód, czekając zawsze na prosty odcinek torów, zanim przeskoczył z jednego wagonu na drugi. Wszyscy trzej posuwali się tak szybko, jak tylko mogli - zgarbieni, na szeroko rozstawionych nogach, chwytając się wyżłobionych krawędzi dachu każdego wagonu. Żaden z nich nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od momentu, kiedy wypęzli z piętrusa, zbyt mocno zajęci byli utrzymaniem równowagi.

Harry dotarł do końca kolejnego wagonu i zatrzymał się, leżąc z szeroko rozłożonymi ramionami i nogami. Serce tłukło mu się boleśnie w piersiach, gdy oddychał głęboko, usiłując zmusić się do dalszej drogi. Nagle zdał sobie sprawę, że dach wagonu przed nim był inny od tych, które minął. Już jakiś czas temu z płaskich dachów wagonów kanadyjskich przeszedł na dużo bardziej niebezpieczne, zaokrąglone dachy Amtraku, teraz jednak ten z przodu był

znowu płaski. Wyteżając wzrok, z trudem dojrzał w ciemności podwójny rząd wentylatorów i rozpoznał wagon. Był to RPO.

W chwilę później dwaj pozostali mężczyźni dobili do niego.

- Dlaczego stanęliśmy?! - wrzasnął Daniel, trzymając usta o cal od ucha Harry'ego i usiłując przekrzyczeć ogłuszający łoskot pociągu.

Harry wskazał do przodu, drugą ręką trzymając się mocno dachu wagonu.

- RPO! - zawołał. - To już koniec!

- Co teraz robimy?! - krzyknął Mark Cavendish, klękając obok Maxwella i zginając obolałe ramiona. Uprząż mocująca jego protezy obtarła mu boleśnie skórę.

- To musi być ten wagon z dziurą w drzwiach - zawołał Harry. - Możemy spuścić się do połączenia między wagonami i wejść tamtędy.

- Dlaczego nie iść dalej?! - ryknął Daniel. Harry potrząsnął głową.

- Zbyt ryzykowne! Mogliby usłyszeć, jak poruszamy się po dachu!

Nie martw się. Już to raz robiłem, pamiętasz? Z boku wagonu są uchwyty. Możemy po nich zejść i wskoczyć przez dziurę do środka.

- Masz fioła! - zawołał Cavendish.

- Zgadza się - odparł Harry. - Dlatego właśnie tu jestem.

- Hej! Zwalniamy! - wrzasnął Daniel.

Harry uniósł głowę i spojrzał w dół. Pendergast miał rację, drganie pociągu pod nimi zmieniało się, podobnie jak odgłos lokomotywy. Wyciągając szyję, rozejrzał się dookoła - nie było nic widać poza majaczącym ogromem pokrytego drzewami zbocza z prawej strony i cienką, krętą linią rzeki Beaver daleko pod nimi po lewej.

- To musi być to! - ryknął.

Następnie, rozpaczliwie usiłując nie myśleć o tym, co robi, wstał i wszedł na huśtające się harmonijkowe połączenie między przednim wagonem z miejscami siedzącymi a RPO.

Klękawszy, przesuwiał się cal po calu, aż dostrzegł pierwszy uchwyt z boku wagonu. Opuścił

nogi do przodu, łapiąc się jedną ręką metalowego uchwyty w kształcie litery "u" i zsuwając z połączenia.

Przez jedną straszną chwilę myślał, że ręce za bardzo mu skostniały, by uchwycić drążek, zaraz

jednak jego zwisająca stopa znalazła jeden z dolnych szczebli i był już bezpieczny. Pociąg zwolnił tymczasem do niemal żółtego tempa. Spoglądając w górę Harry zobaczył jakiś cień zasłaniający mu widok - to Daniel szedł za nim. Potem spojrział w dół i świat się skończył.

Pociąg zbliżał się do mostu Stoney Creek, przejeżdżając nad pierwszym z trzech przęseł. Most, zbudowany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku i od tego czasu wiele razy przebudowywany, nie miał prawie naddatku, toteż Harry znalazł się nagle zawieszony nad mroczną otchłanią kanionu Stoney Creek. Z odległości ponad trzystu stóp cienka linia strumienia była prawie niewidoczna. Poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Wiedział, że jeśli chce przeżyć, musi jak najszybciej oderwać się od bocznej ściany wagonu. Z zamkniętymi oczami zszedł w dół na kolejny szczebel, po czym wystawił lewą nogę, próbując wymacać nią otwór powstały po wybuchu bomby. Mając wszystkie mięśnie napięte jak druty, szukał stopą - nagle poczucie metalu pod podeszwą buta było tak wielką ulgą, że prawie puścił uchwyt. Otworzywszy oczy, wpatrzył się w ścianę wagonu, a następnie uwolnił lewą rękę, usiłując znaleźć jakiś punkt zaczepienia w środku wagonu. Jego palce natrafiły na zaokrąglony koniec zwisającego kabla. Pociągnął raz, żeby sprawdzić, czy utrzyma jego ciężar, po czym nabrał powietrza i skoczył. Skierowana do góry lufa założonego na plecy Ingrama uderzyła go za uchem i lekko ogłuszyła. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, szybko jednak się otrząsnął i wciągnął do wagonu. Opadł pod wewnętrzną ścianę, dysząc ciężko.

Pociąg zwalniał coraz bardziej. Po chwili na podłogę przedsionka upadł jak kłoda Daniel Pendergast, nie mogąc złapać tchu. Podźwignął się na kolana i spojrział na Harry'ego.

- Nigdy więcej, Maxwell. Nigdy więcej nie pójde na żaden z twoich porąbanych pomysłów - jęknął.

- A co z Markiem? - spytał Harry, wciąż usiłując złapać oddech.

- Został na górze - odparł Daniel, podnosząc się i przekręcając Ingrama tak, żeby móc z niego strzelać. - Powiedział, że nie da rady na tych szczeblach ze swoimi rękami. Będzie nas osłaniał z dachu.

- W porządku - mruknął Harry.

W tym momencie pociąg szarpnął i niemal się zatrzymał, zmniejszając prędkość do minimum. Daniel wychylił się przez dziurę w boku wagonu.

- Jesteśmy prawie za mostem - powiedział odwracając się do Harry'ego. - Co teraz?

- Cofnij się, żeby nikt nas nie zobaczył - polecił Harry zniżając głos. - Dajmy im trochę czasu, żeby zaczęli coś robić, a potem wchodzimy przez te drzwi - wskazał lufą swego półautomatu na drzwi wagonu pocztowego.

- A jeśli są zamknięte? - zapytał Daniel.

- Nie powinny - odparł Harry kręcąc głową. - W razie czego pójdziemy bokiem.

Zapisały hamulce i pociąg stanął gwałtownie. Zaraz potem obaj usłyszeli zgrzytliwy dudniący odgłos.

- A to co, do diabła? - spytał Daniel.

- Drzwi RPO - mruknął Harry. - Te sukinsyny kradną nasze pieniądze!

- Nasze pieniądze? - Daniel aż rozdziawił usta ze zdumienia. - Jezus Maria, Harry, ty chyba nie myślisz jeszcze ciągle o tamtym, co?

- Owszem, do cholery. Nie przeszedłem przez to wszystko dla zdobycia jakiejś pieprzonej sprawności harcerskiej. Chcę dostać to, co moje.

- Mogłem mieć dobrą pracę jako nauczyciel wychowania plastycznego w podstawówce, a tu proszę - sterczę w środku Gór Skalistych z jakimś maniakiem - wyszeptał

z niedowierzaniem Pendergast. - Umrę, żeby Harry Maxwell mógł dowieść czegoś świata. A niech to szlag!

- Nie umrzesz, do cholery! - warknął na niego Harry. - Zamknij się i rób, co ci mówię.

Podszedł bliżej do drzwi, czekając w napięciu, a za nim Daniel - obaj ukryci w mroku przedsionka. Jedynym dźwiękiem było drżenie chodzącego na wolnych obrotach silnika i nierówny metaliczny szcęk rozgrzanych łożysk kół, które zaczynały stygnąć w chłodnym nocnym powietrzu. Spodiewając się w każdej chwili usłyszeć strzały czy to ze strony terrorystów, czy Cavendisha, Harry wstrzymał oddech. Nic jednak nie nastąpiło. Zrobiwszy jeszcze krok do przodu wyciągnął wolno rękę, próbując uchwycić drzwi RPO. Klamka nie stawiała oporu. Skinął głową Danielowi, który stał teraz obok, po czym zamknął oczy wypuszczając wolno powietrze. Zobaczył w myślach wyrazisty obraz pojemników przypominających termosy, porozmieszczanych w całym pociągu. Jeśli nie złapie tej Shenker na czas...

Względna ciszę rozerwał nagle ryk uruchamianego silnika, tak niespodziewany, że Harry wzdrygnął się, omal nie upuszczając broni.

- Motocykl? - wyszeptał zdezorientowany Daniel.

W tym momencie rozległ się z góry terkot Ingrama Marka. Czekanie skończyło się.

Harry nacisnął klamkę, walnął ramieniem w drzwi i z trzaskiem wleciał do wagonu pocztowego z bronią gotową do strzału. Daniel wpadł za nim. Światło wagonu na moment oślepiło Maxwella - zmrużył oczy pod wpływem tego nagłego blasku, mając niejasną świadomość czyjejs obecności w szerokich drzwiach RPO. Mężczyzna odwrócił się i Harry rozpoznał w jego rękach pękaty kształt karabinu z obciążoną lufą. Na oślep nacisnął spust Ingrama, zasypując drzwi gradem pocisków niczym woda z gaśniczego węża. Mohamed Kawi, obciążony ostatnim z wojskowych worków, nie wydał z siebie żadnego dźwięku, kiedy gęsty strumień lecących z dużą prędkością pocisków przeszył mu klatkę piersiową. Jego karabin wystrzelił w dach RPO, gdy on sam wylatywał na żuźlowe pobocze.

Harry i Daniel rzucili się do przodu, trzymając się z dala od możliwej linii strzału, i dopadli szeroko otwartych drzwi wagonu w samą porę, by zobaczyć, jak Annalise Shenker odjeżdża gwałtownie z



kręgu światła padającego ze środka, siedząc na trzykołowym motocyklu terenowym. Jeszcze dwa takie motory, każdy z torbą przywiązaną do bagażnika, stały przy niebiesko-białej ciężarówce. Między nimi leżało ciało Sheili Teng. Z mroku nad drzwiami dobiegł jakiś głos.

- Cholera! Spudłowałem! - Był to Mark.

Harry przystanął, a następnie zeskoczył na ziemię przy wagonie, Daniel zaraz za nim.

Shenker jechała bez świateł, ale Harry słyszał dźwięk trzykołowca oddalający się w lewą stronę.

- Złaż tu! - krzyknął do Cavendisha.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł naprzód i wskoczył na jedną z maszyn, szukając sposobu jej uruchomienia. Znalazł na kierownicy guzik elektrycznego zapłonu i nacisnął go, modląc się, by zadziało. Honda z rykiem zapaliła. Obracając się na siedzeniu dostrzegł, że Daniel był już na drugim motorze. Z tyłu, za nim, zobaczył pociąg rozciągnięty na całym moście, aż do drugiego brzegu wąwozu. Zupełnie bez sensu przyszedł mu do głowy strzęp wersu z jednego z jego starych katechizmów: *Skończona bitwa ze Smokiem czarnym, Mistrz nasz, Chrystus, pomieszał zastępy jego; sfory piekielne złamane są i okielznane*. Parsknął

głośno. Chrystusem raczej nie był, a "bitwa ze Smokiem czarnym" nie skończy się, dopóki nie zginie ostatnia z piekielnej sfory.

Rozległ się głuchy odgłos, a po nim przekleństwo - Mark Cavendish zeskoczył z dachu przedniego wagonu, przewracając się na ziemię. Rzucił się ku nim, Daniel tymczasem zapalił drugi motor.

- Na tył! - wrzasnął Harry wskazując kciukiem za siebie. Szukając po omacku stopą, udało mu się w końcu włączyć napęd i maszyna z niemal łamiącym kark szarpnięciem ruszyła. Harry poczuł stalowy hak Marka obejmujący go mocno i głośno wypuścił powietrze.

- Przepraszam! - krzyknął weteran. Motocykl uderzył w tory tuż przed lokomotywą i wyskoczył w powietrze, spadając na ścieżkę z drugiej strony. - Gdzie my, do cholery, jedziemy?

- Powiedziałeś, że spudłowałeś! - wrzasnął Harry przez ramię. - Chcę ci dać jeszcze jedną szansę.

- Gdzie ona pojechała?

- Skąd mam wiedzieć, do diabła! Jest tu tylko ta ścieżka, więc musi gdzieś tam dalej być.

Tymczasem otwarty teren wokół wsporników mostu zwęził się i zaczął opadać po zboczu góry. Ścieżka była ledwo wystarczająca dla motoru, po obu jej stronach rósł gęsty zagajnik cedrowy. Silnik najwyraźniej cierpiał, ale Harry nie miał czasu uczyć się zmieniania biegów, więc po prostu jechał dalej, otwierając przepustnicę prawie maksymalnie. Z tyłu słyszał maszynę Daniela i wdzięczny był przyjacielowi za to, że znalazł włącznik reflektora. Światła drugiego motoru nie były zbyt mocne, ale wystarczały, by ukazać najgorsze nierówności terenu. Mimo to jazda urwistą ścieżką, wijącą się pośród skał i krzewów jeżyny, była koszmarem.

Nagle, niczym pod wpływem czarów, dróżka otwarła się na gładką przestrzeń Autostrady Transkanadyjskiej.

Harry'emu nawet do głowy nie przyszło zwolnić. Shenker z całą pewnością nie pojechała w żadną stronę pustą, oświetloną blaskiem księżyca asfaltową szosą. Skoczył przez autostradę między drzewa po drugiej stronie, mając ciągle za sobą pędzącego na łeb, na szyję Daniela.

Przez całą minutę po zatrzymaniu się pociągu na moście wyglądało, jakby wszyscy w nim wstrzymali oddech. Poza metalicznym szcękiem stygnących podwozi wagonów panowała absolutna cisza. Potem pasażerowie stłoczeni w tylnych wagonach zaczęli odzywać się do siebie, najpierw cicho, stopniowo jednak coraz głośniejsze. Jeden przez drugiego brali się za odsłanianie okien, a kiedy do ich świadomości dotarło niebezpieczne ustawienie pociągu wysoko nad wąwozem, zaczęła narastać panika. Gdy zaś uszu ich doszły z oddali przytłumione odgłosy strzałów, wybuchła histeria. W ciągu kilku sekund każdy, kto mógł, zerwał się z miejsca i ruszył w stronę tyłu pociągu, intuicyjnie czując, że zbliża się punkt kulminacyjny koszmaru, w jakim ostatnio żyli. Przejścia między fotelami zostały prawie natychmiast zablokowane. Rozległy się krzyki ludzi tratowanych przez innych, usiłujących dotrzeć do jakiegokolwiek wyjścia, które pozwoliłoby im uciec od horroru mostu i ziejącej pod nim otchłani. Było to jak scena żywcem przeniesiona z Dantego i musiało skończyć się tragicznie. Gdy horda pasażerów cisnęła się w kierunku końca pociągu, zniknęła wszelka logika i zdrowy rozsądek. Nie było tu miejsca na żadne akty heroizmu, wszechwładnie panował strach i wszelkie szlachetne myśli w rodzaju: "najpierw kobiety i dzieci" -

zagłuszyło przemożne pragnienie przeżycia. Wielu słabszych pasażerów zostało zepchniętych na bok w przedsionku między dwoma pierwszymi wagonami sypialnymi w składzie VIA i jakaś kobieta zahaczyła łokciem o drut będący detonatorem ładunku założonego na drzwiach zewnętrznych. Mina wybuchła z potwornym hukiem, zmieniając przedsionek w kłębowisko poszarpanych metalowych fragmentów wnętrza wagonu wrzynających się w ludzkie ciała i kości. Ze dwadzieścia osób zginęło w ułamku sekundy, a kilkanaście innych odniosło ciężkie rany. Prawie równie tragiczne skutki miało zapalenie się w wyniku eksplozji pojemników z płynem czyszczącym, które stały w szafce przylegającej do przedsionka. W niecałą minutę końce obu wagonów sypialnych stały się płonącym piekłem. Ogień zaczął pełznąć w obie strony, zawracając pasażerów i skutecznie odcinając dostęp do tyłu pociągu.

W momencie wybuchu Norm Kettering i Howard Mottbrown wracali właśnie do tylnego panoramicznego wagonu i tylko dzięki ogromnej sile policjanta udało im się przepchać z powrotem do restauracji. Tłum pasażerów deptał im po piętach.

- Lepiej zabarykadujcie drzwi - wysapał Mottbrown, zataczając się w kierunku fotela i ciężko oddychając. - Oni tam wszyscy zupełnie poszaleli.

- Howard ma rację - powiedział Kettering, przesuwając jeden ze stołów i blokując nim przejście. - Gdzie jest *Frau Margay*? - zapytał Wolfgang Groz, a w głosie jego wyczuwało się niepokój.

- Widziałem ją jakiś czas temu - odparł Mottbrown, którego klatka piersiowa jeszcze gwałtownie falowała po szaleńczym wysiłku. - Mówiła, że wraca do przedziału. Coś o tym, że musi się zaopiekować tą dziewczyną.

- I ciągle tam jest? - spytał Sagadore, pomagając Ketteringowi i Linbergowi zebrać na stos pod drzwiami więcej stołów i krzeseł.

- Przypuszczam - powiedział Mottbrown.

- *Lieber Gott!* - krzyknął Groz ruszając w kierunku drzwi. Linberg położył dłoń na ramieniu starca.

- Nie może pan tam wrócić - powiedział cicho. - Nigdy pan nie przejdzie. Niech się pan nie martwi, Wanda umie zadbać o siebie. Jeżeli jest w wagonie panoramicznym, powinna być bezpieczna. Mamy tu własne problemy, sir.

- Czy ktoś sprawdzał z przodu? - spytał Kettering. Sagadore kiwnął głową.

- Tak. Walt i ja. Na drzwiach, dwa wagony dalej, jest dosyć plastiku, żeby posłać nas wszystkich do piekła i z powrotem. Wygląda na to, że Maxwell i jego przyjaciele wybrali łatwiejszą drogę, wychodząc po dachach.

- Więc co robimy? - wybuchał Kettering, stawiając ostatni stół na barykadzie.

- Zaplanowali to całkiem dobrze - odezwał się Linberg. - Wagon z ładunkiem wybuchowym na drzwiach jest również jednym z tych, w których są pojemniki z węglikiem, a do tego ostatnim na moście. Jesteśmy w pułapce, niezależnie od tego, co zrobimy.

- W takim razie musimy ściągnąć pociąg z mostu - powiedział Mottbrown.

- A niby jak to zrobimy? - zapytał Kettering. - Mamy tam z tyłu ponad sześćset panikujących osób, a za nimi pożar. Nie mówiąc już o kanistrach z węglikiem.

- Węglikiem ja się zajmę - odezwał się Groz. - Jeśli uda nam się usunąć pojemniki z przednich wagonów, można je będzie wsadzić do jednej z ubikacji. Wtedy, nawet jeśli wybuchną, zarazki nie rozprzestrzenia się tak szybko.

- Okay - zgodził się Sagadore. - Ale to dalej nie mówi nam, jak ściągnąć pociąg z mostu.

- Trzeba wyjść przez klapę - odezwał się Mottbrown. - Tę samą, z której korzystał pan przedtem razem z panem Linbergiem. Potem można by uruchomić lokomotywę.

- Jak? - spytał Sagadore. - Nie jestem maszynistą.

- Ja mógłbym to zrobić - powiedział Mottbrown, przełykając z trudem ślinę. -

Przyrządy są w sumie całkiem proste.

- Uważa pan, że przeszedłby sto pięćdziesiąt stóp czy więcej po otwartej estakadzie? -

spytał sceptycznie Kettering.

- Mógłbym spróbować - odparł słabo Mottbrown. - Nie mam specjalnej głowy do wysokości, ale...
- Jak proste są te przyrządy? - przerwał mu Sagadore.
- Bardzo.
- Może mnie pan szybko nauczyć?
- Chyba tak.
- Dobrze, ja tam pójde. Doskonale widzę po ciemku, a wysokość wcale mi nie przeszkadza.
- Lepiej szybko dotrzyj do tej lokomotywy - powiedział Kettering, zerkając nad barykadą. Pasażerowie uciekający teraz w kierunku czoła pociągu tłoczyli się już w Daynighterze. - Rodacy zaczynają się niecierpliwić.
- W porządku, Howardzie, niech pan zaczyna. Jak wyjdę, niech pan będzie z Normanem i trzyma ludzi z dala od ładunków. Walt, ty pomożesz panu Grozowi z pojemnikami.

Chwilę później Frank Sagadore - z głową nabitą instrukcjami Howarda - wysliznął się przez klapę w zimną noc na moście. W pociągu Howard Mottbrown i Norm Kettering zajęli pozycje na barykadzie, podczas gdy Wolfgang Groz i Walter Linberg ruszyli do pierwszego wagonu, w którym był pojemnik z zarodnikami.

Most Stoney Creek łączy brzegi głębokiego na trzysta dwadzieścia pięć stóp wąwozu o tej samej nazwie, leżącego na siedemdziesiątej szóstej mili Poddziału Field. Zbudowana w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku drewniana estakada została później zastąpiona przez jednoprzęsłowy łuk stalowy o długości trzystu trzydziestu sześciu stóp.

Obecny most, przebudowany w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym, ma kilka dodatkowych łuków, które umożliwiają przejazd cięższych pociągów i zwiększają całkowitą długość konstrukcji do czterystu osiemdziesięciu czterech stóp. Tak jak w przypadku większości mostów w Górach Skalistych, jego konstrukcja jest bardzo prosta, z niewielkimi tylko modyfikacjami. Szerokość przęsła równa jest w zasadzie szerokości torów, brzeg po obu stronach nie ma więcej niż dwadzieścia cali; szyny i podkłady leżą na otwartych dźwigarach, podtorze zaś pozbawione jest odbojnic. Ze środka pociągu wyglądało to tak, jakby wagony były zawieszane na wpół w powietrzu, a z zewnątrz niewiele lepiej. Po przejściu przez klapę Frank Sagadore znalazł się na dwunastocalowym podkładzie, mając krawędź mostu w odległości wyciągniętego ramienia. Gdyby kłapa znajdowała się po lewej stronie wagonu restauracyjnego, miałby przynajmniej złudzenie względnie zamkniętej przestrzeni, ponieważ niższe stromizny góry Hermit majaczyły w gęstym mroku w odległości zaledwie kilkuset jardów. Niestety widok na prawo był zdecydowanie bardziej przerażający: ziejąca pod stopami otchłań dawała początek gigantycznej perspektywie, sięgającej we wszystkich kierunkach - dopiero w odległości ponad pięciu mil za rzeką Beaver wznosiły się ledwo widoczne góry.

Sagadore, który uważał swój koci wzrok za błogosławieństwo, teraz przeklinał go cicho, gdy jego

oczy przyzwyczyły się do ciemności i zaczęły dostrzegać szczegóły. Starając się nie poruszać zbyt gwałtownie, sięgnął ręką do tyłu i namacał zimny metal wagonu restauracyjnego. Przełknął z trudem ślinę walcząc z zawrotami głowy, które zaczęły ogarniać go falami, przyprawiając o mdłości. Wiedział, że jeśli wykona teraz choćby najmniejszy ruch, nogi odmówią mu posłuszeństwa i przekoziółkuje w tę przepaść, która jakby przywoływała go z ciemności. Po raz pierwszy w życiu był przerażająco świadomy, co znaczy określenie

“rozrzedzone powietrze”.

- *Rallentare, rallentare* - powoli, powoli - szeptał głośno. Włoski z czasów młodości powrócił do niego niczym modlitwa. Nogi miał jak z żelaza, ale udało mu się częściowo obrócić. Nie odrywając stóp od wąskiego podkładu, wypatrywał dalekiego końca mostu.

Kiedy wreszcie wykonał całkowity obrót, wydało mu się, że wspornik znajduje się w odległości co najmniej mili i nie da rady do niego przejść. Nie miał jednak wyboru. Musiał to zrobić. Kołysząc się lekko, zrobił krok naprzód, przechylając się w stronę pociągu. Nagle zdał

sobie sprawę, że wstrzymuje oddech - zatrzymał się więc wypuszczając powietrze i czekając, aż znowu zacznie oddychać normalnie. Następnie, skupiwszy wzrok na odległej linii drzew, które oznaczały bezpieczny grunt, zaczął ostrożnie przechodzić z jednego podkładu na drugi.

Pożar, który powstał w wyniku eksplozji w przedsionku wagonu sypialnego, dał dużo więcej dymu niż płomieni, i środek ogniotrwały, którym w końcu lat sześćdziesiątych pokryto stare wagony, działał wystarczająco dobrze, by ograniczyć ogień do małej powierzchni. Ale -

jak na ironię - to raczej pożar, a nie barykada Ketteringa, zatrzymał pasażerów. Najmocniej paliło się w wąskiej szafce zawierającej płyn czyszczący, który podsyczał płomienie. Była ona umieszczona nie więcej niż pięć stóp od głównej tablicy rozdzielczej wagonu i gdy metalowa ścianka oddzielająca je rozgrzała się, przewody w elektrycznej skrzynce zaczęły się topić.

Pięć minut po wybuchu pożar w szafce osiągnął punkt kulminacyjny. Główny przewód, którego izolacja stopiła się, dotknął ścianki powodując zwarcie. Włłącznik automatyczny wyskoczył i światła w wagonie zgasły. Ponieważ prąd elektryczny dla całego pociągu wytwarzany był przez zespół B lokomotywy VIA, przerwa w obwodzie zgasła wszystkie światła, pogrążając nagle wszystkich pasażerów w całkowitej ciemności. Atawistyczny strach, połączony ze świadomością, że są zawieszani kilkaset stóp nad otchłanią, zatrzymał

wszystkich w miejscu. Kiedy pociąg stanął na moście Stoney Creek, Wanda Jenkins Margay znajdowała się w sypialnej części “Tremblant Parku”. Prawie natychmiast wąski korytarz wagonu został zatłoczony przez próbujących dostać się na przód pociągu pasażerów ogarniętych paniką, którzy spychali starszkę z drogi łokciami. Natłok ludzi, połączony z niewiarygodnym smrodem w pozbawionym powietrza wagonie, prawie pokonał wiekową podróżniczkę, ale w końcu udało jej się wcisnąć do jednego z opuszczonych przedziałów.

Przeczekała tam, aż tłum przejdzie, po czym pospieszyła w przeciwnym kierunku - do następnego wagonu i Kenzie McLeod.

Dziewczyna otworzyła drzwi, które zamknęła przedtem na polecenie Wandy, dopiero kiedy staruszka zapewniła ją, że wszystko jest w porządku.

- Dlaczego stoimy? - zapytała.

Wanda uśmiechnęła się najłagodniej, jak umiała. Kenzie najwyraźniej bardzo się bała, strach widoczny był w jej oczach - jak u schwytanego zwierzęcia.

- Myślę, że sytuacja osiągnęła punkt kulminacyjny - odparła Wanda. - Jeśli jednak zachowamy spokój, nic nam się nie stanie. *Herr Groz* i pozostali mają sprawy w swoich rękach.

- Musimy się stąd wydostać - powiedziała Kenzie.

W tym momencie światła zamigotały i zgasły. Dziewczyna krzyknęła i rzuciła się do drzwi, o mało nie przewracając Wandy na podłogę.

- Panienko - upomniała ją staruszka. - Wytrzymałaś do tej pory. Proszę teraz nie robić głupstw.

- Boję się - jęknęła Kenzie, która stała się teraz jedynie cieniem w panującym mroku. -

Naprawdę się boję.

- Oczywiście - powiedziała spokojnie Wanda. - Byłabyś bardzo głupią dziewczyną, gdybyś nie czuła się przerażona. Ja też się boję, zapewniam cię.

- Co robimy? - spytała Kenzie, którą głos Wandy uspokoił na tyle, że oddech wrócił

jej prawie do normy. Staruszka myślała z wysiłkiem, podpierając się pokręconą ręką o drzwi.

Znała siebie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, jak bardzo jest bliska wyczerpania swych sił fizycznych. Wiedziała jednak także, że dziewczyna liczy na nią.

- Mamy prosty wybór - powiedziała w końcu. - Możemy postąpić inteligentnie i poczekać, aż ktoś przyjdzie i nam pomoże, albo też możemy wysiąść z pociągu.

- A ten człowiek, którego widziałam? - spytała Kenzie i strach powrócił na jej twarz. -

Nie chcę umrzeć w taki sposób.

- Nie umrzesz, dziecko, jeśli tylko będę mogła coś na to poradzić - zapewniła ją Wanda, zastanawiając się, co niby poradzi, jeśli Stackpole'owi uda się wyjść cało z rąk Maxwella i pozostałych. Zupełnie nie wiedziała, co robić, ale po prostu nie leżało w jej naturze liczyć na innych. Podjęła decyzję. - Chyba wysiadziemy - stwierdziła.

- Jak?

- Przez tylne drzwi - odparła Wanda. Wyciągnęła rękę szukając w ciemności dłoni Kenzie. - Chodź

ze mną, moje dziecko.

Dziewczyna chwyciła ją za rękę i razem wyszły z przedziału.

Skręciły w lewo, idąc po omacku wzdłuż korytarza i kierując się w stronę "Tremblant Parku". Kiedy dochodziły już do drzwi prowadzących do ostatniego wagonu, Wanda źle obliczyła odległość i wpadła twarzą na wystającą gaśnicę. Jej staromodne okulary w drucianych oprawkach roztrzaskały się w drobny mak, a krawędź gaśnicy głęboko rozcięła jej czoło. Zatoczyła się i tylko dzięki szybkiej pomocy Kenzie utrzymała się na nogach.

- Co się stało? - spytała dziewczyna.

- Chyba na coś weszłam - odparła Wanda zagryzając z bólu usta. Poczowała zawrót głowy i mało brakowało, by upadła.

- Nic się pani nie stało?

- Niezupełnie - powiedziała starszka. - Zbiłam okulary, kochanie. Teraz ty będziesz musiała mnie prowadzić. - Prawie całkowita ciemność dosyć już utrudniała wszystko, bez okularów jednak Wanda była prawie zupełnie ślepa.

- Proszę mi powiedzieć, co mam robić - powiedziała Kenzie z nagłą siłą w głosie.

- Zaprowadź nas do następnego wagonu. Powinnyśmy być teraz w takim krótkim korytarzyku. Jeśli przez jakiś czas będziemy trzymać się bardziej prawej strony, dojdziemy do głównego korytarza, który zaprowadzi nas z powrotem do świetlicy. Rozumiesz?

- Chyba tak - odparła Kenzie. - W lewo, potem z powrotem do świetlicy.

Podtrzymując starszkę jedną ręką, dziewczyna postąpiła według instrukcji i po kilku minutach znalazły się w tylnej świetlicy.

- Odsłoń jedno okno - poleciła Wanda. - Powiedz, co widzisz.

Opadła z ulgą na siedzenie, krzywiąc się lekko z powodu bolącego czoła. Kenzie odsłoniła zasłonę i wpatrzyła się w mrok.

- Jesteśmy na moście - oznajmiła. - Jest duża góra i coś, co wygląda na strumień.

- Aha - mruknęła w zamyśleniu Wanda. - W porządku. Teraz posłuchaj. Tylne okno tego wagonu jest połączone z drzwiami. Na pewno będzie zamknięte, więc musisz je rozbić.

- Czym? - spytała Kenzie, spoglądając w głąb ciemnej świetlicy.

- Uniesiesz jedno z tych krzesel?

Dziewczyna poszła na koniec wagonu i chwyciła za ciężkie krzesło.

- Chyba tak - mruknęła.

Odsunęła krzesło z drogi i odsłoniła tylne okno. Wanda miała rację. Okno było częścią wąskich drzwi.

Wyglądając przez szybę zauważyła, że między ich wagonem a końcem mostu jest jeszcze dobre sto stóp.

- Spróbuj rozwalić zamek - poradziła jej słabym głosem staruszka. Do bólu w głowie dołączył się teraz inny, dużo bardziej zatrważający symptom. Ręka jakiegoś upiora chwyciła ją za klatkę piersiową, ściskając płuca i utrudniając oddychanie. Wiedziała, co to był za ból, ale sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, skupiając całą swoją energię na bezpiecznym wydostaniu dziewczyny z pociągu. Uśmiechnęła się do siebie. Byłaby to uczciwa wymiana z losem, gdyby jej się udało.

Rozległ się głośny trzask, gdy Kenzie grzmotnęła stalową nogą krzesła w klamkę tylnych drzwi. Wanda zmrużyła oczy, usiłując zobaczyć co się dzieje, mogła jednak odróżnić tylko słabe, zamazane cienie.

- Udało się - oznajmiła triumfalnie Kenzie.

- Brawo. Myślisz, że uda ci się zejść z wagonu?

- Chyba tak - odparła dziewczyna. Przeszła przez świetlicę do Wandy. - Chodźmy.

Staruszka potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że będziesz musiała poradzić sobie sama, panienko. Ja mam lęk wysokości.

- Pomogę pani - zachęcała Kenzie.

- Nie, kochanie. Ja tu poczekam, aż *Herr* Groz i pozostali przyjdą mi na ratunek.

Jestem trochę za stara na bieganie po mostach w środku nocy, dziękuję.

- Na pewno będzie tu pani dobrze? - spytała dziewczyna z troską w głosie.

- Doskonale - odparła Wanda, sztywniejac nagle, kiedy rozdzierający ból wdarł się jej w piersi i przeszedł przez lewe ramię jak rozgrzany do czerwoności drut. - No, ruszaj już, moje dziecko, proszę cię.

Kenzie przez chwilę stała przed staruszką, po czym odwróciła się. Wanda nadśłuchując wpatrywała się w ciemność. Po kilku sekundach usłyszała, jak Kenzie zeskakuje na tory.

- Żegnaj, kochanie - szepnęła. - I powodzenia.

W tym momencie jej serce odezwało się po raz ostatni, przesywając ciało staruszki bólem nie do



opisania.

- Cholera - syknął Walter Linberg, przykucnięty obok Wolfganga Groza na podłodze amtrakowskiego wagonu sypialnego. Światła zgasły właśnie w chwili, kiedy Groz zdejmował

drugi kanister z jego grzędy na szafce elektrycznej. Chemik zamarł w ciemnościach, czekając aż pojemnik z zarazkami wybuchnie mu w rękach. Serce tłukło się w piersiach Linberga jak oszalałe. Policzywszy wolno do trzydziestu, pozwolił sobie wziąć następny oddech.

- Jezus, Maria. Myślałem, że uszkodził pan przewody - wyszeptał.

- Nie - odparł Groz z ulgą. - To nie mógł być pojemnik. Nie ma połączenia, tylko mały. zacisk przytrzymujący, tak jak przy tamtym.

Pierwszego kanistra pozbyli się w ubikacji wagonu restauracyjnego Amtraku, do której następnie naładowali tyle mebli, ile Linberg zdołał upchnąć w małym pomieszczeniu.

Dla dodatkowego zabezpieczenia zapchał kratkę wentylacyjną u dołu drzwi papierowymi ręcznikami. Gdyby pojemnik wybuchł, zarodniki nie dotarłyby za daleko. W każdym razie Linberg miał taką nadzieję.

- Co teraz robimy? - spytał.

- To, co przedtem - odparł Groz. - Musimy się skupić na naszym zadaniu i nic poza tym. Sprawą Norma Ketteringa i pańskiego przyjaciela Sagadore'a jest ochraniać nas, dopóki nie uporamy się z tym świństwem.

- Po ciemku?

- Tak - powiedział Niemiec, którego twarz ledwo było widać. - Będziemy po prostu jeszcze bardziej uważać, prawda?

- Jeszcze jak - mruknął Linberg.

- *Gut*. Teraz ostrożnie. - Groz podał pojemnik Linbergowi, który uchwycił go delikatnie dwoma rękoma. Powoli obrócił się, macając drogę stopą i trzymając kanister przy piersiach.

Jego wyobraźnia nie miała kłopotów z przywołaniem wizji tego, co dzieje się wewnątrz pojemnika i co się stanie z nim, jeśli Shenker zdecyduje się użyć mechanizmu zdalnie sterującego. Wolno, ale pewnie zaczął posuwać się w stronę odległej o kilka stóp ubikacji.

- Niech Bóg będzie z tobą, Harry Maxwellu, gdziekolwiek teraz jesteś - wyszeptał.

Kiedy Linberg zabierał się do niebezpiecznej pracy, delikatnego usuwania śmiertelnych pojemników, Harry Maxwell zjeżdżał po stromym, porośniętym krzewami stoku na północnym brzegu rzeki Beaver, ledwo kontrolując podskakującą maszynę, a cały umysł przepełniony miał jedną straszliwą myślą: że wąska ścieżka może w każdej chwili zniknąć nad krawędzią jakiegoś urwiska.

W tej chwili obchodziło go tylko to, by utrzymać się na siedzeniu Hondy. Mark Cavendish, ściśnięty w siodełku za nim, był tylko trochę bardziej świadomy otoczenia, poświęcając większość uwagi temu, by nie rozluźnić ramion opasujących pierś Maxwella.

Daniel Pendergast również jechał na pełnym gazie, mrużąc oczy przed kurzem wznoszonym przez trójkołowca Harry'ego i kierując się w tym samym stopniu ślepą wiarą i intuicją co zmysłami.

W końcu ścieżka dotarła do stóp zbocza i zaczęła wić się tam i z powrotem w labiryncie wystających skał i kęp krzewów, które szarpały ubranie Harry'ego jak kolczaste szpony. Nie zwracając uwagi na tę "ścieżkę zdrowia", Harry rozpaczliwie próbował myśleć.

Według jego oceny Shenker nie miała więcej niż dwie-trzy minuty przewagi, a ponieważ jechała bez świateł, było oczywiste, że doskonale wie, dokąd zmierza. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, by zrezygnować z tej pogoni, ale nie bacząc na to pędził dalej.

Ważniejsze od pieniędzy było urządzenie zdalnie sterujące wybuchem pojemników z węglikiem - choćby świat miał się zawalić, musiał dopilnować, by go nie użyła. Kontynuował

więc jazdę, z trudem utrzymując motocykl na ścieżce wijącej się u stóp monolitowego północno-wschodniego grzbietu Mount MacDonald. Dwukrotnie przejechali po wąskich drewnianych mostach, a następnie skierowali się na południe, wzdłuż położonych na wysokości trzech tysięcy pięciuset stóp zboczy moreny Prairie Hills. Byli w głębokim lesie i dawno stracili z oczu zarówno pociąg, jak i rzekę Beaver, leżącą o sto stóp niżej.

Po niespełna pół mili ścieżka skręciła ostro na wschód, po czym zaczęła się wznosić niemal prostą linią przez gęsty las cedrowy, pokrywający polodowcowe wzgórze. Jechali tak przez następną milę, dzięki szerokim oponom i podrasowanemu silnikowi wytrwale wspinali się pod górę, choć Harry nie widział nic poza drzewami po obu stronach i wąską, porośniętą mchem ścieżką przed sobą. I wtedy nagle się skończyło. Las po prostu urwał się i oba motory pędziły przez pochyłą górską łąkę, szeroką jak boisko piłkarskie i trzy razy dłuższą. Na końcu tej porośniętej koniczyną doliny Harry dostrzegł w ciemności zarysy jakiejś szopy, a obok niej coś dużo większego. Przekreślił gwałtownie rączkę hamulca i motocykl stanął z poślizgiem.

- Jasna cholera! Mają tu samolot! - krzyknął.

Daniel zatrzymał się przy nich i wszyscy trzej zsiadli, mając nogi jak z waty po szaleńczej jeździe pod górę. Panowała absolutna cisza, serca im łomotały, płuca mieli obolałe.

Harry Maxwell był przerażony - otaczające go góry sprawiły, że poczuł się jak malutki Jonasz w żołądku olbrzymiego granitowego wieloryba. W uszach mu szumiało, toteż ledwo usłyszał

narastający warkot uruchamianego silnika prawie niewidocznego samolotu, który stał w gęstym mroku na drugim końcu polany.

Hałas rósł w miarę przyspieszania obrotów silnika, aż w końcu stał się jednostajnym, szalonym jękiem. Ciemny kształt ruszył w ich stronę, połyskując wolnonośnymi skrzydłami w bladym świetle

księżycu.

- To Cessna! - krzyknął Mark Cavendish wpatrując się w mrok. - Chryste! Jeszcze mamy szansę.

Zerwał Danielowi przez głowę jego Ingrama. Nie odrywając oczu od samolotu, odciągnął suwadło. W następnej chwili biegł już na wzgórze w kierunku zbliżającego się stalowego nietoperza. Wrzeszcząc coś bez związku Daniel pognął za nim, ostatni zaś ruszył

oszołomiony Harry, już w biegu ściągając swój karabin i przygotowując go do strzału. Nie zdawał sobie przy tym tak naprawdę sprawy z tego, co robi.

Gwałtownie otrząsnął się z odrętwienia, ostatnim wysiłkiem woli pokonując wycieńczenie i strach, które prawie już w nim zwyciężyły. Ryk silnika Cessny wdarł mu się w uszy, kiedy zaostrzony przód samolotu pruł w ich stronę. W odległości pięćdziesięciu jardów Harry dostrzegł twarz Shenker, oświetloną światłkami tablicy przyrządów pokładowych, oraz jakąś inną postać na siedzeniu pilota. Gdy odległość zmniejszyła się jeszcze bardziej, zobaczył, że terrorystka pochyliła głowę, jak gdyby patrzyła na coś leżącego na jej kolanach.

- Padnij! - wrzasnęła Cavendish. - Na brzuch! Na ziemię!

Harry upadł i przeturlał się na plecy, podnosząc Ingrama do góry i strzelając prosto w spód Cessny, która przelatowała nie więcej niż piętnaście stóp nad jego głową, już chowając trójkołowe podwozie.

Leżący na prawo od niego Cavendish odczekał chwilę dłużej. Przypominał sobie lekcje z Quantico Naval Air School i umiejętności, z których nie korzystał od czasu Wietnamu. Czterdzieści pięć z sześćdziesięciu wystrzelonych pocisków trafiło w cel - seria Harry'ego od środka do ogona, Marka zaś dokładniej - w podporę, osłonę silnika i kabinę pilota. Azziz, bo to on sterował, dostał cztery razy, a Shenker sześć, oboje jednak jeszcze żyli i byli na tyle przytomni, by posmakować męczarni śmierci w ogniu, kiedy wybuchły zbiorniki skrzydłowe, pokrywając maszynę stoma galonami płonącego wysokooktanowego paliwa.

Jakieś sto stóp od miejsca, w którym ciężko oddychając z wysiłku leżał Harry, poharatana Cessna zaryła nosem w ziemię i przewróciła się. Płonące kawałki rozgrzanych do białości skrzydeł i kadłuba wystrzeliły w ciemność, zapalając w kilkunastu miejscach trawę.

Harry uklęknął, zahipnotyzowany widokiem ognistej kuli na zboczu. Poczul, że jakaś ręka chwyta go pod ramię, pomagając wstać - to był Daniel. Po chwili z mroku wysunął się Mark Cavendish z twarzą wykrzywioną w uśmiechu triumfu. Na haku majtał mu się bezużyteczny już Ingram.

Trzej mężczyźni wpatrywali się w słup ognia, a ich tętna powoli wracały do normy.

Chłodne nocne powietrze wokół nich wypełnione było trzaskiem i sykiem rozżarzonego metalu, podczas gdy drobinki popiołu wirowały na tle ciemnego nieba. Nagle ponad huk pożaru wybił się inny dźwięk. Wycie syreny pociągu - już wolnego - odbiło się echem w szerokiej dolinie rzecznej między mostem Stoney Creek a wyzynną łąką, na której stali.

- Chyba zdążyliśmy - szepnął Harry.

- Na to wygląda - stwierdził Cavendish. - Wydaje mi się, że kiedy trafiliśmy w samolot, ona właśnie sięgała do pilota. Jeszcze parę sekund i byłoby za późno.

- Ona wiedziała - powiedział cicho Harry. - Widziałem ją przez ułamek sekundy, wtedy, na samym końcu. Wiedziała, że umrze, i chciała zabić nas wszystkich, zabrać ze sobą cały pociąg.

- No cóż - mruknął Mark, po czym zamachnął się i cisnął karabin maszynowy w ciemność - możemy teraz usiąść i poczekać na kawalerię. W końcu jest już po wszystkim.

Harry odwrócił się spoglądając na Daniela. Malarz rzucił okiem na Cavendisha, a potem z powrotem popatrzył na Harry'ego. Lekko, prawie niedostrzegalnie skinął głową.

- Nie - odezwał się Harry. - Jeszcze nie jest po wszystkim. Niezupełnie. Chodźcie.

# EPILOG

## Wywiad "Playboya"

"Playboy" nie zajmuje się zazwyczaj przeprowadzaniem wywiadów z przestępcami, jednak w przypadku Harry'ego Maxwella postanowiliśmy uczynić wyjątek.

Nie będąc ani Richardem Nixonem, ani Robertem Yesco, Harry Maxwell przejawiał

jednak narodową fantazję. A żyłka złodziejska tkwi w każdym z nas. Zawiedzione nadzieje i gniew, które doprowadziły Harry'ego i jego towarzyszy do próby obrabowania "Nocnej Sowy", są w takim samym stopniu częścią Amerykańskiego Snu, jak późniejsza jego odwaga i uparte odmawianie poddania się terrorystycznej grupie członków Armii Ludów Świata.

Harry, realistyczny aż do przesady, nie widzi tego oczywiście w ten sposób, chociaż niedawny rozgłos przyjął z dobrym humorem. Twierdzi, że był "we właściwym miejscu w nieodpowiednim czasie", cała reszta zaś to jedynie próba wyjścia cało z tego wszystkiego. W

przeszłości Harry'ego Maxwella nic nie wskazywało na to, że ma zadatki na bohatera ludowego. Urodzony w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku jako Harry James Maxwell, miał zupełnie normalne dzieciństwo i okazywał godziwy zapal uczniowski, przechodząc przez system szkolny Seattle w stanie Washington.

Kiedy w przyszłości informacje o wyczynach Harry'ego dotrą do opinii publicznej, jego rodzice zareagują typowo: matka się rozpłacze, a ojciec pokręci w niedowierzaniu głową.

W latach sześćdziesiątych, pracując na stopień naukowy z socjologii na Uniwersytecie stanu Columbia, Harry został tak ogarnięty przez "rozrywkowe dobrodziejstwa skrajnej elegancji", że jego kariera uniwersytecka musiała się zakończyć. Przez resztę dekady i lata siedemdziesiąte utrzymywał się - jak sam to określa - z "miodu i jagód, przystępowania do komunii, zdrowego żywienia i podnoszenia świadomości". Pod koniec lat siedemdziesiątych zajął się przemysłem, najpierw marihuany i haszyszu z Meksyku i Bliskiego Wschodu, a potem kokainy z Ameryki Południowej. "Doszczętnie splukany i z poszarpanymi nerwami" -

przez interes narkotykowy oczywiście - wylądował w końcu jako sprzątac wagonów na dworcu przetokowym w Waszyngtonie. Reszta, jak mówią, jest historią.

Po wielu poszukiwaniach znaleźliśmy Harry'ego na małej wysepce niedaleko wybrzeży Hondurasu i wysłaliśmy tam niezależnego pisarza Johna Purdy'ego (Wywiad z czerwca 1984). Oto sprawozdanie Purdy'ego:

*Próba opisanie drogi, która w końcu doprowadziła nas do nieuchwytnego Harry'ego Maxwella, może przyprawić o obłęd, a zapewniamy czytelników, że każdy, kto korzystał z linii Air Honduras i przeżył, by opowiedzieć tę historię, ma naszą dozgonną wdzięczność. Nie doświadczyliście prawdziwego strachu, jeśli nie lecieliście na wysokości 11 tysięcy stóp samolotem, w którym para staruszków piecze świeżo oskubanego kurczaka nad rozżarzoną piecykiem drzewnym.*

*W końcu, kierując się wyraźnymi wskazówkami Harry'ego (16°06'N, 86°56'W), dotarliśmy do wyspy Utila w Basenie Yucatan i znaleźliśmy naszego bohatera na osłoniętym ganku sześciopokojowego hoteliku o nieoczekiwanej nazwie Sony's Villa. Trwający trzy dni wywiad, przeprowadzany wyłącznie na ganku, przerywany był regularnie przez podwodne wyprawy po cenioną tu rybę - lucjana czerwonego i miejscowego homara. Stale dostarczane Cerveza Modelo i dziwny tutejszy napój z anyżu i miodu, zwany xtabentum, pozwalały nam chłodzić się podczas rozmowy.*

**” Playboy”** : Nie bardzo pasujesz do wzoru wielkiego przestępcy czy współczesnego Robin Hooda. W jaki sposób zupełnie normalny chłopak z Seattle kończy jako uciekinier przed sprawiedliwością wzbogacony przez brudne pieniądze, i jednocześnie jako ludowy bohater?

**Maxwell:** Kurt Vonnegut miał takie ulubione zdanie - “i tak leci”. Moje brzmi: “jedno prowadzi do drugiego”. Nigdy nie chciałem być bohaterem ludowym, chciałem tylko być cholernie bogaty. Czytałem wiele opowieści o sobie we wszystkim, od magazynu “Time” po

“Rolling Stone'a”, i one wszystkie mówią, że jestem produktem lat sześćdziesiątych. To tylko pieprzenie.

P.: Wiec dlaczego to zrobiłeś?

M.: Dla pieniędzy oczywiście.

P.: To krótka odpowiedź, może podałybyś więcej szczegółów?

M.: Ma to wiele wspólnego z moim niepowodzeniem w życiu. Dla mnie istnieją dwa rodzaje nieudaczników - świadomy i ukryty. Świadomy nieudacznik wie, że nic mu nie wychodzi z jego winy, i stopniowo go to niszczy. Ten drugi natomiast wmawia sobie, że nigdy nie miał szczęścia albo że po prostu nie było mu to pisane, i zaczyna wieść życie, w którym rzadko dostaje cokolwiek z tego, o czym marzył. Ja byłem świadomym nieudacznikiem. Wiedziałem, że zaprzepąściłem wszystko, i to denerwowało mnie i frustrowało. Wiedziałem, że jest za późno na sukces, o którym marzyłem, kiedy dorastałem.

Ciągle jednak chciałem zrealizować chociaż część moich marzeń. Takich chociażby, jak siedzenie w tropikalnym raju, popijanie piwa i udzielanie wywiadu “Playboyowi” - wraz z trzema, czterema małymi zdjęciami. Zrobisz je przecież, nie?

P.: Oczywiście. Nie chcielibyśmy rozwiewać twojego marzenia.

M.: W porządku. Tak czy siak, kiedy dostrzegłem okazję, stwierdziłem, że to moja ostatnia szansa, i byłem na tyle głupi, że zaryzykowałem.

P.: Na tyle głupi...?

M.: Jasne. Każdy, kto odnosi sukces, musi mieć trochę wrodzonej głupoty. Zastanów się - jak można poważnie myśleć o obrobieniu banku Rezerwy Federalnej i o ucieczce? Nie powinienem w ogóle

przeżyć. Jeśli dodać do tego Annalise Shenker i jej ludzi, prawdopodobieństwo przegranej rośnie niewiarygodnie. Nawet tylko jako pasażer miałem bardzo niewielkie szansę wyjścia z tego.

P.: Ale przecież to ty uratowałeś ten pociąg.

M.: Wszyscy to zrobiliśmy. Mark, Daniel, Norman Kettering, nawet biedny Adrian.

To był wysiłek grupowy.

P.: Ale ty byłeś przywódcą, mózgiem całej akcji.

M.: Może. Prawdę mówiąc, na początku prawie cały czas cholernie się bałem. Myślę, że gniew jest chyba najlepszym antidotum na strach. Po tym, jak znaleźliśmy Adriana, przestałem się bać. Byłem już tylko wściekły - zabójczo wściekły. Przedtem niewiele brakowało, żebym skasował bilet i zamienił się w galaretę. Nawet później o mało co wszystkiego nie straciłem. Tam na górze na przykład. Było tak, jakby to, przez co przeszedłem, nagle stało się straszliwie realne, rozumiesz? Potem minęło. Może dlatego, że przypomniałem sobie o pieniądzach. W końcu przecież chodziło mi głównie o nie.

P.: Przez długi czas uważano, że te pieniądze spłonęły. Dopiero po paru miesiącach, gdy przesiano popioły, stwierdzono, że ich tam nie ma. Wtedy jednak po tobie nie było już śladu.

M.: Zgadza się. Nigdy niczego nie podejrzewali, bo kiedy przyszli ściągnąć nas z tamtej góry, byliśmy czysti, a samolot właśnie się dopalał. Zrobiono z nas bohaterów.

P.: Odpowiedz więc na dręczące wszystkich pytanie. Jak wam się udało?

M.: To żaden wielki sekret. Musisz pamiętać, że od rozbicia samolotu minęło mniej więcej dwadzieścia pięć minut, zanim przybyły helikoptery. Do motorów, na których przyjechaliśmy, przyczepione były cztery worki z gotówką. Wszyscy trzej wsiedliśmy z powrotem na maszyny i ruszyliśmy dalej drogą obok szalasu. Jeśli spojrzysz na mapę, zobaczysz, że wznosi się ona do miejsca zwanego Bald Ridge, a potem skręca w prawo między drzewami. Jakąś milę dalej stoi jeszcze jeden szalasek leśny. Zakopaliśmy worki pod podłogą tego szalasu i wróciliśmy do samolotu. Mieliśmy jeszcze sporo czasu. Kiedy cały szum wokół tej sprawy ucichł, pojechaliśmy tam po forszę.

P.: Rozumiemy z tego, że Mark Cavendish stał się spóźnionym współnikiem kradzieży, zgadza się?

M.: Tak... Był zupełnie uczciwy, dopóki nie zobaczył zawartości tych worków. Jakieś trzydzieści sekund zabrało mi przekonanie go, że właśnie wygrał na loterii.

Zaproponowaliśmy mu równą część - i przyjął ją. Zasługiwał na to zresztą - on i te jego ręce z Administracji Weteranów.

P.: A jak było ze Stackpole'em? Podejrzewałeś go?

M.: Adrian go podejrzewał, i to było przyczyną jego śmierci. Pamiętaj, że byliśmy ostrzeżeni. Shenker mówiła, że wśród pasażerów są jej ludzie. My jednak byliśmy przecież amatorami.

P.: A teraz, już po wszystkim, jakie są plany życiowe Harry'ego Maxwella? Masz sławę i fortunę... czy chciałbyś czegoś jeszcze?

M.: Możesz mi wierzyć albo nie, ale chciałbym mieć jakąś robotę. Myślę, że stary amerykański etos pracy jest bardzo głęboko zakorzeniony. Zastanawiam się nad napisaniem książki o tym wszystkim, a gdyby się udało, być może sfinansowałbym także film.

P.: Czy cała ta sprawa jest tego warta?

M.: Dla mnie osobiście? Jasne. Nie mogę jednak mówić za innych, musiałbyś ich spytać.

P.: Gdybyśmy mogli ich znaleźć...

M.: To już inne zagadnienie. Może udałoby ci się złapać Marka albo Daniela.

Wpadają tu co jakiś czas przez wzgląd na dawne czasy.

P.: Zrobiłbyś to jeszcze raz?

M.: Widzisz jakieś pociągi na tej wyspie?

P.: Nie.

M.: No więc masz odpowiedź, przyjacielu.

P.: Dziękuję.

M.: *De nada.*



**KONIEC**